



WAR IS HELL

ARTHUR FOWLER

**TROPIKALNE
PIEKŁO**

NOVAE RES

ARTHUR FOWLER

TROPIKALNE PIEKŁO



NOVAE RES

Głupotą i błędem jest oplakiwanie poległych.
Powinniśmy raczej dziękować Bogu za to, że tacy ludzie żyli.
George S. Patton



Mojej Žonie

Spis treści

[Przedmowa](#)

[Rozdział I. Boston](#)

[Rozdział II. Podróż](#)

[Rozdział III. Kompania Charlie](#)

[Rozdział IV. Strefa Działań Wojennych D](#)

[Rozdział V. Operacja Junction City](#)

[Rozdział VI. Centrum propagandy](#)

[Rozdział VII. FSB Parry](#)

[Rozdział VIII. Patrol](#)

[Rozdział IX. Baza wsparcia ogniowego](#)

[Rozdział X. Szpital](#)

[Rozdział XI. Phuoc Tuy](#)

[Rozdział XII. Most](#)

[Rozdział XIII. Wioska](#)

[Rozdział XIV. Dak To](#)

[Rozdział XV. RR](#)

[Rozdział XVI. Wzgórze 875](#)

[Rozdział XVII. Tuy Hoa](#)

[Posłowie](#)

PRZEDMOWA

Brygadę stworzono 25 sierpnia 1917 roku jako 173 Brygadę Piechoty w Camp Pike w stanie Arkansas. Niedługo potem została ona wysłana na front do Francji, lecz nie okryła się tam sławą w żadnej z większych bitew. Po Wielkiej Wojnie w styczniu 1919 roku została rozwiązana w Camp Dix w New Jersey. Ponownie powołano ją do życia 24 czerwca 1921 roku, tym razem wchodziła w skład 87 Dywizji Piechoty.

W czasie II wojny światowej 87 Dywizja, jako część III Armii pod dowództwem generała Georga S. Pattona, toczyła zażarte walki w Europie. 173 Brygada Piechoty brała udział w bitwie o Ardeny i w przekraczaniu Renu. Po kapitulacji Niemiec jednostka została zdemobilizowana w Fort Benning w Georgii.

W latach 1947–1951 brygada była ponownie czynną jednostką wojskową, pełniąc służbę jako 87 Zmechanizowana Dywizja Rozpoznawcza Kawalerii. Została jednak dezaktywowana 1 grudnia 1951 roku w Birmingham w Alabamie.

173 Brygada Powietrznodesantowa została, jako samodzielna jednostka, zorganizowana na wyspie Okinawie w dniu 26 marca 1963 roku. Nowo utworzona formacja miała służyć jako siły szybkiego reagowania na terenie

Pacyfiku. Dowódcą nowej brygady został generał Ellis W. Williamson, który od pierwszych chwil swojego dowodzenia zarządził intensywne szkolenie. Brygada przeszła w pierwszej kolejności mordercze szkolenie w dżungli na Okinawie i Irimote. Kolejnym etapem były intensywne treningi w skokach spadochronowych w Tajlandii i na Tajwanie. To właśnie podczas owych ćwiczeń na Tajwanie spadochroniarze ze 173 Brygady Powietrznodesantowej otrzymali pseudonim „Sky Soldiers”. Miano „Tien Bing” („Podniebni Żołnierze”) nadali im miejscowi spadochroniarze, będący pod wrażeniem widoku setek żołnierzy desantujących na spadochronach.

Na mocy rozkazu z dnia 14 kwietnia 1965 roku jednostka miała zostać przetransportowana do Wietnamu. W dniu 5 maja 1965 roku brygada trafiła do Republiki Wietnamu Południowego jako pierwsza tak duża jednostka bojowa armii Stanów Zjednoczonych. Miejscem jej stacjonowania była baza lotnicza w Bien Hoa. Na miejscu do brygady składającej się z 1 i 2 Batalionu Piechoty Spadochronowej (1/503 i 2/503) oraz 3 Batalionu 319 Spadochronowego Pułku Artylerii Polowej (3/319) zostały dołączone 1 Batalion Królewskiego Pułku Australijskiego (1 RAR) i 161 bateria artylerii z Nowej Zelandii. 173 Brygada przeistoczyła się dzięki takiemu przydziałowi w wielonarodową jednostkę bojową. Obszarem działania żołnierzy Sky były cztery prowincje wokół Sajgonu (Xuan Loc, Long Khanh, Phuoc Long oraz Phuoc Tuy). Zdarzało się jednak, że spadochroniarzy wysyłano w rejon Wyżyny Centralnej (Pleiku oraz Kontum) do walki z Vietcongiem (VC). Podniebni Żołnierze zostali w pierwszej kolejności wysłani do Strefy Działań Wojennych D oraz legendarnego „żelaznego trójkąta”, aby zniszczyć obozy wroga i odciążyć wietnamską stolicę - Sajgon. 173 Brygada jako pierwsza wprowadziła do działania długie patrole rozpoznawcze. W listopadzie 1965 wzięła udział w operacji Hump, na północ od Bien Hoa na przedmieściach Sajgonu. W styczniu 1966 roku spadochroniarze wzięli udział w operacji Crimp, mającej na celu oczyszczenie tuneli w Cu Chi z sił wroga. Następnie w marcu jednostka uczestniczyła w operacji Silver City w prowincji Khanh. Pod koniec sierpnia 1966 roku do brygady został dołączony trzeci batalion - 4 Batalion Piechoty Spadochronowej (4/503) z Fort Campbell w Kentucky. Ostatni 3 batalion brygady (3/503) przysłany z Fort Bragg w Karolinie Północnej dołączył do niej w Tuy Hoa dopiero we wrześniu 1967 roku. Ponadto do jednostki została przyłączona kompania N 75 Pułku Rangers.

W takim składzie 173 Brygada Powietrznodesantowa walczyła w Strefach Działań Wojennych C i D, „żelaznym trójkącie” oraz na Wyżynie Centralnej w roku 1967.

Niniejsza książka jest fikcją literacką. Jednak przedstawione w niej miejsca oraz daty zgodne są z rzeczywistymi wydarzeniami. Wiele opisanych w tej powieści wątków opartych jest na prawdziwych wydarzeniach, inne są mniej lub bardziej wymysłem wyobraźni literackiej. Zbierając materiały, korzystałem z wielu źródeł i bogatej bibliografii. Nastrój walk próbowałem oddać jak najbardziej wiarygodnie bez zbędnego upiększania i koloryzowania. Z wielu dostępnych tekstów źródłowych wybrałem te, które opisywały najbardziej prawdopodobne wersje wydarzeń. Przedstawiona historia ogranicza się do walk w roku 1967 wybranej jednostki wojskowej. Po wydarzeniach opisanych w tej powieści 173 Brygada nadal uczestniczyła w wojnie w Wietnamie. Moim zamiarem nie było opisywanie całej historii walk, lecz newralgicznego okresu dla jednostki, jakim był z całą pewnością rok 1967. Większość postaci występujących w tej książce jest fikcyjna – jakiegokolwiek podobieństwo nie było zamierzone.

I

BOSTON

Tom Swanson, jak to ostatnio bywało, obudził się, mając nieodparte wrażenie, że tak właściwie to wcale nie spał. Był cały obolały, doskwierał mu ból karku, a tak ogólnie to nie miał chęci wstawać z łóżka. Zwlókł się jednak z pośłania w przekonaniu, że będzie to następny nudny dzień, jakich pełno w roku. Pokręcił przecząco głową, gdy jego wzrok spoczął na zegarku. Było już późno i zapewne nie zdąży na czas na uczelnię.

Przez okno widział ulice Bostonu powoli budzące się do życia. Miasto to było stolicą stanu Massachusetts i leżało w północno-wschodniej części USA, na Wschodnim Wybrzeżu. On w tym portowym mieście mieszkał od urodzenia i niespecjalnie był z tego zadowolony. Całe swoje dotychczasowe życie spędził na Forest Hills St 147 nieopodal Franklin Park. Od ponad roku studiował na Harvard University w Cambridge koło Bostonu. Chciał iść na Massachusetts Institute of Technology, ale rodzice przekonali go do studiowania na Harvardzie. Teraz, po upływie roku, wiedział, że pomylił się, ulegając namowom i sugestiom rodziny. Studiowanie go nudziło, było dużo innych, ciekawszych rzeczy do robienia w życiu niż spędzanie długich godzin nad książkami. Chociaż dużo czasu poświęcał nauce, i tak nie szło mu najlepiej.

Musiał się pospieszyć, aby zdążyć na pierwszy wykład. Wyszedł z domu na tętniące już życiem ulice. Skierował swoje kroki do najbliższego przystanku transportu miejskiego. Słońce świeciło ostrym światłem, musiał założyć okulary, aby go nie oślepiało. Poranek był niezwykle ciepły jak na tę porę roku. Przyglądał się mijającym go ludziom. Wszyscy gdzieś się śpieszyli, on postanowił być ponad to. Wyhamował stanowczo, zwalniając swój chód. Przy przystanku dwóch mężczyzn awanturowało się o to, kto wczorajszej nocy wypił więcej alkoholu. Była to dość śmieszna scenka, bo

obaj ledwo trzymali się na nogach.

Nie musiał długo czekać na transport, autobus kierujący się w stronę Cambridge wkrótce nadjechał. Gdy przejechał przez most nad rzeką Charlesa, która oddzielała Cambridge od Bostonu, wiedział, że niedługo dotrze do celu swej podróży. Wsiadając, zdał sobie sprawę, że jednak się spóźni. Pierwszy wykład miał z prawa w biznesie, którego nie znosił, może nie jako przedmiotu, ale przez wykładowcę. W kierunku Harvard Business School będącej wydziałem Harvard University podążała duża grupka innych spóźnialskich. Widok ten trochę poprawił mu humor, teraz wiedział, że nie będzie osamotniony. Gdy wchodził po schodach, zauważył, że wśród spóźnionych jest Kent, chłopak na posyłki, przez większość ignorowany albo wyśmiewany. Próbował coś powiedzieć do Toma, ale osoba, która szła za nim, popchnęła go i Kent uciał w pół słowa.

Drogę na pierwsze piętro przebył, przeskakując co drugi stopień. Zdziwił się, gdy zauważył, że wykład się jeszcze nie rozpoczął i pozostali studenci z jego roku czekają na korytarzu przed salą. Spojrzeniem szukał swojej dziewczyny - Winnie, lecz nigdzie nie mógł jej dostrzec. Postanowił zapytać Whitakera, który mieszkał nieopodal niej - może on będzie coś wiedział. Niestety chłopak także nic nie wiedział. Rozmowę musieli przerwać, bo pojawił się wykładowca, jak zwykle ubrany w złe skrojony, szary garnitur. Drzwi od sali otworzyły się z przeraźliwym skrzypnięciem, mrozącym krew w żyłach.

Tom zajął miejsce obok Whitakera, mając nadzieję na dokończenie przerwanej rozmowy. Nie był zainteresowany wykładem, ale profesor Trock zawsze sprawdzał obecność i później rozliczał z niej studentów. Studia na wydziale zarządzania w biznesie nie interesowały go i gdyby nie obietnica złożona rodzicom oraz obecność Winnie, dawno zrezygnowałby z bycia studentem. Szkoła ta od wielu lat znajdowała się w czołówce szkół biznesu na świecie. Tym właśnie kierowali się jego rodzice, wybierając mu kolejny szczebel w drabinie edukacji. Nie był najgorszym studentem, ale wchłanianie wiedzy przychodziło mu z trudem. Wiele razy myślał nad porzuceniem tej uczelni, lecz zawsze znajdował coś, aby ostateczną decyzję odłożyć na później.

Mimo że był obecny na wykładzie, nie skupiał się na nim, jego głowę zaprzętała jedna myśl. Chodziło mianowicie o to, dlaczego Winnie nie ma na

zajęciach.

W sali jak zwykle zapanowała cisza, gdy wykładowca szukał wzrokiem osoby, którą zamierzał zapytać. Osobą wyznaczoną do odpowiedzi został siedzący obok Toma Whitaker. Pytany długo się nie zastanawiał, sprytnie odpowiedział na zadane pytanie. Wykładowca był usatysfakcjonowany i przystąpił do kontynuowania wykładu.

Zajęcia ciągnęły się Swansonowi w nieskończoność, nawet nie zapisał żadnej notatki. Dobrą nowiną było to, że zbliżały się do końca. Kolejny wykład miał ze statystyki w auli w zachodnim skrzydle budynku głównego. Myśl, że Winnie mogło coś się stać, nie dawała mu spokoju. Przerwę między zajęciami spożytkował na skonsumowanie rano przygotowanego śniadania. Czerstwą bułkę z szynką i serem zapijał sokiem grejpfrutowym, musiał jakoś zabić natarczywe burczenie w brzuchu.

Dzień był dziwny, kolejny wykładowca spóźniał się na swój wykład. Tom nadal badawczo rozglądał się w poszukiwaniu swojej dziewczyny. Zamiast ją dostrzec, zobaczył, że do zgromadzonych przy auli studentów zbliżał się zastępca dziekana. Oznajmił, że wykładowca statystyki miał wypadek samochodowy i zajęcia ze względu na to zdarzenie losowe zostały odwołane. Choć nie była to dobra wiadomość, zbytnio tą informacją się nie przejął. Ważne dla niego w tej chwili było to, że pozostawał mu tylko jeszcze jeden wykład.

Mając trochę czasu do dyspozycji, postanowił udać się do baru umieszczonego na parterze nieopodal wejścia głównego. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął zgniecione pieniądze. Szybkim ruchem postarał się je rozprostować, aby zorientować się, jaką sumą dysponuje. Przeliczył pieniądze, miał sześć dolarów i dwadzieścia cztery centy. Gdy wszedł do baru, jego uwagę zwróciła dziewczyna siedząca przy stoliku, podobna do Winnie. Niestety jego nadzieje szybko się rozwiały, nie była to jego sympatia. Zamówił hamburgera, którego łąpczywie zjadł w bardzo szybkim tempie. Musiał sporządzić notatkę na kolejne zajęcia, a mając jeszcze sporo czasu, postanowił udać się do biblioteki. Biblioteka im. Bakera, należąca do Szkoły Biznesu, leżała nieopodal głównego budynku.

Wszedłszy do czytelnicy, stanął jak wryty, przy jednym ze stołów siedziała Winnie. Tak, to z całą pewnością była ona - Gwendolyn Paxton. Przez duże okna do biblioteki wnikało ostre światło poranka. Tom zmrużył oczy i jeszcze

raz dokładnie przyjrzał się siedzącej dziewczynie. Teraz już nie miał wątpliwości, była to jego dziewczyna – i jakby nic się nie stało, przerzucała kartki jakiejś książki. Nie widziała go, gdy wchodził, ponieważ dużą uwagę poświęcała tekstowi książki leżącej na stole przed nią. Dopiero gdy przy niej stanął, podniosła niebieskie oczy i ze wzdrganiem spojrzała na Toma.

- Winnie, cześć – rzucił półgłosem Tom.

Dziewczyna spojrzała na niego, mrużąc lekko powieki. Mężczyzna uśmiechnął się do niej ciepło. Winnie wysiliła się na lekki, nieznaczny uśmiech, lecz nic nie odpowiedziała, opuszczając po chwili wzrok i skupiając się na czytanej książce. Swansona zatkało, nie miał pojęcia, o co chodzi. Usiadł więc koło niej, czekając na wyjaśnienia. Winnie chciała wstać, ale młody mężczyzna chwycił ją za rękę.

- Winnie, proszę, zostań – w głosie Toma wyczuwalny był błagalny ton.

Dziewczyna zaniechała pomysłu opuszczenia czytelni i usiadła, czekając na to, co jej sympatia ma do powiedzenia.

- Co się dzieje, o co ci chodzi? – zapytał Swanson, patrząc dziewczynie prosto w oczy. – Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego tak się zachowujesz i za co jestem karany? – dokończył, próbując złapać Winnie za dłoń.

- Nie jest ci głupio o to pytać? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Paxton.

- Nie rozumiem?

Tom siedział i nie wierzył w to, co słyszał. Duża kropla potu spłynęła mu po twarzy. W jego przekonaniu nic złego nie zrobił, ale był piętnowany i nie miał pojęcia za co. Musiała to być jakaś pomyłka lub on zapomniał o jakiejś ważnej dacie i teraz Winnie się na nim mściła. Z dochodzenia do przyczyn takiego zachowania wyrwał go głos dziewczyny.

- Dobra, jak chcesz. Rozmawiałam wczoraj z koleżankami i dowiedziałam się niestworzonych rzeczy, jakie opowiadasz kolegom o mnie. Ty się dziwisz, że ja się tak zachowuję w stosunku do ciebie? Zawiodłam się na tobie. Jesteś podły.

Tomowi momentalnie zaschło w gardle i zniknął mu z twarzy uśmiech. Poczuł, że od środka wypełnia go groza. Nie przypominał sobie, aby opowiadał coś obelżywego o Winnie kolegom. Może pod wpływem alkoholu coś tam palnął na jakiejś studenckiej imprezie, ale nie pamiętał tego. Musiał to wyjaśnić i załagodzić całą tę niefortunną sytuację.

- To plotki zazdrosnych ludzi, nic więcej - odpowiedział bez zastanowienia.

- Plotki nie plotki, a z nami na razie koniec. Musimy zrobić sobie przerwę i odpocząć od siebie - kobieta nie dawała za wygraną.

Powiedziawszy to, Paxton wolno wstała i ruszyła w kierunku wyjścia z biblioteki im. Bakera. Odchodząc, obrzuciła go pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Tom był wstrząśnięty, tak naprawdę nie wiedział, co się właściwie stało i co o tej całej sytuacji ma myśleć. Dziewczyna, którą znał już od szkoły podstawowej i z którą chodził od przeszło trzech lat, tak łatwo uwierzyła innym, a jemu nie dała szans na wyjaśnienia. Co, u diabła, miało oznaczać zrobienie sobie przerwy?

Swanson siedział w czytelni i zastanawiał się, co ma zrobić, próbował na spokojnie rozpatrzeć cały incydent. W sali znów zapadła cisza. Niedawni obserwatorzy ich burzliwej rozmowy ponownie zajęli się swoimi sprawami. Uświadomił sobie, że jedyna osoba, na której mu zależało, po prostu odepchnęła go. Doszedł do wniosku, że czym prędzej musi dowiedzieć się, kto i co naopowiadał Winnie o nim. Jego dalszy byt na tej uczelni wisiał teraz na włosku. Jeżeli dziewczyna go rzuci, zabierze dokumenty i da sobie spokój ze studiami. Co będzie robił dalej, nie miał pojęcia, może poszuka pracy w porcie?

Obecnie świat na trzeźwo wydawał mu się nie do przyjęcia. Musiał się napić, ale żeby to zrobić, były mu potrzebne pieniądze. Gdy opuścił bibliotekę, było już po południu, nie zdawał sobie sprawy, że tyle czasu przesiedział w czytelni. Przed budynkiem trzech Murzynów głośno słuchało muzyki, bawiąc się przy tym i zakłócając porządek. Studenci przechodzący obok nich byli oburzeni takim zachowaniem. Choć nie był rasistą, to nie przepadał za czarnymi, a Żydom zazdrościł żyłki do interesów. Potrzebował około trzydziestu dolarów, może trochę mniej. Zaczął zastanawiać się, skąd zorganizować taką kwotę. Nagle uwagę jego zwrócili głośno zachowujący się czarnoskórzy studenci. Wymyślił w oka mgnieniu jego zdaniem genialny plan. Wolnym krokiem podszedł do Murzynów. Jego głos był stanowczy, wypowiadał się w rozkazującym tonie.

- Jestem ze straży studenckiej. Zakłócać porządek, za co grozi kara dyscyplinarna, a mając na uwadze, że jesteście kolorowi, to łącznie z wydaleniem z uczelni - stwierdził Swanson.

Murzyni momentalnie przerwali dotychczasowe czynności. Stali z szeroko otwartymi ustami i rozbieganymi oczyma.

- Możemy jednak inaczej to załatwić. Zrobicie rzutkę po dziesiątaku od głowy, a ja zapomnę o całej sprawie. To jak będzie?

Czarnoskórzy popatrzyli po sobie, odeszli kilka metrów na bok i żywo między sobą dyskutowali. Tom miał się już wycofać i dać spokój, przekonany, że jego misterny plan się nie powiodł. Najbardziej rosły z całej trójki podszedł do białego mężczyzny.

- Mamy tylko dwadzieścia trzy dolary, może być? - nieśmiało zapytał Murzyn.

- Dawaj i spadajcie stąd, bo jeszcze się rozmyślę! - wypowiedział szybko Swanson, zdając sobie sprawę, że fortel udał mu się i zdobył potrzebne pieniądze.

W głębi serca żał mu było tych Murzynów, ale nadrzędnym celem było zdobycie pieniędzy. Miał teraz dość gotówki, aby spożyć sporą dawkę alkoholu. Musiał jeszcze zadzwonić do domu, a jutro dowie się wszystkiego w sprawie Winnie.

Telefon znajdował się przy głównym budynku. Wolno przemieścił się w jego kierunku. Obejrzał telefon, słuchawka zamiast spoczywać na widełkach wisiała bezwładnie. Wrzucił monety i wybrał numer. Czekał chwilę na połączenie. Po kilku trzaskach w słuchawce usłyszał głos matki, nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Po minucie jednak się przełamał.

- Mamo, to ja, Tom, sprawy się trochę skomplikowały i muszę sobie to wszystko poukładać. Chcę pobyć trochę sam, więc nie czekajcie na mnie, nie wiem, o której wrócę.

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę, ulżyło mu trochę. Był pełen energii, aż go rozsadzała. Jego wzrok spoczął na profesorze Trocku, to przelało czarę goryczy. Wrzasnął na całe gardło.

- Pieprzę tę snobistyczną uczelnię i was wszystkich, nadęte, zgorzkniałe pajace! - wrzask Swansona rozniósł się głuchym echem po okolicy.

Momentalnie przed budynkiem zapanowała cisza, a wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku. Tom nie czekał, co nastąpi za chwilę, ruszył biegiem w kierunku najbliższego przystanku autobusowego. W mgnieniu oka znalazł się przy ulicy w pobliżu rzeki Charles. W pierwszym napotkanym sklepie za wyłudzone pieniądze zakupił dwie butelki Black & White.

Reklamówkę tej szkockiej whisky typu blended widział wczoraj w telewizji. Reklamował ją ostatnio bardzo popularny artysta – Dean Martin.

Chciał teraz być sam, więc znalazł w parku wolną ławkę stojącą na uboczu. Gdy usiadł, głęboko odetchnął, miał szczerze dość dzisiejszego dnia. Pierwsze łyki alkoholu nie przypadły mu do gustu, ale nie o to mu w tym momencie chodziło. Chciał się upić do nieprzytomnego, to był jego cel w tej chwili. Zaśmiał się pod nosem, gdy uświadomił sobie, że topi swoje troski w alkoholu. Całkowicie opróżnioną butelkę rzucił za siebie do tyłu, gdzie upadła, znikając w wysokiej wilgotnej trawie. Zdażył tylko odkręcić drugą, a zarazem ostatnią butelkę whisky, którą posiadał, gdy zauważył, że w jego kierunku zmierza dwóch mężczyzn. Zaklął siarczyście, ta dwójka nie wyglądała porządnie i Tom wróżył problemy. Znał takich jak oni, coraz więcej widywało się ich na ulicach. Po stroju wnioskował, że to hippisi. Obaj nosili niechlujne, długie włosy opadające im na plecy. Idący z lewej miał zapuszczoną, zmierzwioną brodę. Ubrani w luźne koszule w jasnym kolorze, inspirowane wzorami Indian, z szerokimi rękawami, oraz wytarte, znoszone jeansy z szerokimi nogawkami. Nosili koraliki i paciorki na szyi i przegubach dłoni. Swanson tak badawczo się im przyglądał, że odrzucił niepokojącą go myśl, że coś z ich strony mu zagraża. Stanęli obok jego ławki i po krótkiej chwili odezwał się brodaty hippis:

– Pokój, miłość i wolność, bracie! Podzielisz się z nami whisky? My się później odwzajemnimy, nie pożałujesz, zobaczysz.

Tom był zaskoczony takim obrotem sprawy. Spodziewał się raczej, że zostanie pobity i okradziony. Był już zdrowo podпиты, więc nie wypiłby i tak drugiej butelki do końca. Postanowił, że podzieli się posiadany alkoholem. Na ławce było wystarczająco miejsca na całą ich trójkę, nie musieli się przepychać i gnieść. Zawartość butelki znikła w okamgnieniu. Teraz przyszedł czas na zapowiadane odwzajemnienie się. Brodaty hippis, który miał na imię Kevin, wyciągnął z kieszeni skręt z marihuaną i odpaliwszy go, podał Swansonowi. Tom zaciągnął się mocno – nie był to dobry pomysł. Zaczęło palić go w gardle i dusić, spowodowało to natarczywy kaszel. Reakcja ta u hippisów wywołała falę śmiechu. Po pierwszym skręcie przyszedł następny joint i kolejny. Atmosfera stała się sielska, miał poczucie głębokiego relaksu, a czas przestał być istotny. Odpłynął w niebyt.

Obudził go przeraźliwy chłód, który zdawał się przenikać aż do kości.

Spróbował się skulić, ale nie mógł. Doskwierał mu straszny ból głowy. Powoli otwierał oczy. Teraz zrozumiał, dlaczego nie mógł się ruszyć. Leżał na trawie, a na nim leżała jakaś blond hippiska z wplątanymi we włosy kwiatami, ubrana w barwną cygańską spódnicę i bajecznie kolorową luźną bluzkę. Nic nie pamiętał, nie wiedział, kim jest ta dziewczyna i gdzie właściwie się znajdują. Rozejrzył się dookoła, nie byli tu sami. Na trawie wokół nich było więcej śpiących młodych ludzi. Tom zdziwił się, gdy zorientował się, że młoda hippiska obudziła się i na niego patrzy. Kobieta uśmiechnęła się do niego szeroko. Jej głos był bardzo miły dla ucha.

- Nadchodzi epoka drugiego renesansu - era miłości, Era Wodnika.

Nie zdążył nic powiedzieć, wilgotne usta kobiety mocno przywarły do jego. W pierwszym momencie spodobało mu się i nie bronił się przed nadmiarem czułości. Czuł ciepło jej ciała i słodkawy zapach marihuany. Było mu teraz dobrze, czuł się kochany. Kobieta zastygła jednak w swoich miłosnych zapędach, gdy usłyszała, jak ktoś do nich mówi.

- Karen, daj mu odpocząć, przecież widzisz, że ledwo żyje i dopiero zaczyna dochodzić do siebie.

Dziewczyna zapięła luźną koszulę, zasłaniając nagie piersi, i położyła się obok Swansona. Teraz Tom mógł zobaczyć, że mężczyzna, który przed chwilą wypowiadał swoją opinię, to wcześniej poznany brodaty hippis. Mężczyzna podał mu butelkę czegoś do picia. Nie smakowało dobrze, ale ugasiło żar w jego gardle. Spróbował wstać. Za pierwszym razem opadł bezsilnie na trawę. Kolejna próba jednak przyniosła efekt i stał teraz, chwiejąc się i próbując złapać pion.

- Jak ci się podoba, Tom, w naszej komunie? - hippis zadał szablonowe pytanie.

Nie do końca Swanson zdawał sobie sprawę, o czym mówił Kevin. Sądził, że pyta o sposób życia hippisów. Niewiele pamiętał z wczoraj oprócz tego, że spotkał ich w parku, pili alkohol i palili skręty.

- Tak właściwie to nawet nie wiem, jak się tu znalazłem i gdzie właściwie jesteśmy - nieśmiało stwierdził Swanson, dłonią przeczesując włosy na bolącej go głowie.

Gromko zaśmiał się hippis, którego mężczyzna poznał w parku, a który akurat podchodził do grupki dyskutantów. Niósł ze sobą gitarę, na której wygrywał jakieś rytmy.

- Czy to ważne, gdzie i kiedy? Człowiek powinien żyć dniem dzisiejszym, każdą chwilą. Nie powinien martwić się, co będzie jutro, czas jako taki nie powinien istnieć. Żyj, bracie! Baw się, po prostu oddychaj! Nadal jesteśmy w Bostonie.

Karen zwięźle opowiedziała mu, co się z nim wczoraj działo. Wyjaśniła, że hippisi to ludzie wolni, żyjący ponad podziałami politycznymi i społecznymi. Są podobni do Indian, którzy nie potrafią zasiedzieć się w jednym miejscu na dłużej. Ich życie przypomina niekończącą się nigdy wędrówkę. Wśród hippisów nie ma przywódców ani podwładnych. Są natomiast stosunki oparte na przyjaźni i koleżeństwie. Traktują siebie w komunie jak braci i siostry. Buntowali się przeciwko światu dorosłych i jego instytucjom. Gardzili wojskiem i wojną, normami, zakazami i materializmem.

Z opowieści dziewczyny wyrwał go ostry dźwięk gitary. To poznany w parku mężczyzna próbował coś zagrać. Oprócz ich czwórki na polanie pojawiła się jeszcze następna trójka, trzy młode kobiety ubrane w kolorowe stroje. Głos Kevina był głęboki i dobitny:

- Coś ci pokażę.

Powiedziawszy to, wyciągnął z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru. Po rozprostowaniu jej podpalił ją zapalniczką. Papier szybko zajął się ogniem i za chwilę jedynym śladem po nim był popiół, który spoczął na trawie. Kevin przydeptał jeszcze to, co pozostało po kartce.

- Nie obchodzi mnie ta wojna polityków w Wietnamie. Dlatego spaliłem kartę mobilizacyjną i zamierzam uciekać tak jak większość moich znajomych. Ja zmierzam do Kanady, ale są i tacy, którzy udali się do Meksyku, a nawet podobno na Kubę. Jestem dezertorem i dobrze mi z tym.

- Ważna jest muzyka i jej twórcy, jak Janis Joplin, Jefferson Airplane, Grateful Dead czy Jimi Hendrix - dodał grający na gitarze.

W tym samym momencie za dłoń chwyciła go Karen i pociągnęła w swoim kierunku.

- Chodź ze mną. Zamiast walczyć, lepiej uprawiać seks.

Kobieta ciągnęła go w kierunku zaparkowanego na skraju polany Volkswagena Transportera T1. Ten dostawczy samochód osobowy typu van był cały pomalowany w różnokolorowe kwiaty z dużym znakiem pacyfy na masce. Do środka samochodu dostali się przez skrzydłowe drzwi. Będąc już

w środku, Karen coś zażyła i to samo chciała podać Tomowi.

- Co to jest? - Tom zadał pytanie, ale tak właściwie to nie chciał znać odpowiedzi.

- To błogosławieństwo, miłość i wolność, to jest LSD.

Swanson nie opierał się, dał sobie włożyć do ust narkotyk. Nie musiał długo czekać na efekty jego działania. Poczuł przyjemne uczucie błogości, a świat zaczął mu się rozmazywać, miał zaburzenia wzrokowe - wyruszył w podróż.

Do świata żywych powrócił w chwili, gdy samochód ruszył z miejsca postoju. Kolejny raz nie wiedział, ile czasu miał wymazane z życiorysu. Jego zegarek gdzieś zaginął, a pozostałych nie miał po co pytać o godzinę. Ostatnio stanowczo za dużo działo się w jego życiu. Jednak bycie hippisem mu nie odpowiadało. To nie było dla niego, przynajmniej na razie.

- Kevin, zatrzymaj samochód, ja wysiadam. Kanada to na tę chwilę nie dla mnie.

Mężczyzna posłusznie zatrzymał auto na poboczu. Nie było żadnych kliwych pożegnań, tylko Karen wręczyła Tomowi pacyfę zawieszoną na rzemyku. Stał i patrzył w ślad za powoli oddalającym się Volkswagemem. Przeżył szaloną przygodę, ale teraz musiał wrócić do rzeczywistości. Znajdował się na przedmieściach Bostonu, postanowił drogę do domu przebyć pieszo. Nie miał pojęcia, o której dotarł na Forest Hills St 147, ale było już ciemno, a księżyc schowany był za chmurami.

Obudził go dźwięk budzika, chociaż nie pamiętał, aby go nastawiał. Nacisnął przycisk i zegarek zamilkł, zapanowała - jak mu się zdawało - przeraźliwa cisza. Blade słońce wschodziło leniwie. Była siódma trzydzieści, a on padał ze zmęczenia. Próba podniesienia się z posłania spełzła na niczym. Musiał pójść na uczelnię, złożyć swoją rezygnację i zabrać dokumenty. Nie miał chęci spotkać się z rodzicami, oni i tak jego decyzji by nie zrozumieli.

Zbiegł szybko po schodach, zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe, był na ulicy. Idąc szybkim krokiem, dotarł do przystanku autobusowego. Nie musiał długo czekać na transport. Zanim zdążył złapać oddech po wyczerpującym szybkim marszu, nadjechał autobus komunikacji miejskiej. Wysiadł na pierwszym przystanku za mostem nad rzeką Charlesa. Musiał wpięrw udać się do domu swojej dziewczyny i jeszcze raz spróbować wyjaśnić tę chorobę

sytuację. Dotarcie do parterowego białego domu, w którym mieszkała Winnie, nie zabrało mu wiele czasu. Zawahał się na chwilę przed wciśnięciem dzwonka. Drzwi otworzyła mu matka dziewczyny, widział wyraźnie dezaprobatę w jej oczach.

- Dzień dobry, czy Gwendolyn jest w domu? - spytał półgłosem Swanson, spuszczać wzrok.

- Jest, ale nie chce cię widzieć - padła szybka, stanowcza odpowiedź.

- Mamo, porozmawiam z nim - głos Winnie dochodził gdzieś z pokoju gościnnego.

Nie potrwało długo, aż zobaczył ją ubraną w zwiewną sukienkę, wyglądała zjawiskowo. Wychodząc z domu, zamknęła za sobą drzwi i po paru krokach usiadła na małej ławce na werandzie. W jej oczach szklily się łzy. Mężczyzna usiadł obok niej i czekał, obawiając się tego, co miało dalej nastąpić. O dziwo dziewczyna złapała Toma za dłonie i mocno ścisnęła. Dało się wyczuć duże podniecenie, które z każdą chwilą się powiększało.

- Tim Mutz powiedział, że opowiadasz o nas niestworzone historie. Twierdzi, że spotykasz się ze mną tylko dlatego, że jestem łatwa i szybko wskakuję do twojego łóżka. Na dodatek podobno widział cię, jak przed kinem obściskiwaleś się z Lucy Wolsky. Nie wiem, co mam o tym myśleć. Wydaje mi się to pozbawione sensu, przecież jesteśmy razem już ponad trzy lata. Nie chcę wierzyć w to, co usłyszałam. Nie chcę teraz twoich wyjaśnień i zapewnień. Chcę być sama i na spokojnie wszystko przemyśleć.

- Ale...

- Nie, Tom! Proszę, nie odzywaj się. Kocham cię, ale zostałam dotkliwie przez ciebie zraniona. Daj nam czas, podobno czas jest najlepszym lekarstwem. Spawy same się wyjaśnią.

Nie dała mu nic powiedzieć. Zakończywszy zdanie, wstała z ławki, by za kilka sekund zniknąć za drzwiami. Czekanie tutaj nie miało najmniejszego sensu. Zamierzał więc udać się na uniwersytet. Postanowił odległość do uczelni przejść na piechotę i trochę wszystko poukładać sobie w głowie. Gdy stanął przed budynkiem Harvard Business School, jego wzrok spoczął na dwóch żołnierzach ubranych w galowe mundury. Prezentowali się okazale, w pewnym sensie im zazdrościł. Zapragnął być taki jak oni. Być jak jego dziadek, który uciekł z rodzinnego domu, aby walczyć w Wielkiej Wojnie za oceanem. Teraz on porzuci Boston i uda się do Wietnamu, tysiące mil od

Stanów. Da sobie i Winnie czas, o który go prosiła. Czas, a może i wieczność, jeżeli nie uda mu się przeżyć.

II

PODRÓŻ

Po męczarniach, jakie przeżył w obozie szkoleniowym w Fort Campbell w Kentucky, miał teraz trafić na front do Wietnamu. Miał być jak wielu innych młodych ludzi. Ma walczyć za ojczyznę, a może i zginąć dla niej. Po głowie tłukło mu się motto „Za honor. I za Ojczyznę”, które widział na plakacie w punkcie rekrutacyjnym. Chciał kultywować rodzinną tradycję i zapisał się tak jak jego ojciec do jednostek powietrznodesantowych. Pamiętał, jak przy rodzinnych spotkaniach ojciec opowiadał o 101 Dywizji Powietrznodesantowej. Walcząc w osławionych „Krzyczących Orłach” w Normandii czy Belgii podczas II wojny światowej, zyskał wielu przyjaciół, ale wielu też stracił. Ojciec w Europie walczył z Niemcami, on miał walczyć z innym wrogiem - żołnierzem armii Północnego Wietnamu i partyzantem Vietcongu. Odbył w Stanach wyczerpujące unitarne szkolenie przygotowujące go do walki w dżungli oraz szkolenie spadochronowe. Doświadczył rygoru panującego w jednostce wojskowej. Trafił pod komendę sierżanta, który traktował rekrutów w sposób uwłaczający ludzkiej godności. Tom przewyciężył swoje słabości, zniósł poniżanie i brutalne traktowanie sadystycznego przełożonego. Teraz z grupą innych rekrutów miał tworzyć uzupełnienie dla 173 Brygady Powietrznodesantowej. Swanson patrzył smętnie przez okno autobusu wiozącego go i pozostałych do San Francisco, gdzie mieli zostać załadowani na statek. Ciemnooliwkowy wojskowy autobus w pewnym momencie zwolnił, aby nie zderzyć się z identycznym jadącym przed nim. W tym samym kierunku ciągnął się niemały sznur pojazdów. Jadąc zaledwie kilka mil na godzinę, dotarli wreszcie do wojskowego terminalu w porcie. Autobus się zatrzymał, a drzwi otworzyły z sykiem.

- Wychodzić! Brać swoje rzeczy i zbiórka na zewnątrz przy pojeździe!
Szybciej! Ruszać się, panienki! - ryczał poirytowany podoficer.

Ostry głos zniechęconego sierżanta przywrócił go do rzeczywistości. Rekruci posłusznie opuszczali wnętrze autobusu, taszcząc ze sobą to, w co armia ich wyposażyla. Tom złapał swój worek transportowy i wyszedł przed pojazd, aby dołączyć do pozostałych. Gdy ostatni żołnierz opuścił wnętrze autobusu, drzwi się zamknęły, ale pojazd nie odjechał z miejsca.

Wzrok mężczyzny spoczął na transportowcu stojącym przy kei. Wyglądał na starą jednostkę, która czasy świetności miała już dawno za sobą. Nie takiego statku spodziewał się bostończyk, zapewne pozostali podzielali jego rozczarowanie. Do otworu na burcie prowadził trap, po którym przemieszczali się żołnierze, aby dostać się do środka. Kazano im czekać na swoją kolej. Usiedli na workach, wyczekując chwili, kiedy ruszą w kierunku mającego w porcie transportowca.

Tom zdjął z głowy hełm i przesunął dłonią po krótko ostrzyżonym karku. Wszyscy rekruci byli tak ostrzyżeni i gładko ogoleni. Był to efekt wizyty u fryzjera w Fort Campbell przed samym wyjazdem. W porcie panował straszny harmider, wykonywano wiele przedsięwzięć, aby załadować sprzęt i żołnierzy na pokład statku. Dźwigi portowe prznosiły rzeczy zgromadzone na nabrzeżu do ładowni. Co rusz kolejne grupy żołnierzy znikwały we wnętrzu transportowca. Ich grupa siedziała już ponad godzinę, oczekując tego, co i tak musiało nastąpić. Większość zabijała czas i nerwy rozmowami na różne tematy, przeważnie błahe. Inni opowiadali kawały, wśród których prym wiodły te sprośne. Nieliczni, w tym i Swanson, siedzieli bez słowa, zastanawiając się zapewne, co ich czeka za oceanem.

- Zapalisz, Tom? - rozległo się zapytanie.

Mężczyzna w pierwszym momencie nie zareagował, jakby pytanie nie było skierowane do niego. Nachalny wzrok pytającego uświadomił jednak, że to bostończyk był osobą pytaną. Wyciągnął więc rękę w kierunku wystawionej w jego stronę paczki winstonów. Niezgrabnie wyciągnął jednego. Nie musiał prosić o ogień, benzynowa zapalniczka płonęła już jasnym płomieniem. Gdy Tom odpalił papierosa, zwrócił się do żołnierza, który go nim poczęstował.

- Dzięki, John. Niezły burdel panuje w tym porcie. Jeszcze gotów jestem pomyśleć, że o nas zapomną - powiedział Swanson, mocno zaciągając się papierosem.

Johna Wolfa poznał podczas szkolenia unitarnego w Fort Campbell.

Zaprzyjaźnił się z nim, a raczej to on zaoferował mu swoją przyjaźń. Wolf pochodził z Suffolku w Wirginii, gdzie pracował na kolei, tak jak cała jego rodzina. Nie był jak Tom ochotnikiem, został powołany przez armię. Nie był natarczywy ze swoją przyjaźnią, a w wielu przypadkach bywał pomocny. Gdy Swanson na niego spojrzał, głupkowato się uśmiechnął, robił tak zawsze, kiedy był zestresowany.

Kolejne minuty zdawały się nie mieć końca. Wyczekiwanie było nie do zniesienia. Na domiar złego zaczął wiać zimny, wilgotny wiatr znad Pacyfiku. Niebo zasnuły ciemne chmury. W tej chwili brakowało im do szczęścia tylko opadów ulewnego deszczu i szalejącej burzy. Załadunek jednak cały czas się odbywał. Kolejna grupa rekrutów maszerowała na statek i kolejny ciemnooliwkowy wojskowy autobus ruszał w drogę powrotną do bazy. Transportowiec stał spokojnie zacumowany w porcie, tylko fale natarczywie nacierały na jego kadłub. Tym właśnie statkiem mam się dostać na wojnę oddaloną od ojczyzny o szesnaście tysięcy kilometrów – pomyślał Tom. Powiódł wzrokiem po kolejnych żołnierzach, którzy podrywali się ze swoich worków i ruszali z całym swoim bagażem w kierunku okrętu. Zgasił niedopałek papierosa, rozgniatając go obcasem buta. Westchnął przeciągle i w tym samym momencie padła komenda podoficera:

- Przygotować się! No, panienki, przyszła na was kolej – syczał sarkastycznie sierżant.

- Kurwa mać, ja go kiedyś zabiję! – usłyszał Tom za swoimi plecami.

Niestety żołnierz nie mógł zrealizować swojej obietnicy, bo podoficer nie płynął z nimi za ocean. Sierżant wracał do Fort Campbell szkolić kolejnych rekrutów. Jakoś nikt nie kwapił się do szybkiego wstawania. Godziny czekania na tę właśnie chwilę, a teraz nie było słyhać entuzjazmu. Tom podniósł się powoli z worka transportowego i nałożył na głowę stalowy spadochroniarski hełm M1C. Rozbujany pasek podbródkowy boleśnie uderzył go w policzek. Przeklął i roztarł dłonią uderzone miejsce.

- Naprzód! Ruszać się, nedorajdy! – doleciał rozkaz z czoła kolumny stojących żołnierzy.

Rekruci zarzucili sobie worki na plecy i chwycili za broń. Ustawiwszy się ugrupowaniu marszowym, czekali na dalsze komendy swoich bezpośrednich przełożonych.

- Marsz!

Swanson poczuł dziwny ucisk w żołądku. Nie bał się, ale być może jego organizm działał podświadomie. Gdy ruszyli, usłyszeli za sobą odgłos autobusu odjeżdżającego w powrotną drogę. Wolno zbliżali się do zacumowanego w porcie okrętu. Tom zmrugał niebieskie oczy, gdy ostre światło zaświeciło mu prosto w twarz. Będąc już w pobliżu trapu, usłyszał natarczywy chłopot fal uderzających w szary transportowiec. Musieli przystanąć, bo na trapie zrobił się zator. Oczekujący żołnierze oglądali, jak do ładowni pakowane są kolejne skrzynie z zaopatrzeniem oraz inny sprzęt niezbędny podczas walki w dżungli. Jeden z dźwigów opuszczał do ładowni śmigłowiec Bell UH-1 Iroquois. W tym momencie podążająca za nimi następna kolumna żołnierzy naparła na nich, pchając ich w kierunku zatłoczonej rampy. Popchnięty Wolf wpadł na żołnierza stojącego przed nim, uderzając go bronią w nerki. Uderzony żołnierz obrócił się na pięcie z wyraźnym grymasem bólu na twarzy.

- Kurwa, Wolf, ty baranie! Uważaj jak łazisz, bo następnym razem dam ci w ryj! - warczał poszkodowany rekrut.

Uderzonym żołnierzem okazał się Larry O'Donnell - arogancki blondwłosy nowojorczyk. Tom znał go bardzo dobrze, już wcześniej widział, jak czepiał się innych rekrutów. Próbował także zaczepiać Swansona, ale ten nie dał mu się sprowokować.

Na rampie zrobiło się luźniej i rekruci mogli na nią teraz swobodnie wejść. Wolno ruszyli do przodu, pokonując po trapie niewielką odległość dzielącą nabrzeże i wejście na okręt. Tom zdawał sobie sprawę, że z każdym krokiem oddala się od kraju i osób bliskich jego sercu. Skierowano ich na pokład mieszkalny. Panował tu harmider podobny do tego w ulu. Przepychankom i kłótniom nie było końca. Toma i resztę rekrutów wprowadzono do trzeciego pomieszczenia z lewej strony. Panował tam straszny zaduch i ostro śmierdziało czymś butwiejącym. W środku znajdowało się dużo czteropiętrowych koi, na których mieli spędzić podróż przez ocean. Tom zajął pierwszą lepszą, nie chciał wybrzydzać, żeby przypadkiem nie zabrakło dla niego miejsca do spania. Tak faktycznie się stało, dla kilku żołnierzy zabrakło koi. Zostali więc skierowani do innych pomieszczeń. Jak się później Swanson dowiedział, koi nie starczyło dla wszystkich i nieliczni musieli zająć miejsca na pokładzie łodziowym.

Tom w towarzystwie Johna Wolfa udał się na pokład transportowy.

Wyjście na zewnątrz z zatłoczonych przedziałów mieszkalnych nie było takie łatwe, jak mogło się to wydawać. Miejsca na pokładzie było niewiele, żołnierze zajmowali każdy wolny skrawek przestrzeni, trzymając się kurczowo stalowych relingów. Udało się im po wytężonych poszukiwaniach odnaleźć wolną przestrzeń na rufie transportowca. Spoglądali w dół na krzątanię żołnierzy marynarki wojennej, którzy odpowiedzialni byli za sprawny załadunek okrętu. Usłyszeli ryk silników holowników, które miały wyprowadzić transportowiec z portu. W tej samej chwili żołnierze z obsługi portu zwolnili cumy statku. Powoli oddalali się od nabrzeża, przy którym jeszcze niedawno cumowała jednostka. Dwa niewielkie holowniki mozolnie odciągały okręt na środek portu. Punktualnie o dziewiętnastej przeciągły i głęboki ryk syren transportowca dał znać, że nadszedł czas wypłynięcia. Śruby statku zaczęły się powoli obracać i statek z wolna ruszył, wprawiając w drżenie stalowy kadłub. Tom patrzył na zmniejszające się z każdą minutą zabudowania w porcie i o dziwo myślał o tym, że jest głodny. Jego myśli nie kierowały się w stronę pozostawianej rodziny czy ukochanej. On był po prostu głodny.

- No to płyniemy. Ciekawe, ilu z nas powróci żywych? - zadał pytanie Wolf, ale nie oczekiwał odpowiedzi.

Swanson tylko wzruszył ramionami i głęboko wzdychając, przewiesił sobie przez ramię przydzieloną broń M16A1. Gdy ponownie usłyszał odgłos syreny okrętowej, domyślił się, że był to znak, iż transportowiec opuszcza port i wychodzi w morze. Stara jednostka mozolnie rozcinała falę zatoki San Francisco, by po minięciu cieśniny i wiszącego mostu Golden Gate wypłynąć na wody Oceanu Spokojnego. Obaj mężczyźni jeszcze długo po tym, jak okręt wypłynął na otwarte wody, stali na pokładzie, delektując się świeżym, rześkim morskim wiatrem.

Larry O'Donell, od kiedy transportowiec wypłynął na otwarte wody Pacyfiku, czuł się podle. Odczuwał efekt ciągłego podnoszenia się i opadania kadłuba oraz nieustające jego drżenie. To kołysanie się na falach było nie do wytrzymania. Mozolnie pokonując stopień po stopniu, dotarł na pokład. W swoich dążeniach do dotarcia na świeże powietrze nie był osamotniony. Innych także dopadły objawy choroby morskiej. Oparłszy się o reling, patrzył na horyzont jako stały punkt odniesienia, gdyż obserwowanie fal powodowało tylko nasilenie się objawów. Larry pocił się, ciężko oddychał

i miał zwolnione tętno, wyglądał blado jak trup. Czuł się także jak trup, męczyły go mdłości, zawroty i bóle głowy. Usiadł przy nadbudówce, zamknął oczy i głęboko oddychał. Poczł chwilow popraw.

- Pieprzony skurwiel - mrukn O'Donell, gdy powrci ataki choroby morskiej.

Mi na my lekarza z ambulatorium. Wmawia mu, e choroba morska dotyka co pitego podrujcego czowieka i jest pewnego rodzaju chwilow niedyspozycj mozgu, a wasciwie zaburzeniem narzdu rownowagi. W adnym wypadku nie jest niebezpieczna i rzadko trwa duzej ni dwa dni. Mężczyzna zastanawia si, dlaczego akurat on musia znale si wród osb dotkntych chorob. Najwazniejsze to nie wpada w panik. Otworzy oczy, co okazao si wielkim bedem. Choroba powrcia ze zdwojon si. Zday dobiec i przewiesi si w poowie przez stalowy reling, gdy wyrzuci z odka fontann czesciowo strawionego poywienia. Wiedzia, e nie wolno mu byo dopuci do odwodnienia si organizmu. Spojrza w do na burt okretu: lad po jego wymiocinach za chwil zosta zmyty przez jedn z uderzajcych o kadub fal. Powrci pod cian nadbudwki i opar si o ni plecami. Wycign z kieszeni dwie tabletki dramaminy i pokn je, popijajc wod z manierki.

Swanson zszed pod pokad dopiero, gdy usysza, e podaj jedzenie. Spojrza na to, co przynis mu steward ubrany w biay fartuch. Zastanawia si, co to takiego i czy faktycznie nadaje si do spoycia. Cho na statku panoway spartaskie warunki, mężczyzna liczy w duchu, e jedzenie okae si mi niespodziank. Niestety jego nadzieje okazay si ponne. Patrzy na sto i brazow brej zalegajc na plastikowym talerzu przed nim. Wbi w to yeczk, potrawa napawaa go obrzydzeniem. Gony harmider wiadczy o tym, e inni podzielali jego opinie o jedzeniu.

- Co to, do chuja, ma by! To jakie pieprzone arty! - denerwowa si jeden z podoficerw.

Wedug opisu widniejcego przed wejciem dzis podawany mi by befsztyk z ziemniakami i sosem oraz brzoskwinie. Nic, co znajdowao si na talerzu, tego nie przypominao. Tom by godny, ale nie zdoa przewyciy wstretu i z pustym odkiem ruszy do swojej koi. Kantyna znajdujc si na statku bya zamkneta. Otwierana bya tylko na par godzin podczas caego dnia. Nie byo w niej niestety piwa, ale sodycze i papierosy nadrabiay

brak alkoholu. Na pokładzie zapalił papierosa, próbując chociaż na chwilę zapomnieć o doskwierającym mu głodzie. Gdy tylko dotarł do swojego przedziału mieszkaniowego, od razu zaległ na koi.

Obudził go John Wolf ostrym szturchnięciem za ramię. W pierwszym momencie Tom był oburzony, ale gdy zobaczył, jak szeregowy Daniel Palmer wyciąga schowaną w worku whisky, przestał mieć za złe brutalne przebudzenie. Butelkę szkockiej żołnierz przemycił, wkładając ją do wełnianej skarpety i zagrzebując z resztą bielizny osobistej. Alkoholu nie starczyło na długo, ale przynajmniej rozweselił żołnierzy i poprawił podły nastrój. Wszyscy mieli nadzieję, że jedzenie się poprawi z biegiem czasu. Byli jednak w błędzie – następne dni przyniosły tylko kolejne kulinarne paskudztwa.

W celu zabicia czasu wymyślono im cykl szkoleń i treningów. Rano na pokładzie odbywali gimnastykę, po której następował apel poranny. Podczas niego dowiadywali się, co armia im dzisiaj wymyśliła. Najczęściej wykonywali treningi w rozkładaniu i składaniu broni. Po takich ćwiczeniach, siedząc na metalowych płytach na pokładzie, czyścili broń. Brali udział w nudnych wykładach na temat ludności Wietnamu i zasad współpracy z nimi. Jedyną atrakcją były filmy wyświetlane w sali kinowej. Po jakimś czasie znali już je na pamięć, ale i tak na nie przychodzili. Zdawało im się, że dni są identyczne, jeden nie różnił się od drugiego, poprzedni był taki jak następny. Marazm sprawiał, że żołnierze snuli się po pokładach jak żywe trupy. Na domiar złego zaczęły się problemy ze słodką wodą. Wkrótce okazało się, że zbiorniki na wodę pitną przeciekają i są zalewane przez słoną wodę. Podjęto decyzję, że uciążliwą usterkę należy jak najszybciej usunąć. Po trzech tygodniach ciągłej żeglugi mieli zacumować na wyspie Okinawie. Plan ich podróży i tak zakładał uzupełnienia w terminalu wojskowym na wyspie.

Wstępny plan określał, że transportowiec zostanie w porcie na jedną dobę. W tym czasie marynarze dokonają niezbędnej naprawy, uzupełnią zapasy żywności i zatankują zbiorniki z paliwem. Żołnierze nie otrzymali zgody na opuszczenie okrętu, mieli pozostać na swych pryczach. Tylko oficerowie mogli zejść na ląd. Jedynym pocieszeniem był fakt, że aby jakoś udobruchać poirytowanych rekrutów, przywieziono im piwo. Nad ładem i porządkiem na transportowcu mieli panować podoficerowie i służba

dyżurna. Miejsce postoju w porcie zostało szczelnie otoczone przez żołnierzy z żandarmerii wojskowej, aby nikt nie mógł zdezerterować. Piwo tak szybko jak się pojawiło, tak szybko znikło. Żołnierze cieszyli się chwilą spokoju, towarzyszące im od początku kołysanie ustało, a silniki zostały wyłączone. Naprawa przedłużyła się o kolejny dzień, podczas którego znowu dostarczono im chłodne piwo. Jednak to, co ich cieszyło najbardziej, to fakt, że podano im prawdziwe jedzenie - wysmażone steki z ziemniakami i surówką z marchwi.

Tom stał na rufie transportowca, gdy po dwóch dniach ruszali w dalszą drogę. Kierowali się przez Morze Południowochińskie ku portowi docelowemu w Vung Tau. Nie zauważył, jak podeszło do niego trzech rekrutów, wśród których był Daniel Palmer. Znał go od pierwszych chwil, gdy znalazł się w Fort Campbell w Kentucky. Można było powiedzieć, że razem przekraczali bramę jednostki. Ten syn farmera już w młodym wieku ciężko pracował fizycznie na jednej z farm w Luizjanie w okolicach Baton Rouge.

Mieli ze sobą kilka butelek schłodzonego budweisera. Jedna z nich trafiła do rąk Swansona. Pił powoli, delektując się każdym łykiem brązowego napoju. Palmer splunął w dół w miejsce, gdzie śruby okrętowe miały wodę. Plwocina jednak została porwana przez rzeński morski wiatr i zniknęła obserwatorom z pola widzenia. Opróżniwszy butelkę, jeden z pozostałych rekrutów opuścił ją wychylony do połowy przez reling. Opadła w spienione wody pozostające za transportowcem, a tworzące kilwater w kształcie litery V. Bostończyk czuł się znużony, postanowił udać się do swojej koi. Zanim zniknął za drzwiami nadbudówki, jeszcze raz spojrzął na trzech żarliwie rozmawiających w emocjach i gestykujących żołnierzy.

III

KOMPANIA CHARLIE

Transportowiec zwolnił, szum śrub okrętowych stał się teraz tylko niewielkim pluskaniem. Dopływali do Vung Tau, gdzie miała się zacząć ich wielka przygoda. Okręt przed południem przybił do betonowej kei. Nastąpił czas wyczekiwania, co dalej będzie się z nimi dziać. Panujące podniecenie dało się wyczuć w powietrzu, energia rozsadzała rekrutów. Większość znajdujących się na transportowcu osób miała uzupełnić szeregi 9 Dywizji Piechoty oraz 196 Brygady. Tylko grupka licząca 72 żołnierzy stanowiła uzupełnienie dla 173 Brygady Powietrznodesantowej. Właśnie ta grupa miała opuścić statek jako ostatnia. Wolf, oparty o metalowy reling, przyglądał się wypiętrzającemu się z morza zieleni wzgórze. Robiło imponujące wrażenie w blasku południowego słońca. Myślał o tym, że ma już za sobą ten przeklęty rejs. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy popaść w przygnębienie. Patrzył, jak kolejne grupki świeżo przybyłych żołnierzy opuszczają brzuch metalowego potwora. Dużo mniejsze dźwigi niż te na terminalu wojskowym w San Francisco próbowały wydobyć zalegające zaopatrzenie i sprzęt bojowy z ładowni. Marynarze uwijali się jak w ukropie, aby zdążyć z rozładunkiem przed zapadnięciem zmroku.

Było dobrze koło dwudziestej, kiedy objuczeni pełnym wyposażeniem schodzili na brzeg. Krótki marsz zakończyli przy ustawionych w rzędzie 2,5-tonowych wojskowych samochodach ciężarowych M35. Głównym przeznaczeniem tych pojazdów był transport żołnierzy i zaopatrzenia.

- Pakować swoje zady na ciężarówkę! - huknął oficer, nakładając na głowę polową czapkę i zarzucając na ramię M16.

Głos oficera w stopniu kapitana zdawał się pochodzić z czeluści piekieł. Rekruci pomagali sobie nawzajem, aby dostać się na skrzynię ładunkową jednego ze stojących w kolumnie M35. Na pakę ciężarówce, na której

siedział Tom, zmieściło się ich dwunastu, w tym Wolf i Palmer. Kierowca z trzaskiem zamknął za nimi tylny właz. Pojazdy ustawiły się w kolumnie marszowej. Na czele jechał uzbrojony samochód terenowy M151 MUTT, za nim jechało dziesięć 2,5-tonowych ciężarówek. Kolumnę zamykał kolejny M151 uzbrojony w karabin maszynowy M60. Konwojowanie wojska było niebezpieczne, Vietcong zastawiał zasadzki i zaminowywał drogi. Swanson uczył się o tym podczas jednych z zajęć na pokładzie transportowca. Teraz miał się przekonać, czy tak było w rzeczywistości.

Zaryczały silniki ciężarówek, a z rur wydechowych wyleciały obłoki czarnych spalin. Mieli do pokonania ponad sześćdziesiąt mil. Taka odległość dzieliła port w Vung Tau i bazę lotniczą w Bien Hoa, gdzie stacjonowała jednostka. Konwój miał się poruszać drogą nr 15, aby dotrzeć do celu. Ruszyli z impetem, rozpoczynając forsowną wyprawę. Już od samego początku wyboista droga oraz palące słońce dawały im się we znaki. Po wyjechaniu z miasta mijali liczne ryżowiska i pracujących na nich wieśniaków.

Myśli Toma powróciły do Bostonu, jego rodzinnego miasta. Myślał o Winnie i ich ostatnim spotkaniu. Tak właściwie to za jej sprawą znalazł się tam, gdzie był obecnie. Sprawa, która ich poróżniła, rozwiązała się sama w przeciągu miesiąca, od kiedy dziewczyna z nim zerwała. Tim Mutz przyznał się, że wszystko wymyślił, bo chciał być z Winnie, a Toma musiał się jakoś pozbyć. Po całym tym incydencie związek Toma i Gwendolyn stał się jeszcze bardziej gorący. Niestety pomimo usilnych próśb nie udało mu się załatwić anulowania dokumentu potwierdzającego jego chęć wstąpienia do armii. Sam na siebie wydał wyrok, będąc w chwilowym życiowym dołku. To przez własną głupotę i słaby charakter znalazł się tu, w Wietnamie.

Ciężarówka mocno podskoczyła na wybojach, przywracając mężczyznę do rzeczywistości.

- Patrz, Tom, to moja dziewczyna Linda - powiedziawszy to, Palmer podsunął Swansonowi zdjęcie przed oczy.

Bostończyk obejrzał fotografię dość pyzatej dziewczyny o długich blond włosach opadających jej na ramiona. Nie była w jego typie, ale o gustach podobno się nie dyskutuje.

- Ładna, naprawdę ładna - skwitował krótko Tom, oddając zdjęcie.
- Widziałem też u ciebie w portfelu zdjęcie ładnej dziewczyny. To twoja

sympatia?

- Tak, a przynajmniej tak sędę - odpowiedział Swanson na pytanie Daniela.

Rozmowa ucięła się nagle, gdy pojazdy jadące w kolumnie zaczęły ostro hamować.

- Kurwa, kurwaaaaaa...! - eksplodował John Wolf, leżąc na podłodze ciężarówki.

Podczas hamowania stracił równowagę i runął na dół skrzyni ładunkowej. Podniósł hełm, który spadł mu z głowy. Obficie krwawił z rozciętego łuku brwiowego. Przyłożył do głowy chusteczkę, która teraz robiła za prowizoryczny opatrunek. Kolumna po zatrzymaniu się na zaledwie dwie minuty kontynuowała jazdę. Po godzinie przejechali przez punkt kontrolny zbudowany z worków wypełnionych piachem. Nie zatrzymywali się przy nim, po prostu przez niego przejechali bez zwalniania. Wjeżdżając za ten punkt, wkraczało się w obszar, gdzie zaczynały się nieregularne ataki partyzantki. Opuszczali bezpieczną strefę i wkraczali w nieznane.

Droga ostro skręcała w lewo, wiodąc wokół niskich pagórków, które porastały gęste zarośla. Ciężarówka cała podskoczyła na dużej nierówności. Kierowcy pomimo kiepskiego stanu nawierzchni drogi nie zwalniali. To był wyścig z czasem, musieli przed zapadnięciem zupełnych ciemności dotrzeć do bazy.

Patrząc przez tumany kurzu, które pozostawiały pojazdy, Tom dostrzegł małą wioskę po prawej stronie drogi. Nie było widać w niej żadnego ruchu, jakby była zupełnie opuszczona. Jadący wiedzieli jednak doskonale, że obserwuje ich wiele oczu skrytych gdzieś w ciemnościach. Wioska znikła za nimi po przejechaniu zaledwie kilkudziesięciu metrów.

Na rozstajach kolumna skręciła w lewo. Po prawej stronie dwa wzniesienia wyłaniały się z czerni dżungli. Słońce dawno znikło za horyzontem, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Wzgórza zostawili w tyle, dalsza droga prowadziła przez dolinę i tereny przyrzeczne. Przez kolejne skrzyżowanie przejechali na wprost. M35 aż jęknęła na kolejnej dziurze i cała się zachwiała. Koła załapały prawe pobocze drogi. Po chwili jednak pojazd wrócił na właściwą ścieżkę. Kontynuując podróż kamienistym szlakiem, dotarli do przedmieść Bien Hoa, gdzie pełno było małych bambusowych chat pokrytych zardzewiałą blachą. Do bazy lotniczej wjechali

przez jej wschodnią bramę. Kolumna zatrzymała się w południowo-zachodniej części bazy, gdzie znajdował się sektor mieszkalny przeznaczony dla stacjonujących tu żołnierzy.

- Wysiadka. Koniec podróży!

Kierowcy otworzyli tylne klapy ciężarówek. Żołnierze wyskakiwali na ziemię z całym swoim wyposażeniem. Zapanował chwilowy rozgardiasz, ale nie czekając na dalsze komendy oficera, ustawiali się w dwuszeregu. Na wprost ustawiających się rekrutów stało kilku podoficerów. Każdy z nich trzymał w ręce jakąś tabliczkę. Swanson domniemywał, że do tych tabliczek dołączone były kartki z nazwiskami nowo przybyłych. Dokonano już podziału i za chwilę mieli się dowiedzieć, gdzie spędzą następny rok swojego życia. Oficer oddalił się, mrużąc coś pod nosem. Wystąpił pierwszy ze stojących podoficerów i zaczął czytać personalia. Wyczytana osoba zabierała swój dobytek i podchodziła do czytającego. Tomowi cała ta sytuacja zaczęła się kojarzyć z targiem niewolników. Tylko tutaj nikt się o nich nie licytował i nie sprawdzał mięśni oraz nie zaglądał im w zęby. Pierwsza grupa wyczytanych niezgrabnie odmaszerowała ze swoim sierżantem. Do czytania przystąpił następny ze zgromadzonych podoficerów. Padały kolejne nazwiska, ale wśród nich brakowało jego. Czekał i coraz bardziej obawiał się tego, co nastąpi po tym, jak w końcu padnie jego nazwisko. Następna grupa odmaszerowała, potem jeszcze jedna i dwie następne. Rekrutów zgromadzonych na placu było coraz mniej. Początkowa duża grupa stopniała teraz zaledwie do dwunastu osób. Na placu pozostało tylko dwóch podoficerów. Pierwszy z nich wystąpił dwa kroki naprzód i przystąpił do czytania.

- Tom Swanson, Larry O'Donell, Daniel Palmer oraz John Wolf, do mnie!!!

Powiedziawszy to, sierżant wskazał dłonią miejsce, gdzie mają się ustawić. Rekruci podnieśli swoje worki transportowe oraz broń i ustawili się w szeregu w wyznaczonym miejscu. Podoficer nie śpieszył się z podejmowaniem dalszych czynności. Powiódł wzrokiem wzdłuż ustawionych w szeregu rekrutów. Pokręcił głową i splunął, prawie trafiając plwociną w but Palmera. Podoficer nie wyglądał jak ci, których Tom widział wcześniej w Stanach. Zamiast regulaminowej krótko przystrzyżonej fryzury nosił długie włosy. Tropikalny mundur, w który był ubrany, w dużym stopniu był

zużyty oraz wyblakły od słońca. Buty ledwo trzymały się kupy i dawno nie widziały wojskowej pasty. Nijak takie wyposażenie miało się do regulaminów, które wpajano im do głowy w Fort Campbell w Kentucky. Na placu pozostała tylko ich grupka. Sierżant odezwał się ochryplym głosem.

- Co się tak, kurwa, gapiecie! Nazywam się sierżant Preiss i radzę wam to zapamiętać. Trafiliście do drugiego plutonu w kompanii Charlie. Witam w Wietnamie, jak się jutro rano obudzicie, będziecie go kochać i zarazem nienawidzić. A teraz za mną, dość tego pieprzenia!

Sierżant szedł szybkim krokiem, nie zamierzał czekać i oglądać się za rekrutami. Niezgrabnie maszerowali za nim, próbując dotrzymać mu kroku. Ich podróż nie trwała jednak długo. Po przejściu stu metrów ostro skręcili w lewo, gdzie dostrzegli ciąg baraków mieszkalnych. Na ich obrzeżach sierżant zatrzymał się i zaczął przeglądać jakieś dokumenty. Nie obracając się do rekrutów, rzucił szybko, wskazując podany barak wyciągniętą ręką.

- Swanson, Palmer i Wolf, barak pierwszej drużyny, O'Donell - barak drugiej drużyny - oznajmił sierżant James Preiss.

Wypowiedziawszy to, ruszył w całkiem innym kierunku niż ten, który przed chwilą wskazał nowoprzybyłym. Zostali sami pośród nocy w bazie lotniczej Bien Hoa. Pierwszy ruszył się O'Donell i wolnym krokiem skierował się do baraku, który został mu wskazany. Pozostała trójka nadal stała w milczeniu, czekając, aż któryś za nich podejmie decyzję. Larry zniknął im z oczu, gdy zamykał za sobą zbutwiałe drewniane drzwi do budynku. Poderwali się do góry, gdy usłyszeli odgłosy wystrzałów artyleryjskich. Nagle wystrzały były ogłuszające niczym uderzenia pioruna. Po pierwszej salwie nastąpiło kilka następnych. Kanonada zakończyła się jednak w przeciągu piętnastu minut.

- Przywykniecie do tego, pieprzone żółtodzioby! Wałaj tak co noc.

Nawet nie wiedzieli, kiedy pojawił się koło nich żołnierz, który przed chwilą ich uświadomił. Mężczyzna o pooranej bliznami twarzy zataczał się, a w rękę trzymał na wpeł wypitą butelkę piwa.

- Pieprzone mięso armatnie!!! - warknął oddalający się żołnierz.

Tom nie miał zamiaru czekać tu w nieskończoność, czas działał na nich niekorzyść. Złapał swój worek transportowy i ruszył w kierunku przydzielonego mu baraku. Pozostali ruszyli w ślad za nim. Gdy otworzył drzwi, uderzył go odór parnego ciężkiego powietrza zmieszanego z ludzkim

potem. W środku panował harmider, ale momentalnie ucichł, gdy w drzwiach pojawiło się trzech rekrutów. Stanowili diametralne przeciwieństwo żołnierzy znajdujących się wewnątrz. W swoich nowych, odprasowanych mundurach oraz wypolerowanych na błysk butach wyglądali karykaturalnie. Tom nie takiego widoku spodziewał się w miejscu, gdzie miał przebywać przez następny rok. Część starych, wysłużonych łóżek była wolna, na innych leżeli bądź siedzieli odpoczywający żołnierze. Kilku grało w karty na małym stoliku stojącym w kącie. Wszędzie unosił się dym papierosowy i słodkawy zapach marihuany. Żołnierze wyglądali w oczach nowoprzybyłych nędznie. Sprane, wyblakłe mundury większość miała poszarpane i połatane oraz na ogół zmodernizowane. Ich buty dawno nie widziały pasty, skóra, z której były zrobione, dawno zatraciła swój naturalny kolor. Ciszę przerwał rosy Murzyn, który beknął głośno i przeciągle, na co pozostali odpowiedzieli chóralnym śmiechem.

- Panowie, mamy pierdolonych nowych - stwierdził jeden z leżących.

Po całym baraku walały się puste puszkę po piwie. Na jedną z nich nadepnął Wolf, co kolejny raz wywołało napad śmiechu. Swanson nie miał pojęcia, jak ma się zachować i co powinien uczynić. Wszystko, co mu wbijano do głowy podczas szkolenia unitarnego, było fałszywe i niewarte funta kłaków. Rzeczywistość była zgoła inna i napawała go trwogą. Nie patrząc na innych, zaczął rozglądać się za wolnym łóżkiem. Jego wzrok spoczął na dwóch pustych materacach z prawej strony baraku. Niepewnie ruszył naprzód, przyglądając się głupkowatym minom mijanych żołnierzy. Co niektórzy szczyrzyli do niego zęby, jeden dmuchnął mu prosto w twarz dymem tytoniowym. Lawirując, dotarł do wolnego miejsca. Rzucił na łóżko swój worek i karabin. Murzyn, który leżał obok, wstał i stanął przy rekrucie, patrząc mu prosto w oczy. Tom był zmieszany, nie miał pojęcia, o co mu chodziło. Jego niepewność tylko dodała sił napierającemu.

- Hej, białasie, kto ci pozwolił rzucić tu swoje śmieci? - wrzasnął Murzyn rekrutowi prosto w twarz.

Powiedziawszy to, żołnierz zrzucił z łóżka wyposażenie Swansona na drewnianą podłogę. Odczepiona manierka z oporządzenia uderzyła śpiącego mężczyznę na następnym łóżku. Znajdująca się w niej woda wylała się na leżącego.

- Simmonds, skurwielu, co ty wyprawiasz? Kurwa, nie dasz się

człowiekowi nawet wyspać!

Obudzony wstał ze swojego posłania i wziął ręką zamach. Pięść skoczyła do przodu jak kobra do ataku i ugodziła boleśnie Toma. Bostończyk nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Uderzony prosto w twarz, opadł na ziemię. Splunął na podłogę krwią z rozciętej wargi. Cały się gotował w środku, ale doskonale wiedział, że o to właśnie napastnikowi chodziło. Stojący nad Swansonem mężczyzna był wściekły, jego wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Jego twarz była posępna, wroga, przepełniona nienawiścią. Leżący otrzymał kolejny cios, tym razem został kopnięty w brzuch. Na chwilę zabrakło mu powietrza, ból sprawił, że zwinął się w kłębek. Innych żołnierzy drobny incydent nic nie obchodził. Chwiejąc się, Swanson wstał i zauważył, że jego rzeczy znalazły się na powrót na łóżku, które wybrał. Nie wiedział, co o tym ma myśleć. Czy była to kolejna próba, aby jeszcze bardziej go upodlić?

- Teraz to jest twoje łóżko, białasio! Jestem Simmonds, a ten pierdolec, co cię klepnął, to kapral Shaw - powiedziawszy to, Murzyn kolejny raz głośno beknął.

- Nazywam się Tom Swanson - oznajmił wszystkim obecnym.

- A kogo to, kurwa, obchodzi! Przeżyjesz miesiąc, to porozmawiamy. Teraz to jesteś pieprzonym nowym, jebanym żółtodziobem. Rozumiesz to, stary?! - ostro zareagował Shaw.

Niektórzy leżący do tej pory na łóżkach podnieśli się i zaczęli z zainteresowaniem przyglądać się nowo przybyłym. Wysoki żołnierz o wydatnych kościach policzkowych i blond włosach zasłaniających mu rozbiegane oczy podszedł do Palmera. Obszedł go dwukrotnie, po czym splunął mu pod nogi. Po chwili szybkim ruchem wyciągnął bagnet z pochwy i przystawił rekrutowi pod szyję. Atmosfera w baraku robiła się coraz bardziej gorąca. Kolejnych kilku żołnierzy podniosło się ze swoich łóżek, a grający przerwali partię. Napastnik nie cofał ręki z zacisniętym w kościstych palcach bagnetem. Jego głos był podobny do syczenia żmii.

- Zgaś ten głupi uśmiezek, bo ci tę piękną twarz przeflancuję! - wysyczał przez zacisnięte zęby.

- Dość!!! Clark, odjechało ci?! Jak to zrobisz, wpakują cię do pierdła. Tego chcesz?! - szybko zareagował kapral Donald Shaw.

Oblicze Clarka stężało, twarz mu poczerwieniała. Mężczyzna na chwilę

się zawahał, ale posłuchał głosu rozsądku i schował bagnet M7 na swoje pierwotne miejsce. Głupkowato się śmiejąc, powrócił do miejsca, z którego rozpoczął swój atak. Wolf bał się, że jego także spotkają jakieś nieprzyjemności od ludzi, którzy powinni być jego sojusznikami. Wahając się, położył to, w co wyposażyło go US Army, na łóżko koło tego, na którym siedział krwawiący Tom. Nikt jednak nie wykazywał zainteresowania jego osobą. Tylko jeden żołnierz zbliżył się do miejsca, w którym znajdowali się rekruci. Stał na wprost nich, jego głos był dźwięczny i niósł się po całym baraku.

- Miejsca, które zajęliście, jeszcze niedawno należały do naszych przyjaciół. Zginęli podczas operacji Cedar Falls w pieprzonym „żelaznym trójkącie”. Ludzie są nabuzowani i na pograniczu załamania, wybaczcie im. Jestem Hackman z pierwszej drużyny.

Tom zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że przybył do Wietnamu jako żołnierz z uzupełnień i nie będzie miał łatwo. Nie spodziewał się jednak wrogości i brutalnego traktowania. Myślał, że zluzuje jakiegoś weterana, który po odświeżeniu swojego okresu będzie odlatywał Ptakiem Wolności do Stanów. Mylił się, zajmował miejsce po zabitym w walce i inni mieli za to do niego pretensje. Jego chęć walki dla ojczyzny nic dla nich nie znaczyła. Był jak wielu innych rekrutów pieprzonym mięsem armatnim. Powiódł wzrokiem po ludziach w baraku, nie przedstawiali sobą nic ponad politowania godny widok. Hackman wolno sunął środkiem baraku, by zatrzymać się miej więcej w jego połowie. Uniósł obie ręce do góry i patrzył w sufit. Ryknął na całe gardło:

- Jestem Król Jaszczur i witam młodych w pieprzonym Wietnamie!!!

Zadziało to jak sygnał, na który czekali pozostali. Swanson nie zdążył zauważyć, skąd i jak w baraku pojawiło się mnóstwo puszek z piwem. Podano alkohol także im - nowym. Impreza rozpoczęła się na dobre. Zaszłości sprzed chwili nie miały już znaczenia, nastał czas zabawy, czas na ujaranie się i zapomnienie, w jakim podłym czasie i miejscu przyszło im żyć. Alkohol zdawał się nie kończyć, co rusz pojawiało się obok żołnierza kolejne piwo. Uderzające do głowy procenty powodowały napływ błędnego lenistwa i ogólnego samozadowolenia. Kolejny raz w przeciągu swojego krótkiego życia Tom zażywał narkotyki. Delektował się upajającym działaniem wolno palonego skrepta. Nie wiedział tak do końca, od kogo go otrzymał, ale miał

pewność, że był on już w połowie wypalony. Alkohol pomieszany z marihuaną zrobiły swoje. Wyzuty z resztek człowieczeństwa Tom bezwładnie opadł na swoje łóżko, zapominając, chociaż na chwilę, w jakim piekle przyszło mu egzystować.

IV

STREFA DZIAŁAŃ WOJENNYCH D

173 Brygada Powietrznodesantowa otrzymała nowe zadanie. Kompania C 2/503 Pułku Piechoty Spadochronowej miała w ramach operacji Big Springs udać się do prowincji Long Khanh. W myśl tego, co zostało im przekazane, mieli przygotować zasadzkę w zdobytym obozie wroga. Obozowisko Vietcongu zostało przeszukane przez żołnierzy z 9 Dywizji Piechoty. Wywiad podawał jednak, że partyzanci powracają do zdobytych wcześniej obozów i przystępują do ich odtwarzania. Kompania Charlie została wyznaczona do obsadzenia jednego ze zdobytych obozów i sprawdzenia, czy rzeczywiście partyzanci tam powrócą.

Toma obudziło głośne beknięcie, po którym nastąpiło jeszcze jedno o wiele głośniejsze. Miał wrażenie, że głowa nie mieści mu się w barkach. Takiego kaca w życiu nie pamiętał. Powoli zsunął ze swojego wyra nogi na drewnianą podłogę i usiadł na jego brzegu. Części ludzi z baraku już nie było, ale inni spali sobie w najlepsze. Ubranie się sprawiło mu niemało trudności. Zrobił to w samą porę. Gdy udało mu się złapać jako taki pion, do budynku wszedł sierżant Preiss.

- Pobudka, nędzne sukinsyny, mamy nowe rozkazy. Wstawać, padliny, i to już!!!

Zebranie wszystkich żołnierzy 2 plutonu w jednym miejscu zajęło podoficerom prawie pół godziny. O celu ich wypadu do Strefy Działań Wojennych D mieli dowiedzieć się na zbiórce, którą miał przeprowadzić dowódca 2 plutonu, podporucznik Ron Faber. Tom, stojąc w szeregu, zdziwił się, że pluton liczy aż tylu żołnierzy. Spośród stojących wczoraj poznał zaledwie kilku. Słowa młodego oficera jakoś do niego nie trafiały. Czuł tylko wzrastający pulsujący ból głowy. Hełm spadochroniarski M1C zdawał się ważyć tonę i przygniatać go do rozpalonej do białości ziemi. Zbiórka

skończyła się, co niezmiernie ucieszyło zgromadzonych na niej żołnierzy. Swanson nie był jedynym cierpiącym katusze tego ranka. Z trudem doczłapał się do swojego łóżka polowego i bezsilnie na nie opadł.

- Ty, nowy, pij dużo płynów, bo się odwodnisz! - Tom usłyszał radę skierowaną w jego kierunku jak przez mgłę.

Mężczyzna spojrział na zegarek: była szósta piętnaście. Wyjazd planowany był w godzinach poobiednich. Do tego czasu bostończyk miał nadzieję na powrót do świata żywych. Doskonale zdawał sobie sprawę, że będzie to jego pierwsza bojowa misja. Głupio by było podczas niej zginąć. Oznaczałoby to, że przybył tu bez sensu i jego ofiara pójdzie na marne. Opróżnił do połowy manierkę, woda znajdująca się w niej smakowała mu jak nigdy dotąd. Poczul nagły przypływ chłodu, czuł się zdecydowanie lepiej. Wczoraj nie zdążył się rozpakować do końca. Tak właściwie to nie pamiętał, kiedy położył się spać i co do tego czasu robił. Omiótł wzrokiem pobojowisko wokół swojej pryczy. Z tego, co zauważył, po prostu wysypał na podłogę zawartość swojego worka transportowego. Jego oporządzenie LCE-1956 leżało do połowy wciśnięte pod łóżko. Inne elementy wyposażenia walały się to tu, to tam. Istny pierdołnik - pomyślał Tom. Pił i pił, zastanawiając się przy tym, czy nie pęknie od nadmiaru płynów.

W baraku panowała grobowa cisza, po wczorajszym przepiciu jakoś nikt nie kwapił się do prowadzenia jakiegokolwiek rozmowy.

- Wstawać, bando degeneratów! Plany się zmieniły, wyjeżdżamy za godzinę - rzekł surowo sierżant Preiss.

Te słowa raniły ich uszy i ze zgrozą wwiercały się w mózgi leżących żołnierzy. Nikt nie przejawiał euforii co do dzisiejszego wyjazdu. Myśl, że mieli spędzić o kilka godzin więcej w strefie wojennej, nie napawała ich entuzjazmem. Mozolnie wyrzucając z siebie szereg obelg, żołnierze pakowali niezbędne w dżungli rzeczy na kilkudniowy patrol. Objuczeni sprzętem, człapiąc noga za nogą, ładowali się na podstawione specjalnie dla nich 2,5-tonowe ciężarówki M35. Ruszyli w zupełnym milczeniu bez zbędnych komentarzy, śmiechów czy biadolenia. Z drogi o dość dobrym stanie nawierzchni skręcili w leśne dukty ciągnące się dnem doliny. Na paprociach i innych porostach rosnących wzdłuż drogi widać było jeszcze krople porannej rosy. Powietrze było duszne i wilgotne, przesycone zapachem lasów tropikalnych.

- Mówisz, Swanson, że studiowałeś na Harvardzie? - przerwał milczenie Hackman.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko na potwierdzenie przytaknął skinieniem głowy. Wzrok pozostałych skupił się na jego osobie.

- Bogaty pieprzony maminsynek z dobrego domu - powiedział szyderczo Byrne.

Z wczorajszego wieczora, na ile nie myliła go pamięć, to nie dał się poznać Ralphowi Byrne od dobrej strony. Nazwał go chyba śmierzdzącą imitacją człowieka, odszczekując się w ten sposób na obelgi skierowane w jego kierunku. Teraz nie było to jednak istotne, a za parę dni wszyscy o tym zapomną.

Ciężarówka zatelepała się na nierównej drodze i wyrzuciła chmurę czarnych spalin z rury wydechowej. Jaskrawe światło poranka przedzierało się przez gęste ciemnozielone pnącza. Do życia budziła się przyroda po czarnej parnej nocy. Tom patrzył na Macka Vincenta, który w celu zabicia zderających go nerwów w najlepsze sobie spał. Ten biedny Murzyn z Cleveland, który ledwo co skończył podstawówkę, chorobliwie odliczał dni do końca swojej służby.

Bostończyk poczuł szarpnięcie za pasek podbródkowy (*chin strap*) przy hełmie. Sierżant Wayne Kemp, dowódca 3 Drużyny swoje słowa kierował do rekrutów:

- Żółtodzioby, ten dodatkowy pasek podbródkowy poza skokiem spadochronowym bardziej tutaj w dżungli przeszkadza niż pomaga. Proponuję, abyście od podpinki hełmu go odpięli lub wręcz odcięli. Raczej na skoki tu się nie zanosi i nie macie na nie co tu liczyć!

Kierując się wytycznymi przełożonego, Swanson posłusznie odpiął dodatkowy pasek i schował go do kieszeni udowej. Poprawił hełm na głowie i pytająco spojrział na sierżanta, jakby w ten sposób chciał uzyskać jego aprobatę.

Kolumna M35 zwolniła, poruszali się teraz z prędkością zaledwie kilku mil na godzinę. Nie trwało to jednak długo. Ciężarówki zjechały z drogi na pobocze i tam się zatrzymały. Ich podróż dobiegła końca. Pozostałą część trasy mieli pokonać pieszo, wędrując przez gęste zarośla. Gdy ostatni żołnierz z 2 plutonu opuścił skrzynie ładunkową, kolumna pojazdów ruszyła w drogę powrotną. Żołnierze czekali jeszcze chwilę na poboczu. Odgłosy

oddalających się ciężarówek niedługo ustały, zapanowała martwa cisza. Podzieleni na drużyny mieli kierować się do oddalonego o osiem mil obozu wroga. Tom obserwował, jak dowódca plutonu przekazywał podoficerom ostatnie wytyczne. Za chwilę mieli ruszyć w dalszą drogę.

Na szpicy maszerowała 3 Drużyna, za nią pozostałość plutonu. Z chwilą wejścia w gąszcz Swanson usłyszał tysiące odgłosów życia dżungli. Poprzez szum liści było słychać ćwierkanie ptaków i porykiwanie zwierzęcia, którego nie potrafił zidentyfikować. Tempo marszu nie było duże, ale i tak Tom był spocony jak mysz. Na domiar złego ciężkie oporządzenie powodowało obtarcia w różnych miejscach. Przewyciężając ból i niewygodę, brnęli coraz głębiej w dżunglę. Bostończyk miał nadzieję, że prowadzący wiedzą, gdzie iść, i nie zboczą z wyznaczonej trasy. Nie chciałby się zgubić w tej nieprzyjaznej gęstwinie. Maszerowali prawie dwie godziny, kiedy padła komenda od czoła kolumny:

- Postój - powtórzono wiadomość parokrotnie.

Upragniona chwila, aby dać odpocząć zboliałym nogom i rozprostować nadwyrężony kręgosłup. Większość żołnierzy uzupełniała płyny, pijąc łączywie wodę z manierek. Inni po prostu tam, gdzie stali, tam padli i nie zdejmując wyposażenia, zalegali, ciężko dysząc. Przedzieranie się przez gęsto rosnące bambusy i splątane pnącza nie należało do łatwych i przyjemnych. Kosztowało to ich wiele wysiłku i mnóstwo rzucanych pod nosem przekleństw.

Wzdłuż odpoczywających ludzi szedł specjalista 4 stopnia Hal Kinnard, który w kompanii Charlie pełnił funkcję podoficera sanitarnego. Wszyscy nazywali go Doc, w skrócie od doktora. Przechodząc, pytał, czy komuś potrzebna jest jego pomoc. Swansona paliło ogromne pragnienie, zdążył opróżnić już jedną z dwóch posiadanych plastikowych manierek M62. Miał przyspieszony oddech, ale jak na razie trzymał się w miarę dobrze. Rozmasowywał obolały kark, gdy stanął przy nim Kinnard. Ukucnął i obejrzał miejsce, które mężczyzna przed chwilą masował.

- Harvard, załóż na szyję ręcznik, to ochronisz kark przed obtarciami.

Dopiero teraz Tom zwrócił uwagę na to, że większość starych żołnierzy faktycznie na szyi nosiła zwinięty ręcznik. Wygrzebał z plecaka ciemnozielony materiał i postąpił zgodnie ze wskazówkami Doca. Nie zdążył jednak długo nacieszyć się nowo zdobytą umiejętnością, gdy padła komenda

o wymarszu.

Po kolejnej godzinie marszu wyszli na rozległą dolinę pokrytą gęstą, sięgającą im do piersi trawą - włośnicą.

- Ruszaj dupę, nowy, na co, kurwa, czekasz!?! - wypowiedział złowrogo Douglas, wyładowując swoje frustracje na rekrucie.

Swanson został boleśnie popchnięty karabinem przez podążającego za nim Douglasa, młodego, szczupłego Hawajczyka o szczurzej twarzy. Tom zagłębił się w trawiaste przestworza, tonąc w nich prawie w całości. Lekki rzeński wiatr rytmicznie poruszał górnymi partiami wysuszonych przez słońce traw. Powstawał w ten sposób specyficzny szum, niektórzy mówili o nim, że jest to złowieszczy głos wietnamskiej dżungli. Przez pole traw przedzierali się jedną wąską ścieżką, idąc gęsiego. Teren był bardzo wilgotny, w gliniastym podłożu wojskowe tropikalne buty zagłębiały się prawie do wysokości kostki.

Palmer ledwo dyszał, zmęczenie w jego mniemaniu osiągnęło apogeum. Jego buty, przemoczone i oblepione błotnistą breją, zdawały się teraz ważyć tonę. Szelki typu H boleśnie wrzynały się mu w ramiona. Nie narzekał jednak, bo nie chciał, aby inni postrzegali go jako mięczaka. Musiał wytrwać ten pierwszy miesiąc tu, w błotnistej i parnej dżungli południowego Wietnamu. Jego obolałe dłonie mocno ścisnęły Colta M16A1, jego jedyne przyjaciela w tej złowrogiej zielonej otchłani. Przed nim szedł czarnoskóry szeregowy Mack Vincent, który każdy swój krok w błocie okraszał coraz to nowym wulgaryzmem.

- To wszystko przez tych pierdolonych białasów!!! To ich pieprzona wojna - zalił się Gibbsowi, muskularnemu Murzynowi z 2 Drużyny, w ślad za którym podążał.

Paul Gibbs nie skomentował paplaniny Vincenta. Wiedział, że oprócz koloru skóry ich dwóch dzieliła przepaść. On pochodził z dobrego domu w Nowym Orleanie, gdzie jego rodzice prowadzili z dużym zyskiem biznes związany z połowem krewetek. Vincent był biedny i niechciany, dorastał w slumsach gdzieś na przedmieściach Cleveland. Razem trafili tutaj. Paul nie mógł się pozbyć uciążliwego Vincenta pomimo wielu podejmowanych prób. W końcu dał sobie spokój i zostawił sprawy swojemu biegowi.

O'Donell stał na skraju wydeptanej ścieżki, którą podążali jego poprzednicy z 2 plutonu. Korzystał z chwilowej przerwy podczas

przemierzania nieprzyjaznych rejonów dżungli. Poprawił oporządzenie, aby go nie uwierało i nie krępowало mu ruchów. Tuż obok przechodził sierżant David Farrell, ewidentnie był czymś poirytowany. Za nim w odległości kilku kroków podążał Orwig, taszcząc na plecach radiostację AN/PRC-25. Zdążyli ująć zaledwie kilka kroków, gdy zatrzeszczała. Ktoś próbował drogą radiową się z nimi skontaktować. Podoficer chwilę przez nią rozmawiał, po czym z wyraźną wściekłością oddał słuchawkę radiotelegrafistcie i przyśpieszając, kroku ruszył na początek kolumny marszowej.

- Co jest, Orwig? - nieśmiało zagadnął O'Donell.

Specjalista 4 stopnia zmierzył wzrokiem pytającego, stojącego z głupim wyrazem twarzy nieopodal. Odwiesił na stelaż radiostacji owiniętą w folię słuchawkę H189. W pierwszej chwili nie zamierzał udzielać odpowiedzi, ale postąpił inaczej.

- Gówno!!! Pierdolony Faber nie umie posługiwać się mapą i kompasem, więc zabłądziliśmy. Przez pieprzonego oficerka musimy drałować dodatkowe półtorej mili na zachód. To się stało!!! - wybuchnął Bill Orwig.

Wściekły radiooperator ciskał przekleństwa na lewo i prawo. O'Donell także wzburzył się, gdy do niego dotarło, że musi z nie swojej winy nadłożyć spory kawał drogi. Kopnąwszy stary zbutwiały korzeń zalegający koło jego nogi, ruszył w ślad za oddalającymi się żołnierzami z jego oddziału.

Do obozu wroga dotarli około szesnastej, o dziwo od jego północnej strony. Musieli kilka razy zgubić się w terenie, aby do celu dotrzeć od najmniej prawdopodobnej strony. Obozowisko było opuszczone. Porozrzucane wszędzie rzeczy świadczyły, że został jednak gruntownie przetrząśnięty przez żołnierzy z 9 Dywizji Piechoty. Tu kończyła się ich kilkugodzinna wycieczka. Postępując zgodnie z rozkazami wyższych przełożonych, kompania Charlie w tym miejscu miała zorganizować zasadzkę. W centralnym punkcie pozostało dowództwo kompanii wraz z pierwszym plutonem i wsparciem z sześćdziesięciomilimetrowymi moździerzami M19. Pozostałe plutony obsadziły flanki obozowiska, biorąc na siebie całą odpowiedzialność.

Drugi pluton zajmował lewą flankę. Tom sprawdził swój karabin, nie chciał, aby zawiódł go w boju. Siedział oparty o kauczukowe drzewo, jedno z wielu w tym miejscu. Po dokładnych oględzinach położył sobie M16 na uda. Spojrzał na zegarek marki Benrus, który kupił jeszcze w Fort Campbell. Powoli zbliżała się godzina, kiedy zacznie się ściemniać. Padały na niego

ostatnie promienie popołudniowego słońca. Pięć metrów dalej siedzieli Byrne wraz z Clarkiem. Ten drugi mozolnie, z wielkim przejęciem oliwił swój granatnik M79. W głębi Swanson widział żywo o czymś dyskutujących sierżantów Kempa i Preissa. Nie był jednak ciekawy, o czym rozmawiali z takim ożywieniem. Rozeszli się jednak, gdy zaobserwowali, że w ich kierunku zbliża się zastępca dowódcy kompanii, porucznik Pickok. Z tego, w czym mężczyzna zdążył się zorientować, za oficerem nikt w kompanii nie przepadał. Słyszał nawet, że paru szeregowców namawiało się nawet, aby podczas misji go sprzątnąć. W czasie walki różne rzeczy się zdarzały, a zabłąkane kule latały wszędzie. Pamiętał, jak to słyszał niespełna parę godzin wcześniej. Nieśpiesznie podniósł wzrok na stojącego nad nim starszego szeregowego Matta Hackmana.

- Wstawaj, Harvard, pełnimy razem wartę - oznajmił oschle nowo przybyły.

Szli wolno do punktu obserwacyjnego oddalonego o pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym się znajdowali. Tworzył on wysunięty punkt oporu 2 plutonu. Przedzierając się przez gęste pnącza porastające podłoże, dotarli do miejsca, gdzie mieli pełnić wartę. Zamieniali siedzących w małym wykopanym w błotnistej ziemi dole strzeleckim Yorka i Longa z 3 Drużyny.

- Spadajcie stąd, złamasy - skwitował po przybyciu Hackman.

Żołnierze pospiesznie opuścili nieprzyjemne miejsce, w którym spędzili ostatnie dwie godziny. Swanson wskoczył do dołu, mocno lądując butami na jego dnie. Matt chwilę stał, przyglądając się przedpolu. Pojawiła się już wieczorna mgła. Nie mógł jednak nic zobaczyć, bo widoczność kończyła się zaledwie po ośmiu metrach. Zachłanna dżungla skrętnie chroniła wszystkie swoje tajemnice. Po chwili Hackman wskoczył do ciasnego stanowiska ogniowego, siadając tuż obok Toma. Na małej półce wykopanej z prawej strony leżało urządzenie zapłonowe połączone przewodami do min przeciwpiechotnych M18A1 Claymore. Miny te parę godzin wcześniej rozstawił kapral Paul Dorsey. Natomiast na półce po lewej stronie leżały ułożone w rzędzie cztery granaty odłamkowe M26. Weteran bacznie przyglądał się nowemu żołnierzowi. Gdy się do niego odezwał, jego głos był spokojny i stonowany.

- Jest kilka rzeczy, których musisz tu się nauczyć, aby przeżyć. Nie wolno dotykać niczego, co nieznanne. M16 musi być dobrze naoliwiona

i wyczyszczona, aby się nie zacinała. Przemoczone buty to tutaj chleb powszedni, więc musisz nosić w plecaku dodatkowe dwie pary suchych skarpetek. Zielona taśma jest niezbędna, klei i przymocuje wszystko. Tyle na początek. Przeżyjesz miesiąc, to pogadamy, co dalej.

Dalszą część swojej dwugodzinnej warty spędzili w milczeniu. Tom myślał o domu, wpatrując się tępo w czarną ścianę dżungli rosnącej przed nim. Nie miał chęci na rozmowę, dano mu jasno do zrozumienia, że jest nic nie wart, dopóki nie przeżyje tu miesiąca. Po wyznaczonym czasie zmienili ich Stocton i Martin z 2 Drużyny. Gdy oddalał się od punktu obserwacyjnego wraz z Hackmanem, kierując się do głównego obozowiska, nie miał pojęcia, że nigdy tu już nie powróci. Zasnął w mgnieniu oka na prowizorycznym posłaniu przykryty ponczem przeciwdeszczowym. Nie pamiętał, żeby coś mu się śniło. Wydawało mu się, że tak właściwie to tylko na chwilę zamknął powieki. Był prawie przekonany, że nad wszystkim, co działo się wokół niego, miał kontrolę. Rano przyszły nowe rozkazy, o których powiadomił ich dowódca plutonu. 2 Batalion otrzymał nowe, podobno bardzo ważne zadanie, o którym mieli się już niedługo dowiedzieć. Luzował ich oddział piechoty niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

OPERACJA JUNCTION CITY

Tom zrozumiał, że szykuje się coś wielkiego, gdy w Bien Hoa nastąpił wzmożony ruch. Stojąc w kilometrowych kolejkach, żołnierze pobierali nowe wyposażenie i umundurowanie z namiotów ustawionych na zachodnim skrzydle. Bostończyk cieszył się szczególnie z okularów przeciwsłonecznych, które znacząco ułatwiały tu życie. Po opuszczeniu Strefy Działań Wojennych D powróciły nudne cykle szkoleniowo-instruktażowe. Armia jednak zafundowała im wielką niespodziankę. W celu podniesienia morale żołnierze z 2/503 Pułku Piechoty Spadochronowej mieli wykonać dwa skoki treningowe w pobliżu bazy lotniczej. Jak się później okazało, był to tylko celowy wybieg, mający przygotować ich do następnej misji. Spadochroniarze dobrze się bawili, było to coś znacznie lepszego od przeczesywania wilgotnej dżungli naszpikowanej pułapkami Vietcongu.

Sierżant James Preiss stał z resztą podoficerów 2 plutonu, czekając na ich młodego dowódcę. Oficer przebywał na odprawie w baraku dowództwa. Preiss był w Wietnamie od samego początku. Przybył tu z całą brygadą, przypluwając z Okinawy na początku maja 1965 roku. Został już dwukrotnie ranny, ale nie były to rany, które eliminowałyby go z walki w dżungli. Pierwszy postrzał otrzymał w grudniu 1965 podczas operacji Smash w prowincji Phuoc Tuy. Przeczesywali wtedy teren położony około 50 kilometrów na południowy wschód od Bien Hoa. Będąc na plantacji kuczuku Courtenay, wczesnym rankiem 18 grudnia wpadli w zasadzkę. Ugodził go jeden pocisk z serii karabinu maszynowego. Z przestrzelonym prawym udem został odtransportowany do szpitala polowego. Drugą ranę odniósł podczas operacji Silver City w marcu 1966 roku. Przebywał wtedy w Strefie Działań Wojennych D w prowincji Long Khanh. W siódmym dniu trwania operacji 2 Batalion (2/503) został zaatakowany ze wszystkich stron przez 501 Batalion

VC. Amerykańscy żołnierze dostali się w krzyżowy ogień partyzantów. Na pomoc przyszły im wtedy artyleria oraz samoloty. Skuteczny ostrzał artyleryjski oraz liczne naloty załamały atak sił północnowietnamskich. Wsparci 1 Batalionem (1/503) ruszyli do natarcia w ślad za uchodzącym wrogiem. To właśnie wtedy odłamki jednego z rzuconych w ich kierunku granatów zaczepnych RG-42 boleśnie ugodziły go w lewe ramię i kark. Kilku odłamków nie można było wyciągnąć i dawały mu o sobie znać podczas zmiany pogody oraz w chłodne dni.

Teraz też czuł przejmujący, promieniujący ból w karku. Rozmasował bolące miejsce dłonią. Powiódł wzrokiem po podoficerach tak jak on czekających na oficerów będących na odprawie u dowódcy 2 Batalionu 503 Pułku, podpułkownika Roberta H. Siholtza. James stał ustawiony w kółku wraz z Davidem Farrellem, Wayne Kempem oraz dowódcą drużyny wsparcia Jimem Deweyem. Czekali w milczeniu, jakiegokolwiek próby rozpoczęcia rozmowy spełzły na niczym. Mężczyźni, aby jakoś zabić wlokący się czas, palili papierosy. Preiss z obrzydzeniem spojrzął na zbliżającego się w ich kierunku sierżanta sztabowego Hanka Blakea, który pełnił w oddziale funkcję sierżanta plutonu.

- Kurwa, tylko nie on, do chuja pana! - ostro zareagował Wayne Kemp.

Nikt za nim nie przepadał, on po prostu był sukinsynem - gościem, który szukał problemów tam, gdzie ich nie było. Stojący w okręgu zastanawiali się, co ów zmierzający w ich kierunku sukinsyn znowu wymyślił. W kompanii Charlie podoficer ten cieszył się wielkim uznaniem wśród oficerów. Niżsi rangą żołnierze szczerze go nienawidzili i bez skrępowania okazywali to przy każdej nadarżającej się okazji. Po chwili podoficer stanął przy zgromadzonych.

- Co tam, panowie, mamy już jakieś rozkazy? - zapytał wyraźnie zaciekawiony sierżant sztabowy Blake.

Preiss zmrużył piwne oczy, nałożył na nie wysłużone okulary przeciwsłoneczne i zwrócił się do Farrella stojącego po jego prawej stronie.

- Co tak śmierdzi? A, to Blake tak cuchnie, znowu trzymał nos w oficerskich dupach!

- Tak, oj tak, James, masz rację!!! - potwierdził David, zaciągając się papierosem. - Zastrany Blake - dodał, spluwając na ziemię.

Sierżant plutonu nie dał się sprowokować. To, co przed chwilą usłyszał,

ściekło po nim jak woda po kaczcze. Niezręczną ciszę przerwał fakt, że odprawa dobiegła końca i pierwsi oficerowie zaczęli wychodzić z budynku. Jako jeden z pierwszych szedł kapitan Russel Gavin, dowódca kompanii Charlie. Idąc, rozmawiał ze swoim zastępcą, rudowłosym porucznikiem Robertem Pickokiem. Trzy kroki za nimi podążali dowódcy plutonów, a wśród nich mężczyzna, na którego czekali - podporucznik Ron Faber. Preiss widział już wcześniej taki typ oficera - pewnego siebie, cynicznego - i szczerze go nienawdził.

Odprawa u dowódcy batalionu znużyła go do granic wytrzymałości. Te biurokratyczne pierdoły, które były przekazywane, przyprawiały go o mdłości. O wiele bardziej wolał zwięzły wojskowy żargon i precyzyjne postawiane zadania. Pieprzeni politycy i marni generałowie - pomyślał Faber, mając na uwadze niedawno zakończoną odprawę. Powoli zbliżał się do czekających na niego podoficerów. Uśmiechnął się pod nosem, gdy zauważył, że stoją w jednym miejscu i nie będzie ich musiał szukać. Większość podoficerów 2 plutonu była weteranami i zaprawionymi w boju fachowcami. Z wszystkich tylko sierżant Dewey pełnił służbę w Wietnamie krócej niż jedną kadencję. Zwrócił uwagę na stojącego trochę na uboczu sierżanta sztabowego Blake'a. Podoficer ten służył już w armii ładnych parę lat. Z tego, co pamiętał, walczył on już w Korei i cały czas był na pierwszej linii frontu. Został awansowany do stopnia podporucznika, ale za bójkę z wyższym oficerem został zdegradowany. Miał bardzo specyficzny styl bycia, cały czas balansując na linii życia i śmierci. W swoją demoniczną grę wciągał innych, nie licząc się z ich zdaniem. W celu osiągnięcia tego, co sobie wyznaczył i zaplanował, był gotów poświęcić każdego. Dowódca kompanii Charlie tolerował bezkompromisowe zachowanie sierżanta, ponieważ miał dla niego, jako żołnierza, szacunek i zaufanie. Młody oficer w głębi duszy obawiał się tego ekscentrycznego podoficera. Pozostały mu zaledwie trzy miesiące do końca jego tury w tym wilgotnym piekle. Miał obawy, że przez działania Blake'a może kiedyś źle skończyć i zostanie inwalidą lub zginie. Trzymał w dłoni skrawek papieru, który wręczył mu kapitan Gavin. Znajdowało się na nim streszczenie całej planowanej operacji. Gdy podszedł do zgromadzonych, panowała grobowa cisza. Zdawał sobie sprawę, że podoficerowie oczekiwali od niego, że rozwieje ich niepewność i przekaże konkretne wytyczne. Podając posiadany dokument sierżantowi

plutonu, oznajmił:

- Wyruszamy do Strefy Działań Wojennych C niedaleko granicy z Kambodżą. Resztę macie na tym papierze, który trzyma Blake. W razie niejasności i pytań będę u siebie.

Wiedział, że nie będzie dodatkowych pytań, a ewentualnymi nieścisłościami zajmie się sierżant sztabowy. Nie czekając na rozwój sytuacji, udał się różnym krokiem do swojej kwatery.

Sierżant David Farrell od dobrej godziny przeglądał wytyczne dotyczące ich następnej misji. Jak dotąd z takim rodzajem działań w Wietnamie nie miał do czynienia. Zapowiadało się ciekawie, aż nie mógł opanować wzbierającej w nim od środka energii. W myśl otrzymanych rozkazów mieli uczestniczyć w zakrojonej na szeroką skalę operacji. Ich celem był atak na siły wroga zgromadzone w Strefie Działań Wojennych C. Strefa ta była zdominowana od dłuższego już czasu przez siły Vietcongu. Rozciągała się ona na płaskim terenie liczącym prawie 1500 mil kwadratowych. Ograniczona od zachodu i północy granicą z Kambodżą, od wschodu drogą nr 13, a od południa linią Tay Ninh - Ben Cat. Celem operacji w tej strefie było pozbawienie komunistów władzy nad nią i odnalezienie Centralnego Biura - kwatery głównej Vietcongu na terenach Południowego Wietnamu. Operacja zakładała użycie pięciu amerykańskich brygad, które miały za zadanie utworzyć kordon w kształcie odwróconej podkowy, osłaniając zachód, północ i wschód, a otwarta część miała być skierowana na południe. 173 Brygada miała stanowić północno-wschodnią jej część. 3 Brygada 4 Dywizji Piechoty i 196 Brygada Piechoty miały zdobyć tereny wokół wioski Lo Go oraz Xom Giua. 1 i 3 Brygada 1 Dywizji Piechoty miały zająć obszar nieopodal Minh Thanh. Po utworzeniu podkowy pozostałe jednostki (11 Pułk Kawalerii Pancernej i 3 Brygada 25 Dywizji Piechoty) znajdujące się na południu miały przeprowadzić natarcie w kierunku północnym, wpędzając wroga w zastawioną pułapkę. Planiści opracowali klasyczną operację o charakterze „młota i kowadła”. 2 Batalion 503 Pułku miał wykonać desant spadochronowy na dużą polanę, będącą kiedyś polem ryżowym nieopodal wsi Katum. Wyschnięte ryżowisko leżało zaledwie kilka mil od granicy z Kambodżą, około 60 kilometrów od Tay Ninh. Pozostałe bataliony 173 Brygady miały dotrzeć na teren operacji przy użyciu helikopterów. Podoficer kurczowo ścisnął w swoich spoconych kościstych palcach mocno już zużyty

kawałek papieru. Jako spadochroniarz przepełniony był dumą, że będzie mógł uczestniczyć w tej operacji.

Tom czuł mocny ucisk w żołądku, miał wrażenie, jakby miał tam kamień. Nie wiedział, czy ten stan spowodowany był nerwami, czy podłym żarciem, jakie im tu serwowano. Od wczesnych godzin porannych był już na nogach. Operacja, do której ostatnio się przygotowywali, miała rozpocząć się lada chwila. Dzień wcześniej wydano im dodatkowe wyposażenie niezbędne do wykonania skoku spadochronowego. Mężczyzna ponownie zamocował w swoim hełmie M1C dodatkowy pasek podbródkowy. Postępując zgodnie z namowami weteranów, zamienił regulaminową elastyczną opaskę hełmu na pasek gumy z dętki samochodowej.

Żołnierzy zaopatrzone w standardowe spadochrony T-10: główny i zapasowy. Po założeniu niezbędnych rzeczy na siebie zorientowali się, że osprzęt strasznie krępował ruchy, więc nieporadnie, a wręcz śmiesznie się w nim poruszali. Objuczeni niewygodnym, zdającym się ważyć tonę oprządzeniem pomaszzerowali, bujając się na boki jak banda zdrowo podpitych marynarzy w kierunku pasa startowego. Przytroczony poniżej spadochronu zapasowego plecak w znacznym stopniu utrudniał im życie. Podczas chodzenia boleśnie obijał się o uda i uderzał w kolana. Gdy dotarli do wyznaczonej dla kompanii Charlie strefy wyczekiwania, byli cali zalani potem, pomimo że słońce dopiero co zaczynało wschodzić i unosić się w kierunku zenitu. Jak na tak wczesną godzinę temperatura i tak była dość wysoka. Poranna rosa na trawach zaczynała powoli wysychać, tworząc nisko zalegającą mgiełkę. W wyznaczonym im miejscu opadli na ziemię, w ten sposób dając odpocząć zboliałym kręgosłupom i poobijanym kolanom.

Tom położył się na wilgotną jeszcze trawę tuż obok ciężko oddychającego szeregowego Palmera. Zdjął z głowy stalowy hełm i położył go koło pokrowca z bronią. Gdy wrócił pamięcią do okresu szkolenia spadochronowego w Fort Campbell, na jego twarzy pojawił się uśmiech. To były dobre czasy pomimo ostrego rygoru i chętnie do nich wracał.

- Jak tam, panienki, dajecie sobie radę? - sarkastycznie spytał sierżant Dewey.

- Spadaj, frajerze, do swojej drużyny, bo gotów jestem wydymać twój mózdzierz!

Leżący spadochroniarze wybuchli śmiechem, słysząc ripostę kaprała

Gordona. Śmiechy jednak szybko ucichły, bo na horyzoncie pojawił się dowódca 2 Batalionu, podpułkownik Siholtz. Oficer próbował zagadywać żołnierzy i rozbudzić w nich ducha bojowego. Na całe szczęście nie zatrzymał się przy 1 Drużynie. Widząc dowódców kompanii, udał się w tamtym kierunku. Swanson nie zaprzętał sobie nim głowy, ciekawszym widokiem były stojące na pasie samoloty transportowe typu C-130, które rozpoczęły rozgrzewanie silników. Podczas okresu unitarnego mężczyzna skakał już z tego typu maszyn. Częściej jednak były to samoloty C-123 albo C-119.

- Założyć pełne wyposażenie i przygotować się do przeglądu - ryczał na całe gardło zastępca dowódcy kompanii C, próbując w ten sposób przekrzyknąć ryk silników samolotów.

Powoli spadochroniarze zaczęli się podnosić z ziemi. Stojąc na rozstawionych nogach, zapinali uprząż i dociągali paski. Pomagali sobie nawzajem, bo tak było o wiele łatwiej. Klnąc pod nosem, kolejna grupa objuczonych żołnierzy meldowała o swojej gotowości. Porucznik Pickok rozpoczął przegląd wyposażenia spadochronowego, zaczynając od drużyny wsparcia. Na lotnisku oprócz spadochroniarzy z 2 Batalionu byli także żołnierze z baterii A 319 Pułku Artylerii Polowej. Inne mniejsze grupki, które także miały wziąć udział w desancie, stały bardziej na uboczu. Znajdowali się tam saperzy, żandarmi, łącznościowcy oraz elementy dowództwa Brygady. W sumie do zrzutu w dniu 22 lutego 1967 roku wyznaczono 845 żołnierzy.

- Stary, jestem tak podniecony, że normalnie pała mi stoi jak maszt na flagę!

Osobiste wyznanie szeregowego Moore'a zostało pozostawione bez odpowiedzi. Odgłos turbośmigłowych silników transportowców C-130 przybrał na sile. Nieubłagane zbliżała się ta chwila, w której mieli skierować swe kroki, aby zająć miejsce w jednej z potężnych maszyn przygotowujących się już do startu. Grupa dziennikarzy lawirowała pomiędzy ustawionymi w kolumnie marszowej spadochroniarzami. Próbowali zadawać pytania, robiąc przy tym zdjęcia wypowiadającym się. Jeden z natarczywych pismaków podszedł do Rogera Clarka. Nie zdążył jednak zadać ani jednego pytania.

- Spieprzaj stąd, pizdo!!! - ostro potraktował weteran natarczywego dziennikarza.

Z sykiem dekompresji olbrzymia tylna klapa samolotu transportowego C-130E Hercules zaczęła opuszczać się ku ziemi. Objuczeni żołnierze wolno maszerowali w kierunku czekających na nich maszyn. Członek obsługi pokazał gestem, aby spadochroniarze zaczęli załadunek. Tuż obok swojej twarzy Tom usłyszał trzask migawki aparatu fotograficznego. Fotoreporter zrobił mu zdjęcie z zaledwie kilkunastu centymetrów. W miarę zbliżania się do tylnej części samolotu mężczyzna czuł wzmagający się żar bijący od pasa startowego. Miał wrażenie, że gorący asfalt parzy go w stopy, pomimo grubej podeszwy vibram w butach tropikalnych III typu, które nosił. Swoje kroki kierował w stronę jednego z szesnastu stojących na lądowisku maszyn transportowych. Z każdym pokonanym przez niego metrem wydawało mu się, że powietrze robi się ciężkie i bardziej gęste. Wmawiał sobie, że jest to wybryk jego wyobraźni i tak właściwie to nic złego się nie dzieje. Do wnętrza samolotu dostał się po opuszczonej tylnej klapie. Zajął miejsce, które zostało mu wskazane przez żołnierza z obsługi odpowiedzialnego za właściwy załadunek. Duchota panująca w kadłubie zdawała się nie do wytrzymania.

- Ale piekarnik - żalił się szeregowy Linton, wycierając rękawem spocone czoło.

- Zamknij ryj, panienko! - zniecierpliwiony podoficer pokładowy zrugął malkontenta. Nikt więcej nie narzekał, jak bardzo jest tu gorąco.

Swanson próbował policzyć, ilu spadochroniarzy załadowało się do transportowca, ale nie bardzo mu się to udawało, bo cały czas ktoś się kręcił. Z jego wyliczeń wyszło, że było ich tu ponad sześćdziesięciu. Pomruki żołnierzy siedzących w kadłubie C-130 ucichły, gdy tylna klapa zaczęła unosić się ku górze. Pneumatyczne siłowniki docisnęły ją do kadłuba, samolot był gotowy do startu. Nie potrwało długo, jak transportowiec przy wtórze ryku silników zaczął kołować na pas startowy. Nikt się nie odzywał, panowała kompletna cisza. Większość się bała, ale nikt się do tego nie przyznawał.

Tom kurczowo trzymał M16 zapakowaną w pokrowiec wz. 1950. Co chwila zamykał na kilka sekund oczy, miał wrażenie, że pomagało mu to przezwyciężyć strach. Skoku jako takiego się nie obawiał. Był dobrze do niego przygotowany. W Fort Campbell zadbano, aby każdego z rekrutów właściwie wytrenowano. Każdy przeszedł tam wyczerpujący cykl szkolenia

składający się z kilku etapów. Nauczył się podczas niego układania i pakowania spadochronu oraz zasad wykonywania skoków spadochronowych. Spędził wiele godzin, ćwicząc na atrapie kadłuba samolotu. Później szlifował nabyte umiejętności podczas skoków z małej i wysokiej wieży spadochronowej. Ostatnim etapem było oddanie serii skoków z samolotu transportowego. Teraz to nie był trening, tylko operacja bojowa, podczas której mieli wykonać skok na terytorium opanowanym przez wroga. Bostończyk zastanawiał się, co mógł czuć jego ojciec, gdy 5 czerwca 1944 roku na pokładzie jednego z licznych Douglasów C-47 startował, zmierzając w kierunku Normandii. Wtedy spadochroniarzy było znacznie więcej, ale i niemiecka obrona była dużo liczniejsza.

Dane wywiadu, które im przekazano, nie przewidywały ostrzału lądujących żołnierzy przez siły Vietcongu. Strefa lądowania miała być oddalona od ostatniej znanej pozycji partyzantów i nie spodziewano się tam ich działania. Mężczyzna spojrzął na zegarek, była ósma dziesięć.

Samolot zaczął wolno przetaczać się, aby zająć swoje miejsce wśród innych maszyn szykujących się do startu. Nie trwało to długo, bo po chwili transportowiec zatrzymał się. Piloci, realizując punkt po punkcie procedurę startu, włączali poszczególne systemy samolotu i czekali teraz na zgodę od kontrolera lotu na start. Zaryczały cztery potężne silniki samolotu, a kadłub zaczął drżeć. Tom przez małe okrągłe okienko zobaczył, jak pierwszy samolot wystartował, była 8:25. Maszyną solidnie szarpnęło, silniki wyły jak oszalałe. Piloci rozpoczęli procedurę rozbiegu, samolot z dużą prędkością pędził wzdłuż osi pasa startowego. Rozpędzony transportowiec po krótkiej chwili oderwał koła podwozia od ziemi. C-130 rozpoczął wznoszenie, zmieniając kąt natarcia skrzydeł, zwiększając moc silników oraz prędkość. Maszyna powoli zaczynała osiągać wysokość przelotową, na której miała kontynuować dalszy lot. Po uzyskaniu odpowiedniego pułapu samolot przechylił się na lewo, skręcając w ten sposób na zachód. Wkrótce dołączył do pozostałych i formacja ruszyła w kierunku zrzutowiska. Silny podmuch gorącego powietrza spowodował turbulencję. Wpadli w dziurę, którą utworzyło nagrzane przez słońce powietrze unoszące się znad pasa startowego. Samolot stracił kilka metrów wysokości. Piloci, wybierając odpowiednią wysokość lotu, zminimalizowali skutki turbulencji i przywrócili normalny tor lotu. Bazę lotniczą w Bien Hoa zostawili za sobą, lot nad strefę

zrzutu miał potrwać zaledwie kilkadziesiąt minut.

Gdy zaświeciła się czerwona lampka sygnalizacyjna, padła szybka komenda kapitana Gavina „Powstań, zacześć liny!”. Ustanie w rozdygotanym transportowcu wcale nie należało do łatwych. Tom dopiął się do liny pokładowej i stał teraz na szeroko rozstawionych nogach, aby nie stracić równowagi. Została wykrzyczana druga komenda, „Parami meldować gotowość!”. Przez krótką chwilę stłoczeni w kadłubie samolotu spadochroniarze posprawdzali nawzajem swoje wyposażenie. Tom przypomniał sobie, jak wbijano im do głowy podczas szkolenia spadochronowego, że skok z bronią osobistą i wyposażeniem należy do najtrudniejszych. Obładowani dodatkowym sprzętem posiadali znacznie większą masę i spadali przez to dużo szybciej. Przez to spadochron musiał mocniej wyhamowywać i spadochroniarz mógł w takim przypadku stracić przytomność. Na sygnalizatorze zapaliło się zielone światło. Byli nad strefą zrzutu oddaloną o niecałe dwie mile od Katum, w głębi Strefy Działań Wojennych C.

Dowódca kompanii Charlie podał komendę do opuszczenia Herculesa i w chwilę później jako pierwszy wykonał skok. Kolejni spadochroniarze ruszyli w jego ślady, opuszczając wnętrze C-130. Swanson nie zdawał sobie sprawy, jak szybko dotarł do ogona samolotu, skąd miał dokonać skoku. Pomimo narastającego strachu bez wahania opuścił maszynę. Bardzo silny podmuch ciepłego powietrza szarpnął żołnierzem niemiłosiernie. Jego swobodne spadanie zostało brutalnie przerwane w chwili, gdy mężczyzna momentalnie wyhamował. Czasza spadochronu głównego T-10 się otworzyła i napełniła całkowicie powietrzem. Spadochroniarz wstępnie sprawdził swoje oporządzenie, z zadowoleniem stwierdził, że nie zauważył niczego niepokojącego. Skok przebiegał bez większych problemów. Najważniejsze, że nie było ostrzału przeciwnika. Na dole dymiły szczątki drzew okalające strefę zrzutu, unosząc w powietrze długie słupy czarnego dymu. Spustoszenia tego dokonały śmigłowce szturmowe, które niedawno opuściły to miejsce, wykonując przygotowanie artyleryjskie przed właściwym desantem. Tom rozejrzał się z dużym zaciekawieniem dookoła siebie. Widok opadających na spadochronach żołnierzy zapierał dech w piersiach. Próbował manewrować spadochronem tak, jak go uczono podczas szkolenia. Na niewiele to się zdało, bo silny wiatr i tak niósł go tam, gdzie chciał. Mężczyzna liczył

w duchu na to, że jego paraboliczna oliwkowozielona czasza nie zanieśie go na drzewa. Odległość do ziemi stawała się coraz mniejsza. Chwila wydawała się odpowiednia do zwolnienia umocowania plecaka. Tom odczepił plecak, który opadł bezwładnie w dół. Poczłł ostre szarpnięcie, gdy zasobnik skończył opadanie i zawisł na końcu 4,6 metrowej liny. To teraz stanowiło jedyne połączenie go ze sprzętem zgromadzonym w plecaku. Opadanie zasobnika pod skoczkiem miało zapobiegać ciężkim obrażeniom, jakie mógłby on spowodować w momencie przyziemienia spadochroniarza. Swanson przygotował się do lądowania, na chwilę spojrzął na horyzont i spał się w uprzęży, by za moment opaść na ziemię.

Siła upadku była tak duża, że przekoziółkował dwukrotnie i wylądował twarzą w lepkiej mazi zalegającej na całym obszarze zrzutowiska. Przetarł zabrudzone oblicze rękawem, klnąc przy tym solidnie pod nosem. Tylko na chwilę stanął wyprostowany. Silny podmuch wiatru napełnił czaszę i szarpnął spadochroniarzem uczeplonym do niej za pomocą linek i uprzęży. Nie było czasu na zastanawianie się, co dalej należy zrobić. Działal automatycznie, szybko zwinął czaszę, uniemożliwiając jej pociągnięcie go za sobą po ziemi. Wiatr był silny i mógł sprawiać problemy. Bostończyk zaraz po wylądowaniu i opanowaniu napełniającej się powtórnie czaszy przystąpił do oswoadzania się z uprzęży. Zrzucił z siebie płataninę taśm i chwycił za pokrowiec, w którym znajdowała się jego broń etatowa. Szybko go otworzył i wydobył z jego wnętrza M16. Pociągnął za linkę i na jej końcu odnalazł plecak. Z głośnym łoskotem tuż obok niego wylądował szeregowy Mills z drużyny wsparcia. Gwałtowny podmuch wiatru pociągnął jego spadochron po ziemi. Spadochroniarz zatrzymał się dopiero po pokonaniu kilkunastu metrów. Wstając z ziemi, przypominał błotnistą postać z bagien rodem z kreskówek. Niecałe dziesięć metrów dalej inny żołnierz szamotał się na ziemi zaplątany w linki spadochronu. Tom pobiegł w jego kierunku, chcąc udzielić mu pomocy.

- Spokojnie, stary, już ci pomagam! - oznajmił Swanson zaplątanemu nieszczęśnikowi.

Oplątany linkami okazał się Ed Fox, piegowaty dziewiętnastolatek z Iowa. Wspólnymi siłami udało im się zapobiec dalszym komplikacjom. Mężczyzna podziękował mu, po czym przystąpił do rozpakowania swojego pokrowca z bronią. Chociaż wroga nie wykryto w okolicy i nikt do nich nie

strzelał, to sytuacja mogła się zmienić w przeciągu zaledwie kilku minut.

Od samego startu Roger Clark bardzo się denerwował. Strużki potu spływały mu po twarzy, irytując go i powiększając tylko zdenerwowanie. Zdjął hełm i przecesał dłonią blond czuprynę. Głośno żuł gumę, chociaż tak dodając sobie otuchy. Rozbieganymi zielonymi oczyma łypał badawczo po twarzach innych zgromadzonych w samolocie spadochroniarzy. Od rana prześladował go jakiś cholerny niefort, aby nie rzec: pech. Przy goleniu się zaciął, skończyła mu się pasta do zębów, a na domiar złego mrówki oblażyły mu pozostawione na rano jedzenie. Samolotem mocno rzuciło. Spadochroniarze skwitowali to licznymi wymyślnymi przekleństwami. Sygnalizator szybko zmienił swój kolor z czerwonego na zielony, co obwieszczało nieuchronność opuszczenia transportowca. Ruszył w ślad za innymi, przełknął ślinę i wyskoczył w błękitny bezmiar. Parokrotnie obróciło go w powietrzu, poczuł ostry palący ból na policzku. Wydobywające się taśmy spadochronu zerwały mu hełm i poraniły twarz. Pokręcił przecząco głową i głośno odetchnął. Lot przebiegał nadspodziewanie płynnie, bez niemiłych atrakcji. Roger opuścił plecak na linie, ta jednak nie wytrzymała jego ciężaru. Mężczyzna tylko odprowadził wzrokiem opadający w dół zasobnik.

- Co jeszcze mi się przydarzy w dniu dzisiejszym?!

Spadochroniarz miał już dość. Los nie był dla niego łaskawy i najwyraźniej się nad nim znecał. Ziemia szybko się zbliżała, był ciekawy, czy przy lądowaniu nie skręci karku. Było to twarde lądowanie, ale oprócz krwiaka zrobionego na kolanie zakończyło się pomyślnie. Problemy zaczęły się, gdy zaczął oswobadzać się z uprzęży. Linki jakimś dziwnym zrzędzeniem losu poplątały się z taśmami i okręciły wokół spadochronu zapasowego. Miał poważny problem z wyplątaniem się z takiego oplotu. Jego cierpliwość się skończyła, wydobył nóż i porozcinał wszystko, co znalazło się w zasięgu ostrza. Był wolny, ale bez hełmu i plecaka. Pomimo poniesionej straty czuł się wspaniale, wróciły mu chęci do działania. Z bronią w rękę ruszył w kierunku okalających lądowisko wypalonych drzew.

Samolot obniżył lot i zwolnił. John Wolf wiedział, że może to oznaczać tylko jedno - dolatywali do strefy zrzutu. Siedział prawie przy kabinie pilotów i miał być jednym z ostatnich żołnierzy, którzy będą opuszczać transportowiec. Stanowczo wolał być jednym z pierwszych, ale tutaj nikt się

z nim nie liczył. Kazano mu zająć to właśnie miejsce i o dyskusji nie było mowy.

- Powstań, zaczepić liny!

Głośna komenda podana przez oficera zagłuszyła na moment łoskot silników i rozniosła się echem po całym kadłubie C-130. Spadochroniarze, przewyciężając rzucanie na boki maszyny, zaczepili swoje karabińczyki od liny desantowej do stalowej liny pokładowej biegnącej pod sufitem kabiny. Silnik zachrobotał i przez moment zadławił się, powodując dodatkowe wibracje. Następną komenda, „Parami meldować gotowość!”, padła akurat, gdy Herculesem mocno zatelepało, był to efekt spadku mocy silników. Spadochroniarze, próbując łąpać pion, powpadali na siebie nawzajem. Starali się posprawdzać sobie spadochrony oraz uprząże. Komendy zwrotne bardzo szybko powędrowały w stronę kapitana Gavina, który na nie oczekiwał, stojąc już przy opuszczonej tylnej klapie. Nad wyjściem zamrugał przez moment na zielono sygnalizator, po czym lampka spaliła się. Dowódca kompanii Charlie obrócił się do swoich żołnierzy i ryknął na całe gardło:

- Wyskakiwać, do kurwy nędzy, i to już!!! - ryczał jak oszalały Gavin.

Oficer opuścił pokład jako pierwszy, dając przykład pozostałym. Kolejka do opuszczenia dygoczącej na silnym wietrze maszyny topniała w okamgnieniu. John popchnięty przez żołnierza idącego z tyłu wyleciał na zewnątrz. Odruchowo mocno zamknął oczy i wstrzymał oddech. Czekał w napięciu, aż spadochron otworzy się i będzie mógł swobodnie opadać. Spadochroniarz spadał z prędkością szesnastu stóp na sekundę. Wolf poczuł lekkie wyhamowanie, gdy powietrze napełniło górną część czaszy. Coś było nie tak, stanowczo za szybko zmierzał w dół. Serce tłukło mu ze strachu jak szalone. Tak jak go uczono na szkoleniu, sprawdził w pierwszej kolejności czaszę główną. Stało się to, czego się obawiał. Powietrze nie napełniło jej w całości i kilka taśm oraz linek nośnych zwisało luźno zamiast być naprężone. Musiał działać szybko, jeżeli chciał z tego wyjść z życiem. W tej sytuacji jedyną deską ratunku było użycie spadochronu zapasowego. Bez wahania Wolf pociągnął za uchwyt zamocowany po prawej stronie pokrowca spadochronu. Biała tkanina szybko wypełniła się powietrzem. Spadochroniarz odetchnął z ulgą, gdy prędkość jego opadania stanowczo zmalała. Przez całą tę awaryjną sytuację zapomniał odczepić plecak. Wylądował z dużym impetem. Wykonał dwa przewroty w przód i mocno

walnął głową w barwiącą się na czerwono ziemię. Ukląkł, obficie krwawił z nosa i łuku brwiowego. Dopiero gdy poradził sobie z oboma spadochronami, poczuł ostry promieniujący od kostki ból. Zdał sobie sprawę, że podczas lądowania skręcił nogę w stawie skokowym. W jego kierunku szedł sierżant sztabowy Blake w towarzystwie radiooperatora. Było widać, że jest wściekły. John domniemywał, że podoficer widział jego awaryjne lądowanie.

- Nic was nie uczył w tych ośrodkach treningowych. Ty pizdo, jak spakowałeś spadochron!

Sierżant plutonu był czerwony na twarzy z wściekłości. Miotał przekleństwa w każdą stronę. Nie wytrzymał i z całej siły zwiniętą dłoń w pięść zadał cios niespodziewającemu się takiego obrotu sprawy Wolfowi. Cios był na tyle silny, że powalił rekruta na ziemię, gdzie z trudnością łapał powietrze. Podoficer splunął jeszcze na leżącego obolałego szeregowca. Wykonując obrót w lewą stronę, zwrócił się do stojącego tuż obok niego specjalisty 4 stopnia Orwiga.

- Bill, wezwij medevac, niech zabierze to ścierwo z moich oczu! - Blake wydał stanowczą komendę radiooperatorowi.

Mężczyzna posłusznie wezwał przez radio śmigłowiec sanitarny. Odwiesił słuchawkę radiostacji na stelaż i ruszył w ślad za oddalającym się i wciąż przeklinającym sierżantem.

Kolejna fala wielkich transportowców C-130 nadlatywała ze wschodu. Tom z zaciekawieniem oglądał nadlatujące maszyny. Niedbale spojrzął na zegarek: była 9:35. Nieopodal porucznik Pickok, żywo gestykulując, tłumaczył coś dowódcom plutonów. Gros spadochroniarzy było porozrzucane po całym zrzutowisku, zebranie całego 2 plutonu mogło zająć trochę czasu. Natomiast zgrupowanie w jednym miejscu całej kompanii C było nie lada wyczynem.

Rozpoczął się zrzut ciężkiego sprzętu i zaopatrzenia. Nagle za potężnymi maszynami transportowymi rozkwitło kilkanaście spadochronów. Na płóciennych czaszach z łoskotem opadał na ziemię sprzęt zapakowany do drewnianych skrzyń. Pierwsze zostały wypchnięte z wnętrza transportowca haubice 155 mm M101 Howitzer i amunicja do nich. Był to sprzęt niezbędny w celu zabezpieczenia dalszych działań. Na swoje działa czekali już zgromadzeni w strefie zrzutu żołnierze z baterii A 319 Pułku Artylerii

Polowej. W dół na spadochronach opadały cztery ciężarówki 3/4 tony oraz pięć 1/4 tony. Trochę dalej na zachód zrzucone zostało sześć pojazdów M274 Mule. Żołnierze ze wsparcia z wyczekiwaniem spoglądali w niebo. Oczekiwali na sześć moździerzy 81 mm M29. Zostały one zrzucone wraz z amunicją do nich z jednego z ostatnich C-130. Na samym końcu lądowały galony z wodą, worki z piaskiem, racje żywnościowe C, amunicja strzelecka do M16 i M60, granaty do czterdziestomilimetrowej wyrzutni M79 oraz granaty odłamkowe i dymne. Spektakl dobiegł końca. Piloci Herkulesów zwiększyli ciąg i ogromne maszyny po chwili zniknęły w chmurach. Nadeszła pora na wykonanie wyznaczonego im zadania. Desant spadochronowy przebiegł bez większych problemów. Co najważniejsze, nie było ostrzału przeciwnika, a tylko jedenastu ze spadochroniarzy spośród wszystkich skaczących odniosło obrażenia podczas lądowania.

Po utworzeniu zwartych formacji żołnierze ruszyli wykonać pierwsze zadanie - zabezpieczyć strefę zrzutu. Godzinę po ich skoku 1 i 4 Batalion desantowały się ze śmigłowców w czterech strefach na północ i południe od 2 Batalionu. Kompania C obsadziła wyznaczony jej obszar odpowiedzialności ogniowej. Żołnierze, siedząc w prowizorycznych, naprędce zrobionych stanowiskach ogniowych, czekali na dalsze rozkazy.

- Kurwa, fajki mi wypadły podczas skoku! - skarżył się Douglas siedzącemu przy nim Vincentowi.

Murzyn nie zareagował na żale towarzysza. Sam posiadał tylko trzy ostatnie papierosy w paczce i nie zamierzał z nikim się nimi dzielić. Tym bardziej ze szczupłym Hawajczykiem, którego zaledwie tolerował w plutonie. Padła komenda powtarzana po linii:

- Przygotować się do wymarszu!

Na rozkaz podporucznika Fabera zebrali się w drużynach i przygotowali do dalszego działania. Jako patrol mieli zacząć przeczesywać teren. Do południa w myśl rozkazów powinni połączyć się z innymi oddziałami na pozycji wyjściowej. Pokonywanie gęsto porośniętego terenu było makabrą. Co rusz ktoś się potykał lub upadał, lądując w zaroślach. Na szpicy podążała 2 Drużyna ze swoim charyzmatycznym dowódcą sierżantem Davidem Farrellem.

Gibbs i Stocton szli na samym czele, jako wysunięci obserwatorzy. Rosły Murzyn przyglądał się, jak Irlandczyk w ustach przeżuwa nadpalone cygaro.

Przystanęli na chwilę i przykucnęli przy zwalonym pniu drzewa tekowego. Wyspiarz zdjął z głowy hełm i przecesał dłonią spoconą rudą czuprynę. Po krótkim przystanku ruszyli w dalszą drogę poprzez parną i wilgotną dżunglę. Las się przerzedził, gdy dotarli w okolice drogi nr 4. Szosa zdawała się pusta, nie było widać żadnego ruchu. Przyczajeni na skraju drzew bacznie obserwowali oba krańce jezdni. Z lewej strony dobiegały ich odległe odgłosy jadących pojazdów. Ewidentnie hałasy się nasilały. Wskazywało to na to, że pojazdy jechały w ich kierunku i się zbliżały. Nie musieli długo oczekiwać na to, co miało się wyłonić zza zakrętu. Na czele podążającej kolumny jechał gąsienicowy transporter opancerzony M113. Na jego antenie powiewała duża flaga Południa, która przedstawiała niebieski krzyż św. Andrzeja z trzynastoma białymi gwiazdami na ramionach, na czerwonym tle. Nie było mowy o pomyłce - to amerykańska piechota zmechanizowana jechała tą kolumną. Obaj zwiadowcy wyszli z zarośli i stanęli na skraju drogi. Zawył potężny silnik wysokoprężny M113A1 i wyrzucił w powietrze czarną chmurę spalin. Za transporterem podążały dwa następne, a za nimi ciągnął się sznur wojskowych ciężarówek. Wszystkie pojazdy obładowane były siedzącymi zdawałoby się wszędzie żołnierzami piechoty. Terkocząc gąsienicami, pojazd pancerny przetoczył się tuż obok stojących spadochroniarzy. Dopiero dżip, w którym jechał oficer, zatrzymał się przy żołnierzach z 503 Pułku.

- Co tam, panowie? Piechota przybyła uratować wasze spadochroniarskie dupy! - oznajmił mężczyzna, odgarniając z czoła kosmyk włosów.

Oficer w stopniu majora, który wypowiedział te słowa, zaśmiał się głośno. Nie czekał na jakąkolwiek reakcję ze strony zdziwionych szeregowców. Nakazał kierowcy kontynuować jazdę.

Żołnierze jadący na 2,5-tonowych ciężarówkach M35 przyglądali się stojącym na poboczu spadochroniarzom z wyraźnym zaciekawieniem. Gdy kolejny samochód przejeżdżał obok nich, zasypując ich tumanem piasku i kurzu, usłyszeli głośno wykrzyczone zdanie w ich kierunku.

- Xin Loi, palanty! W dżungli czai się bestia, pożre was, a potem wysra!!!

Pozostawili osobliwe docinki bez odpowiedzi. Żołnierzami jadącymi w kolumnie okazali się piechociarze z 3 Brygady 1 Dywizji - słynnej Wielkiej Czerwonej Jedyńki. Kierowali się na północ z nowo utworzonych baz

artyleryjskich wokół Prek Klok. Kilkanaście minut później podążające za wysuniętymi obserwatorami główne elementy kompanii Charlie dotarły na skraj drogi nr 4. Tutaj był ich punkt zborny. Była punktualnie 15:00, gdy wszystkie jednostki blokujące osiągnęły swoje pozycje wyjściowe.

VI

CENTRUM PROPAGANDY

Grupa uderzeniowa złożona z 11 Pułku Kawalerii Pancерnej i 3 Brygady 25 Dywizji Piechoty rozpoczęła natarcie od wczesnych godzin porannych. Według nowych rozkazów wszystkie trzy bataliony 503 Pułku Piechoty Spadochronowej miały przeczesać tereny znajdujące się na północny wschód od Katum. Jak do tej pory wróg atakował sporadycznie. Przeważnie po krótkiej wymianie ognia żołnierze Armii Północnego Wietnamu (APW) skrycie i w pośpiechu uciekali.

Tom, stojąc na wyschniętej polanie będącej kiedyś polem ryżowym, patrzył na mieniające się w porannym słońcu jaskrawe kolory szczytów wzgórz. Był poruszony tym pięknym, dziewiczym krajobrazem. Wiedział jednak bardzo dobrze, że było to tylko złudzenie dalekie od rzeczywistości. Realia były takie, że gdy wkraczało się do dżungli, wkraczało się do świta przesiąkniętego brutalnością i okrucieństwem. Tam nie było miejsca na sentymenty, a chwilowa słabość karana była w najokrutniejszy sposób – śmiercią. Najgorsza była niepewność, świadomość tego, że jest to miejsce ze wszech miar złe i pozbawione współczucia. Nie było tu miejsca, gdzie można

było czuć się bezpiecznie. Tak naprawdę każdy był sam, pomimo że inny żołnierz podążył za ledwie kilka kroków dalej. Tutaj, w głębi mrocznej, wilgotnej dżungli, szybko wyrastało się ze złudzeń i zaczynało żyć w atmosferze nieuchronności śmierci. Każdy odgłos, każdy kolejny potok czy gęste bambusowe chaszczki do pokonania napawały grozą.

Swanson zastanawiał się nad tym, co powiedział mu Hackman. Mężczyzna twierdził, że nie walczy się tu z wrogiem skrytym w gąszczu, a zmagają się przede wszystkim z własnymi słabościami, strachem, gniewem i wycieńczeniem. W bitwie nie jest ważne, co prezydent wygłosił na kolejnym wiecu i co mówią politycy. Nie walczy się o flagę, walczy się dla towarzyszy broni i umiera dla nich. Bostończyk analizował wypowiedziane przez weterana słowa. Wgłębił się w nie i szczerze wierzył w to, że tak do końca mężczyzna nie miał racji. Od samego początku Matt Hackman jakimś dziwnym zrządzeniem losu objął Swansona opieką. Ten chudy mężczyzna sprawiał czasami wrażenie częściowo nieobecnego, jakby żył w innym świecie z dala od okrucieństwa dziejącego się tuż obok. Potrafił patrzeć na człowieka w taki sposób, że ciarki przechodziły i czuło się, jak powietrze staje się lodowate. Jego błękitne oczy napawały strachem, zdawało się, że potrafią wejrzeć w głąb ludzkiej duszy. Sam o sobie mówił „Król Jaszczur”, lecz nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego. Chodziły słuchy, że to ze względu na to, że na początku swojej służby został ukąszony przez żmiję bambusową. Agresywny mroczny gad zwany przez żołnierzy „wężem dwa kroki”, ze względu na to, że osoba przez niego ugryziona robiła dwa kroki, po czym umierała, dopadł Hackmana. Mężczyzna przeżył ukąszenie żmii, wywołując niemalą sensację i wzbudzając zazdrość wśród innych. Nie afiszował się z tym i niechętnie o tym mówił. Tom wołał się nie narażać i nie pytać go o tak zamierzchłe sprawy.

Teraz szykował się do wymarszu objuczony jak muł dodatkowym wyposażeniem. Zastanawiał się, po jaką cholere kazano zabrać im maskę przeciwgazową M17. Miał ją zamocowaną na lewym udzie w pokrowcu starego typu, z emblematem korpusu chemicznego. Raczej było bardzo mało prawdopodobne, aby zostały tutaj użyte gazy bojowe. Z tego, co się orientował, to tylko Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych od początku 1962 roku stosowały tutaj chemikalia. Samoloty C-123 Provider wyposażone w specjalne zbiorniki rozpylały nad dżunglą różnorodne herbicydy.

Najczęściej stosowanym defoliantem był Agent Orange - środek chwastobójczy zawierający hormon wzrostu. Zrzucony na drzewa powodował ich szybszą vegetację i zrzućenie przez nie liści. Uzyskiwało się w ten sposób odkryć dotąd niewidocznych dla zwiadu lotniczego umocnień, dróg czy szlaków. Mężczyzna poprawił ręcznik owinięty wokół karku.

Ruszyli poprzez gęste zarośla w kierunku północnym. Było tutaj kilka wąskich, świeżych ścieżek, którymi zapewne poruszali się partyzanci. Szli wolno, bacznie obserwując otoczenie, wróg mógł kryć się za każdym drzewem. Gdy skierowali się na wschód, wysunięci zwiadowcy odnaleźli nowy szlak, szerszy niż poprzednie znalezione ścieżki. Ze śladów wynikało jednoznacznie, że jest dość często uczęszczany. Skradali się, próbując czynić jak najmniej hałasu. Droga nagle się kończyła. W odległości pięćdziesięciu metrów na jej skraju wznosiły się prowizoryczne zabudowania. Podporucznik Faber pokazał sygnałami ręcznymi, aby żołnierze z plutonu zajęli pozycje bojowe. Tom przeładował broń i wcisnął się pomiędzy dwa gęste krzaki. Miał stamtąd dobre pole widzenia. Do przeczesania zabudowań została wyznaczona 3 Drużyna. Swanson obserwował, jak krótkimi skokami żołnierze zbliżali się do zabudowań. Osiągnęli swój cel po dziesięciu minutach, które bostończykowi ciągnęły się w nieskończoność. Po przeczesaniu ich okazało się, że nie znaleziono tam nikogo, tylko liczne krwawe ślady oraz pozostałości po opatrunkach i resztki jedzenia.

- Kurwa, żółtki bawią się z nami w chowanego - skwitował znaleźnik Douglas, ciskając ze złością o ziemię wcześniej podniesiony wietnamski korkowy hełm.

Sierżant Preiss zmierzył go surowym wzrokiem. Nikt więcej się nie odzywał i nie wyrażał na głos swoich spostrzeżeń. Po przeszukaniu zabudowań kontynuowali marsz, kierując się dalej na wschód. Po ponad godzinie marszu skręcili w lewo, kierując się teraz na północny wschód. Zbliżało się południe, wiał chłodny przesywający wietrzyk. Po krótkiej, trwającej zaledwie dziesięć minut przerwie ruszyli w dalszą drogę. Las nagle się kończył i przeistaczał się w porośniętą trawą małą polanę. Gdy znaleźli się na jej skraju, do ich uszu dobiegł odgłos pojedynczego wystrzału, który rozniósł się echem po całej okolicy. Odgłos doszedł z prawej flanki, od strony, gdzie znajdował się pierwszy pluton. Nie potrwało długo, aby Amerykanie odpowiedzieli ogniem z broni maszynowej. M60 niemiłosiernie

ryły sąsiedni skraj lasu, skąd padł strzał, czyniąc tam wielkie spustoszenie. Poprzez bitewny hałas przedarła się wrzaskliwa komenda podana przez porucznika Pickoka.

- Przerwać ogień! Przerwać ogień!

Komendę kilkakrotnie powtórzyło kolejno kilku innych żołnierzy. Po chwili wystrzały ucichły, nastąpił moment wyczekiwania. Po linii przeszło szemranie, że oberwał jeden z oficerów z 1 plutonu. Podobno wietnamski snajper strzelił mu prosto w twarz. Po kwadransie nad polem walki rozszalała się ulewa. Duży, gęsto padający tropikalny deszcz momentalnie zmienił ziemię w błoto i drastycznie ograniczył widoczność. Po kolejnych dziesięciu minutach ulewny deszcz tylko przybrał na sile. Trwali w bezruchu, czekając na dalsze rozkazy. Tom, leżąc w gliniastej, nieprzyjemnej pałce i zajmując swoje stanowisko, przeklinał w duchu nagły porywisty opad deszczu. Był cały przemoczony, a jego ciałem co rusz wzdrygały nagłe napady dreszczy. Ulewa skończyła się akurat w chwili, gdy Simmonds, jak miał to w swoim zwyczaju, głośno beknął. Mgła zaległa na dnie całej polany, przysłaniając przeciwległy skraj.

- Wstawać i jazda naprzód, tępaki! - dobiegła zza pleców komenda Blake'a.

Pierwszy z zarośli wyskoczył Byrne, by po przebiegnięciu zaledwie paru metrów paść jak kłoda. Potknął się o kamień i runął twarzą prosto w błoto. Swanson z ledwością odkleił się od lepkiej błotnistej mazi, w której leżał. Ruszył chyłkiem przed siebie z bronią gotową do strzału. Padł po pokonaniu około piętnastu metrów. Roślinność i podłoże były śliskie. Mężczyzna, ślizgając się, przejechał kawałek drogi na brzuchu, by zatrzymać się na większej kępie traw. Hełm spadł mu z głowy i z głuchym „pac” wylądował w głębszej kałuży nieopodal.

Tom poczuł nagły silny ucisk w gardle. Pomimo działania adrenaliny bał się i jego organizm to okazywał. Dyszał ciężko, choć przebiegł zaledwie jedną dziesiątą dystansu. Trzymając nisko głowę, przeczłogał się do miejsca, gdzie znajdował się jego hełm. Tuż obok niego przebiegł inny żołnierz, obrzucając go błotem zmieszanim ze źdźbłami trawy poderwanymi z ziemi. Zastanawiał się, dlaczego przeciwnik nie otwiera do nacierających ognia. Próbował zobaczyć, co jest przed nim, ale mgła zalegająca nisko zasłaniała wszystko szczelnie. Poderwał się, parł naprzód. Kolejny raz wylądował na

niegościnniej ziemi. Musiał odpocząć, uspokoić nerwy, zapanować nad strachem. Usłyszał chrzęst i plaskanie, ktoś podążający za nim biegł w jego kierunku. Zanim się zorientował, z mgły wyłonił się Weber obwieszony taśmami z amunicją do M60. Opadł na ziemię, zajmując miejsce obok oszołomionego Swansona.

- Ja pierdole! - wydyszał ledwo żywy.

Oddychał szybko, łapczywie łapiąc powietrze. Po chwili dołączył do nich Wright, którego amunicyjnym był leżący obok bostończyka żołnierz. Mężczyzna dźwigał ciężki karabin maszynowy Colt Arms M60. Odgarnął pęk gęstej trawy i ustawił ukm na dwójnogu. Tom nie zamierzał czekać, pobiegł naprzód, zostawiając obsługę karabinu maszynowego za sobą. Tym razem lawirując wśród starych zmurszałych pni drzew, dobiegł do kopca termitów, który zapewniał mu chwilową ochronę. Przed sobą zobaczył zbitych w grupkę żołnierzy zalegających na skraju polany. Przewyciężając swoje słabości, pognął ile sił w nogach w ich kierunku. Ostatni metr pokonał, rzucając się na ziemię. Poczul ostry ból w lewym przedramieniu, gdy jego ręka uderzyła o leżący kamień.

- Pojebany białas! Spokojnie, stary, strzelanina się już skończyła - z oburzeniem skwitował przybycie bostończyka Gibbs.

Dopiero teraz Swanson zauważył, że żołnierze mieli odłożoną broń i palili papierosy.

- Wyluzuj - dokończył Murzyn swoją wcześniejszą wypowiedź.

Specjalista 4 stopnia Bill Orwig podążył trzy kroki za dowódcą plutonu. Kierowali się do miejsca, gdzie odnaleziono ciało wietnamskiego snajpera. Poszarpane i połamane gałęzie drzew były śladami przeprowadzonej niedawno walki. Dotarcie do wyznaczonego miejsca zajęło im niecałe dziesięć minut. Tuż obok dużego tekowego drzewa zobaczyli leżące ciało wroga. Ubrane było po chłopsku, na czarno. Radiooperator zwrócił uwagę na trzy rany postrzałowe zadane podczas zmasowanego ostrzału. Dopiero gdy nachylił się nad zwłokami, zauważył, że partyzantem była młoda kobieta mająca zaledwie paręnaście lat. Z martwego ciała wyciekała strużkami krew, która mieszała się z wodą deszczową stojącą w płytkiej kałuży. Oparty o drzewo stał żołnierz dumnie prezentujący broń kobiety, rosyjski karabin samopowtarzalny SKS. Podporucznik Faber obrócił się w stronę, z której doleciały do słowa wypowiedziane przez zbliżających się

kilku Amerykanów.

- Ta suka trafiła Texa prosto w podbródek. Nieszczęśnik umarł, zachłystując się własną krwią.

Bill znał Texa, mężczyzna ten był jeszcze do niedawna dowódcą 1 plutonu. Z zadumy wyrwała go radiostacja, którą dźwigał na plecach. Przez serię trzasków w słuchawce rozpoznał głos dowódcy kompanii C. Podając słuchawkę, zwrócił się do Fabera.

- Stary do pana, poruczniku.

Mówiąc „stary”, miał na myśli kapitana Gavina, ale oficer doskonale o tym wiedział. Wymiana zdań nie trwała zbyt długo. Radiostacja AN/PRC-25 umilkła - rozmowa zakończyła się. Zwłoki Wietnamki pozostawiono tam, gdzie leżały. Miały służyć jako przestroga dla innych partyzantów. Martwe ludzkie ciało stanowiło w tym klimacie znakomite pożywienie dla insektów. Wśród nich według wielu żołnierzy najgorszymi okazywały się mrówki, a w szczególności te czarne.

Larry O'Donell brnął zanurzony po kolana w chłodnej wodzie potoku, przepływającego przez zdawałoby się nieprzebytą dżunglę. To był już trzeci strumień, który pokonywał w dniu dzisiejszym. Marzył o chwili na odpoczynek i wymianie skarpet na suche, które niósł ze sobą w plecaku. Postępując zgodnie z otrzymanymi rozkazami, mieli dołączyć do kompanii Alpha, która odnalazła obozowisko wroga. Mężczyzna spojrzał z ukosa na idącego tuż obok niego Rodrigo Vasqueza. Ten pokryty bliznami Meksykanin cicho wypowiadał jakąś modlitwę w rodzimym języku. Nowojorczyk próbował ignorować ciągnącą paplaninę, ale z każdą minutą coraz bardziej go to irytowało. Doskwierał mu ból, który znacząco utrudniał marsz. Na przemoczonych stopach powstały pęcherze i liczne obtarcia. Każdy krok powodował cierpienie, szło mu jak po grudzie. Miał poważne problemy z utrzymaniem tempa marszu. Ręcznik zawieszony na szyi wchłonął już chyba kilka litrów potu, który spływał strużkami po jego twarzy. Przez pierś przewieszony bandolier na siedem dwudziestonabojowych magazynków do M16 zdawał się dogniatać go do lepkiej, błotnistej mazi zalegającej na ziemi. Wciągnął głęboko powietrze, potem powoli je wypuścił. Pochód żołnierzy przez gęste chaszczce się zatrzymał. Podano od czoła, że zarządzono krótką przerwę.

- Przestań, frajerze, się ze sobą cackać! Weź się w garść!

Wypowiedziawszy to, kapral Gordon z politowaniem spojrział na ledwo żyjącego nowego. Larry miał gdzieś docinki weterana, w duchu dziękował za możliwość odetchnięcia. Z pleców ściągnął plecak, lekki rucksack z metalowym stelażem. Z jego wnętrza szybko wydobyl suchą parę skarpet. Rozsznurowanie i zdjęcie przemoczonych butów było nie lada wyczynem. Był wściekły na swoją bezsilność. Po kilku próbach udało mu się zrzucić tropikalne buty. Jego stopy były w opłakanym stanie, z pęcherzy sączyła się krew. Nie miał wiele czasu, aby ubolewać nad sobą. Po wytarciu stóp ręcznikiem zasypał je talkiem, po czym nałożył nową suchą parę skarpet. Nałożenie butów także nie okazało się łatwym zadaniem. Zmęczony i spragniony, był jednak dumny z siebie, że mu się udało. Zdążył tylko wypić dwa głębsze łyki wody z manierki, gdy obwieszczono koniec postoj.

- Na co ty, kurwa, czekasz? - sarkastycznie zapytał wolno wstającego z ziemi O'Donella sierżant Farrell.

- Zmieniałem skarpety i zajęło mi to trochę czasu, ale...

- Gównu mnie to obchodzi! Ruszaj dupę i dołącz do oddziału!!!

Nowojorczyk kawałek podbiegł, aby nadążyć za oddalającym się Vasquezem. Ból nóg znacząco zmalał. Pokrzepiony swoim małym zwycięstwem raźniej kroczył, zmierzając w nieznaną.

Ścieżka, którą do tej pory się poruszali, kończyła się na brzegu równiny. Granicę tę porastały wysokie brunatne trzciny. Polana, którą mieli teraz przed sobą, była mała, na jej prawym skraju znajdował się mały leśny staw porośnięty szuwarami i krzewami. W upalne dni, takie jak ten, brodziły tam białe ptaki przypominające wyglądem czaple. Żołnierze przyglądali się, jak kilka z nich zażywa kąpieli w chłodnej wodzie. Wielu mężczyzn zazdrościło im bez troski oraz luksusu, jakie posiadały, i chętnie by się z nimi zamieniło miejscami. Słońce powoli znikało za horyzontem, wszechobecna zieleń zaczynała gasnąć i przybierać czarne, złowieszcze barwy. Żołnierze nie mogli odwrócić wzroku od niewielkiej kolonii czapli białych. Te śnieżnobiałe ptaki o długich czarnych nogach i żółtawych dziobach emanowały jakąś magią. Polanę pokonali w milczeniu, na pożegnanie ptaki rozpostarły skrzydła, jakby się z nimi żegnały.

Powróciły trudne do przebrnięcia kępy bambusów, cały czar sielskiej polany uleciał i odszedł w niepamięć. Gęsta roślinność była typowa dla tropikalnej dżungli w tej strefie geograficznej. Taki typ drzewostanu był

charakterystyczny dla terenów podmokłych i bagnistych. Gdy ostatni żołnierz opuścił polanę, niebo spowity ciemne chmury, z których zaczął padać deszcz o dużych kroplach. Walczący Amerykanie zdążyli się już przyzwyczaić do bardzo zmiennej tropikalnej pogody. Często doświadczali na własnej skórze zarówno okropnego upału, jak i niesamowicie obfitych opadów deszczu. Nie sposób było przewidzieć, jaka pogoda spotka ich podczas długiego patrolu. Ulewny deszcz szybko zamienił podłoże w istne bagno. Co rusz ktoś siarczyście przeklinał, gdy poślizgnął się na mazi zalegającej na podłożu.

Szeregowy Payne szedł od godziny na czele pochodu żołnierzy szczelnie otulonych w poncha przeciwdeszczowe. Idący mieli nadzieję, że deszcz przestanie padać. On natomiast tylko przybrał na sile. Podążający na czele oddziału mężczyzna przez złe warunki atmosferyczne nie widział na dalej niż trzy metry przed siebie. Pomimo baczego wpatrywania się w zieloną gęstwinę nie był w stanie zauważyć, czy wróg nie krył się gdzieś w krzakach. Modlił się w duchu, aby dane mu było przeżyć kolejny dzień w tych strasznych czasach. Odgarnął giętką gałąź, która zwisała na wysokości jego twarzy. Puścił ją w chwilę potem, jak koło niej przeszedł. Ta ze świstem poleciała do tyłu i smagnęła podążającego za nim żołnierza po twarzy.

- Kurwa, Payne, uważaj!!! - zawarczał wściekły Linton.

Bill Payne nie zareagował na obelgi rzucane w jego kierunku. Całą swoją uwagę skupiał na przedzieraniu się przez zawiły gąszcz. Na moment przystanął w miejscu i wyciągnął przydziałowy kompas. Przetarł dłonią zaparowaną szybkę, aby zobaczyć, co wskazuje. Wskazówka na urządzeniu była skierowana na północny zachód, czyli stronę świta, w którą mieli się poruszać, aby dotrzeć do kompanii Alpha. Był z siebie dumny, że udało mu się utrzymać właściwy kierunek marszu. Powiedział wzrokiem wzdłuż ściany zieleni, miał złe przeczucia. Coś, co tam się skrywało, nie było przyjazne i z całą pewnością dybało na jego życie. Ostrożnie przeszedł nad zwalonym, częściowo zmurszałym pniem drzewa. Konar porastał gąbczasty dywan mchu. Unosząca się z ziemi mgiełka nadawała temu miejscu jeszcze bardziej mroczny, prawie mistyczny wygląd. Przy kolejnym kroku nagle ziemia usunęła mu się pod stopami i wpadł na dno jamy z wystającymi zeń bambusowymi kolcami. Poczul przeszywający ostry ból, a z jego gardła wydostał się głośny bulgoczący wrzask:

- Aaaaaaa Chryste!!!

Wbite w ziemię naostrzone pnie bambusa, które były na dnie dołu, przeszły jego nogi w kilku miejscach. Nie mógł się poruszyć, ból paraliżował każdy jego ruch, wrzeszczał na tyle, na ile starczało mu sił. Zaostrzony bambus z łajnem na czubku przebił się przez jego lewą stopę i wystawał w jej środkowej części. Inny kolec namoczony w ekskrementach przebił mu łydkę. Kolejne wystawały z prawej nogi. Nie miał pojęcia, ile tych bambusowych ostrzy wbiło się w jego ciało. Krew z niego wypływała strumieniami, a życie uchodziło. Nie był w stanie sam sobie pomóc, siły go opuściły. Umierał gdzieś pośrodku wietnamskiej dżungli. Chociaż było tu ich wielu, czuł się bardzo samotny.

Gdy tylko usłyszał przeraźliwy wrzask niosący się echem po okolicy, wiedział, że ktoś w tej chwili liczy na jego pomoc. Zareagował błyskawicznie, zanim do jego uszu dotarło wciąż powracające w jego głowie wołanie.

- Sanitariusz!!!

Był nim, bo tak zdecydował stary śmierdzący potem i alkoholem człowiek z punktu werbunkowego w Stanach. Miał za sobą trzy semestry na weterynarii, tylko tyle. Tutaj obarczono go odpowiedzialnością za ludzkie życie. Robił to, jak umiał najlepiej. Wielu uratował, ale jeszcze większej liczbie nie był w stanie pomóc. Kilkunastu skonało w jego ramionach, gdy próbował robić to, do czego został tutaj wyznaczony. On, starszy szeregowy Bruce Crooks, starał się z całych sił nieść pomoc potrzebującym. Gdy zobaczył wystającego z dziury i wrzeszczącego wniebogłose Paynea, wiedział już, co mu się przytrafiło. Doskonale znał pułapkę punji, która wyglądem i zasadą działania przypominała rzymskie lilie. Gdy znalazł się przy cierpiącym mężczyźnie, zobaczył, jak pionowo zaostrzone bambusowe kije wystają z jego obu nóg. Wiedział, że musi działać szybko, ranny tracił dużo krwi. Kolce były celowo zabrudzone zwierzęcymi odchodami, aby zraniony żołnierz dostał zakażenia. W chwilę potem, jak Payne stracił przytomność, dwaj jego towarzysze wyciągnęli go ze śmiercionośnej jamy.

- Mam rannego, potrzebny jest natychmiastowy transport!!! - wrzeszczał Faber do słuchawki radiostacji.

Po kilku trzaskach i szumach uzyskał odpowiedź, że medevak już kieruje się w ich stronę. Musieli dostarczyć rannego na polanę, gdzie kąpały się

śnieżnobiałe ptaki. Tam śmigłowiec medyczny będzie mógł wylądować i zabrać rannego do szpitala. Liczyła się każda chwila, czas działał na ich niekorzyść.

- Clark, Douglas, zabierzcie Paynea na polanę. Tam wsadzicie go na pokład śmigłowca. Crooks, idź z nimi, możesz się przydać. Poczekamy tu na was. Ruszać się!!!

Teraz oficer musiał zadbać o bezpieczeństwo pozostałych żołnierzy z oddziału. Dla rannego zrobił wszystko, co mógł. Jego wrzaski mogły zaalarmować wroga czającego się gdzieś w zaroślach. Uczono go, że większość pułapek była tak skonstruowana, aby okaleczyć i wyłączyć z walki rannego i dwóch-trzech żołnierzy, którzy muszą się nim zająć. Chodziło także o efekt psychologiczny - nic tak nie demoralizuje jak wrzask konającego kolegi. Nakazał zajęcie pozycji strzeleckich, w każdej chwili mogli spodziewać się ataku partyzantów. Pochowani w krzakach czekali, aż mordercze kule zaczną śmigać nad ich głowami. Nic jednak nie nastąpiło, panowała złowieszcza cisza, która aż kłuła w uszy. Czekali aż wysłani z rannym powrócą po jego dostarczeniu na pokład medevaka.

W końcu ruszyli w zupełnym milczeniu. Tom, przechodząc obok dołu z bambusowymi ostrzami, zdziwił się, ile krwi na ziemi pozostawił po sobie Payne. Wszędzie były widoczne krwawe ślady niedawno co przebrzmiałej walki człowieka o życie. Widział oczami wyobraźni, jak to on sam wpada w śmiercionośną paszczę punji. Czuł, jak kolce przeszywają jego ciało, rozrywając mięśnie i ścięgna, jak rozpruwają mundur i sterczą z krwawiących ran. Nie była to śmierć, jaką chciałby zginąć, nie było w niej niczego bohaterskiego. Była raczej groteskowa, a nawet wręcz żenująca. Nie tak i nie tu wolałby oddać swoje życie.

- Jezu - skomentował Fox, gdy przechodził tuż obok pułapki.

Swanson wolnym krokiem podążył za resztą oddziału oddalającego się od miejsca niedawnego nieszczęścia. Nikt nawet słowem nie wspomniał o rannym żołnierzu. To, co się przed chwilą wydarzyło, dla wielu było już zamierzchłą przeszłością. Liczyło się tu i teraz. Z zadumy wyrwało go mocne pchnięcie. To podążający za nim Clark miał dość jego wolnego tępa.

- Rusz swoją dupę, pieprzona cioto!!!

Bostończyk nie miał zamiaru robić sobie wrogów, raczej starał się znaleźć przyjaciela wśród innych żołnierzy. Nie odpowiedział na słowne

zaczepki. Nie chcąc dawać idącemu za nim mężczyźnie kolejnego pretekstu, znacząco przyspieszył swój marsz.

- Harvard, i o to chodzi. Będą z ciebie jeszcze ludzie! - usłyszał komentarz Clarka.

Do pozycji kompanii Alpha dotarli, gdy w górze jaśniejące błękitne niebo zmieniło swoją barwę na szare, a na nim pojawił się srebrny księżyc. Wkrótce po przybyciu okazało się, co żołnierze z kompanii A odkryli podczas przeczesywania terenu. Zamiast wroga Amerykanie zaczęli odkrywać co rusz to nowe składy zaopatrzenia. W rejonie, który przeszukiwała 173 Brygada, natrafiono na duże centrum propagandy Vietcongu. Znalezione tam oprócz tysięcy zdjęć i filmów propagandowych dużo aparatów fotograficznych i kamer filmowych. Odkryto także całą masę sprzętu służącego do wywoływania filmów. Nikt nie spodziewał się takiego znaleziska. Cennym łupem zajęli się wysłani specjalnie w to miejsce ludzie z wywiadu. Oni musieli do ich przybycia pilnować znaleziska. Część ze znalezionego sprzętu trafiła po ich powrocie do Bien Hoa na aukcję ograniczoną tylko dla żołnierzy poniżej stopnia sierżanta. Na aukcji można było nabyć ten sprzęt, jeżeli się dobrze licytowało i posiadało dość gruby portfel.

Siły amerykańskie użyte w operacji Junction City nie odnalazły Centralnego Biura - kwatery głównej Vietcongu na terenach południowego Wietnamu. Operacja została oficjalnie zakończona o północy 17 marca. Według danych US Army straty wroga wyniosły ponad 800 zabitych. W trakcie przeczesywania terenów północno-wschodniej części Strefy Działań Wojennych C odnaleziono i zarekwirowano setki ton zaopatrzenia oraz wiele sztuk broni. Jedyną większą potyczką żołnierzy Sky była półgodzinna, brutalna wymiana ognia, do której doszło 3 marca na południe od Katum. Kiedy przeciwnik wycofał się, na polu walki pozostało 39 martwych partyzantów Vietcongu. Straty Amerykanów wyniosły 20 zabitych i 28 rannych.

VII

FSB PARRY

Tom patrzył na kłęby gęstego, smolistego dymu wydobywające się z beczki, którą przed chwilą podpalił. Był wściekły, że został wyznaczony do tak nędznego zajęcia. Po tygodniach spędzonych w dżungli liczył na błogie lenistwo w Bien Hoa. Planował, że po wykonaniu swoich obowiązków w bazie wyruszy wraz z całą hordą innych spadochroniarzy do barów i burdela mieszczących się zaraz za bramą. Musiał jakoś odreagować traumę pola walki. Zamiast tego wraz z Hackmanem, Gibbsem i Vincentem musiał oczyścić oficerską latrynę. Stanowili drużynę porządkową, którą wyznaczył sierżant plutonu. Długi drewniany barak z miejscami dla sześciu osób stanowił oficerską sralnię. Pod każdą z sześciu okrągłych dziur stała przecięta na pół beczka. Przeważnie była to stalowa beczka po oleju o pojemności około dwustu pięćdziesięciu litrów. Zadaniem ich drużyny było wyjęcie owych beczek wypełnionych ludzkimi ekskrementami i wstawienie na ich miejsce nowych pustych pojemników. Natomiast do wyjętych pełnych musieli nalać taniej nafty zmieszanej z ropą i podpalić je. Śmierdząca zawartość wypalała się w około pół godziny, unosząc do nieba czarny słup dymu.

- Kurwa, niech szlag trafi tego pierdolonego Blake'a! Co ja mu zrobiłem, że wyznaczył mnie do tego gówna? - żalił się Vincent.

- Zamknij się! Im szybciej to zrobimy, tym prędzej będziemy mieć to za sobą - skwitował żale Murzyna Hackman.

Tom nachylił się po następnym, ostatni już pojemnik. Hackman uniósł wahadłową klapę, za którą znajdowała się beczka. Krzywiąc się od smrodu, młody bostończyk wyszarpnął ze środka cuchnący pojemnik. Matt puścił drewniane wahadłowe drzwiczki, które z trzaskiem się zamknęły. Swanson powiódł wzrokiem po napisach znajdujących się na tylnej ścianie latryny.

W znacznej większości ograniczały się do podania liczby dni do zakończenia służby w Wietnamie. Mężczyzna wyciągnął długopis i dodał na ścianie swój napis: „Byłem tu i srałem - Tom Swanson”. Zobaczywszy to, Hackman zaśmiał się i klepnął go w plecy. Chudy, żylasty spadochroniarz ciągnął za sobą pojemnik prawie po krawędź wypełniony gównem. Cuchnąca zawartość co jakich czas przelewała się przez brzeg, oblepiając mundur i skórzane rękawice. Tom próbował zrzucić z siebie śmierdzące elementy, ale była to syzyfowa praca. Przeważnie zmianę umundurowania otrzymywali średnio raz w miesiącu, lecz po powrocie z operacji Junction City jeszcze jej nie dostali. Mundur i sprzęt miał częściowo zgniły od wilgoci. Szkoda mu było rękawic M1950, których używano do ciężkich prac i zjazdów po linie. Darzył je jakimś dziwnym, zupełnie nieracjonalnym sentymentem. Gdy zawlekli już wszystkie sześć beczek na plac nieopodal latryny i wymienili je na nowe, przyszedł czas na spalenie obrzydliwej zawartości. Do każdego pojemnika Gibbs wlał z kanistra trochę ropy. Vincent, biedny Murzyn z Cleveland, wrzucił zapałkę do beczki i odsunął się w chwili, gdy z wnętrza buchnął płomień. Wkrótce paliły się wszystkie pojemniki, wszędzie unosił się mdlący smród. Żołnierze stali w sporej odległości od śmierdzącego miejsca i przypatrywali się efektom swojej pracy.

Stojąc tak, Tom zastanawiał się nad sytuacją różnych grup etnicznych w wojsku. Pamiętał jedno z haseł, które brzmiało: „Będziecie strzec swych towarzyszy broni, a oni będą strzec was. Bez względu na kolor skóry i imię, jakim wzywają Boga”. Czarni czy Latynosi walczyli ramię w ramię z białymi. Polityka ścisłej segregacji praktykowana w czasie II wojny światowej tu, w Wietnamie, nie istniała. Pod morderczym ostrzałem wroga kolor skóry i wyznanie nie miało znaczenia, jednak gdy żołnierze mieli wolny czas, najczęściej przebywali w towarzystwie swojej własnej rasy. Tak było też podczas ich warty porządkowej. Bez żadnego słowa podzielili się na dwie grupy: białych i czarnych. Nikt o tym nie mówił, działało się to podświadomie. Z zadumy Swansona wyrwała wypowiedź Vincenta:

- Pamiętam, jak z braćmi podczas jednej z mroźnych zim ogrzewałem się przy jednej z takich beczek w slumsach gdzieś na przedmieściach Cleveland.

Pozostali przemilczeli wypowiedź szeregowego Macka Vincenta nawiązującą do jego przeszłości. Murzyn zamieszał kijem dopalające się gówno i wrzucił niedopałek papierosa do beczki. Odchodząc w kierunku

swoich baraków, zostawiali za sobą wciąż jeszcze dymiące beczki.

Początkowo żołnierze Sky nie mieli brać udziału w operacji Junction City II, która rozpoczęła się 18 marca. Jednak piechociarze z 1 Dywizji Piechoty nie dawali sobie rady i 173 Brygada została do niej przydzielona. Tym razem celem operacji było przeszukanie terenu na wschód od Katum. 20 marca jednostka została przetransportowana śmigłowcami z Bien Hoa i dokonała desantu w okolicy Minh Thanh. W myśl otrzymanych rozkazów pierwszym głównym zadaniem wyznaczonym dla spadochroniarzy było założenie FSB (*Fire Support Base*) – bazy wsparcia ogniowego. Prace przebiegały szybko i sprawnie. Już 23 marca nowa baza była gotowa. Usytuowano ją 10 kilometrów na północny wschód od miejsca ich lądowania. Teraz ten obóz, na terenie którego powstało kilkanaście drewniano-ziemnych bunkrów, został ich nowym domem i nosił nazwę w nomenklaturze wojskowej FSB Parry. Kolejnym zadaniem spadochroniarzy było zabezpieczenie obozu i przeprowadzenie serii desantów śmigłowcowych dookoła bazy wsparcia ogniowego.

Ranek był słoneczny i jasny. Zapowiadał się ładny dzień. Kapitan Russel Gavin już od dobrej godziny przeglądał mapę sytuacyjną. Stał tak jak żołnierze z jego kompanii na lądowisku usytuowanym nieopodal FSB Parry. Zadanie, które zostało im wyznaczone, wyglądało jak kilkadziesiąt innych, które kompania Charlie wykonywała w przeciągu ostatnich kilku miesięcy. Wydawało się proste i łatwe do zrealizowania. Jak dotąd kontakt z wrogiem nawiązywany był praktycznie codziennie. Były to serie krótkich, brutalnych starć z jednostkami liczącymi zwykle około 30–40 żołnierzy. Dowództwo tym razem wysyłało trzy kompanie z 2 Batalionu na pozycję koło Katum. Były to tereny dotąd niezbadane i leżące poza zasięgiem rozpoznania lotniczego. Po rekonesansie wybrano trzy dogodne miejsca na lądowiska. Po głębszych weryfikacjach na dokonanie desantu śmigłowcowego wybrano polanę najbardziej oddaloną na wschód. Plan obejmował zadania dla całego batalionu i jego poszczególnych kompanii. Kompania Alpha miała lądować jako pierwsza i zabezpieczyć lądowisko. Następnie do rozlokowanych na ziemi żołnierzy mieli dołączyć spadochroniarze z kompanii Charlie. Po sformowaniu szyku marszowego obie formacje miały zostać wysłane na patrole w kierunku północnym i północno-wschodnim. Kompania Bravo miała lądować jako ostatnia i bronić lądowiska przed ewentualnym atakiem

wroga. Natomiast ostatnia z kompanii - Delta - miała pozostać w FSB Parry jako odwód.

Oficer oderwał wzrok od mapy i zaczął bacznie przyglądać się, jak żołnierze z kompanii A ładowali się na pokłady zgromadzonych na pasie startowym śmigłowców transportowych UH-1. Załadunek nie trwał długo. Śmigłowce z rykiem wystartowały i ruszyły w kierunku strefy lądowania.

- Damy żółtkom popalić! Co nie, kapitanie?

Gavin spojrział na podporucznika Fabera, dowódcę 2 plutonu, który zadał pytanie. Osobiście za nim nie przepadał. Ten cyniczny chłopak z Tennessee nie potrafił rozgraniczyć obowiązków i życia osobistego. Nie był tak jak on absolwentem West Point. Ukończył zaledwie stanowy uniwersytet i to z jednym z gorszych wyników. Obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, nie zamierzał mu odpowiadać. W tej wojnie widział już takich jak on, rwących się do walki i ginących podczas wymiany ognia w ciągu pierwszych kilku minut. Młody oficer nie dawał jednak za wygraną.

- Jak Wietnamce będą się stawiać, podsmażymy ich napalmem i obrzucimy bombami. Rozpieprzymy ich wszystkich! - gorączkował się Faber.

Tego było już za dużo. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Musiał zareagować i jasno dać do zrozumienia nachalnemu mężczyźnie, że jego towarzystwo jest niemile widziane.

- Faber, zajmijcie się lepiej swoimi żołnierzami i to już!!!

- Tak jest, kapitanie! - odpowiedział oburzony oficer po krótkim milczeniu.

Faber wykonał zwrot w miejscu i skierował się do grupki żołnierzy zalegających na poboczu pasa startowego.

Swanson kończył palić papierosa, gdy do jego uszu doleciał odgłos zbliżających się śmigłowców. Z każdą chwilą dźwięki przybierały na sile. Nie minęło zbyt dużo czasu, a zobaczył podobną do roju os formację śmigłowców. Maszyny zbliżały się szybko. Padły szybkie komendy nakazujące żołnierzom przygotowanie się do załadunku. Zanim zdążył się podnieść z ziemi i pozbierać swoje wyposażenie, rozległ się łoskot lądujących hueyów.

- Ruszać dupy!!! - wyryczał poirytowany Preiss.

Podmuchał z pracujących na wysokich obrotach śmigieł porwał z czerwono-

rudej laterytowej gleby mnóstwo piachu i wzbil w powietrze chmurę pyłu. Obładowani spadochroniarze z mozołem wchodzili na pokłady śmigłowców transportowych. Każdy z nich posiadał po 15-20 magazynków do M16 lub 800 nabojów do M60. Kompania Charlie zaczęła załadunek do ośmiu maszyn typu Bell UH-1. Żołnierzy transportowano w formacjach po 8 śmigłowców i w sporych odstępach czasowych. Piloci wprowadzili swoje maszyny na jeszcze wyższe obroty i po chwili wystartowali. Zaraz po starcie maszyny uformowały się w dwa klucze po cztery hueye. Początkowo lecieli na wysokości 600 metrów i dopiero cztery kilometry przed strefą desantu zniżyli lot do wysokości wierzchołków drzew. Tom miał jakieś złe przeczucie przed tym patrolem. Nie potrafił tego wyjaśnić, obawiał się czegoś, co czekało tam na dole i do czego teraz zmierzał.

- Przygotować się, przeładować broń! - sierżant rzucił szybki rozkaz.

Obniżyli lot i teraz poruszali się na poziomie wierzchołków drzew, prawie o nie zaczepiając. Wszyscy jak na komendę otworzyli szeroko oczy ze zdumienia. Przed nimi rozciągała się polana, na której mieli desantować. Cała była pokryta czarno-siwym dymem. Na dole trwała zażarta walka. Kompania Alpha odpierała kolejne ataki żołnierzy wietnamskich. Za moment i oni mieli się znaleźć w tym piekle na LZ (*Landing Zone*) - strefie lądowania.

- O kurwa! - skwitował całą sytuację starszy szeregowy Hackman.

Odgłosy bitewnego zgiełku było słychać nawet przez wyjące silniki śmigłowców. Lądujące maszyny powitała lawina ognia. Żołądek podszedł Tomowi pod gardło, bał się, ale zarazem chciał jak najszybciej znaleźć się na ziemi. Strzelcy boczni UH-1 D, którym leciał bostończyk, uzbrojeni w karabiny maszynowe M60 zawieszane na specjalnych, elastycznych taśmach zwanych *bungee cord*, otworzyli ogień do przeciwnika. Gdy znaleźli się na wysokości 10-15 m, wszyscy transportowani spadochroniarze wyszli na płozy. Niektóre maszyny już wylądowały, ich śmigłowiec jednak tego nie robił, zawisł na wysokości metra nad ziemią.

- Wyskakujcie, do cholery!!! - wrzasnął pilot, walcząc ze sterami śmigłowca.

Musieli skakać. Swanson opuścił maszynę jako jeden z pierwszych. Gdy tylko znalazł się na ziemi, przylgnął do niej z całej siły. Ostrzelane hueye momentalnie wystartowały z powrotem do FSB Parry po pozostałych

żołnierzy kompanii C. Śmigłowce odleciały, a żołnierze zaraz po wylądowaniu rozbiegli się we wszystkie strony.

Tuż obok Toma leżeli Hackman i Clark. Nikt się nie podnosił, pociski świstały tuż nad ich głowami. Swanson rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu schronienia. Całą polanę porastała wysoka trawa oraz nieliczne młode drzewa. Gęsta roślinność nie zapewniała jednak ochrony przed śmiertelnościami pociskami i odłamkami. W słoniowej trawie widoczność ograniczała się zaledwie do 2-3 metrów. Nie było wiadomo, gdzie dokładnie jest przeciwnik, a gdzie pozostali Amerykanie. Tak właściwie to Tom zaczął o tym myśleć dopiero wtedy, gdy opróżnił pierwszy magazynek od M16. Podczołgał się kilka metrów do przodu. Przeładował broń i wystrzelił trzy długie serie w kierunku, z którego dolatywał największy hałas. Clark wystrzelił dwa pociski z M79 i z głupią miną wpatrywał się w przedpole, mając nadzieję, że coś tam zobaczy.

- Trzymajcie głowy nisko, tutaj niewiadomo, kto do kogo strzela - oznajmił Hackman.

Wszyscy obrócili się w lewo, celując w miejsce, gdzie ktoś się przedzierał przez gęstą trawę. Skuleni, biegnąc chyłkiem, zbliżali się do nich Howard i Cook, taszcząc ze sobą ukm M60. Mężczyźni opadli na ziemię tuż obok pozycji Clarka. Odgłosy walki stawały się coraz głośniejsze. Zewsząd dolatywały nawoływania oraz błagalne prośby o pomoc. Czołgając się dalej, natrafili na ciała żołnierzy z kompanii Alpha leżących wspólnie z zabitymi Wietnamczykami. Zabici wrogowie nosili mundury regularnej armii północnowietnamskiej (APW).

Sierżant Jim Dewey wraz z żołnierzami z drużyny wsparcia opuścili w pośpiechu ciągle ostrzeliwany UH-1. Uszli zaledwie kilka kroków, bo zostali przygwożdżeni do ziemi celnym ogniem broni maszynowej. Wokół nich z ziemi wyrastały liczne kopce termitów, a wysoka brunatno-żółta słoniowa trawa i gęste krzaki zasłaniały cały teren. Mogli jedynie dostrzec majaczące w oddali okalające polanę wysokie drzewa. Obsługa pośpiesznie rozstawiła moździerz 60 mm M19 i przygotowała go do otwarcia ognia.

- Strzelamy w kierunku linii drzew, tam pewnie są te żółte małpy - rozkazał Dewey.

Herrick nastawił koordynaty na celowniku i kiwnął głową na znak, że jest gotowy. Obsługa czekała na komendę do otwarcia ognia strefowego.

Coleman wrzucił pierwszy pocisk, by po chwili usłyszeć głuchy odgłos w momencie, gdy granat opuszczał przewód lufy. Nie spostrzegli jednak efektu działania pocisku. Nie mieli pojęcia, czy w ogóle zadawali jakieś straty stronie przeciwnej, czy prowadzili ogień bratobójczy. Musieli jednak zaryzykować i kontynuować ostrzał naprędce wyznaczonego celu.

- Amunicja! Dawajcie amunicję!!! - wrzask Colemana przedarł się przez bitewny zgiełk.

Amunicyjni Mills oraz Harper dostarczyli jak najszybciej pociski, których liczba dramatycznie się zmniejszała z minuty na minutę. Skupieni na ostrzeliwaniu odległych pozycji nie zauważyli, jak spośród traw wyskoczyło dwóch Wietnamczyków. Zgromadzeni w jednym miejscu Amerykanie byli dla nich idealnym celem. Otworzyli ogień, nie przestając biec w kierunku usytuowanych obok moździerza żołnierzy. Mills stał się pierwszą ofiarą nadbiegających, został ciężko ranny w klatkę piersiową oraz kręgosłup. Harper otrzymał postrzał w ramię, ale sam zdołał oddać prześladowcom. Celny ogień z M16 skosił biegnącego z lewej strony, który zniknął mu z oczu w gęstej trawie. Drugi z napastników skoczył na niego i przygwoździł go do ziemi. Oczy żołnierza APW pałały chęcią zemsty, był zaślepiony furją. Nie działał jednak rozważnie i w chwilę później Bobby Harper zatopił w jego ciele bagnet, aż po samą rękojeść. Po dłoni kurczowo zaciśniętej na nożu spłynęła mu strużka ciepłej krwi. Amerykanin zrzucił z siebie drgające konwulsyjnie ciało wroga. Opadło nieopodal miejsca, gdzie leżał martwy szeregowy Mills. Strata przyjaciela była czymś okropnym, ale on musiał się teraz skupić na tym, aby samemu wyjść z tego piekła z życiem. Przeciwnik nacierał z każdego kierunku, a siły amerykańskie topniały w okamgnieniu. Dewey zdawał sobie doskonale sprawę, że jeżeli szybko nie otrzymają posiłków, to bitwa może okazać się przegraną. Dlatego nadlatujące kolumny śmigłowców przyjął z wielką ulgą. Ich siły tu na dole już za chwilę miały zostać wzmocnione.

Porucznik Pickok miał desantować z kolejną falą żołnierzy z kompanii Charlie. Na początku decyzję przełożonego przyjął z dużą dezaprobatą. Teraz, gdy jego oczy widziały, co działo się tam na dole, dziękował Bogu, że nie desantował w pierwszym rzucie. Wiedział doskonale, że wielu młodych Amerykanów walczyło o swoje życie, a wielu z nich zostanie rannych lub zginie w boju.

Gdy śmigłowce transportowe zniżyły lot, podchodząc do lądowania, stały się obiektem zażartej nawałnicy z broni maszynowej. Żołnierz siedzący tuż obok oficera został trafiony w klatkę piersiową i runął w dół, by za moment uderzyć w pobliską płataninę krzaków porastających ziemię. Kule wystrzeliwane z wietnamskich AK-47 z głuchym terkotem odbijały się od kadłubów lądujących maszyn. Zastępca dowódcy kompanii C widział, że niektórzy jego żołnierze zostali postrzeleni jeszcze przed opuszczeniem śmigłowców. Część UH-1 nie mogła lądować i spadochroniarze musieli z nich wyskakiwać. Był to jedyny sposób, aby dostać się na pole walki. Po wysadzeniu desantu ostrzelane maszyny momentalnie ruszały w powrotną drogę. Piloci chcieli jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem morderczego ognia wroga.

- Naprzód!!!

Tak właściwie to oficer nie musiał podawać tej komendy do opuszczenia śmigłowca. Zgromadzeni w jego wnętrzu żołnierze i tak jak najszybciej chcieli znaleźć się pośród gęstej trawy, aby tam szukać schronienia przed śmiertcionośnymi pociskami. Z głośnym rykiem wirników maszyna poderwała się z ziemi i skierowała w kierunku FSB Parry. Pickok ukląkł, próbując zorientować się w sytuacji. Na ziemi wszystko jeszcze gorzej wyglądało niż z pokładu hueya. Panował totalny rozgardiasz, nikt tutaj nie dowodził.

- Za mną! Tych żółtków należy odnaleźć i zniszczyć! - skierował swoje słowa do grupki żołnierzy kurczowo przyklejonych do ziemi.

Poruszali się, trzymając się jak najniżej ziemi, aby ich głowy nie wystawały poza słoniową trawę. Wykorzystując przeszkody terenowe jako osłony, starali się jak najszybciej dotrzeć do walczących towarzyszy broni. Pickok usiłował zapanować nad strachem i nie dopuścić do tego, aby wybuchła panika. Miał zamiar zebrać jak najwięcej żołnierzy i przeprowadzić kontratak.

Larry O'Donnell odprowadzał wzrokiem poważnie uszkodzony śmigłowiec, który ciągnął za sobą długą kitę czarnego dymu. Silnik maszyny pracował nierównomiernie, od czasu do czasu przerywając swoje działanie. Pilot hueya próbował zapanować nad coraz to bardziej chwiejnym pojazdem. Nowojorczyk zauważył, że UH-1 w pewnym momencie przechylił się na lewą stronę, by po chwili zaczepić śmigłami o niskie, młode drzewa. W miejscu,

gdzie maszyna runęła na ziemię, powstała ognista kula, a kłęby smolistego dymu wzbity się ku niebu.

- Kurwa, ale masakra! - wycedził przez zęby kapral Gordon.

Jeszcze przez chwilę stłoczeni na małej polance żołnierze spoglądali w kierunku niedawnej katastrofy. Chociaż byli na ziemi dopiero parę minut, bo przybyli z drugą falą desantu, znaleźli się od razu w centrum działań. Kapral rozejrzał się dookoła, nigdzie nie mógł znaleźć sierżanta. Wyglądało na to, że będzie musiał przejąć dowodzenie nad 2 Drużyną.

- Dennis, co dalej? Co robimy?

Pytanie szeregowego Edwarda Stoctona ciągle rozbrzmiewało w głowie Gordona. Podoficer nie miał pojęcia, co dalej, sam oczekiwał rady od towarzyszy. Obecna sytuacja po prostu go przerastała. Wybawienie przyszło z jak najmniej oczekiwanej strony. Z gęstej trawy wyłonił się porucznik Pickok z dwunastoma spadochroniarzami.

- Gordon, co się tak gapisz?! Zbierz swoich ludzi i podążajcie za nami.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Był niezmiernie zadowolony z pojawienia się oficera i zdjęcia z jego barków ciężaru dowodzenia.

- Słyszeliście, co porucznik powiedział! Szybciej ruszać dupy!!!

O'Donell ruszył w ślad za podoficerem i resztą drużyny, którzy szybko zniknęli mu z oczu w złowroziej płataninie roślinności. Nie uszedł daleko, gdy do jego uszu doleciał przeciągły dźwięk trąbki sygnalizacyjnej. Mogło oznaczać to tylko jedno. Wróg ruszył do natarcia.

Celowniczy z ładowniczym smętnie spoglądali na puste skrzynki amunicyjne. Ich zapas amunicji do moździerza, który posiadali, został zużyty. Czterdzieści granatów kalibru 60 mm, którymi dysponowali, wystrzelili zaledwie w kilkanaście minut. Ich M19, który zawsze dawał wsparcie piechocie w krytycznych chwilach i uzyskał w ich oczach wielki szacunek, teraz był bezużyteczny. Na coraz głośniejsze odgłosy nadciągającego wroga zareagowali natychmiast.

- Nie damy się im, mój mały przyjacielu - zwrócił się do moździerza starszy szeregowy Coleman.

Obsługa, przyjmując teraz postawę strzelecką, leżąc, czekała z przygotowaną do strzału bronią etatową M16. Do pierwszego wietnamskiego piechura otworzył ogień Harper. Trafiony żołnierz zgiął się wpół, po czym opadł bezwładnie na ziemię. Kolejni napastnicy pojawili się

w okamgnieniu, przeskakując nad ciałem zabitego towarzysza. Nikt nie czekał na komendę podoficera do otwarcia ognia. W miarę możliwości każdy ostrzeliwał cel, który pojawiał się nagle, wyłaniając się z gęstych zarośli. Dewey nie zdążył zareagować, nie mógł zrobić nic, sparaliżował go strach. Patrzył tylko, jak granat płynnym lotem ląduje tuż obok miejsca, w którym się znajdowali. Eksplozja nastąpiła błyskawicznie, zasypując Amerykanów piaskiem zmieszanim z rozżarzonymi odłamkami. Większość śmiertelnościowego metalu przeleciała jednak nad przyciśniętymi do ziemi spadochroniarzami. Tylko trzy z nich ugodziły w udo kaprała Herricka. Zaklął siarczyście, ale nie przerwał ostrzeliwania swojego sektora. Po wybuchu granatu nastąpiła cisza. Wróg nie podejmował próby przedarcia się przez pozycję zajmowaną przez obsługę moździerza.

- Na co oni czekają, do cholery! - zastanawiał się Matt Coleman.

- Na pewno nie na zaproszenie.

- Ależ ty jesteś walnięty, Harper - skwitował sarkastyczną odpowiedź Herrick.

Dobrze słyszeli rozmowy wrogich żołnierzy czających się gdzieś koło nich w płataninie słoniowej trawy. Zdawali sobie sprawę, że jest to tylko chwilowa przerwa w walce. Zarówno wróg, jak i oni ponieśli straty. Amerykanie szykowali się w napięciu na kolejny atak, licząc na to, że i ten będą w stanie odeprzeć.

Dowódca kompanii Charlie, kapitan Gavin, został postrzelony w ramię, będąc jeszcze na pokładzie śmigłowca transportowego. Sanitariusz opatrzył mu ranę bardzo szybko i sprawnie. Z grupą żołnierzy, z którą dostał się na pole walki, prędko przemieszczał się naprzód. Byli jak znakomicie działający zespół, błyskawicznie reagujący na ruchy przeciwnika. Do oddziału dowodzonego przez porucznika Pickoka dotarł w chwili, gdy na pozycje Amerykanów zaczęły spadać osiemdziesięciodwumilimetrowe granaty moździerzowe. Ostrzał był morderczy, rozpętało się prawdziwe piekło. Podoficer sanitarny sierżant Hal Kinnard, który jeszcze przed chwilą opatrywał rannych, teraz sam został trafiony odłamkiem. Z rany w głowie gwałtownie wypływała krew. Nie sposób było jej zatamować. Orwig z Dorseyem próbowali coś zaradzić.

- Dawaj, Kinnard, nie poddawaj się, walcz!!! - wrzeszczał Orwig, próbując zatamować obfite krwawienie.

Rana okazała się jednak zbyt poważna. Sanitariusz spoczął martwy w lesistej i odludnej dolinie, porośniętej gęsto słoniowymi trawami, wysokimi w tym miejscu prawie na metr.

Na wietnamski ostrzał odpowiedziała znajdująca się w rejonie działań bateria haubic 105 mm, udzielając spadochroniarzom natychmiastowego wsparcia. Ostrzał artyleryjski siał zniszczenie w szeregach żołnierzy APW. Gavin przez ułamek sekundy widział, jak kilku żołnierzy wroga znalazło się w samym centrum wybuchu pocisku artyleryjskiego. Po eksplozji nie było po nich śladu, jakby nigdy wcześniej nie istnieli. Inni też obserwowali skutki nawałnicy ogniowej, powstawanie lejów po eksplozjach oraz spektakularne niszczenie drzew okalających lądowisko. Po dwudziestominutowym ostrzale wietnamskie moździerze umilkły. Na to czekał dowódca kompanii, musiał przegrupować siły i spróbować kontratakować. Do południa siły amerykańskie zdołały się połączyć i uformować jedną, zwartą pozycję obronną.

Kapitan przypatrywał się papierowej twarzy rannego żołnierza niesionego na improwizowanych noszach przez sześciu ludzi w kierunku punktu medycznego. Przeważnie do tej czynności wystarczało czterech ludzi, ale zważywszy na trudny teren, musiała tę samą czynność wykonywać większa liczba żołnierzy.

- Kurwa! - wysyczał z bólu jeden z noszowych smagniętych po twarzy cienką witką młodego drzewa.

Oficer przetarł spocone czoło. Piekły go oczy, dręczyło ogromne pragnienie. Opadł na ziemię, szukając tam schronienia przed bezlitosnymi promieniami słońca. Na niewiele jednak się to zdało. Wśród gęstej trawy panował niemiłosierny zaduch. Na domiar złego w jego kierunku szedł podporucznik Faber. Zmierzył go surowym wzrokiem. Młody oficer ukucnął przy swoim dowódcy. Przez moment nic nie mówił, panowała nieznośna cisza.

- Pan kapitan ma może chęć na rozmowę? - z głupim wyrazem twarzy Faber zadał swoje stanowczo nie na miejscu pytanie.

- Poruczniku, nic pana nie nauczyli na kursie oficerskim? Teraz powinien pan być ze swoimi ludźmi. Sprawdzić, czy czegoś nie potrzebują, zadbać o morale. A co pan robi?! Ucieka od odpowiedzialności! Wynos się do swoich ludzi, bo wyślę cię pod sąd wojenny!

- Niech pan lepiej uważa... - zagroził oddalający się podporucznik.

W miejscu wyznaczonym im jako ich rubież obrony z ziemi pomiędzy kępą gęstych krzaków wyrastały liczne kopce termitów. Takie ukształtowanie terenu stanowiło dobrą pozycję defensywną. Tom zastanawiał się, kiedy wróg ponownie uderzy. Musiał wykorzystać dany mu czas. Był spragniony jak nigdy dotąd. Wodę z jednej z manierek łąpczywie wypił, co do ostatniej kropli. Musiał zacząć ją racjonować, bo nie miał pojęcia, kiedy wylądują śmigłowce z zaopatrzeniem. Będąc w trakcie szykowania swojego stanowiska ogniowego, usłyszał głos trąbki, potem liczne gwizdki oraz krzyki. Wietnamczycy ponownie rozpoczęli zmasowane natarcie. Tym razem na szerszą skalę, uderzając w kilku miejscach naraz. W powietrzu zaświszczały kule. Na zajmowane przez nich pozycje zaczęły spadać granaty móżdziejowe i pociski z granatników. Z odgłosów docierających z ich lewej flanki, gdzie broniła się kompania Alpha, można było wywnioskować, że walka była tam bardzo zacięta.

Howard i Cook ustawili karabin maszynowy Colt Arms M60 tuż obok kopca termitów, przy którym leżał Swanson.

- Niech tylko się pojawiają! Chodźcie, wy żółte skurwysyny!!! - wydierał się na całe gardło grenadier Clark, mocno ściskając swoje M79.

Nie musieli długo czekać. Niespełna dwie minuty później oddział w sile około trzydziestu żołnierzy wyskoczył na nich z prawej strony. Rozpętało się piekło. Morderczy ostrzał zbliżającego się wroga coraz bardziej przybierał na sile. Tom celną serią z M16 położył trupem trzech Wietnamczyków, którzy wybiegli wprost pod jego lufę. Zabłąkana kula odbiła się rykoszetem od twardego jak beton kopca i ugodziła w udo szeregowego Vasqueza. Upadł na ziemię na chwilę przed tym, jak seria z broni maszynowej skosiła niski krzak, przy którym dotychczas klęczał. Ku obopólnemu zdziwieniu z ich lewej flanki pojawiło się kilku żołnierzy z kompanii A. Opuszczali zajmowany rejon, zawładnęła nimi panika. Pomiędzy dwójką ostatnich spadochroniarzy wybuchł pocisk z RPG-7. Jeden żołnierz poległ, a drugi ciężko ranny, nie zważając na swojego towarzysza, wycofał się, ciągnąc za sobą rozszarpaną nogę. Za chwilę nie było po nich śladu, zniknęli wśród wysokiej brunatno-żółtej słoniowej trawy.

Tuż obok głowy bostończyka uderzył pocisk karabinowy. Wietnamscy piechurzy zdążyli dotrzeć na odległość kilku metrów od pozycji

spadochroniarzy, ale tam zostali zatrzymani. Ogień zaporowy prowadził z M60 starszy szeregowy Howard. Nadbiegający żołnierze wyłaniający się jak duchy z gęstej trawy padli jak skoszone zboże.

- Dawaj amunicję, Earl!!! - celowniczy kaemu ponaglał swojego amunicyjnego.

Cook zdążył tylko wstać, gdy kula trafiła go w rękę, obróciło nim i upadł na plecy. Przez chwilę się nie podnosił i nie dawał oznak życia.

- Zajebię tego skośnookiego pedała, co mnie trafił! - gorączkował się Cook, podnosząc się z grymasem bólu malującym się na twarzy.

Howard dostrzegł szeregowego Moore'a trafionego poważnie w głowę, z roztrzaskaną czaszką. Hełm ciężko rannego potoczył się po błotnistej ziemi i zatrzymał się tuż obok strzelającego celowniczego M60. Mimowolnie Howard zajrzał do środka hełmu, spoczywały tam kawałki czaszki zmieszane z mózgiem. Widok był obrzydliwy, przyprawiający o mdłości. Moore przez chwilę jeszcze żył, spoglądając na towarzysza mglistymi oczami. Odszedł z dziwnym wyrazem twarzy, który powstał w chwili śmierci. Wyrażał jakby totalne zdziwienie.

- Trzymaj, Steve - oznajmił Cook, wręczając taśmę M13 o pojemności 100 nabojów.

Celowniczy załadował taśmę i momentalnie otworzył ogień. Niestety lufa od M60 zaczynała się przegrzewać. Howard długo się nie zastanawiał, ważna była każda sekunda. Aby schłodzić swój kaem, przekręcił się na bok i oddał nań mocz.

Chociaż widoczność w słoniowej trawie była bardzo ograniczona, Tom oczyma wyobraźni widział każdego zbliżającego się wroga. Niska postać pędząca na niego z ochryplym wrzaskiem nie była jednak wymysłem jego fantazji. Do nadbiegającego przeciwnika bostończyk oddał dwie krótkie serie, po czym skończyła mu się amunicja w magazynku. To jednak wystarczyło, napastnik leżał martwy, dzierżąc w swoich martwych dłoniach RPG-2. Ten ręczny granatnik przeciwpancerny był szeroko wykorzystywany nie tylko do zwalczania pojazdów. Bardzo często żołnierze APW używali go w walce do unicestwiania siły żywej przeciwnika. Swanson przeładował broń, ukląkł przy małym drzewku i oparł o nie karabin. Taka pozycja wydawała się dość stabilna. Po swojej prawej stronie miał wysoki na dwa metry kopiec termitów, który zapewniał ochronę. Cały się trząsł. Inni

spadochroniarze leżeli plackiem i prowadzili ogień do ciągle pojawiających się nowych wrogów.

Wśród bitewnego zgiełku Tom zauważył cienką wstążkę czerwonego dymu wzbijającego się ku niebu. Był to znak, że ktoś wezwał wsparcie powietrzne, a pozycje Amerykanów oznaczono czerwonym dymem. Z hukiem nad polem walki pojawiły się dwa myśliwce F-100 D Super Sabre lecące na niskim pułapie. Rozpoczęło się spektakularne bombardowanie z użyciem 750-funtowych bomb i napalmu. Bomby wybuchały i wyrzucały w górę słupy ziemi. Swanson obserwował, jak oderwane od samolotu srebrne zbiorniki z napalmem, koziołkując, zaczęły spadać w dół. Żołnierze będący w miejscach eksplozji byli po prostu kremowani. Jeden z pojemników z napalmem wybuchł w koronie drzew okalających strefę lądowania i płonący napalm spływał w dół, rażąc zgromadzonych tam Wietnamczyków. Samoloty nadlatywały kilkakrotnie, mężczyzna nie był w stanie określić, ile czasu w rzeczywistości trwało bombardowanie. Przyniosło jednak piorunujący skutek. Dziesiątkowany przeciwnik wycofał się.

Kolejne silne natarcie piechurów północnowietnamskich zaczęło się o 17:30. Oddział pod dowództwem podporucznika Fabera zajął pozycję na prawo od 3 plutonu. Jak zwykle na szeregi Amerykanów spadł grad osiemdziesięciodwumilimetrowych pocisków moździerzowych. Główną zaporę tworzyły dobrze rozlokowane gniazda karabinów maszynowych, choć same znajdowały się pod ciągłym ostrzałem, prowadziły niemal cały czas ogień. Szeregowy Bruce Wright zajął kluczowe miejsce i otworzył ogień z M60. Celny ogień z kaemu dziesiątkował pierwszy oddział atakujących żołnierzy APW. Ogień moździerzowy nasilił się. Pociski padały coraz bliżej linii zajmowanych przez spadochroniarzy. Powietrze przesycone było zapachem materiałów wybuchowych.

- Mamy jeszcze tylko trzy taśmy - oznajmił Weber, patrząc, w jak szybkim tempie celowniczy zużywa bezcenną amunicję.

- Brady, przestań pieprzyć! Jak przestanę strzelać, oni zasypią nas granatami. Chcesz przeżyć ten burdel?!

Wright na chwilę przerwał ostrzeliwanie niewidocznego nieprzyjaciela. Patrzył w ślad za poważnie rannym w ramię sierżantem Preissem, który nie zważając na ogień wroga, poruszał się wzdłuż linii obrony. Starał się walczącym dodać otuchy i zagrzać do walki. Tuż za nim podążał szeregowy

York. Celną serią z AK-47 przecięła go i zgiął na miejscu. W tym czasie natarcie wytraciło na impecie. Odparto je, ale broniącym się zaczęła kończyć się amunicja oraz woda.

Kapitan Russel Gavin rozmieścił dwa plutony w linii z zadaniem ostrzeliwania przeciwnika, trzeci miał dokonać oskrzydlenia pozycji wietnamskich. Żołnierze uformowali się w szereg w kształcie litery V, na środku podążał dowódca kompanii C. Skradali się, idąc przez coraz bardziej gęste trawy sięgające im prawie do piersi. Nie uszli jednak daleko, ich fortel został przejrany. Gniazdo wietnamskiego RPD otworzyło do nich morderczy ogień. Przeszyty serią z karabinu maszynowego szeregowy Linton zgiął na miejscu. Amerykanie zostali przygnieceni do ziemi. Swanson leżąc na ziemi, starał się odpowiedzieć ogniem.

- Musimy zdobyć ten kawałek terenu i utrzymać pozycje - oznajmił Gavin.

Szeregowy Todds wycelował z raketowego granatnika przeciwpancernego LAW M72 w miejsce, gdzie jego zdaniem powinna znajdować się obsługa wrogiego kaemu. Rakietę kalibru 66 mm z sykiem opuściła tubę, w której była umieszczona. Pocisk leciał w kierunku celu z całkiem dużą prędkością. Pancernica była bronią jednorazowego użytku, więc Todds porzucił bezużyteczny sprzęt i ukrył się za niewielkim drzewem. Po wybuchu rakiety nastąpiła chwila ciszy. Pocisk jednak nie dosięgnął celu i obsługa wkrótce ponownie otworzyła do nich ogień. Ed Fox, piegowaty dziewiętnastolatek z Iowa, trafiony karabinowym pociskiem w szyję padł na ziemię. Leżał na plecach i patrzył w niebo. Łzy płynęły mu po twarzy.

- Boli, jak cholernie boli! - zawodził raniony spadochroniarz.

Opatrywaniem go zajął się szeregowy Crooks, szybko aplikując mu zastrzyk z morfiny i bandażując przestrzelinę, próbując zatamować obfite krwawienie.

Obsłudze wietnamskiego kaemu zaciął się karabin. To umożliwiło grenadierom ostrzelanie ich stanowiska z M79 i wyeliminowanie go. Wymiana ognia stała się coraz rzadsza. Zaczynało się ściemniać. W tropikach zmierzch zapadał bardzo szybko. Musieli się przygotować do walki prowadzonej w nocy. O zmierzchu zaatakowały ich hordy mrówek i komarów.

Wieczorem walki ucichły, ale nie było jednak wiadomo, czy oddziały APW rzeczywiście wycofały się i czy o świcie nie spróbują zaatakować ponownie. Polegli leżeli tam, gdzie dosięgła ich śmierć. Dało się słyszeć krzyki i nawoływania rannych zarówno Amerykanów, jak i Wietnamczyków. Nikt nie spał, chociaż byli niemiłosiernie zmęczeni i odwodnieni. Brakowało im amunicji i wody. Dawno wypili już zapasy z manierek. W świetle księżyca łapczywie spożywali zawartość puszek z brzoskwiniami.

Co rusz strefa lądowania była oświetlana przez flary zrzucone przez samoloty transportowe C-123 Provider. Spadochroniarze samoloty takie jak te, które nad nimi przelatywały, nazywali świetlikami. Jedna z takich maszyn przeleciała nad amerykańskimi pozycjami i zrzuciła flary zawieszane na spadochronach żarzące się jaskrawym światłem. Niedługo potem samolot zniknął w całkowitych ciemnościach. Jedyнным świadectwem jego niedawnej obecności pozostawały unoszące się w powietrzu flary i powoli milknący warkot silników.

Wkrótce na LZ zaczęły lądować śmigłowce sanitarne do ewakuacji rannych. Lądowanie maszyn zabierających rannych odbywało się już w całkowitych ciemnościach. Lądujące hueye witał sporadyczny ogień przeciwnika. Ostrzał prowadzili liczni snajperzy, którzy wdrapali się na okalające lądowisko drzewa. Niedługo potem w jasnym świetle księżyca pojawiły się UH-1, które w trakcie wieczornego lotu zaopatrzeniowego dostarczały amunicję, pocztę, wodę oraz gorący posiłek.

Do rana siły północnowietnamskie nie podjęły szturm. Poranek przyniósł natomiast dwudziestominutowe przygotowanie artyleryjskie. Ogień prowadziła bateria haubic 105 mm z FSB Parry. Nie zdążyły jeszcze przebrzmieć odgłosy wybuchów artyleryjskich, gdy na niebie pojawiły się śmigłowce. Na czele leciał obserwacyjny Bell OH-13 Sioux, za nim podążały śmigłowce szturmowe UH-1 B. Lecące w ciasnym szyku helikoptery wykonały atak grupowy na obiekt. Obrzeża lądowiska zostały ostrzelane z wyrzutni rakiet FEAR kalibru 70 mm. Po ostrzale rakietowym, pół godziny po wschodzie słońca, na LZ wylądowała kompania Bravo. Operacja przechodziła na kolejny etap, zaczynał się właściwy cel misji.

VIII

PATROL

Po wylądowaniu kompanii Bravo i zabezpieczeniu lądowiska oba pododdziały dotychczas walczące na LZ miały rozpocząć przeszukiwanie pobliskiego terenu. Tom przyglądał się, jak przybywa kolejna fala śmigłowców transportowych. Patrzył na spadochroniarzy w biegu wysiadających ze śmigłowców. Wietnamski ostrzał dawno już umilkł, ale nowo przybywający żołnierze nie mieli o tym pojęcia. Po przybyciu kompanii B, kompanie A i C miały posuwać się w kierunku północnym i północno-wschodnim. Uformowanie szyku marszowego nie było jednak łatwe. Żołnierze mieli dość, byli po całodziennym ciężkim boju. Nikogo jednak z dowództwa to nie interesowało. Padł rozkaz o wymarszu na patrol i byli zmuszeni go wykonać.

Swanson jeszcze nie ochłonął po wydarzeniach sprzed zaledwie paru godzin, a już musiał wykonać kolejne trudne zadanie. Liczył raczej na dłuższy odpoczynek i podziękowanie za wygranie walki o LZ. Nic takiego się nie wydarzyło. Pierwszy raz walczył z regularnymi wojskami APW. Ta bitwa była jego sprawdzianem bojowym i w jego mniemaniu zdał go celująco.

Kiedy zabezpieczono lądowisko, spadochroniarze rozpoczęli przeszukiwanie terenu niedawnego starcia. Rozstawieni w tyralierę powoli przesuwali się naprzód, kierując się w stronę wysokich drzew okalających strefę desantowania. Trzeba było zachować szczególną ostrożność, wróg nadal mógł kryć się gdzieś pośród gęstej roślinności. W tym celu nakazano im nałożyć bagnetę na broń.

- Kurwa, traktują nas jak mięso armatnie! Zamiast nas złuzować, każą leżeć bestii prosto do pyska - żalił się Vincent, bacznie rozglądając się i w każdym kierunku oczekując wroga.

- Przestań pieprzyć, czarna cioto - zrugął go idący za nim Dennis

Gordon.

Z każdym pokonywanym metrem trawa stawała się coraz wyższa i gęstsza. Mijali ciała poległych Wietnamczyków. Byli to zarówno żołnierze sił zbrojnych komunistycznego Wietnamu Północnego, jak i partyzanci z Vietcongu. Piechurzy z regularnego wojska odziani byli w prosty mundur koloru zielonego lub khaki, gumowo-płóciennie buty oraz korkowe hełmy lub kapelusze z materiału. Uzbrojeni przeważnie byli w karabin kałasznikow AK-47, do którego posiadali jeszcze trzy dodatkowe magazynki umieszczone w zasobnikach na piersiach. Natomiast mijani partyzanci z Vietcongu nie mieli formalnego umundurowania, zazwyczaj ubrani byli w proste odzienia typowe dla chłopstwa w Południowo-Wschodniej Azji - nazywane przez Amerykanów czarnymi piżamami. Na głowach przeważnie nosili kapelusze ryżowe, a na nogach sandały. Tom zwrócił uwagę na żołnierza APW, który siedząc, opierał się plecami o małe drzewo. Był ciężko ranny, z ledwością łapał powietrze. W odróżnieniu od wcześniej mijanych posiadał dodatkowy element maskujący w postaci „peleryny” z liści zawiązanej wokół szyi. Gdy bostończyk się do niego zbliżał, Wietnamczyk skupił na nim swój wzrok.

- Chieu hoi, Chieu hoi! - przemówił umierający, gdy Swanson zbliżył się do niego na odległość trzech kroków.

Nic więcej jednak nie powiedział, bo kapral Gordon wpakował mu dwie kule z M16 w pierś. Martwe ciało powoli osunęło się z pnia drzewa i spoczęło obok niego.

- Pierdolony ryżojad, teraz jest faktycznie martwy - skwitował swój postępek podoficer.

Gordon obrzucił złowrogim spojrzeniem nadal zdumionego zaistniałą sytuacją szeregowego. Rzucił krótko w jego kierunku:

- Rusz dupę, Harvard, przestań się litować nad tymi skośnookimi małpami!!!

Wkrótce opuścili miejsce, gdzie spoczywało martwe ciało Wietnamczyka. Wyszli z gęstych słoniowych traw i zbliżali się do ściany lasu. Teren zryty był granatami artyleryjskimi, pełen powywracanych, poszarpanych drzew. W tym miejscu wyznaczono postój dla obu kompanii 2 Batalionu. Bez większych problemów można było odnaleźć liczne krwawe ślady, porzucone okrwawione bandaże i wyposażenie oraz liczne zwłoki pochowane w płytkich grobach. Spadochroniarze, którzy dotarli do tego miejsca wcześniej,

poukładali na małym stosie zdobyczną, porzuconą przez Wietnamczyków broń. Z zaciekawieniem Tom podszedł do miejsca, gdzie ją zgromadzono. Arsenał był bardzo zróżnicowany, chociaż dominowały tu karabinki szturmowe AK-47. Na stercie leżało także kilka sztuk SKS i pamiętające czasy II wojny światowej karabiny Mosin-Nagant i Tokarev SVT40. W innym miejscu można było zauważyć granatniki RPG-2 i RPG-7 i karabin maszynowy RPD. Obok rozerwanego na dwie części drzewa stał moździerz 60 mm wz. 63.

Chwile beztroski szybko się skończyły. Podoficerowie dokonywali zbiorów w drużynach. Tuż przed wymarszem do Toma podszedł sierżant Farrell i wręczył mu list.

- Przyszedł z wczorajszą pocztą - sucho stwierdził podoficer.

Spadochroniarz obrócił w dłoniach kopertę, nadawcą była Gwendolyn Paxton. Swanson zamierzał go przeczytać, kiedy tylko znajdzie nadarżającą się ku temu chwilę. Teraz zbliżał się czas wymarszu.

Plan przewidywał, że na początku obie kompanie będą poruszać się razem, a po przejściu około trzech kilometrów rozdzielią się. Kompania Alpha miała ruszyć na północ, a Charlie miała skierować się w kierunku północno-wschodnim. Teren, na który wkraczali, był porośnięty gęstą dżunglą: bambusem i płataniną innej roślinności. Obie kompanie podążyły obok siebie do wyznaczonego im sektora na mapie. Miejscem tym był dość szeroki strumień, po jego przejściu pododdziały miały się rozdzielić. Męczący marsz w 35-stopniowym upale był nie do wytrzymania. Chociaż żołnierze zażyli po dwie wzmacniające tabletki APC, ledwo powłóczyli nogami. Zawieszony na szyi ręcznik, element osobistego ekwipunku, bardziej przeszkadzał, niż zapewniał ochronę karku. Szli w milczeniu, jakoś nikt nie miał ochoty nawet na pikantne żarty.

- Swanson, masz papierosy? - zwrócił się do bostończyka rudowłosego Edwarda Stocton.

Mężczyzna wygrzebał z górnej kieszeni kurki polowej paczkę winstonów pochodzącą z racji żywnościowej C i poczęstował Irlandczyka.

- Dzięki. To jedyna rzecz, na którą mam teraz ochotę. Bez fajek w ogóle nie egzystuję.

Podczas drogi, zmierzając w kierunku strumienia, mijali liczne odmiany drzewa żelaznego, kamforowce oraz dalbergie zwane drzewami

palisandrowymi. Poruszanie się wśród gęstego poszycia bambusowego nastęczało im wiele trudności. Drzewa, liczne pnącza i niezliczone gatunki roślin zielnych tworzyły niejednokrotnie barierę nie do pokonania. Błądzili i lawirowali, próbując odnaleźć drogę przez złowrogą dżunglę. W końcu po morderczym marszu stanęli nad wysokim na metr brzegiem strumienia. W tym rejonie geograficznym występowała gęsta sieć rzek, strumieni i potoków zasilana przez deszcze monsunowe. Charakteryzowały się one dużymi wahaniami wodostanów.

Zarządzono postój i nakazano im uzupełnić wodę. Spadochroniarze zanurzali manierki w zimnej wodzie ze strumienia i napełniali je do pełna, aby nie chlupotały podczas marszu. Żeby zawartość nadawała się do spożycia, wrzucali do manierek po kilka tabletek do uzdatniania wody. Chwila wytchnienia nie trwała jednak długo. Niektórzy dopiero co zdążyli dopchać się do wodopoju, a już zarządzono wymarsz. Pierwsi ruszyli żołnierze kompanii A, forsując strumień zanurzeni w wodzie do pasa. Tom patrzył, jak kolejno znikali mu z oczu w gęstych zaroślach porastających drugi brzeg.

- Ruszać dupy! To nie piknik, a pieprzony Wietnam!!! - obcesowo stwierdził sierżant sztabowy Blake.

Wolno, jeden po drugim, spadochroniarze zanurzali się w wodach strumienia. Podczas schodzenia z wysokiego brzegu trzeba było uważać, aby nie pośliznąć się na błotnistej breji. W wodzie poruszali się wolno, ponieważ nurt był dość silny i musieli z nim walczyć. Sąsiedni brzeg nie wznosił się tak stromo jak ten, z którego wyruszali. Po przebyciu głębokiego i wartkiego strumienia ponownie wkraczali w mroczną roślinność.

- Rzygam już tym niekończącym się łańcuchem patroli - skwitował wymarsz Martin, ospowaty grenadier z 2 Drużyny.

- Przestań jęczeć, Neil! Rusz ten swój zawszony tyłek! - zrugął go sierżant Farrell.

Kompania Charlie posuwała się według standardowego armijnego schematu: 1 pluton z lewej, 2 z prawej, a 3 z tyłu jako ubezpieczenie. Marsz był męczący, choć tempo nie było duże. Nie rozmawiali ze sobą, poruszali się niczym niemy kondukt żałobników.

Krzykliwe odgłosy dżungli zakłóciła nagła silna detonacja dochodząca od strony 1 plutonu. Spadochroniarze znieruchomieli. Skryli się wśród gęstego

poszycia leśnego i czekali, co się wydarzy. Wiadomość z szybkością pioruna rozeszła się po całej kompanii. Dowiedzieli się, że prowadzący z 1 plutonu wlaź w pułapkę i oberwało mu nogę. Wrzaski ranionego roznosiły się głuchym echem po dżungli. Wietnamczycy na pewno też je słyszeli i jeżeli gdzieś tu byli, to zdążyli w tym czasie się wycofać albo mogli też obejść ich dookoła i z ukrycia strzelić im w plecy. Żołnierze patrzyli w ślad za nieszczęśnikiem z krwawiącym kikutom, niesionym w pałatce przez swoich dwóch towarzyszy. Żołnierz z głęboką raną musiał być jak najszybciej zabrany ze swojego pododdziału i skierowany do szpitala. Podporucznik Faber nakazał ruchem ręki kontynuowanie marszu. Zadziałała kwestia psychologiczna, spadochroniarze ze strachem stawiali każdy krok i w każdej kępcie trawy spodziewali się pułapki. Bardzo powoli przemieszczali się po terenie usianym kopcami termitów, mrowiskami i gęstą niskopienną roślinnością. Amerykanie ostrożnie przeczesywali dżunglę i poszukiwali wroga, który walczył zupełnie inaczej niż wmawiano im podczas szkolenia.

- Swanson, idź na czoło, zmień Palmera - sierżant sztabowy Blake wydał rozkaz swojemu podwładnemu, który Tom przyjął z narastającym z każdą chwilą strachem.

Odnalezienie podążającego na czele rozpoznania nie sprawiło mu trudności. Obaj mężczyźni znajdowali się zaledwie piętnaście metrów przed siłami głównymi kompanii. Palmer wręczył Swansonowi maczetę i powłóczęg nogami, ruszył na tyły. Bostończyk był przerażony, widział dżunglę upstrzoną różnorodnymi pułapkami.

- Spokojnie, Swanson, nie tacy dawali sobie radę na czele oddziału - pocieszył go kapral Dorsey, który szedł z nim na szpicy.

Torując drogę przez złowrogą dżunglę za pomocą maczety, powoli posuwali się naprzód. Po przebyciu w słońcu i upale kilku kilometrów zostali zlurowani. Tom patrzył na zakrwawioną dłoń z wieloma odciskami. Ledwo mógł ją rozprostować. Był zmordowany, bolał go każdy mięsień. Dopiero teraz zauważył napis wybity na ostrzu maczety: TRUE TEMPER 1944. Niesłychane, taką bronią mógł posługiwać się jego ojciec podczas II wojny światowej.

Douglas zdążył przejść zaledwie kilka kroków i stanął jak wryty.

- Kurwa! Dorsey, chodź tu! Proszę, Paul, pośpiesz się - wypowiedział drgającym głosem szczipły Hawajczyk.

Młody żołnierz o szurzej twarzy był przerażony. Jego noga znajdowała się na lince uruchamiającej pułapkę. Nerwy nie wytrzymały i mocz popłynął po spodniach mężczyzny, zalewając mu tropikalne obłocone buty. Podoficer od razu zrozumiał, co się przydarzyło prowadzącemu.

- Spokojnie, stary, wyluzuj, Alan. Zaraz cię z tego wyciągnę - powiedział spokojnie saper i przystąpił do oględzin miny.

Była to pułapka prostej konstrukcji, a jednak śmiertelna. Ręczny granat włożony był do metalowej puszkii, paradoksalnie z amerykańskiej racji żywnościowej, i przytwierdzony był do małego drzewa. Do zawleczonego granatu przywiązana była żyłka. Jej drugi koniec oplatał patyk mocno wbity w ziemię. Nieostrożny Hawajczyk naruszył naprężoną żyłkę, ale nie na tyle mocno, aby wyciągnąć zawleczkę. Kapral chwilę pogrzebał przy minie i zabezpieczył śmiertelny ładunek. Kryzysowa sytuacja została zażegnana.

Zaczął padać rzęsisty deszcz i z każdą minutą przybierał na sile. Nasiąknięte wodą mundury i wyposażenie zdawały się ważyć tonę. Ledwo parli dalej, byli obciążeni jak muły i totalnie zmęczeni. Spadające z liści drzew duże krople deszczu głucho odbijały się od ich hełmów. Szli jak widmowe cienie, pogrążeni w rozpacz na swój nędzny byt.

Kilkugodzinny forsowny marsz zakończyli na małej polanie. Zapadł zmrok, każdy w duchu miał nadzieję, że na dziś to koniec. Niestety padła komenda do wymarszu. Kontynuowali wędrówkę przez noc. W końcu padł ten upragniony, od dawna wyczekiwany rozkaz. Urządzono nocny postój kompanii. Wartę jako pierwsi mieli trzymać spadochroniarze z trzeciej drużyny.

Tom miał chwilę, aby odsapnąć i wyciszyć swoje skołatane nerwy. Zakrył się ponchem przeciwdeszczowym i zastygł w bezruchu. Minęło kilkanaście minut, zanim zdecydował się zapalić latarkę kontową firmy Brightstar i wyciągnąć z plecaka list od Winnie. Ostrożnie rozdarł kopertę i wyjął ze środka kartkę papieru. List nie był długi, to nie wróżyło nic dobrego.

Drogi Tomie,

na początku Cię pozdrawiam i przepraszam, że tak długo nie pisałam. Dostałam Twoje dwa listy, piszesz w nich o strasznych rzeczach, napawają mnie one strachem i trwogą. To okropne, że musisz uczestniczyć w czymś

takim.

Ja nie popieram tej wojny, zresztą jak większość studentów z Bostonu. Byłam nawet na demonstracji antywojennej. Wszyscy walczący w tej wojnie Amerykanie to mordercy. Zabijacie niewinnych ludzi, masakrujecie kobiety, dzieci, zrzucacie na wioski napalm i palicie domostwa - to haniebnie. Obrazy pokazywane w telewizji mówią same za siebie. Gardzę tym, co robisz i kim się stałeś. Nie rozumiem, dlaczego taką ścieżkę wybrałeś? Nie jest mi z nią po drodze. W pewnych kręgach po prostu wstydzę się Ciebie...

Myślę, że sobie tam poradzisz, ja nie zamierzam dalej Cię wspierać. Twierdzę, że nasza bliższa znajomość nie ma sensu. Nie chcę z Tobą tracić kontaktu, ponieważ łączą nas wspaniałe wspomnienia i nadal jesteś mi bliski. Sądzę, że możemy zostać przyjaciółmi i ciągle do siebie pisywać. Tim Mutz okazał mi dużo ciepła oraz wsparcia, gdy Ty wyjechałeś na tę przeklętą wojnę. Sprawy potoczyły się własnym torem i teraz jesteśmy parą. Kiedy wrócisz do Stanów, to nie zdziw się, że będę z nim. Przykro mi. Jeszcze raz Cię pozdrawiam.

Proszę, odpisz na mój list.

Twoja przyjaciółka Winnie

Kiedy dojrzał do ostatnich słów listu, poczuł bolesny skurcz żołądka i natarczywe pulsowanie w skroniach. Był wściekły. List przeczytał jeszcze raz, dokładnie, linijka po linijce. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą przeczytał. Wiązał z Paxton dalekosiężne plany. Teraz został z niczym. Wszystko przez tę pieprzoną wojnę.

- Suka, pieprzona suka!!! - wybuchł, pomimo że próbował zapanować nad negatywnymi emocjami, które w nim wzbierały.

- Co, Harvard, złe wieści? - spytał z powagą Bruce Wright siedzący tuż obok.

Tom obrócił się w stronę pytającego. W jego oczach zamigotały ogniki.

- Nie twój, kurwa, interes!!! - jego głos przepełniony był jadem.

Swanson zawinięty w poncho, umordowany psychicznie do granic wytrzymałości, pogrążył się we śnie. Tej nocy miał wyłącznie koszmary. Ogarnął go olbrzymi smutek. Jego życie na tym ziemskim padole nie miało sensu. Śnił o śmierci i pragnął jej.

Kompania Charlie budziła się do życia. Na wschodzie pojawiły się już pierwsze oznaki jutrzeńki. Wielu jej żołnierzy powitało świt z dużym

zadowoleniem. Starszy szeregowy Hackman przetarł zaparowane szkło zegarka marki Benrus. Było wcześniej, stanowczo za wcześniej, aby wstawać. Zrzucił z siebie przemoczoną pałatkę i otrzepał ją z wody. Posępnym wzrokiem powiódł po zgromadzonych. Niestychane – pomyślał, gdy patrzył na krzątanie w miejscu obozowania. Mężczyźni wszystkie czynności wykonywali automatycznie jak jakieś pieprzone roboty. Obmył twarz wodą z manierki i zamrugał niebieskimi oczyma. Raziło go poranne, ostre słoneczne światło, które przedzierało się przez konary drzew gęsto porośnięte zielenią. Na podszyciu pełno było jeszcze rosy. Poranna mżawka pod wpływem unoszącego się znad ściółki ciepła zmieniła się w gęstą mgłę nisko zalegającą nad ziemią.

Rozgorzała karczemna awantura pomiędzy kilkoma żołnierzami. Nikt z pozostałych nie miał zielonego pojęcia, o co poszło. Dopiero interwencja porucznika Pickoka i sierżanta Blake'a zdołała powstrzymać rozróbę, która zaczynała przeradzać się w rękoczyn. Z rozwalonego nosa Gordona ciekła cienka strużka krwi, zalewając mu pokrytą bliznami twarz. Irlandczyk zapytany o przyczynę kłótni nic nie odpowiedział. Zresztą tak samo jak pozostali biorący w niej udział. Do Hackmana podszedł Swanson i skierował swoje słowa do klęczącego Króla Jaszczura.

- Nie rozumiem, czemu wszyscy tak na siebie naskakują. Powinniśmy walczyć z wrogiem, nie ze sobą. Przecież tkwimy w tym gównie wszyscy razem. W Stanach mają to gdzieś. Jesteśmy bezimienni, stanowimy zaledwie liczby w słupkach. Nie widzę nadziei.

- Czasem wchodzimy w ciemność, by ujrzeć chociaż najślabsze światełko nadziei – powiedział z patosem Hackman.

- Zapewne tak, ale chyba tutaj tak się nie da – odpowiedział beznamiętnie Tom, sprawdzając swój ekwipunek.

Kompania C ruszyła, kierując się na północny wschód. Spadochroniarze szli nisko pochyleni, bacznie obserwując każdy krzak. Leniwie płynący strumień pokonali, brodząc w wodzie do kolan. Tom szedł jak w letargu, cały czas rozpamiętywał to, co przeczytał w liście. Próbował jakoś to sobie poukładać, przemyśleć i znaleźć wyjście. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

Szli już od kilku godzin, słońce przesuwano się ku zenitowi. Temperatura znacząco podniosła się i była bliska 40°C. Skwar był nie do przeżycia.

Bostończyk miał wrażenie, że mózg pod hełmem zaczyna mu się gotować. Zarządzono krótki postój 2 plutonu. Gdy stanęli, Tom poczuł chłód bijący od prze poconego podkoszulka. Opadł na ziemię i zrzucił z obolałych ramion uciążliwe oporządzenie. Zdjął z siebie bluzę mundurową i rozwiesił ją na krzaku do przeschnięcia. Poczucił się o niebo lepiej, gdy omiótł go rześki wiatr. Inni także korzystali z chwili wytchnienia. Niektórzy bacznie wypatrywali snajperów na pobliskich grubych starych drzewach. Idylliczna atmosfera szybko się jednak rozwiła.

Odgłosy wystrzałów dochodzące z lewej strony świadczyły, że Amerykanie znaleźli się pod ostrzałem. 1 pluton natknął się na partyzantów VC i potrzebował pomocy. Spadochroniarze szybko zakładali na siebie oporządzenie i sprawdzali broń. Po kilku trzaskach w słuchawce podporucznik Faber usłyszał głos dowódcy kompanii.

- Faber, zbierz drugi pluton i nawiążcie kontakt z przeciwnikiem.

Ruszyli w kierunku, skąd dobiegały strzały. W trakcie podchodzenia natknęli się na drużynę wroga, która jednak szybko zniknęła w zaroślach.

- Naprzód! Za nimi! - rozbrzmiał stanowczy głos młodego oficera.

Żołnierze rzucili się w pościg za wietnamskimi maruderami. Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, pluton został nagle ostrzelany z prawej flanki. Idący na czele Long oberwał w biodro i zniknął w gęstej trawie. Spadochroniarze próbowali ukryć się jak najszybciej. Ogień prowadzono z ufortyfikowanych, dobrze zamaskowanych punktów oporu znajdujących się na wprost spadochroniarzy. Okazało się jednak, że po kilku sekundach żołnierze zostali otoczeni i ostrzeliwano ich teraz z każdego kierunku. Amerykanie mieli do czynienia z dużą formacją wroga. Trafiony w bark podporucznik Ron T. Faber okręcił się wokół osi i runął na ziemię. Poderwał się jednak i prowadząc cały czas ogień z M16, został trafiony serią w klatkę piersiową i wkrótce zmarł.

Blake próbował wezwać lotnictwo i artylerię, ale strzaskana radiostacja nie nadawała się do niczego. Krzyczał na skulonych ze strachu Amerykanów ile sił w płucach, aby zaczęli odpowiadać ogniem. Wright pierwszy usłyszał wrzeszczącego sierżanta plutonu. Było sprawą oczywistą, że po śmierci Fabera to właśnie Blake przejął dowodzenie nad plutonem. Podczołgał się do pnia mangrowca i ustawił tam swój karabin maszynowy. Jego Colt Arms M60 splunął ogniem, ryjąc sąsiedni skraj lasu. Wzrokiem szukał swojego

amunicyjnego, bo łąpczywy karabin szybko pochłaniał amunicję.

Jak tylko zostali ostrzelani, Weber skrył się w kępie bambusów. Czuł się bezradny jak dziecko w kołysce. Zamknął mocno oczy i miał nadzieję, że gdy je otworzy, cały ten koszmar zniknie. Do rzeczywistości przywróciły go krzyki Wrighta. Już miał podążyć w ich kierunku, gdy ucichły. Ponownie ukrył się wśród zieleni.

- Kurwa, Weber, gdzie, do chuja pana, jesteś, ty psi kutasie!!! - rozbrzmiało nawoływanie zagłuszające nawet kakofonię strzałów.

Zadziało to na amunicyjnego jak czerwona płachta na byka. Nie był żadnym psim kutasem, co ten pierdolony Wright pieprzył? - pomyślał w duchu młody farmer z Kentucky. Wyskoczył ze swojego schronienia jak poparzony. Krzycząc głośno, aby dodać sobie animuszu, skoczył w gęste zarośla, kierując się ku celownicemu kaemu. Opadł zdyszany nieopodal oddającego ostatnie strzały muskularnego Teksańczyka. Mężczyzna przy karabinie maszynowym obrzucił nowo przybyłego gniewnym spojrzeniem.

- Gdzie, kurwa, byłeś! Masz zawsze być koło mnie! Czy to rozumiałe?! - ostro zrugął farmera Wright.

- Bruce, ja... - uderzony w hełm potężną dłońią mężczyzna przerwał w pół zdania.

- Nie pierdol, dawaj amunicję! - celowniczy aż cały się gotował w środku.

Drżącymi rękoma Brady Weber podał cały zapas amunicji, który posiadał przy sobie. Wkrótce M60 zwana potocznie przez żołnierzy „świnia” znowu rozpoczęła swoje kwiczenie.

Byli pod ciągłym huraganowym ostrzałem od dobrych kilkudziesięciu minut. Pickok, leżąc w błocie, patrzył wprost w wystraszone oczy specjalisty czwartego stopnia Orwiga, leżącego tuż obok niego. Pokazał ruchem ręki, aby radiooperator podał mu słuchawkę radiostacji PRC-25. Po jej otrzymaniu oficer rozpoczął rozmowę radiową bez wahania.

- Potrzebuję wparcia ogniowego na pozycję...

Oficer przerwał na chwilę połączenie i ubłoconym palcem szukał na taktycznej mapie miejsca, w którym się aktualnie znajdowali. Odnalazszy potrzebne dane, przekazał koordynaty dla artylerii. Amerykanie byli przygwożdżeni do ziemi ciągłym ostrzałem z broni automatycznej. Pickok usłyszał wizg niczym rozpędzony pociąg. Ziemią wstrząsnęły potężne

eksplozje. Pociski, eksplodując, zalewały pozycje wietnamskie ziemią zmieszaną z rozżarzonym metalem. Wszędzie wirowały odłamki, a ziemia drżała. To waliła bateria haubic 105 mm z 3 Batalionu 319 Spadochronowego Pułku Artylerii Polowej. Kurczowo przylegający do ziemi oficer był dumny z artylerzystów. Postarali się i nieźle dopieprzali żółtkom, wiedział, że w polu mógł na nich liczyć. Postanowił, że postawi im kolejkę w bazie po powrocie.

Na szczęście dla Amerykanów ogień partyzantów Vietcongu słabł pod skutecznym ogniem artylerii. Artylerzyści szybko wstrzelali się w wietnamskie pozycje. Pociski z haubic zryły cały obszar dżungli. Wolf sunął na czworakach poprzez płataninę pnączy. Zatrzymał się przy zwałonym pniu drzewa tekowego. Oddychał ciężko i cały się trząśł. Seria z kałasznikowa obtępiała korę z drzewa, za którym się krył. Nieustająca wymiana ognia zmniejszyła zapał młodego człowieka z Wirginii do walki w tej „obcej wojnie”. Myślał, że ostrzał artyleryjski załatwił całą sprawę. Tak jednak nie było. Skryty poza zasięgiem wietnamskich karabinów patrzył na biegnącego zygzakiem O'Donella. Spadochroniarz otrzymał trafienie w lekki plecak Rucksack, który niósł na plecach. Zasobnik jak szmata rozerwał się pod wpływem uderzenia pocisku. Żołnierz cudem uniknął śmierci.

Przez chwilę nic się nie działo, zapadła mroząca krew w żyłach cisza. Głośny świst zwiastował kolejną nawałnicę artyleryjską. Ponownie zadrzała ziemia, powietrze przesiąkło smrodem kordytu. Ostrzał był krótki, ale dokonał spustoszenia w topniejących siłach VC.

Gdy opadł kurz, Amerykanie powoli wynurzali się ze swoich ukryć i złowrogim wzrokiem przeczesywali przedpole. Walka, która trwała całe popołudnie, ucichła na dobre. Przegrupowana kompania Charlie przystąpiła do sprawdzania pobojuwiska. Jak zwykle niewiele znaleźli. Wietnamczycy posiadali jakąś dziwną moc rozplywania się w powietrzu. Liczne krwawe ślady wyznaczały kierunek, w którym wycofał się wróg. Rozszarpane, leżące w dziwnych pozycjach ciała zabitych partyzantów napawały grozą. To były skutki nawałnicy artyleryjskiej. 3 pluton otrzymał rozkaz odnalezienia wietnamskich rannych i maruderów. Nikogo jednak nie odnalazł.

Po tygodniu spędzonym w dżungli w końcu mieli opuścić to ponure miejsce. Amerykanie stoczyli krwawe starcie z wrogiem i czekali teraz na ewakuację ocalałych. Tom był tutaj już na tyle długo, że coraz częściej

zadawał sobie pytanie, czemu lub komu miała służyć ta wojna. Zaczynał odkrywać siebie i sprawdzać się w sytuacjach, gdy był wystawiany na próbę i zagrożony.

IX

BAZA WSPARCIA OGNIOWEGO

Zamiast odpoczywać na obiecanych dwudniowych przepustkach, mieli zabawić się w budowniczych. Ustanowiono nowe zasady wsparcia ogniowego na trasie 13 od Lai Khe (na północ od Ben Cat) po Quan Loi (na wschód od An Loc). Kompania Charlie została wyznaczona do pomocy w utworzeniu nowej bazy wsparcia ogniowego. Z samego rana załadowali się na pokłady czterech średnich śmigłowców transportowych Boeing-Vertol CH-47A Chinook. Pozostała część kompanii miała dotrzeć w późniejszym terminie.

Lot nie trwał długo i wkrótce podnosząc tumany brązowo-czerwonego kurzu, śmigłowce wylądowały na polanie sąsiadującej z małym wzniesieniem. To właśnie tu mieli odwalić ciężką harowę - pomyślał Tom, gdy jego wzrok spoczął na niewielkim pachołku. Jak się za chwilę dowiedzieli, wstępnego oczyszczenia terenu dokonano poprzez zrzućenie specjalnych bomb „Daisy Cutter” (kosiarki do stokrotek). Bomby te, eksplodując tuż nad ziemią, powodowały wywracanie się całych drzew. Spadochroniarze przyglądali się, jak saperzy z batalionu wojsk inżynieryjnych za pomocą pił łańcuchowych, siekier i materiałów wybuchowych oczyszczali teren z krzewów i niskich drzew. Praca szła im bardzo sprawnie, widać było, że tworzą zgrany zespół i nie była to ich pierwsza budowa FSB. Nowoprzybyłych żołnierzy nikt jak na razie nie zagonił do roboty, więc korzystając z chwili bezczynności, zalegli leniwie na polanie.

Gibbs podszedł do leżącego na trawie Simmondsa. Miał go spytać, czy nie posiada trochę zbędnego towaru, ale gdy na niego spojrział, zmienił zdanie.

- Co ci się roi w głowie? - zapytał z wyraźnym zainteresowaniem

muskularny Murzyn.

- Życie przecieka mi przez palce - padła lakoniczna odpowiedź leżącego mężczyzny, który wygrzewał się w promieniach porannego słońca.

- Stary, ile ci jeszcze zostało, że tak mówisz? Sto, może sto dwadzieścia dni i wolność...

- Jeszcze dwa dni i pęknie mi setka. Wszyscy naokoło giną, ponury żniwiarz przyjdzie i po mnie. Boję się, że nie dożyję do końca swojej służby - spuentował Simmonds.

Gibbs dał za wygraną. On, Paul R. Gibbs, miał zamiar przetrwać tę wojnę i powrócić do Nowego Orleanu, zająć się rodzinnym biznesem związanym z poławianiem krewetek. Takie gadki o śmierci nie napawały go optymizmem i stanowiły zły omen. Oddalił się czym prędzej i skierował się w stronę siedzącego na hełmie rudowłosego oficera. Od kiedy na początku swojej służby pomógł porucznikowi Pickokowi cało wyjść z zasadzki i uratował mu życie, czuł z nim silne więzy emocjonalne. Zdawał sobie sprawę, że rozkazy tego oficera mogą w przyszłości niejednokrotnie zadecydować o jego dalszym losie. Wiedział, że gdy walka o zwycięstwo zmieni się w walkę o przetrwanie, ten człowiek nie zawiedzie i będzie stał na posterunku do końca. Niewielu było takich oficerów, spadochroniarze darzyli Pickoka dużym zaufaniem i szacunkiem. Chociaż na początku było z tym różnie. Za dużo od nich wymagał i gnębił milionem zadań do wykonania. Kilku nawet pokątnie groziło mu śmiercią. Jednak w boju okazał się profesjonalistą i uzyskał uznanie w oczach starych wyg z kompanii C. Stał się ich liderem.

Saperzy byli fachowcami i doskonale wiedzieli, co mają robić. To tymczasowe obozowisko, które miało zapewnić artyleryjskie wsparcie żołnierzom walczącym poza obszarem ich właściwego obozu bazowego, było kolejnym, które mieli stworzyć w przeciągu ostatnich kilku miesięcy. Na środku wzniesienia jeden saper z budowlanej ekipy wbił pal i przymocował do niego linę o długości 131 stóp, wyznaczając w ten sposób linię bunkrów. Kolejny zaznaczał tyczkami miejsca na stanowiska ogniowe, które były oddalone od siebie o 15 stóp. Druga lina o długości 246 stóp przywiązana do pala na szczycie zakreślała zewnętrzny obwód bazy. Obóz miał mieć typową dla tego okresu strukturę opartą na planie trójkąta. Po wyznaczeniu newralgicznych linii należało wykonać okopy z licznymi stanowiskami broni

maszynowej i lekkich, moździerzy 60 mm. Buldożery miały wyryć doły na bunkier dowodzenia, bunkry amunicyjne oraz sześć stanowisk artyleryjskich dla baterii haubic 105 mm M102 Howitzer. Na trzech rogach trójkąta miały powstać drewniano-ziemne bunkry z ciężką bronią maszynową. Całość miała otaczać linia zasieków z drutu kolczastego i pola minowe. Planowano także wybudować tuż obok lądowisko zaopatrzeniowe dla śmigłowców i pas startowy niezbędny dla mniejszych samolotów transportowych. Droga gruntowa prowadząca na południowy zachód prowadziła do niewielkiego przysiółka. Wioska ta miała pełnić funkcję dodatkowego źródła wody pitnej dla żołnierzy stacjonujących w bazie. Na północno-wschodnim obszarze bazy wsparcia ogniowego zamierzano wybudować latryny oraz zorganizować tam wysypisko śmieci.

Z chwilą przybycia brakującej części kompanii Charlie sielanka się zakończyła. Spadochroniarzom przydzielono najróżniejsze czynności do wykonania. Znaczna część trafiła do prac związanych z rozbudową infrastruktury obronnej. Za pomocą łopatek piechoty mieli pogłębiać doły i utworzyć z nich stanowiska ogniowe otoczone workami napełnionymi wydobywanym z wykopu piachem.

Do uszu ciężko pracujących mężczyzn doleciało łopotanie nadlatującego śmigłowca. Dowódca kompanii stojący nad jednym z wielu tworzonych stanowisk ogniowych patrzył, jak śmigłowiec Bell UH-1D Iroquois Huey podchodzi do lądowania. Ryk wirników stopniowo cichł. Ustał prawie zupełnie, gdy maszyna płynnie wylądowała, a pilot wyłączył silnik. Z kabiny transportowej wyskoczyło czterech ludzi, obaj piloci pozostali w kokpicie hueya. Cała czwórka, niosąc ze sobą wojskowe worki transportowe, ruszyła w kierunku centrum bazy. Pogłębiający umocnienia spadochroniarze bacznie przyglądali się wysiadającym ze śmigłowca żołnierzom. Nowe, nieskalane bitewnym pyłem i błotem mundury nowo przybyłych aż kłuły ich w oczy. Pierwszy odezwał się szeregowy Clark.

- Pierdoleni nowi! Tylko mięsa armatniego nam teraz potrzeba...

- Wyluzuj, stary. Zajmij się lepiej kopaniem - rzucił Palmer, syn farmera z Luizjany.

- Bo co?! Grozisz mi, wieśniaku?! Zajmij się lepiej sobą, bo cały nie wrócisz do Baton Rouge - wybuchł frontowiec o rozbieganych zielonych oczach.

Szeregowy Palmer zignorował to pytanie. Nie chciał kłócić się z Clarkiem i robić sobie z niego wroga. Splunął na ziemię i odszedł w stronę drugiego końca kopanego umocnienia. Upaprani w błocie frontowcy nie mieli pojęcia, że wśród czwórki nowoprzybyłych był podporucznik Warren C. Fisher, nowy dowódca 2 plutonu.

Śmigłowiec wystartował w tumanach kurzu. Kapitana Gavina niepokoił stan etatowy jego kompanii. W ramach uzupełnień, o które prosił, przysłano mu zaledwie czterech ludzi. Pododdział, którym dowodził w ostatnim okresie, stracił wielu ludzi. Część z nich utracił bezpowrotnie, wrócili oni w czarnych gumowych workach do Stanów, inni ranni w boju po hospitalizacji mieli powrócić do szeregów. On zdawał sobie sprawę, że każdego rannego żołnierza trzeba było zastąpić, ci na górze chyba tego nie rozumieli albo mieli to w dupie. Obrzydło mu już proszenie dowódcę 2 Batalionu o niezbędne zaopatrzenie i świeżych ludzi. Podpułkownik Robert H. Siholtz, elokwentny, pewny siebie oficer, z łatwością potrafił wpływać na decyzje swoich podwładnych. Gorzej było, gdy oni domagali się czegoś od niego. Najczęściej Gavin słyszał od swojego dowódcy: „później” lub „przecież ci nie wyczaruję”. W końcu dał sobie spokój i wysyłał tylko zdawkowe meldunki z materiałami, których potrzebował, i stratami kompanii C, które należało uzupełnić. Nowy żołnierz, jeżeli przychodził, najczęściej nie miał doświadczenia bojowego. Mijały dni i tygodnie, zanim dogadał się z ludźmi w plutonie i wdrożył w służbę. Okres jego obowiązkowej jednorocznej służby rozpoczynał się w chwili wyruszenia przez żołnierza z zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, a kończył wraz z Datą Uprawniającą do Powrotu ze Służby Zamorskiej (ang. DEROS). Nowy rekrut na samym początku, przez pierwszy miesiąc, stanowił ciężar dla plutonu, nie zaś pomoc. Od miesiąca drugiego do dziesiątego nabierał cennego doświadczenia i stopniowo stawał się starym wygą. Lecz gdy zbliżała się data jego powrotu, żołnierz stawał się nadmiernie ostrożny i zaczynał unikać ryzyka. To był chory układ. Ciągłe odchodzili doświadczeni, sprawdzeni żołnierze - ginęli, odnosili rany lub wracali do Stanów, a na ich miejsce przysyłano żółtodziobów.

Wieczne słońce zmierzające leniwie ku zachodowi przypiekało spocone ciała spadochroniarzy. Tom z każdą chwilą opadał z sił, miał już serdecznie dość kopania. Jego wzrok spoczął na rozebranym do połowy saperze, który prowadził okrutnie dymiący i przeraźliwie hałasujący spychacz Caterpillar

D-7. Buldożery, a było ich w sumie trzy, kopały jamy pod bunkier dowodzenia i stanowiska artyleryjskie. Oni ze swoimi okopami musieli poradzić sobie saperkami. Z wyznaczonej do tej rubieży trójki kopał teraz tylko bostończyk. Pozostała dwójka, jak to stwierdziła, swoje już się nakopała. Pomagali w rozbudowie tylko przez godzinę, potem Swanson kopał sam. Wyglądało to tak, że oni trzymali worki, do których Tom wsypywał wydobywaną czerwonorudą laterytową glebę. Mężczyzna wbił saperkę w dno dołu i otarł spocone czoło. Na brzegu okopu zwalisty czarnoskóry żołnierz rozpakował rację żywnościową typu C i zamierzał przygotować sobie kolację. Odpalił połowę kuchenkę i podniósł pierwszą puszkę, która wpadła mu w ręce. Simmonds próbował otwieraczem dostać się do wnętrza metalowej puszk. Reakcja po otwarciu racji żywnościowej była natychmiastowa.

- O żesz kurwa! Tylko nie wieprzowina - z wielką goryczą w głosie żołnierz skwitował zawartość puszk.

- Nie pierdol, ta wieprzowina jest lepsza niż fasola czy indyk - Matt Hackman próbował jakoś załagodzić niemiłą niespodziankę towarzysza, układając kolejny worek z piachem na szańcu.

- Beeeeeee. Stary, tu każde żarcie smakuje jak istne rzygi szatana - beknął przeciągle i ostro skwitował całą zaistniałą sytuację.

Wkurzony Murzyn cisnął dopiero co otwartą puszką jak najdalej od siebie i przystąpił do otwierania kolejnej. W kierunku ich dołu szedł jeden z nowych żołnierzy, który przybył w ramach uzupełnienia. Idąc, bujał się na boki jak dobrze zakropiony rumem marynarz. Z głupim wyrazem na twarzy zaczął:

- Nazywam się...

Przygotowujący posiłek Murzyn nie dał mu dokończyć.

- Gówno mnie to interesuje! Łap się, chłoptasiu, za saperkę!!! - odwrzasnął Simmonds, nadal wkurzony na podłe żarcie.

Rekrut wskoczył do dołu i sumiennie zabrał się do pracy. Machał łopatą, jakby z nią się urodził. Starszy szeregowy Hackman zanucił jakąś piosenkę. Słońce miało zaraz zniknąć w zielonym bezmiarze. Nad Wietnamem zapadał zmierzch.

Dowództwo nie za bardzo obawiało się możliwości ataku na bazę artylerii w trakcie budowy, wobec czego kompania Charlie stanowiła jej jedyne zbrojne ramię. Większość prac wykonywali saperzy, 18 mężczyzn

z kompanii inżynierskiej dwoiło się i troiło podczas budowy. Typowe prace fortyfikacyjne spoczywały już na barkach spadochroniarzy. Pomimo wielokrotnie wybuchających sporów, rzucanych wyzwisk i rękoczynów prace wykonywane były z zachowaniem narzuconych terminów.

Tom w towarzystwie Vincenta przyglądał się, jak śmigłowiec CH-47 transportuje haubicę M102. Chinook pod kadłubem miał zawieszoną oprócz działa sieć z amunicją artyleryjską do niego. Ryk wirników potężnej maszyny roznosił się echem po okolicy. Aby schować się przed podmuchem podnoszonego z ziemi kurzu, obaj mężczyźni schronili się w prawie gotowej działobitni. Ukryci mogli pozwolić sobie na odrobinę odprężenia i uchylenie się od pracy przy rozładunku czterdziestu granatów do haubicy 105 mm. Tuż obok stanowiska artyleryjskiego, w którym odpoczywali żołnierze, głośno dysząc z wysiłku, przechodziło dwóch nowych niosących drewnianą belę. Drewno na budowę umocnień pochodziło ze ściętych uprzednio drzew.

Murzyn rozejrzał się dookoła, po czym odpalił skręta. Zaciągnął się nim wolno, delektując się niedawno nabytym narkotykiem. Podał Swansonowi kopącą się niechlujnie, zakręconą w białą bibułę porcję marihuany. Bostończyk przyjął jointa i powoli wciągnął opary do swoich płuc. Na chwilę go przytkało, przekreślił głowę w prawo i mocno odkaslnął.

- Dobrze to, Mack, zajebisty towar - wypowiedział się to, Tom oddał Vincentowi skręta.

- Co tu się wyprawia?!

Podniesiony ton przerwał przedpołudniowe lenistwo popalających mężczyzn. Jak na komendę spojrzeli oni na osobę wypowiadającą te słowa. Był nią Ron Simmonds niosący skrzynkę z amunicją kalibru .30. Ruchem ręki nakazał im, aby poszli za nim. Gdy wyszli z działobitni, weszli w chmurę, wszędzie był ten przeklęty rdzawy kurz. Skierowali się do pobliskiego okopu, gdzie według rozkazu nowego dowódcy plutonu mieli zorganizować gniazdo karabinu maszynowego. Słońce prażyło bez litości, a oni kolejny dzień zaiwanieli jak jakieś pieprzone mrówki. Tom patrzył na błyskające w słońcu linie zasieków z drutu kolczastego. Tuż obok przeszkód Paul Dorsey rozkładał swoje zabawki. Saper układał przy pomocy nowo przybyłego rekruta pole minowe z min przeciwpiechotnych M18A1 Claymore. Mina ta była śmiertcioną bronią kształtem przypominającą lekko zaokrąglony prostokąt. W środku niej znajdował się materiał

wybuchowy i 700 stalowych kulek. Wybuch rozrzucił je na odległość do 50 m.

Swanson pomachał mu, na co mężczyzna odpowiedział wulgarnym uniesieniem środkowego palca u dłoni prawej ręki. Bostończyk uśmiechnął się na ten gest. Wiedział, że były to tylko żarty. Nie zauważył, kiedy dołączył do nich Hackman, siadający teraz na worku z piachem. Vincent odpalił kolejnego skręta. Atmosfera stawała się coraz bardziej luźna. Narkotyk krążył z ręki do ręki, zakreślając okrąg.

- Spróbujcie tego - powiedział Hackman, wyciągając z górnej kieszeni bluzy małe zawiniątko.

Gdy Król Jaszczur rozwinął foliowy woreczek, Simmonds błysnął białkami oczu. Towar, który przyniósł stary frontowy wyga, pochodził z wioski w dolinie Ia Đrăng, a nabył go od pilota śmigłowca. Powoli zbliżał się zmrok. Spokój czwórki spadochroniarzy zamąciły odgłosy zbliżających się w ich kierunku ludzi. Jak przez mgłę zobaczyli, że to Wright z Weberem taszcząc kaem i amunicję, zmierzali w stronę stanowiska. Reakcja nowoprzybyłych była natychmiastowa.

- No pięknie! A nas to nikt nie zaprosił - wypowiedział celowniczy M60 i wyciągnął z ust zdziwionego Vincenta świeżo odpalonego skręta.

Oparłszy karabin maszynowy na plecaku Murzyna, który ten porzucił na ziemi, zaciągnął się mocno. Oddając joita, zaczął bardzo powoli wypuszczać dym.

- Xin Loi patalachy! - wybełkotał Teksaszczyk i usiadł obok bawiącego się bagnetem Hackmana.

Noc nadchodziła szybkimi krokami. Na nieboskłonie zamigotały gwiazdy, a księżyc rzucił na ziemię szare, matowe światło. Weber, układając na stanowisku ogniowym taśmy z nabojami do kaemu, rozmyślał o farmie w Kentucky. Poczul narastający żar oraz wzbierający wzwód, gdy przypomniał sobie upojne chwile, które spędził ze swoją dziewczyną poprzedniego lata. Lucy Graff była najładniejszą dziewczyną w miasteczku. Wielu się do niej przystawiało, ale ona wybrała właśnie jego. Niesłychane - pomyślał, kładąc kolejną taśmę z nabojami kalibru 7,62 mm na szafcu. Na same wspomnienia, jak baraszkowali na sianie w stodole jej ojca, pocił się i łapczywie przełykał ślinę. W rozmarzeniu nie zwrócił uwagi na majaczące w oddali małe czarne sylwetki.

Nagle powietrze przeszył przeraźliwy krzyk „Xung phong”. Po nim niemal natychmiast rozległy się ochryple odgłosy trąbek, potem liczne gwizdki oraz krzyki atakujących falami Wietnamczyków. Zgromadzeni żołnierze w bazie wsparcia ogniowego wiedzieli, że może oznaczać to tylko jedno i że nie wróżyło im to niczego przyjemnego. Gavin zachodził w głowę, dlaczego Wietnamczycy zaatakowali dopiero teraz, gdy baza była prawie gotowa? Wcześniej mieliby ich jak na patelni i wybiliby ich co do jednego, nie ponosząc zapewne prawie żadnych strat własnych. Ale nie to było teraz najważniejsze. Musiał zorganizować obronę powierzonej mu placówki. Była punktualnie 23:00, kiedy na FSB spadły pierwsze pociski z moździerzy i granatników. Dowódca kompanii C stał przez chwilę wyprostowany jak struna przy mapie taktycznej zawieszanej na ścianie w bunkrze dowodzenia. Wyglądało to tak, jakby jakaś tajemna siła w jednej chwili sparaliżowała jego wszystkie mięśnie.

- Orwig, łącz z plutonem moździerzy, a ty, Pimlott, dawaj połączenie z lotnictwem i artylerią - rozkazy oficera były sprecyzowane i nie wymagały zadawania kolejnych pytań.

Radiooperator skoczył jak pantera w kierunku radia. Pisarz kompanii, starszy szeregowy Louis Pimlott, próbował nawiązać rozmowę ze wsparciem, którego bezwzględnie potrzebowali.

- Panie kapitanie, porucznik Graceland na linii - specjalista czwartego stopnia podał słuchawkę oficerowi dowodzącemu.

- Will, przypieprz im ze wszystkiego, co tam posiadasz! - wychrypiął Gavin.

Podporucznik Will Graceland nie musiał czekać na rozkazy od dowódcy kompanii. Jego pluton już przygotowywał broń wsparcia do użycia bojowego. Amerykańskie moździerze kalibru 60 mm odpowiedziały ogniem. Połączenie z lotnictwem i artylerią udało się nawiązać bez problemów. Obiecano im jak najszybciej udzielić pomocy.

- Co się u was dzieje, Russel? - w słuchawce dał się słyszeć zaspany głos dowódcy 2 Batalionu.

- Zostaliśmy zaatakowani. Na razie nie wiem, z jaką siłą mam do czynienia - padła zdawkowa odpowiedź Gavina.

- Trzymaj się, synu, już organizuję wam odsiecz - rozmówca rozłączył się, a w słuchawce dały się słyszeć tylko trzaski i szumy.

Oficer nerwowo oddał radiotelegraficznie słuchawkę i zwrócił się do swojego zastępcy.

- Robert, idź do sektora północnego, tam pewnie żółtki uderzą ze zdwojoną siłą - powiedziawszy to, ponownie chwycił za słuchawkę radiostacji.

Porucznik Pickok złapał swój M16 i wybiegł z bunkra w ciemność.

Żołnierze północnowietnamscy nacierali, nie zważając na intensywny ostrzał i ponosząc duże straty. Na początku żołnierze odpowiedzieli chaotycznym ogniem. Stocton i O'Donell od kilku minut odpierali ataki na swoim odcinku. Ich stanowisko znajdowało się zaledwie kilkadziesiąt metrów od linii zasieków. Uruchomili już wszystkie miny M18, a wróg nadal nacierał. Saperzy nieprzyjaciela poruszali się w małych oddziałach, przeważnie po trzech do sześciu mężczyzn. Próbowali zniszczyć zewnętrzną barierę poprzez cięcie drutów kolczastych bądź ich wysadzenie. Niektórzy z saperów mieli materiały wybuchowe przywiązane do własnego ciała, tak jak kiedyś japońscy kamikaze. Napięcie sięgnęło zenitu, kiedy niedbający o własne życie Wietnamczycy znaleźli się około 20 metrów od linii bunkra spadochroniarzy. W wyniku celnego ostrzału zlikwidowali większość wdzierających się napastników. Ci, którym udało się przedrzeć, rozproszyli się, kierując się do kluczowych celów. Na wysuniętą pozycję spadła lawina ognia. Ktoś na górze nad nimi czuwa, pomyślał Stocton, gdy wyszli bez szwanku z śmiercionośnej artyleryjskiej nawałnicy. W końcu odezwała się amerykańska artyleria, zbierając krwawe żniwo wśród atakujących. Wszędzie latały rozpalone kawałki stali. Tumany kurzu wzbity się w powietrze, a wiatr zwał je na pozycje zajmowane przez spadochroniarzy. Gryzący dym zaatakował ich płuca. W pewnym momencie do stanowiska zajmowanego przez Stoctona i O'Donella wpadł roztrzęsiony Martin.

- Żółtki rozpieprzyli pierwszy pluton! Są wszędzie, już po nas!!! - wypowiedział drżącym, bliskim paniki głosem.

Odpowiedziała mu cisza, obaj pozostali w bunkrze Amerykanie nie przerwali ostrzeliwania przeciwnika. Zachowywali się tak, jakby nie słyszeli, co do nich mówił ospowaty mężczyzna.

- Martin, zamknij ryj i walcz!!! - wrzasnął rudowłosy Irlandczyk w odpowiedzi na lamenty spanikowanego żołnierza.

W tym właśnie momencie w bezpośredniej styczności z rubieżą

zajmowaną przez Amerykanów wybuchł granat moździerzowy. Zasypał ich odłamkami zmieszanyymi z piachem i ostrymi drzazgami. Przez chwilę O'Donell nic nie widział, miał w oczach pełno piachu, a w uszach strasznie mu piszczało. Nie miał pojęcia, ile to trwało, ale poczuł ostre szarpnięcie za ramię. To Stocton wyciągał go z częściowo zniszczonego stanowiska strzeleckiego. Martin był tuż obok. Jego hełm i broń leżały po przeciwnych stronach. Z wielkiej rany w klatce piersiowej sączyła się krew. Spod okopconego, rozerwanego munduru wyzierały na zewnątrz białe żebra. Spadochroniarz nie żył, ale cały czas miał na twarzy ten wyraz paniki. Wycofujący się żołnierze obawiali się, że w wyniku intensywnego natarcia i małej widoczności wróg faktycznie może być wszędzie.

Pickok przeskoczył nad stertą porozrzucanych skrzynek po amunicji. Pędził jak za swoich młodych lat, gdy z przyjaciółmi ścigał się w wyimaginowanych zawodach. Teraz było trochę inaczej, nie te lata, nie to zdrowie. Dyszał ciężko i łapczywie łapał powietrze. Gruchnęła boleśnie na ziemię, gdy nastąpiła potężna eksplozja. Bunkier amunicyjny wyleciał w powietrze, rozrzucając dookoła śmiertelnie zawartość. Łuna ognia wzniosła się ku nieboskłonowi. Oficer uchylił się przed skierowaną w jego kierunku serią z AK-47. Czołgał się naprzód niczym wąż ruszający na krwawe łowy. Z chmury kurzu wyłonił się piechur z malującą się na twarzy chęcią mordy. Karabin Amerykanina odskoczył w tył pod wpływem wystrzelonej serii. Pociski przeszły pierś Wietnamczyka i wydusiły z niej resztki powietrza. W kolejnego wpakował pół magazynka, zanim ten padł martwy.

Zażarte walki trwały już prawie od półtorej godziny. Nikt zapewne nie wiedział, która ze stron jest tą dominującą. Pickok w prawie zupełnych ciemnościach dotarł do wyznaczonej mu przez kapitana Gavina północnej strefy bazy. Uśmiechnął się w duchu, gdy jego oczy zobaczyły zmagania spadochroniarzy. Ogień z umiejscowionego w drewniano-ziemnym bunkrze półcałowego karabinu maszynowego okazał się przeszkodą nie do przejścia. Tutaj wróg poniósł dotkliwą porażkę. Niedobitki uchodziły w kierunku dżungli. Oficer podniósł wzrok do góry, gdy nad polem bitwy na niskim pułapie przeleciał, dudniąc dwoma turbośmigłowymi silnikami, Fairchild C-123 Provider. Samolot zrzucił flary oświetleniowe. Teraz pozycje wojsk atakujących stały się dobrze widoczne. Na wietnamskich piechurów posypał

się grad ołowiu. Flary mrocznym światłem oświetliły owładnięty bitewnym szałem obóz. Zastępca kompanii C usłyszał odgłosy zaciętej walki dobiegające z jego lewej strony. Być może ktoś tam potrzebował jego pomocy.

Sierżant Kemp walczył osamotniony. Nowo przybyły żołnierz, z którym był w dole strzeleckim w chwili rozpoczęcia ataku, gdy tylko zrobiło się gorąco, skoczył do ucieczki. Było to bardzo głupie z jego strony. Zdążył odbiec zaledwie kilka metrów, gdy skosiła go seria z kałasznikowa. Leżał teraz martwy z głową zanurzoną w błocie i szeroko rozłożonymi na boki nogami. Kilku Wietnamczyków nadbiegało w kierunku jego transzei. M16 dawno mu się zacięła i odmówiła dalszej współpracy. Dzisiejszej nocy zabił na pewno sześciu żołnierzy wroga i co najmniej taką samą liczbą zranił. Owładnięty był chęcią zabijania. Zdawał sobie sprawę, że nacierających było za wielu, a on nie miał wsparcia.

- No, chodźcie, wy żółte małpy! Wayne Kemp pokaże wam, jak walczy amerykański spadochroniarz!!! - wył na całe gardło.

Podoficer wyciągnął z kabury wiszącej u pasa pistolet kalibru .45 i wymierzył w głowę pierwszego zauważonego w nikłym świetle flary napastnika. Wystrzelony pocisk rozerwał mu mózg i rozłupał czaszkę. Kolejne wystrzelone pociski z Colta 1911A1 położyły trupem następną dwójkę. Na trzech dalszych nie starczyło mu amunicji. Jedyne, co mógł zrobić, to spróbować bezpośredniej walki wręcz. Chwycił za saperkę i wyskoczył z dołu wprost na rozpędzonego piechura. Ostra jak brzytwa łopatka błysnęła w blasku księżyca i prawie rozpołowiła gardło Wietnamczyka. Niestety podoficer nie był dość szybki i kula z SKS-u przeszła jego bok. Runął na ziemię jak rażony piorunem. Żołnierz VC próbował dobić leżącego Amerykanina bagnetem zamontowanym na karabinie, gdy pocisk zgruchotał mu kręgosłup i cisnął na pobliskie zasieki z drutu kolczastego. Zawisł tam jak szmaciana lalka. Ostatni z atakujących rozplynął się w ciemnościach, ratując się ucieczką. Do rannego sierżanta podbiegł porucznik Pickok, to właśnie on udzielił mu wsparcia i ocalił życie.

Clark zauważył nadlatujący w ich kierunku pocisk z granatnika przeciwpancerneho RPG-2. Wszystko zaczęło dziać się jakby w zwolnionym tempie. Obrzucił Palmera badawczym spojrzeniem. Spadochroniarz zwalczał nadciągającego wroga z lewej flanki i nie widział zbliżającego się

śmiercionośnego zagrożenia.

- Palmer, wypierdalamy z dołu! On zaraz wyleci w powietrze!!! - ryknął Clark najgłośniej jak potrafił.

Nie patrzył za siebie, czym prędzej wyskoczył ze schronienia, które teraz okazało się obiektem zażartego ostrzału. Eksplozja pocisku rzuciła nim do przodu niczym suchym patykiem. Poczuł ostry piekący ból z prawej strony, gdy szrapnel zachłannie wgrzyzł się w jego ciało. Sturlał się po zboczu. Jego bezwładne ciało zatrzymało się dopiero na stercie bali z drewna. Podniósł głowę w momencie, gdy dwóch Wietnamczyków stało nad umocnieniem, które przed chwilą pośpiesznie opuścił. Jeden z nich oddał kilka strzałów, celując w dół bunkra. Następnie obaj ruszyli w kierunku kolejnych amerykańskich stanowisk.

- Żółte skurwysyny! - wycodził Clark, przewyciężając narastający ból.

Zwłókł się ze sterty potrzaskanego drewna. Rozbieganymi zielonymi oczyma szukał dookoła swojej broni. Nigdzie nie mógł zauważyć granatnika 40 mm M79 Blooper. Pozostał mu tylko pistolet zawieszony u pasa. Wyciągnął go i przeładował. Sunął na czworakach, próbując wdrapać się po stromym zboczu. Obolały, ledwo żywy wpełzł na szczyt. Zobaczył to, czego się obawiał, ale i zarazem spodziewał. Martwe ciało szeregowego Daniela Palmera spoczywało na dnie stanowiska ogniowego. Śmierć musiała przyjść szybko, stwierdził w duchu Clark, wnioskował to po ilości odłamków tkwiących w zwłokach. Niektóre nadal się dymiły, unosząc do góry nikiłe wąskie smugi dymu. Młody farmer zapewne już nie żył, gdy dwie wietnamskie kule przeszły jego klatkę piersiową. Clark opadł na brzeg okopu, oparł się o worki z piaskiem, nie miał siły. Oczy same mu się zamykały, tracił dużo krwi z jęczącej się rany na prawym boku. Życie jest do dupy - pomyślał spadochroniarz i zemdłał.

Przed stanowiskiem kaemu pozostawało jeszcze około 400 m gołego pola, oczyszczonego wcześniej przez saperów z wszelkiej roślinności. M60 jak oszalała pluła ogniem, siejąc śmierć w szeregach atakujących. Czerwone smugi znały ślady po pociskach smugowych. Teraz w blasku flar kolejni nadbiegający Wietnamczycy stanowili idealne cele. Wright poczuł się jak na strzelnicy. Teksańczyk prawie nie spuszczał palca ze spustu. Robił chwilową przerwę, gdy wypatrywał kolejnego celu. Wykrwawiony przeciwnik wycofywał się, ale tylko w odcinku frontalnego ataku. Z obu flank pojawiało

się coraz to więcej żołnierzy wroga. Weber podał kolejną taśmę z amunicją do kaemu. Celowniczy podniósł dłonią pokrywę donośnika i zaczął tam nową taśmę. Na przedpolu pojawiła się kolejna grupka nacierających wojsk. Długa seria z kaemu przygwoździła ich do ziemi. Odpieraniem ataków ze skrzydeł zajmowali się Swanson wraz Hackmanem i Simmonds z Vincentem. Spadły na nich pociski z moździerzy.

- Chodź, Tom, zlikwidujemy to zagrożenie - powiedziawszy to, Hackman wskazał palcem grupkę żołnierzy Vietcongu z granatnikiem, którzy ostrzeliwali inne pozycje spadochroniarzy.

Zbiegając ze stoku, wpadli wprost na trzech żółtoskórych saperów. Żołnierze z plutonu „ochotników śmierci” byli tak samo jak Amerykanie zdziwieni nieoczekiwanym spotkaniem. Król Jaszczur wpakował pierwszemu kule prosto między oczy. Korkowy hełm odskoczył do tyłu, a z rozłupanej czaszki wybryzgnął rozerwany mózg. Pozostali zastygli w bezruchu. Bostończyk oddał trzy mierzone strzały w stojących mężczyzn. Pierwszy otrzymał dwa trafienia w żołądek i z grymasem bólu padł martwy. Drugi zraniony w ramię okręcił się wokół własnej osi i upadł. Dobił go Hackman, strzelając mu dwukrotnie prosto w przerażoną twarz. Nocna bitwa zbierała krwawe żniwo. Była dopiero pierwsza piętnaście, a wiele ludzkich istnień odeszło już w zaświaty. Nie przejmując się ciałami zabitych wrogów, ruszyli dalej w stronę żołnierzy z granatnikiem. Niczego niespodziewający się bojownicy VC majstrowali przy wyrzutni. Tom, zaciskając dłoń na dźwigni granatu, wyciągnął zawleczkę. Płynnym rzutem umieścił morderczy ładunek pomiędzy zaskoczonymi Wietnamczykami. Eksplozja granatu zmieniła ich w dwa postrzępione kawały mięsa.

Ich misja dobiegła końca. Schyleni ruszyli w kierunku miejsca, z którego przybyli, obierając tym razem inną drogę. Gdy przebiegali wzdłuż tranzei, z dołu strzeleckiego zwanego popularnie *fox hole* powoli wyłoniła się głowa w hełmie z charakterystycznym pokrowcem w kamuflażu dwustronnym typu Mitchell. To był Gibbs. Na jego czarnej twarzy malowało się przygnębienie. Przywitał towarzyszy z widocznym zadowoleniem. Dołączył do nich i wspólnie ruszyli w kierunku bunkra na wzgórzu. Byli już prawie na szczycie, gdy zdradziecka kula przeszła udo Swansona i ugrzęzła w jednym z okalających okop worku z piaskiem. Bostończyk jęknął przeciągle i opadł na brunatno-czerwoną glebę. Sprawcę postrzału zlikwidował Simmonds,

trafiając go pierwszym wystrzelonym przez siebie pociskiem. Hackman pomógł Tomowi dotrzeć do bunkra na szczycie, gdzie czekali pozostali Amerykanie. Swanson patrzył na postrzępiony otwór w materiale swojego munduru, gdzie ugodziła go kula. Czuł, że jego godzina wybiła.

W chwili, gdy Vincent zakładał rannemu prowizoryczny opatrunek, nadleciały dwa samoloty szturmowe Skyraider A-1 E. Ze względu na prowadzoną walkę już na terenie bazy wsparcia ogniowego zrzuciły swój śmiertelny ładunek na wojska właśnie ruszające do natarcia. Wybuchy pojemników z napalmem ostudziły zapędy nacierających, zadając im duże straty. Z godziny na godzinę odgłosy walk cichły i stawały się coraz bardziej sporadyczne.

Z pierwszym blaskiem słońca obrońców dobiegł łoskot nadlatujących zwartą kolumną maszyn transportowych. Nadlatywała ich odsiecz. Śmigłowce jeszcze przed bazą wsparcia ogniowego rozdzieliły się i poleciały w dwóch rozbieżnych kierunkach. Plan polegał na tym, że dowództwo chciało okrążyć żołnierzy VC. Na oblegające siły FSB miały uderzyć dwie kompanie w jednym momencie z dwóch kierunków. Obrońcy o tych planach nic nie wiedzieli, a skręcające i oddalające się od ich pozycji śmigłowce wyglądały, jakby uciekały z pola walki. Do ataku natomiast przystąpiły cztery maszyny typu Bell UH-1 B, zasypując Wietnamczyków rakietami kalibru 70 mm. Śmigłowce szturmowe wykonały atak i oczyściły teren dla lądujących maszyn desantowych. Obrońcy przyglądali się, jak kolejne fale transportowanych spadochroniarzy wylewały się na ogarniętych paniką żołnierzy VC. Atakowane z dwóch kierunków dotychczasowe siły oblegające FSB poszły w rozsypkę. Baza została utrzymana, a Amerykanie odnieśli przekonujące zwycięstwo.

Jeszcze nie ucichły odgłosy niedawno stoczonej bitwy, a nad pobożowiskiem rozbrzmiały zgrzyty łańcuchowej piły i trzaski toporów. Saperzy wzięli się za odbudowę częściowo zniszczonej bazy wsparcia ogniowego. Po zażartych walkach wróg został pokonany, chociaż do ostatniej chwili szala zwycięstwa przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę. Obrońców obwołano w batalionie mianem bohaterów. Jednak spadochroniarze schodzili ze wzgórz ze spuszczoneymi głowami. Zwycięstwo było okupione poważnymi stratami. Wielu straciło przyjaciół, znajomych bądź osoby, które dopiero zaczynali poznawać.

Tom czuł gorycz porażki, gdy patrzył na miejsce, gdzie na ziemi leżało kilkanaście ciał przykrytych pelerynami. W umęczonych oczach spadochroniarzy, którzy przechodzili koło niego, widział ból, cierpieli tak samo jak on. W tych oczach było coś mrocznego i nierzeczywistego. Bostończyk siedział na lądowisku dla śmigłowców, czekał na transport do szpitala polowego. Nie czuł bólu, krew powoli zasychała na przestrzelinie i obryzganym nią mundurze. Miał nadzieję, że rana nie była zainfekowana, szczególnie bardzo groźnymi bakteriami beztlenowymi. W wielu przypadkach, gdy wdało się zakażenie, konieczna była amputacja kończyny. Mężczyzna nawet nie spostrzegł, kiedy czarnoskóry sanitariusz zbliżył się do niego. Rutynowe sprawdzenie stanu zdrowia potrwało zaledwie kilka minut. Medyk po zbadaniu go napisał coś na kartce i przyczepił mu do munduru skrawek papieru. Tom poczuł się, jakby był towarem w sklepie.

- Szczęściarzu, zabieramy cię z tego gówna - zdawkowo wypowiedział żołnierz pomagający wsiąść spadochroniarzowi do medevaka.

Swanson nie czuł się szczęściarzem, po prostu przeżył, tylko tyle. Nie mógł odwrócić wzroku od rzędu martwych ciał leżących tuż obok lądowiska. Zachodził w głowę, czy to poświęcenie w ogóle kogoś interesowało. Przekrwawionymi, zapadniętymi od niewyspania oczami smętnie patrzył na miejsce niedawnej walki na śmierć i życie. Nie mógł na to patrzeć, było w tym widoku coś plugawego. Zamknął oczy, czuł tylko powiew powietrza wdzierający się do wnętrza kabiny transportowej śmigłowca w chwili, gdy ten poderwał się z ziemi.

X

SZPITAL

Śmigłowiec osiadł delikatnie na ziemi niczym ptak lądujący na kruchym gnieździe, które pieczołowicie stara się zbudować. Żołnierzom znajdującym się w maszynie pozwolono samodzielnie opuścić kabinę transportową. Byli ranni, tak jak Tom. Ale ich życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo. Innych ciężko rannych lub konających obsługa szpitala polowego momentalnie wyciągała z medevaków. W niedługim czasie trafiali na stoły operacyjne. W szpitalu polowym w Bien Hoa panował niezły rozgardiasz. Kolejne maszyny z wymalowanym czerwonym krzyżem lądowały, przywoząc następnych cierpiących żołnierzy. Widok był zatrważający. Nieźle dostawali po tyłkach – pomyślał Swanson, widząc następny lądujący śmigłowiec sanitarny. Rana zaczynała dawać znać o sobie, chociaż miał zmysły przytępione działaniem morfiny, którą zaaplikował mu wcześniej sanitariusz. Kolejny raz go ktoś oglądał, znaczy przeglądał kartkę przyczepioną do jego munduru. Tym razem było jednak inaczej. Swanson trafił do namiotu i urządzonej tam sali operacyjnej. Bez ostrzeżenia sanitariusz zaaplikował mu kolejny zastrzyk. Został brutalnie wrzucony na stół niczym worek kartofli. Ostre światło skierowane wprost w jego zmęczone oczy bardzo go drażniło. Lekarz, który zaczął oglądać jego ranę, coś do niego mówił. Bostończyk nie potrafił jednak zrozumieć tego słowotoku.

- Dostałem w nogę, cholernie mnie boli. Proszę, nie amputujcie mi jej - te błagalne słowa płynęły wprost ze zranionej duszy Swansona.

Sanitariusz wstrzyknął mu kolejną dawkę środka znieczulającego. Umieram – pomyślał Tom, gdy widok zaczął mu się zamazywać, a do oczu wdzierала się wszechobecna czern. Bostończyk stracił przytomność, a mężczyźni w białych, pochłapanych krwią kitlach zabrali się do roboty.

Kiedy się obudził, w pierwszym momencie nie wiedział, gdzie się

znajduję. Dopiero po chwili przypomniał sobie wydarzenia z poprzedniej nocy. Bolał go każdy miesiąc, a natarczywy łomot w głowie prawie zwał go z nóg. Zaczął bacznie rozglądać się wokół siebie. Żołnierze, którzy się tu znajdowali, mieli białe opatrunki przyklejone do różnych części ciała, przeważnie przesiąknięte krwią. Jedni ranni jęczeli głośno, inni spokojnie leżeli i wpatrywali się w sufit. Ci drudzy mieli puste matowe oczy, przerażały one Toma.

Zanim zdążył całkowicie dość do siebie, mężczyzna o śniadej karnacji zaprowadził go do kolejnego namiotu. Kazano mu rozebrać się do naga, a ubranie wrzucić do leżącego pod ścianą płóciennego worka. Wręczono mu nowiutki mundur, przybory toaletowe i nakazano wziąć prysznic. Ciepła woda zadziałała kojąco na jego zbolące ciało. Nie pamiętał, kiedy ostatnio brał prysznic.

Po przeobrażeniu się z umorusanego frontowca w pachnącego świeżością pacjenta szpitala polowego został zaprowadzony do kolejnej sali. Tym razem był to obiekt mieszkalny. Pielęgniarski wskazał mu jego łóżko, po czym szybko i bez żadnego słowa się oddalił. Ku uciechu mężczyzny na sąsiednim łóżku spał szeregowy Roger Clark. Nie zamierzał go budzić akurat w tym momencie. Postanowił sam zakosztować snu, był mu potrzebny. Nadal czuł się podle, chociaż na krótką chwilę chciał pogрузić się w sennych marzeniach daleko stąd, bardzo daleko. Zasnął, zanim głowa zagłębiła się w miękkiej poduszce.

Śnił o Paxton, byli na pikniku w parku, kobieta delikatnie gładziła go dłonią po twarzy, a on leżał na jej udach, szczęśliwy. Letni, raźny wietrzyk rozwiewał jej długie blond włosy, a jej niebieskie oczy lśniły niczym lazururowe przezroczyste wody oceanu. Kochał ją. Nie zauważył, jak Winnie dobyte noża, proste długie cięcie rozoroło mu całe gardło. Krew bryzgnęła na wszystko dookoła, łapczywie próbował łapać powietrze, dusił się. Stojąca nad nim kobieta teraz tylko się śmiała, a on odchodził w nicość.

Swanson zerwał się z łóżka, był cały spocony, serce waliło mu jak oszalałe. Oddychał ciężko, bolało go zaschnięte gardło, czuł jakby miał w nim tonę piasku. Była późna noc, wszyscy oprócz niego spali. To był tylko sen, ale taki prawdziwy i bardzo bolesny.

Usłyszał nad sobą jakieś głosy, ale nie zamierzał sprawdzać, kto nad nim stoi. Po nocnym koszmarze bardzo długo nie mógł zasnąć. Teraz

wydawało mu się, że ledwo udało mu się zamknąć powieki.

- Dziwne, że jeszcze się nie obudził - męski niski głos lekarza rozbrzmiewał w głowie Swansona.

Nie próbowano go jednak budzić. Usłyszał odgłos oddalających się kroków i chwilę potem trzask zamykanych drzwi. Nastąpiła znowu błoga cisza. Przez moment wsłuchiwał się w odgłosy oddalających się kroków. Zmęczenie jednak wzięło górę. Nie miał pojęcia, ile jeszcze spał. Otworzył powoli oczy. Uniósł się i oparł na łokciach. Sala była prawie pusta, większość pacjentów gdzieś wybyła. Jego wzrok spoczął na przeciwległym końcu sali. Znajdowały się tam drzwi i za nimi droga na świat. Gdy Tom próbował wstać, zatrzeszczało radio nastawione na American Forces Vietnam Network w Sajgonie. Dopiero teraz zauważył radioodbiornik stojący na małym stoliku. Podźwignął się z trudem. Pot wystąpił na całe jego ciało. Miał osłabiony organizm, ale próbował wykrzesać z siebie resztkę drzemiących w nim sił. Chwiejąc się, stał oparty o łóżko. Nie dane mu jednak było skierować kroków w stronę drzwi. Do sali wszedł lekarz w towarzystwie pielęgniarki o dużych brązowych oczach. Od razu swoje kroki skierowali do stojącego mężczyzny.

- Jak, żołnierzu, się czujesz? - beznamienne pytanie było tak zadane, jakby lekarz nie oczekiwał na nie odpowiedzi.

- Ból nadal mi doskwiera, ale jest znośny. Umieram natomiast z głodu - zalił się pacjent, próbując skupić się na utrzymaniu równowagi.

- Dobrze, bardzo dobrze. Proszę to zażyć - wypowiedziawszy to, lekarz podał mu kilka tabletek.

Swanson z zaciekawieniem spojrzął na lekarstwa trzymane w dłoni.

- Co to...

- Pigułki chininy - nie dał mu dokończyć zdania. - Zajmie się panem siostra Shangher - ciągnął dalej mężczyzna w śnieżnobiałym kitlu i gestem ręki pokazał na kobietę stojącą tuż obok niego.

- Będzie dobrze - rzucił na odchodnym felczer.

Pielęgniarka pomogła mu dostać się do stołówki. Łapczywie pochłonął wszystko to, co wpadło mu ręce. Syty poczuł się dobrze, delektował się tym stanem. Powróciły nadwątlone siły i chęć zapalenia papierosa. Na zewnątrz pomieszczenia przywitało go dość rześkie powietrze i przebrzydła twarz Clarka.

- Witam wśród żywych, Harvard - z malującym się na twarzy dziwnym grymasem zwrócił się do Swansona jego towarzysz z plutonu.

Tom błagalnym wzrokiem spojrzął na papierosa, którego palił Roger. Wysoki żołnierz o wydatnych kościach policzkowych w mig zrozumiał, o co chodzi. Przybliżył wymiętą paczkę winstonów w kierunku bostończyka. Mężczyzna drżącą ręką wyciągnął jednego spośród trzech będących w paczce. Zapalił papierosa i łapczywie połknął dym. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak było mu tego brak.

- Rana sierżanta Kempa okazała się zbyt poważna i odesłali go do Sajgonu. Widzę, że ty natomiast czujesz się nieźle. To dobrze, będę miał z kim pogadać - stwierdził Clark.

Tom także się cieszył, nie był osamotniony w tym nowym miejscu.

Ból z czasem znacznie się zmniejszył i stał się mniej dokuczliwy. Był tu już ponad tydzień i stan zdrowia pozwalał mu na zwiedzanie całego szpitala i pogawędki z innymi pacjentami, personelem medycznym i pilotami śmigłowców sanitarnych. Od jednego z tych ostatnich nabył naszyjnik z zębami rekina oraz drewniane koraliki. Kąpał się po kilka razy dziennie, aby zmyć z siebie ten szarzielony nalot i czerwonorudy pył. Clark okazał się bardzo obrotny i załatwiał im najbardziej niezbędne, nie do końca legalne rzeczy.

Wieczorem miało się odbyć jakieś, jak to określił stary wyga, spotkanie w wąskim gronie. Tom, gdy przekroczył próg pomieszczenia znajdującego się nieopodal prosektorium, zrozumiał, co miał na myśli Roger, mówiąc o spotkaniu towarzyskim. Od razu uderzyła go mocna woń świeżo parzonej kawy i kadzideł. W środku znajdował się Clark wraz z dwiema kobietami. Jedną z nich była wcześniej już poznana pielęgniarka Shangher, drugiej nie znał.

- Długo kazałeś nam na siebie czekać! - wypowiedziawszy to, mężczyzna wyciągnął w kierunku bostończyka rękę, w której miał na wpół wypitą butelkę whisky.

Tom dopiero teraz zauważył, że identyczne dwie butelki alkoholu leżały w kącie sali i były już opróżnione. Przyjął nadpitą butelkę z rąk zielonookiego mężczyzny. Przechylił ją i wziął potężnego łyka. Poczł jak ognisty żar dociera do jego żołądka. Zdrowo już podpite towarzystwo wśród oparów z kadzideł pochłaniało kolejne porcje wysokoprocentowego alkoholu.

Kobieta o dużych brązowych oczach usiadła na kolanach Swansona i wpatrywała się wprost w jego oczy. Przenikała go wzrokiem. Po chwili złożyła gorący, namięty pocałunek na jego ustach, przywarłszy do niego mocno. Mężczyzna nie bronił się, podobało mu się to.

- Chodź - powiedziała czule kobieta i pociągnęła go za rękę.

- Winnie...

- Mam na imię Janet, ale jeżeli chcesz, mogę być Winnie - powiedziała Shangher, wpatrując się w Swansona swoimi brązowymi oczami.

Tom nic nie odpowiedział, dał się ponieść podnieceniu i smutkowi, który w nim wzbierał. Bostończyk wstał i spojrzał na przyszczate pośladki Clarka, opuszczone do połowy wojskowe spodnie oraz kobiece nogi oplatające się wokół ciała mężczyzny. Zduszone jęki obojga świadczyły o czerpaniu wzajemnej przyjemności z aktu płciowego. Swanson i Shangher krótki pochód zakończyli w małej salce przeznaczonej do przechowywania preparatów medycznych. Gdy tylko z przeraźliwym skrzypieniem drzwi zamknęły się za nimi, kobieta zrzuciła z siebie biały fartuch. Oczom mężczyzny ukazało się zgrabne nagie kobiece ciało. Tom przełknął ciężko ślinę. Dotknął delikatnie pełnych okrągłych piersi. Kobieta zatopiła swoje dłonie we włosach bostończyka. Opadli na podłogę połączeni w miłosnym uścisku.

Gdy rytmicznie poruszał biodrami w górę i w dół, czuł mocny uścisk Janet na swoim ciele, nie myślał o niej. Jego myśli były daleko stąd, w wyobraźni kochał się z uśmiechniętą blondynką z Bostonu. Gdy wyobrażał sobie Paxton, było mu znacznie lepiej. Tom zamknął oczy i całkowicie zatracił się w rozkoszy.

Kolejne dni miały monotennie. Przebiegały według z góry ustalonego schematu: poranna wizyta lekarza, śniadanie, odpoczynek, obiad, wieczorna wizyta lekarza, kolacja, potem szybki numer z Janet.

Jego rana była zagojona. Zbliżał się czas powrotu do macierzystej jednostki. Wspólnie z Clarkiem stali nieopodal pasa startowego, paląc wolno papierosy. Smętnie patrzyli na śmigłowce przywożące kolejnych rannych. Tom z zaciekawieniem przyglądał się jednemu z żołnierzy, który skulony na ziemi szlochał niczym mała dziewczynka. Gdy zabierali go pielęgniarze, odprowadził go wzrokiem. Było mu go żal, wszystko wskazywało na to, że facet postradał zmysły. To, co jednak wzbudzało jego trwogę, to czarne plastikowe worki zapinane na zamek błyskawiczny. Długi rząd czarnych

worków spowijały grube warstwy hałaśliwych much. Patrząc w tamtym kierunku, Swanson czuł, jak mimowolnie kolana uginają się pod nim. Żołnierze z oddziału ewidencji zmarłych skrupulatnie coś notowali. Przeglądali plakietki przymocowane do worków, które zawierały dane denatów. Bostończyk był zadowolony, gdy śmigłowiec wystartował i obraz martwych amerykańskich żołnierzy zamkniętych wewnątrz czarnych worków zniknął mu z oczu.

XI

PHUOC TUY

Huey wylądował, podnosząc z ziemi tumany kurzu. Z chmury pyłu wyłonił się sierżant sztabowy Hank Blake wykrzykujący coś obraźliwego do żołnierzy rozładowujących śmigłowiec transportowy. Rozjuszony podoficer miotał się i ciskał ostre obelgi. Gdy zobaczył spadochroniarzy powracających ze szpitala, na jego twarzy pojawił się nikły złośliwy uśmiešek. Machnięciem ręki przywołał ich do siebie.

- Pakujcie swoje graty, za parę godzin wyruszamy - nowo przybyli zdziwili się, słysząc coś takiego od sierżanta plutonu.

Nie takiego powitania oczekiwali. Z początku myśleli, że stary wyga robi sobie z nich żarty, ale nie wyglądało na to. Nieśmiało odezwał się bostończyk:

- Mamy wypis ze szpitala i jest tam napisane, że przysługują nam dwa tygodnie lekkiej służby - oznajmił Tom, patrząc na tężącą z każdą sekundą twarz podoficera.

- Przestań pieprzyć, Swanson! Ruszajcie po swoje rzeczy i to już! No, chyba nie chcecie, żebym was prosił, co?!

Nastała niezręczna cisza, którą przerwał ryk wkurzonego do granic podoficera.

- Na chuj tu jeszcze stoicie?! Wypierdalać po rzeczy!!! - Blake'owi znudziły się już gry słowne.

Tłumaczenia i prośby na niewiele się zdały. Odpowiedź kapitana Gavina była tylko jedna: „Mam za mało ludzi”. Kompania Charlie ma za zadanie patrolowanie drogi nr 2 łączącej prowincję Phuoc Tuy z Long Khánh. Mają zapewnić bezpieczeństwo na tym szlaku komunikacyjnym. Inne siostrzane kompanie zostały skierowane do osłony bazy lotniczej w Binh Tuy. Z tego, co im przekazano, meldunki wywiadowcze donosiły, że w pobliżu drogi mogą

znajdować się znaczne siły VC.

- Jak zwykle to nas wpięprzają w największe gówno - zareagował Coleman na podanie informacji o czyhających na nich niebezpieczeństwach.

Inni stojący na poboczu drogi zgadzali się z nim, ale wiedzieli, że i tak nic nie da się zrobić. Musieli odwalić z góry narzuconą im robotę, nieważne, jaka by była podła. Rozkaz to rozkaz - pomyślał sierżant Farrell, patrząc na smętne twarze swoich podwładnych. Stali w luźnym szyku, czekając na komendę do wymarszu. Po drodze miał do nich dołączyć pododdział transporterów opancerzonych, którego zadaniem było osłanianie ich podczas marszu.

Orwig czekał, aż dowódca kompanii skończy rozmawiać przez radio z dowódcą batalionu. Oficer przyjmował ostatnie wytyczne przełożonego wyższego szczebla dotyczące ich misji.

- Kurwa, jak zwykle te same bzdury. Rzygam już tym! - skomentował Gavin po zakończonej rozmowie z dowództwem.

Radiooperator obdarzył go badawczym spojrzeniem, ale powstrzymał się od skomentowania przed chwilą usłyszanych słów. Odprowadził tylko wzrokiem oddalającego się na czoło kolumny mężczyznę. Paski od radiostacji niesionej na plecach boleśnie wrzynały mu się w ramiona. Zaklął siarczyście i z wyrzutem spojrzał na pisarza kompanii, który nosił tylko niewielkich rozmiarów teczkę. W sumie nic nie miał do starszego szeregowego Louisa Pimlotta, drażniła go tylko funkcja, którą ten żołnierz pełnił.

- Co tam, Bill? - z troską zapytał Crooks, podstawiając operatorowi radia paczkę papierosów.

Specjalista 4 stopnia wyciągnął jednego pogniecionego i przemokłego papierosa z wyciągniętej w jego kierunku paczki kentów. Tytoń w nim był na wpół wykruszony, ale nie był wybredny i z chęcią go przyjął. Stali tak przez chwilę, milcząc i wolno paląc. Kolejna grupa żołnierzy przemieszczała się na czoło, przechodząc obok nich.

- W drogę! - wydarł się sierżant plutonu tuż nad uchem stojącego na poboczu Orwiga.

Tom czuł z każdym pokonywanym metrem, że popełnił wielki życiowy błąd, zapisując się na ochotnika. Zrobił to dla kobiety, a ona po prostu poszukała sobie nowego. Jaki był głupi i mało dojrzały, aby podjąć tak ważną decyzję w przypiływie emocji. Coraz częściej rozumiał ludzi, których jedynym

marzeniem było, aby jak najprędzej opuścić ten kraj. Smętnie patrzył na odciski wojskowych tropikalnych butów wrzynające się brązowo-czerwoną glebę. Tutaj ziemia ma wszystkie odcienie czerwieni, od jasnopomarańczowego przez ceglastą czerwień do ciepłych brązów – pomyślał Tom, spoglądając na setki pozostawionych na ziemi śladów wojskowego obuwia.

Mężczyzna był już znużony długim marszem i panującym upałem. Jak na złość nikt nie zarządził chociaż krótkiego postoju. Objuczeni jak muły, wolno posuwali się naprzód, kierując się cały czas na północ. Gęsta roślinność porastająca pobocze dochodziła niemal do samej jezdni. Wietnam, który według wielu żołnierzy składa się właściwie z jednej wielkiej dżungli, zdawał się bostończykowi coraz bardziej mroczny i niedostępny. Wszechobecna zieleń skrzętnie i skutecznie ukrywa swoich obrońców. To, co znajdowało się wśród niej, okazywało się niewidoczne nawet dla najbardziej uważnego obserwatora. Wróg czał się zapewne na nich gdzieś na poboczu, a najzwyczajniej w świecie nie było go widać. Swanson patrzył na nowe twarze, które pojawiły się w kompanii C, wszystkie były przerażone, prawie szare jak kartka papieru. Jednego z nowo przybyłych poganiał kapral Shaw. Szturczał go lufą swojej M16, nakazując, aby szedł szybciej. Rekrut i tak z trudem utrzymywał szyk marszowy.

- Staram się, ledwo żyję! Odsuść sobie, człowieku...

- A kogo to, kurwa, obchodzi?! Najlepiej jak zdechniesz już na początku. Zaoszczędzisz nam i sobie cierpienie – podoficer skwitował uzalania szeregowego George'a Dicksona.

Tom pokręcił głową na boki. On na szczęście miał już to za sobą. Swoje już tutaj odsiedział i na dodatek został ranny w walce. Nikt na niego nie spoglądał i nie traktował go jak nowicjusza. Wyciągnął z bluzy munduru małe zawiniątko i wydobyl z niego kieszonkowy kalendarz. Spojrzał do niego, zostało mu 269 pieprzonych dni w strefie bojowej. Pamiętał przeczytane kiedyś w książce motto: „Życie jest piękne, dopóki Bóg nie odwróci się od ciebie, a Szatan zawładnie twoją duszą”. Zastanawiał się, czy Wietnam jest właśnie tym miejscem. Tutaj młodzi ludzie muszą dokonywać niemożliwego, stojąc twarzą w twarz ze śmiercią, pytają samych siebie i swoich towarzyszy broni o sens tej wojny. Nikt nie zna jednoznacznej odpowiedzi.

- Zapalisz? - Swanson usłyszał pytanie dochodzące zza jego pleców.

Obrócił głowę, aby zobaczyć, kto pyta. Przy skręceniu karku mężczyźną przeszył nagły ostry ból. Starał się dłonią rozmasować bolące miejsce. Nie zdążył odpowiedzieć, bo podano od czoła, że zarządzono krótki postój. Dopiero gdy zdjął z głowy ciężki stalowy hełm, zwrócił uwagę na człowieka, który przed chwilą zadawał mu pytanie. Wpatrywał się w niego, nadal trzymając w rozdygotanej dłoni paczkę papierosów.

- Jestem Eugene Howden - powiedział rekrut i z wyciągniętą dłonią na znak przyjaźni zbliżył się do siedzącego Swansona.

Bostończyk zmierzył go zmęczonymi niebieskimi oczami. Nie zamierzał odwzajemniać serdecznych uścisków dłoni. Młody chłopak o bujnej czuprynie źle trafił. Spadochroniarz nie szukał przyjaciół i w tej chwili chciał, aby pozostawiono go w spokoju. Swanson raz jeszcze spojrzął na mężczyźną stojącego nad nim i jego nowiutki mundur TCU, wzorowany na amerykańskim mundurze spadochronowym M1942 z okresu II wojny światowej.

- Słuchaj no ten... John czy Frank, czy jak ci tam. Daj sobie spokój. Odpieprz się ode mnie! - ostro zareagował zmęczony psychicznie i fizycznie Tom, próbując chociaż na chwilę zapomnieć, w jakie bagno sam się wpakował.

Ron Simmonds od dłuższego czasu szedł, przeklinając na czym świat stoi każdy swój krok w podmokłym terenie. Od chwili wymarszu coś było nie tak. Już kiedy rozpoczął wolny marsz, zaczęło burczeć mu w brzuchu. Na początku to zbagatelizował, ale gdy do warczenia po kichach doszedł lekki ból, zaczęło go to niepokoić. Z każdym pokonywanym metrem ból stawał się coraz bardziej natarczywy, by niespodziewanie przejść zupełnie w chwili, gdy ogłoszono przerwę. Jednak nie na długo, zaatakował ze zdwojoną siłą. Zwalisty Murzyn wskoczył w gęste zarośla, przebrnął płataninę bambusów i zatrzymał się w małej kępcze słoniowej trawy. Parokrotnie okręcił się wokół osi, wyglądało to jakby kwoka mościła sobie gniazdo. Rozpiął spodnie i je opuścił, musiał się wypróżnić. Gdy wyrzucił z siebie ekskrementy, poczuł przeraźliwy odór. Spojrzął na to, co zostawił na ziemi, i zrobił minę, jakby ugryzł owoc cytryny. Nie wyglądało to dobrze, krwawił z jelit. Oddalił się z miejsca zbrodni, wykrzesując z siebie resztki sił. Opadł na pobocze drogi tuż obok pijącego wodę z manierki Hackmana.

- Kurwa, stary, sram krwią, jest ze mną niedobrze - żalił się Simmonds staremu wydze, oczekując z jego strony odrobiny troski na swój podły los.

- Ron, nie przesadzaj. Takiego potężnego czarnucha jak ty nie powali byle sraczką! Wyluzuj, wrócimy do bazy, to pójdziesz do lekarza, a teraz nie siej defetyzmu.

Król Jaszczur, gdy skończył swoją wypowiedź, zaczerpnął jeszcze jednego solidnego łyka z plastikowej manierki. Pokręcił przecząco głową i splunął plwociną tuż obok swojego wysłużonego buta.

Żołnierze byli już mocno zmęczeni i wyczerpani, więc przedłużający się odpoczynek przyjmowali z dużym zadowoleniem. Nikt z szeregowych żołnierzy nie zdawał sobie sprawy, że w tym właśnie punkcie mieli się spotkać ze zmechanizowanym pododdziałem. John Wolf był zbyt zmęczony, żeby myśleć, ale przypatrywał się krążącemu nad ich miejscem postoju śmigłowcowi obserwacyjnemu Bell OH-13 Sioux. Łopotanie jego śmigieł w jakiś dziwny sposób działało na niego kojąco. Wmawiał sobie, że są tu na ziemi bezpieczni, skoro z góry ktoś obserwuje teren i dba o ich bezpieczeństwo. Siedzący obok spadochroniarza z Suffolk biedny Murzyn z Cleveland, schowany częściowo w sięgającej prawie do piersi trawie, coś palił. John nie musiał się domyślać, co takiego pali czarnoskóry żołnierz. Mack Vincent pochłaniał trawkę jak parowóz.

- To gównu prędzej cię zabije niż wietnamska kula - rzucił mężczyzna w kierunku dopalającego już skręta spadochroniarza.

Vincent nic nie odpowiedział, rozbiegany wzrok i nikły uśmiech malujący się na jego twarzy świadczyły o wszystkim. Usiadł, a raczej pacnął na ziemię i położył sobie karabin na udach, jakby na coś czekał. W tym momencie napatoczył się najnowszy nabytek plutonu, szeregowy Linz, student, który dał się przekonać hasłom propagandowym i przyjechał do Wietnamu jako ochotnik, żywiąc nadzieję, że przeżyje fascynującą przygodę. Być może przygodę swojego życia, o której będzie opowiadał swoim dzieciom, a może i wnukom.

- Chodź tu, białasiu - Vincent skierował swoje słowa do przechodzącego obok nowicjusza.

Pełen entuzjazmu student zatrzymał się w miejscu i zdziwionym wzrokiem spojrzął na siedzącego na poboczu Murzyna. Spadochroniarz chwilę majstrował przy swoim plecaku, po czym wstając, podał Linzowi

niesiony do tej pory na plecach granatnik przeciwpancerne M72 LAW. Zdziwiony był student przez chwilę stał zupełnie zaskoczony tym, co przed chwilą się wydarzyło. Vincent, jakby nic się nie stało, powrócił do czynności, którą wykonywał, dopóki nie zjawił się rekrut. Rozsiadł się wygodnie na wilgotnej trawie i zrzucił z głowy hełm, który boleśnie go uwierał. Nowicjusz zastygł jak słup soli.

- Idź sobie już. No spieprzaj stąd, łazęgo!!! - ryknął Murzyn z Cleveland do stojącego na środku drogi Linza.

Wystraszony mężczyzna ruszył biegiem w kierunku czoła kolumny marszowej. Za moment jedynym śladem jego niedawnej obecności był leżący na ziemi otwieracz do konserw, który rekrut zgubił, zrywając się do panicznej ucieczki.

Nadjeżdżające pojazdy słyhać było już od dobrych kilkunastu minut. Pickok nie patrzył w stronę, skąd dobiegały odgłosy, z sentymentem spoglądał na zdjęcie swojej żony Kim. Z jej ostatniego listu dowiedział się, że po ich spotkaniu na Hawajach pozostał mały ślad. Krótko mówiąc, kobieta oznajmiła mu, że zostanie ojcem. Rudowłosy oficer był dumny. Martwiło go natomiast to, że pozostały mu jeszcze do odsłużenia cztery miesiące na pierwszej linii, zanim zostanie odesłany na tyły. W tym czasie bardzo wiele mogło się wydarzyć. Pragnął być przy narodzinach dziecka, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że było to prawie niemożliwe do zrealizowania.

Przeraźliwy chrzęst gąsienic wyrwał go z zadumy. W ich kierunku zmierzała kolumna transporterów opancerzonych piechoty M113. Terkocząc i pozostawiając po sobie duszące czarne obłoki spalin, pojazdy przejechały obok odpoczywających na obrzeżach drogi spadochroniarzy. To była obiecana im przez dowództwo osłona. Niewielką pancerną kolumnę zamykała 2,5-tonowa ciężarówka M35A1 uzbrojona w poczwórny karabin maszynowy M2. Po chwili pojazdy zniknęły oficerowi z oczu, kryjąc się za najbliższym zakrętem. Czerwony pył podniesiony przez nie z podłoża owładnął i przyległ do ciał spoconych mężczyzn. Ryki maszyn znacznie zmalowały na sile i stały się jednostajne. Można było z tego wnioskować, że pojazdy zatrzymały się.

W stronę otrzępujących się z kurzu spadochroniarzy zmierzał buńczuczny krokami jakiś oficer. Nucił coś pod nosem, dumnie wymachując na boki brytyjską szpicrutą. Pickok poznał go od razu, jak tylko zobaczył go idącego pylistą drogą. Z tym facetem przyjechał do Wietnamu. Zdawało mu

się, że było to wieki temu. Odwzajemnili przyjacielski uścisk dłoni.

- Cześć, Robert, właśnie cię szukałem - wypowiedziawszy to, oficer mocno klepnął przyjaciela w ramię.

Pickok znał Joego Ryana od ponad pięciu lat. Poznali się na jednym z nudnych dobroczynnych balów, jakie organizowała matka Joego. Nie od razu przypadli sobie do gustu. Powód był prozaiczny - kobieta, a dokładniej Kim. Zwróciła uwagę obydwu mężczyzn, ale to Robert z nią się umówił i w niedługim czasie potem poślubił. Dawne zaszłości mieli już za sobą, wspólnie trafili na front, zaprzyjaźnili się, ale ich drogi się rozeszły. Ryan trafił do sztabu, a Pickok do kompanii piechoty spadochronowej. Rudowłosy oficer znosił ciężi na pierwszej linii, a Joe piął się po szczeblach drabiny kariery.

- Awans osiąga się sprytem, wytrwałością, zrządzeniem bożym lub przez diabelskie niedopatrzenie, jak napisał Kurt Vonnegut. Otrzymałem awans i nowe stanowisko służbowe. Jestem teraz oficerem operacyjnym w 2 Batalionie - powiedziawszy to, Ryan wskazał na oznaczenia kapitana widniejące na jego mundurze.

Porucznik Robert T. Pickok uśmiechnął się i w duchu pomyślał, jaki z Ryana był zadufany w sobie dupek. Spotkanie trwało bardzo krótko, bo nakazano im się zbierać do drogi. Pożegnali się bez zbędnych ceregieli. Zastępca dowódcy kompanii C jeszcze przez chwilę obserwował wolno oddalającego się przyjaciela. Mężczyzna dziwił się, że świeżo mianowany kapitan tak się cieszy. On był niezadowolony, że otrzymał tak niewdzięczne zadanie. Patrowanie trasy komunikacyjnej nastroczało wielu problemów. Strach przed skrytym atakiem wroga i wpadnięcie w zasadzkę sprawiały, że wśród spadochroniarzy nasyłał się stan paniki pomieszanej z depresją.

Nagle ściana lasu się skończyła, a oczom spadochroniarzy ukazała się stara, podupadła plantacja kauczuku. Na bezchmurnym niebie widać było leniwie zmierzające ku zachodowi słońce. W oddali zmęczeni żołnierze zobaczyli uprawne pola ryżowe i wieśniaków tam pracujących. Na skromnych pastwiskach pasły się bawoły gajal będące udomowionym podgatunkiem dzikiego gaura. Niektóre sztuki bydła, powłócząc nogami i pobrzękując dzwoneczkami, szły po udeptanej ścieżce nieopodal głównej drogi. Zwierzęta były złężnione, obawiały się ryczących potworów, którymi były transportery opancerzone. Ryki ich 215-konnych wysokoprężnych silników

zagłuszały wszystko i budziły grozę. Bydło wołało czym prędzej oddalić się od zagrożenia i przyspieszając kroku, ruszyło w kierunku mającej w oddali niewielkiej wioski.

- Ryżojady teraz uprawiają ziemię, a później wyciągną z kryjówek broń i zaatakują nas w nocy - ze wzgardą wypowiedział te słowa Frost, patrząc na trzech wieśniaków pracujących na polu, brodzących w wodzie prawie do kolan.

- Daj im spokój, Samuel, nie każdy Wietnamiec jest zły - spokojnie oznajmił idący w ślad za Frostem szeregowy Walter Todds.

- Inaczej zaczniesz gadać, jak zaczną do nas strzelać. Wtedy to każdy będzie zły! - zripostował szybko spadochroniarz.

Wyminę spostrzeżeń, która zaczęła zmierzać w złym kierunku, przerwał huk nisko przelatującego nad pozycjami amerykańskimi śmigłowca zwiadowczego. Gdy odgłosy umilkły, jakoś nikt nie kwapił się do podjęcia dalszej dysputy. Zarządzono natomiast nocny postój w rejonie wyschłego koryta strumienia.

Zmierzch zapadł szybko. Na niebie zabłyśły niezliczone ilości gwiazd migotliwym, zimnym, prawie nierzeczywistym światłem. Tom miał już serdecznie dość warunków bytowych, w których przyszło mu egzystować. Upał za dnia, chłód w nocy, niedostatek wody i zimne posiłki. Wszystko to działało na niego deprymująco. Czuł się zmęczony i wyobcowany, tutaj nawet przyroda była przeciw nim. Przez wiele miesięcy w Stanach szkolił się na najnowocześniejszym sprzęcie wojskowym, który tutaj się nie sprawdzał i często zawodził. Jadąc tu, wierzył, że będzie służył w elicie amerykańskich wojsk. Paradoks - pomyślał Swanson, bo widział tylko wymęczonych, głodnych i złęknionych młodych ludzi, którzy uciekali w narkomanię, aby chociaż na chwilę zapomnieć, gdzie są i kim są. Nie było tu niczego elitarnego, nawet śmierć w niczym nie przypominała tej widzianej w hollywoodzkich filmach. Nie mógł zasnąć, w głowie krążyły mu tysiące myśli. Pamiętał, jak nie mógł się doczekać pierwszego zadania i pierwszej walki. Teraz, gdy miał krew na rękach, nie mógł uwierzyć, jaki był niedojrzały.

- Mamy przesrane, przegramy tę wojnę - wyrwało mu się mimochodem.

Nikt nie zareagował na te gorzkie słowa wypowiedziane przez Swansona w księżycową jasną noc. Odpowiedziało im jedynie dalekie kumkanie żab,

które wyszły na nocne łowy.

Dzień wstał jasny i słoneczny nad Wietnamem Południowym. John Wolf przetarł bolące, zapadnięte od niewyspania oczy. Jak większość żołnierzy kompanii C prawie nie spał, obawiając się nocnego ataku wroga. Parokrotnie się budził, bo śniło mu się, że partyzant VC podrzyna mu gardło. Z trudnością przełknął śmierdzącą zatęchłą wodę z manierki, połknął dwie słone tabletki i chrząkając, podźwignął się z wilgotnej ziemi. Na pobliskich wysokich trawach pełno było jeszcze porannej rosy, w której kąpały się owady. Spadochroniarz przytroczył do plecaka stalowy hełm. Następnie zarzucił go sobie na plecy, a przez pierś przewiesił bandolier z siedmioma dwudziestonabojuowymi magazynkami do M16. Szybkim ruchem ręki wyciągnął z prawej bocznej kieszeni spodni tropikalny kapelusz boonie hat i założył go sobie na głowę. Był głodny jak nigdy dotąd.

Uśmiechnął się, widząc, że Douglas przystąpił już do sporządzania posiłku. Bez zbędnych słów młody szczupły Hawajczyk poczęstował Wolfa kawałkiem zimnego indyka wyciągniętym z konserwy. Potrawa, chociaż prawie niezjadliwa, na chwilę złagodziła wzbierający w byłym pracowniku kolei głód. John wydobyl ze skarpety zawieszanej pomiędzy manierką a ładownicą puszkę żywnościową z racji C i podał ją Douglasowi. Z wysokiej trawy wyszedł Matt Hackman, niosąc stalowy kubek z jednym uchem, który trzymał w prawej dłoni. Do nozdrzy spadochroniarzy doleciał mocny zapach świeżo zaparzonej kawy. Wysoki i chudy mężczyzna podzielił się gorącym aromatycznym napojem.

- Królu, mam u ciebie dług - wypowiedział mężczyzna o szczurzej twarzy, siorbiąc głośno gorącą kawę.

Spadochroniarze cieszyli się odrobiną luksusu, jakiego zaznawali. Za kilka chwil mieli kontynuować patrolowanie trasy numer dwa.

Wyruszyli, gdy ku niebu pofrunęły pierwsze ptaki. Patrząc w górę, Tom musiał zmrużyć oczy, bo raziło go słońce. Na niebie kołowały ptaki, wrzeszcząc przeraźliwie. Nic dobrego to nie wróżyło - pomyślał bostończyk, patrząc na hałaśliwe stworzenia. Choć tempo marszu nie było szybkie, coś mu nie pasowało. Nie potrafił określić, co to było. Już od samego rana był jakiś podminowany. Drażnił go nawet widok Hackmana, który podnosząc z ziemi tumany kurzy, zbliżał się w jego kierunku.

Nagle w ciągu jednej sekundy spokojny patrol przemienił się w istne

piekło. Na Amerykanów padły strzały ze wszystkich stron z porastających pobocze drogi wysokich i bujnych traw. Rozpoczął się krwawy bój. Swanson zareagował natychmiast, rzucając się w najbliższe kłębowisko zieleni. Ralph Byrne ugodzony pociskiem obrócił się wokół osi i upadł na ziemię. Gdy próbował zczołgać się z drogi, trafiły go kolejne dwie kule. Żołnierz jednak tylko na chwilę zamarł na środku jezdni. Sunąc resztką sił, zostawiał po sobie krwisty ślad. Jego męczarnie zakończył celny pocisk, który roztrzaskał mu głowę. Martwe ciało spadochroniarza momentalnie zastygło w bezruchu.

Początkowy chaos został jednak dość szybko opanowany i członkowie patrolu odpowiedzieli ogniem. Ostrzał partyzantów Vietcongu był chaotyczny. Ktoś, kto zaplanował tę zasadzkę, nie przyłożył się do swojej roboty. Żołnierze z Ameryki Północnej nie zdawali sobie jednak sprawy, że zostali otoczeni i odcięci przez ponad dwukrotnie liczniejszą jednostkę wroga.

W chwili, gdy padły pierwsze strzały, podporucznik Fisher przeglądał mapę i stwierdził, że są nieopodal Ngai Giao. Zdążył zauważyć, jak seria z kaemu ścięła idącego przy nim Frosta. Mężczyzna z przestrzelonymi obiema nogami zwałił się na ziemię w oka mgnieniu. Młody oficer odruchowo złapał go za plecak i pociągnął za sobą do wysokich traw okalających drogę. Nie musiał zajmować się rannym, bo jakimś dziwnym zrządzeniem losu zjawił się przy nich sanitariusz.

- Frost, patrz na mnie. Wytrzymaj, wiem, że boli jak cholera, ale to tylko zaledwie draśnięcie - kłamał starszy szeregowy Crooks, opatrując wrzeszczącego spadochroniarza.

Krew ciekła z trzech przestrzelin, życie z rannego mężczyzny uchodziło. Sanitariusz zdążył się już zorientować, że kule zgruchotały obie kości udowe i jeżeli Frost przeżyje, to i tak będzie inwalidą. Nie to jednak teraz było najważniejsze. Trwał wyścig z czasem, wyścig na śmierć i życie. Ciężko dyszącemu Crooksowi udało się zatamować krwawienie. Zrobił co mógł, teraz należało rannego jak najszybciej dostarczyć do szpitala.

Dowódca kompanii C ostrzeliwał się z doraźnego stanowiska ogniowego. Był skryty za zbutwiałym pnieniem drzewa. Kilka pocisków zdążyło je już trochę podniszczyć, sypiąc wiórami dookoła. Gavin wiedział, że jest tu chwilowo bezpieczny. Ciągła wymiana ognia świadczyła o tym, że jego podwładni bronili się godnie. Wyciągnął granat M26 i rzucił w kierunku,

skąd dobiegały wietnamskie głosy. Eksplozja nastąpiła w chwili, gdy znajdujący się tam żołnierze szykowali się do zaatakowania stanowiska oficera. Od południa dysząc jak lokomotywa, ledwo pełzną, do głównodowodzącego zbliżał się Orwig. Wyglądał jak cień człowieka, taszcząc na plecach połowę radiostację. Oficer szybko zrobił z niej pożytek, podając koordynaty dla artylerii i zakodowany sygnał, aby amerykańskie lotnictwo udzieliło im wsparcia.

- Bill, zaraz rozpoczną się fajerwerki - powiedziałwszy to, Gavin stuknął w hełm słuchawką radiostacji szybko oddychającego radiooperatora.

Specjalista 4 stopnia nie słyszał tego, co do niego mówił oficer. Jego myśli skierowane były na wietnamskiego piechura, który szybko zbliżał się w ich kierunku, przedzierając się przez gęstą roślinność. Nie miał czasu, aby dobrze wycelować, nacisnął spust i puścił go dopiero, gdy iglica napotkała pustą komorę naboju. Żołnierz VC zginął zapewne już od pierwszej kuli, która trafiła go w szyję, ale Orwig nie miał o tym zielonego pojęcia. Radiostacja trzeszczała, urywane słowa podporucznika Bruce'a Ariana mówiły tyle, że pierwszy pluton był pod ciężkim ostrzałem.

Pickok był na pozycji pierwszego plutonu przyjmującego na siebie morderczy ostrzał. Oprócz broni automatycznej na ich pozycje posypały się pociski. Młodzi ludzie ginęli jeden po drugim od kul, granatów i odłamków eksplodujących pocisków moździerzowych. Sytuacja była krytyczna. Z pomocą przyszły im transportery opancerzone. Płyły w kierunku nacierającego wroga pociskami kalibru .50. Rozklekotane czternastotonowe muły wzięły na siebie ogień przeciwnika. Odbijające się od ich pancerzy pociski wzbudzały snopy iskier. Wkrótce nadjechał kolejny „Zielony Smok”, takim właśnie przydomkiem żołnierze VC określali transportery M113. Zasypani gradem ołowiu Wietnamczycy odstąpili i przemieścili się do innego miejsca. Pickok widział, jak kapitan Joe Ryan biegnie skrajem drogi. W pierwszym momencie wyglądało to tak, jakby oficer się potknął i upadł na ziemię, nie mogąc złapać równowagi. Prawda jednak była zupełnie inna. Wietnamska kula trafiła go w bok i przeszła na wylot, rozrywając po drodze żołądek, śledzionę i wątrobę. Oficer umierał krótko, ale w strasznych męczarniach.

Pocisk z granatnika, sycząc przeraźliwie, ugodził jadący na czele transporter, który momentalnie stanął w płomieniach. Odłamki poraniły

szukających schronienia za pancernem pojazdu żołnierzy. Dwuosobowa załoga wozu bojowego zginęła na miejscu. Ku niebu buchnęła czerwono-pomarańczowa kula ognia i słup smolistego dymu. Kierowcy kolejnych maszyn, widząc zagrożenie, próbowali manewrować, aby znaleźć się poza zasięgiem ognia z granatnika. Kolejny pocisk z RPG-2 przeszył powietrze, ale minął cel i eksplodował w zaroślach, nie czyniąc żadnej szkody. Rycząc sześciocyndrowymi silnikami Detroit Diesel 6V53T, transportery kierowały się na tyły, nie zważając na to, co dzieje się na drodze. Dowódca jednego z nich obsługujący karabin maszynowy Browning M2 otrzymał dwa trafienia w klatkę piersiową i martwy osunął się do rozgrzanego wnętrza M113. W tym momencie nadleciały pierwsze pociski artyleryjskie, ryjąc sektor zajmowany przez Wietnamczyków. Cała droga zasnuta była gryzącym w oczy dymem. Nawałnica trwała krótko, ale przetrzebiła siły VC. Nie złamało to jednak jego ducha.

O'Donell otarł piekący pot z kącików oczu. Zgrał przyrządy celownicze i nacisnął spust. Trafiony wróg zgiął się wpół. Nowojorczyk wystrzelił w jego kierunku kolejne dwa pociski, które przesądziły o losie odzianego na czarno partyzanta. Nie miał pojęcia, kto wygrywa, zdawał sobie jednak sprawę, jak groźny jest przeciwnik. Stojący na poboczu drogi M35A1, znany również jako Nancy, zasypywał wycofującego się wroga ogniem z poczwornie sprzężonych karabinów maszynowych M2. Śmiercionośny ostrzał rozrywał oddalających się w pośpiechu żołnierzy wietnamskich. Obsługę działa jak najbardziej bawiło strzelanie wrogowi w plecy. Wojskowa 2,5-tonowa ciężarówka, na której zamontowane było działko, ruszyła z miejsca, kierując się do małej polanki, gdzie strzelcy będą mieli lepsze pole widzenia. O'Donell splunął na ziemię i przetarł spocone czoło. Kolejna salwa artyleryjska z haubicy 105 mm dokończyła dzieła zniszczenia. Bitwa zmierzała ku końcowi. Po dwóch godzinach zażartych walk natarcie wietnamskie zostało powstrzymane.

Pickok powoli przesuwał się wzdłuż drogi. Nie musiał długo szukać, aby odnaleźć ciało swojego przyjaciela. Ryan leżał na boku z szeroko otwartymi oczami i wyrazem bólu malującym się na jego poznaczonej małymi bliznami twarzy. Krew wsiąkła w chłonny pylisty piasek, zostawiając na nim czerniejące plamy. Przepełniony pychą i butą oficer leżał teraz martwy. Tuż obok niego spoczywała jego szpicruta. Rudowłosemu oficerowi było smutno, pomyślał o tym, że tysiące kilometrów od Wietnamu, w Stanach, żony

dowiadują się z telegramów, że zostały wdowami. Inne kobiety z niepokojem i niepewnością oczekują na szczęśliwy powrót swoich wnuków, synów lub kochanków do domu. Jeden z takich telegramów otrzyma rodzina oficera operacyjnego 2 Batalionu kapitana Joego Ryana z Chicago.

XII

MOST

Walki w prowincji Phuoc Tuy były już przeszłością i nikt nie zamierzał o nich dyskutować. Tamte wydarzenia pozostały tylko w umysłach młodych ludzi, którzy nigdy nie powinni oglądać takich okropieństw. Jednostka powróciła do swojej macierzystej bazy. Tym razem żołnierze kompanii C skorzystali z obiecanych im dwudniowych przepustek. W Bien Hoa zapanował niezwykły gwar i tumult, gdy spadochroniarze całą hordą ruszyli do barów i burdeli mieszczących się tuż obok bazy.

Swanson, siedząc na rogu swojego łóżka, zastanawiał się, dlaczego tak się upodlił. Kiedyś, kiedy był jeszcze przykładnym synem i dobrym obywatelem, potrafił zadbać o siebie i wytyczyć sobie jasne granice. Teraz upijał się na umór i upalał narkotykami. Było to żalosne. Mętym wzrokiem patrzył na pomieszczenie, w którym się znajdował, na jego tymczasowy dom. Nic nie napawało go optymizmem. Był zaskoczony, jak szybko ludzie z logistyki usunęli rzeczy po zabitych i ciężko rannych odesłanych do szpitali. Zostały po nich tylko puste łóżka i mgliste wspomnienia.

- Czym się tak zamartwiasz, Tom? - spytał ciepłym głosem Hackman siedzący na sąsiedniej pryczy.

- Wszystko tutaj przejął mnie grozą. Należymy do straconego pokolenia, nasza młodość i niewinność przypadła tutaj, na tej pieprzonej wojnie - głos Swansona był pełen wewnętrznej goryczy.

- Spokojnie, Harvard, wyluzuj. Może strzelimy sobie w płuco? - powiedziawszy to, Król Jaszczur spojrział na spadochroniarza swoimi niebieskimi oczami i wyciągnął w jego kierunku skręta.

- Nie, dzięki, i tak ledwo trzymam się kupy. Pomyśl, Matt, ludzie tacy jak ja czy ty lub inni osiemnasto-, dziewiętnastolatki trafiają na front namawiani przez polityków do spełnienia obowiązku wobec ojczyzny. Tutaj

wrzuca się ich w paszczę bestii i całkowicie zapomina o nich. Stają się anonimowi z pogłębiającą się z dnia na dzień depresją, by w końcu oświadczyć szaleństwem rzucić się w wir walki tylko po to, aby jak najszybciej opuścić ten przeklęty kraj. Sposób jego opuszczenia jest nieistotny. Najczęściej jest nim czarny gumowy worek. Pierdolony worek na zwłoki! Kurwa, mam dość! – mężczyzna opadł na łóżko, by zasnąć w pełnym umundurowaniu w zaledwie parę chwil.

Matt Hackman, siedząc tak i wolno paląc jointa, zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Wiele prawdy było w tym, co mówił Swanson. Niesłychane, pomyślał o wynurzeniach śpiącego teraz młodego człowieka. Stary wyga zastanawiał się nad sensem tej wojny, skoro wielu młodych wykształconych, pochodzących z dobrych domów ludzi myślało tak jak bostończyk. Służba Hackmana dobiegała końca. Pozostało mu jedynie 41 dni w strefie bojowej. Nie zamierzał się narażać i czynić z siebie bohatera, chciał w jednym kawałku wrócić do Stanów. A teraz zamierzał się położyć i spróbować chociaż na chwilę nie myśleć o sensie walki w tym odległym kraju.

Od rana panował wzmożony ruch. Czasy błęgiego lenistwa się skończyły. Kompania Charlie zmierzała w kierunku mostu na rzece Sajgon zlokalizowanego na zachód od An Loc. Wpakowano ich do ciężarówek niczym bydło. Na czele kolumny wojskowych 2,5-tonowych ciężarówek jechał samochód terenowy M151 MUTT, w którym siedział kapitan Gavin. Samochody podskakiwały na nierównościach, doprowadzając tym spadochroniarzy do szewskiej pasji. Gdy M35 kolejny raz podskoczyła na wyboju, mężczyźni jak na komendę skwitowali to siarczystymi przekleństwami.

- Nie na takie zwiedzanie Azji się pisałem - Weber sarkastycznie ocenił wojskowy transport, podnosząc z podłogi hełm, który spadł mu z głowy.

Na te słowa odwrócił się sierżant Wayne Kemp, który zaledwie dwa dni wcześniej wraz z Glennem Longiem powrócił ze szpitala.

- Jeszcze słowo, Weber, a przez tydzień palić będziesz gównem! - głos podoficera zagłuszył hałas jadącego samochodu.

Wypowiedź Kempa momentalnie uciszyła kilku śmiejących się mężczyzn. Tylko głośne pomruki wskazywały na ogólne niezadowolenie. Wojskowa kolumna musiała zrobić przymusowy postój, bo drogę zagradzała

przewrócona na bok stara furgonetka. Chwilową przerwę większość spadochroniarzy wykorzystała na spenetrowanie pobliskich zarośli, aby tam oddać mocz. Tarasujący przejazd samochód został odciągnięty na skraj drogi. Konwój ruszył otoczony spalinami i czerwonym kurzem podniesionym z drogi. Stan nawierzchni trochę się poprawił i nie rzucało już tak żołnierzami słoczonymi na skrzyni ładunkowej.

- Patrzcie! - wykrzyknął podniecony Coleman, podrywając się z ławeczki, na której siedział.

Spadochroniarz wskazywał wyciągniętą ręką na stary szkielet jakiegoś wozu bojowego. Dopiero gdy się do niego zbliżyli, a kierowca zmniejszył prędkość, rozpoznali w nim M113. Stojący na poboczu zardzewiały wrak transportera zaprojektowanego przez firmę FMC (Food Machinery Corp) lata swojej świetności dawno miał już za sobą. Na jego burcie widniała duża dziura świadcząca o tym, że pojazd został trafiony z granatnika przeciwpancernego z dość bliskiej odległości. Siedzące na wraku umorusane wietnamskie dzieci zrobiły sobie z niego przydrożny sklepik. Gdy ciężarówka wolno przejeżdżała obok nich, zaczęły wykrzykiwać na całe gardło:

- Coca Cola, Coca Cola...!

W jednej chwili dzieci poderwały się z miejsca i wyciągając do góry butelki z brązowym gazowanym napojem, przez chwilę biegły skrajem drogi. Spadochroniarze stracili je z pola widzenia, bo skrupulatnie owładnęła je chmura pyłu. Za zakrętem minęli posterunek ochronny otoczony workami z piaskiem, na którym trzech żołnierzy Wietnamu Południowego grało w jakąś dziwną, nieznaną Amerykanom grę. Za chwilę zostawili ich z tyłu i wyjechali na pustą przestrzeń. Po prawej zobaczyli szachownice małych ryżowych poletek. Pracowało na nich mnóstwo ubranych po wieśniacemu na czarno ludzi. W pracy towarzyszyły im bawoły oraz inne bydło. Prędkość kolumny drastycznie spadła, ponieważ na skraju drogi pojawili się przechodnie. Większość szła, niosąc ze sobą towary, inni jechali na rowerach obciążonych różnorodnym asortymentem. Trzeszcząca i telepiąca się kawalkada wojskowych 2,5-tonowych ciężarówek skrętnie ominęła ludzki pochód. Kierowcy mocniej przycisnęli pedały gazu, podwyższając prędkość marszową konwoju. Mijali kolejne usytuowane nieopodal szosy wsie i przysiółki. Za jednym z takich zapomnianych przez Boga skupisk nędznych

chat zarządzono postój.

- Trzymaj, Tom - Hackman wręczył mężczyźnie otwartą już butelkę Coca Coli.

Bostończyk zdziwił się, bo nie widział, żeby ktokolwiek kupował napój od dzieciaków przy wraku.

- Jak...

- To jeszcze z bazy - weteran rozwiął wszystkie pytania kłębiące się w głowie Swansona.

Płyn, choć ciepły, smakował wyśmienicie. Po dwóch głębszych łykach oddał opróżnioną prawie w jednej trzeciej butelkę jej właścicielowi. Król Jaszczur wypił pozostałość, nie odrywając szklanej butelki od ust. Nagle oczy zgromadzonych wokół samochodów mężczyzn przykuła młoda Wietnamka, która pojawiła się na drodze nie wiadomo skąd. Patrzyła na grupę spadochroniarzy złęcznionymi dużymi, migdałowymi oczami. Herrick wykonał wulgarny gest, ruszając konwulsyjnie biodrami. Kobieta zniknęła szybciej, niż pokazała się im na drodze. Podczas postoju minął ich konwój ciężarówek z materiałami budowlanymi. Żołnierze widzieli już wiele tych maszyn kursujących trasą nr 13.

- Zbierać dupy! Ładować się na pakę! - ryczał, wyrzucając w powietrze fontanny piany sierżant plutonu Blake.

Znów jak bydło zaganiani byli do transportu, pomyślał Gibbs pchnięty boleśnie karabinem przez podoficera. Silniki zawarczały, ruszyli w dalszą drogę. Zostawili za sobą dolinę i na powrót wjechali w zieloną otchłań. Niebo nad nimi zaczęło ciemnieć, nagły porywisty wiatr zaszumił w koronach drzew. W jednej sekundzie lunął deszcz, chłostał ich niemiłosiernie.

- Tylko tego jeszcze, kurwa, nam było trzeba! - zawarczał Harper coraz bardziej przemoknięty, bo zapomniał zabrać ze sobą poncha przeciwdeszczowego.

Nikt nie kwapił się, by odpowiedzieć na utyskiwania Harpera. Szczelnie opatuleni płaszczami przeciwdeszczowymi żołnierze kryli się przed coraz mocniej zacinającym deszczem. Tom myślał o domu, zastanawiał się, jak teraz jest w Bostonie. Zrobiło mu się raźniej na sercu, gdy przypomniał sobie, jak z Winnie pływał łódką w parku Franklina w taki jak ten, majowy dzień. Z tą różnicą, że tam nic mu nie zagrażało, tutaj atmosfera

nieuchronności śmierci przytłaczała go. Starał się powrócić myślami do tamtych upojnych chwil, ale ciągle wracały obrazy z pól bitewnych, krzyki rannych, błagania umierających i oczy, które prosiły, aby im pomóc. Samochód zatrząsł się i zwolnił. Swanson powoli odchylił połę poncha. Pogoda się poprawiła, opady deszczu znacznie zmalały. Przejeżdżali po odcinku szosy podmytym przez wodę spływającą z górującego nad drogą wzgórza. Koła ciężarówek ślizgały się na błotnistej breji.

- Mam nadzieję, że ta podróż niedługo się skończy. Dupy już nie czuję - głęboko wzdychając, wyraził swoją dezaprobatę Long.

- Daj spokój, Glenn. Myślisz, że kogoś tu obchodzi, że przemokniemy, głodni i zziębnięci jedziemy prawie pół dnia? Stary, oni mają to w dupie - poprawiając hełm, odezwał się kapral Shaw.

Kolejny zakręt, następne rozstaje dróg, a oni jechali dalej. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy dotarli do celu swojej podróży. Na wysiadających spadochroniarzy rzuciły się hordy moskitów. Natarczywe insekty były wszędzie. Wolf machał ręką nad głową, aby odpędzić chmarę komarów. Jak się miało wkrótce okazać, insekty nie były najgorszą rzeczą, która miała ich dzisiaj spotkać. Wkrótce stało się jasne, że nie ma tu zadaszonych schronów, a doły strzeleckie, w których mieli pełnić służbę, były pełne wody.

- Kurwa mać!!! - ostro przeklął Simmonds, stojąc nad fox holem po brzegi napełnionym wodą. - Może wykopimy nowe do... - Murzyn nie dokończył wypowiedzi, bo zrozumiał, że plecie bzdury.

Spadochroniarze musieli coś z tym zrobić, ale szybko zapadające ciemności zniweczyły ich plany. Noc spędzili na skrzyniach ładunkowych ciężarówek stłoczeni niczym sardynki w puszcze. Próbowali usnąć, ale natarczywie bzyzące owady znakomicie im to utrudniały. Moskity potrafiły odnaleźć najmniejszą szczelinę, aby dossać się do życiodajnej krwi swojej ofiary. Na domiar złego około trzeciej ponownie uderzył w nich deszcz. Przemoczeni trzęśli się pod przeciekającymi ponchami, gdy woda spływała po ich rozgrzanych skulonych ciałach.

Wstał ciepły i parny poranek. Okazało się, że spadochroniarze mają towarzystwo, którego nie zauważyli wczorajszego wieczora. Wspólnie z nimi do osłony mostu zostały wyznaczone także inne siły. W głębi lasu stały cztery transportery M113 i jeden czołg średni M48. Żołnierze w nich przebywający nie zauważyli nawet przybycia spadochroniarzy. Cała

kompania C udała się w kierunku obiektu, którego mieli bronić. Stanęli jak wryci, gdy ich oczom ukazał się ledwo trzymający się kupy zardzewiały most. Drewniane bale leżące na metalowym szkielecie były częściowo spróchniałe.

- To chyba, kurwa, jakiś żart?! - nie zapanował nad emocjami podporucznik Bruce Arian, dowódca 1 plutonu.

Gavin zmarszczył brwi i obrzucił młodego oficera surowym spojrzeniem. Jego marsowa mina mówiła sama za siebie. Dowódca kompanii stał przez chwilę i wpatrywał się w prowizoryczny most nad rzeką. Pierdolony Siholtz, zawsze wciśnie mi największe gówno - pomyślał oficer, mając na uwadze kilka ostatnich przydzielonych kompanii C zadań.

- Fisher, trzeba zbadać ten most. Wyznacz żołnierzy do wykonania tego zadania - patrząc zmęczonym wzrokiem na swojego podwładnego, Gavin wydał mu rozkaz.

Wyznaczona czwórka mężczyzn z 2 plutonu smętnie patrzyła na brudną, leniwie płynącą wodę. Brązowo-czarny odcień wody nie zachęcał, aby się w niej zanurzyć. Rzeka niosła biało-szare czapy piany. Wielokrotnie przestrzegano ich podczas szkoleń, że picie wody bezpośrednio z rzeki groziło zakażeniem amebą. Należało sprawdzić, czy pod spodem mostu nie są przyłączone ładunki wybuchowe. Nie było jednak konieczności, aby cała nieszczęsna czwórka zanurzyła się w brudnych odmętach. Do tego zadania wystarczył jeden człowiek. O żadnym sprawiedliwym głosowaniu nie było mowy. Simmonds i Gibbs wybrali szeregowego George'a Dicksona. Paul Linz, który także był w wyznaczonej czwórce, przystał na taki wybór, bo sam był nowym i w duchu cieszył się, że to nie on musi wejść do wody. Przypadło mu natomiast w udziale sprawdzenie mostu, miał iść po zmurszałych pniach. Dickson rozebrał się do połowy, pozostawiając ubranie na brzegu rzeki. Reszta kompanii dopingowała dwójce śmiazków w ich przedsięwzięciach. Zdecydowanie większym zainteresowaniem cieszyła się ekwilibrystyka na moście niż pływanie. Linz szedł ostrożnie, dokładnie patrząc, gdzie stawia swoją stopę. Wolne ruchy rekruta nie podobały się reszcie spadochroniarzy.

- Rusz się, cioto! Zapierdalaj, nie masz na to całego dnia!!! - wulgarnym okrzykiem nie było końca.

Pośliznął się na wilgotnej omszałej desce, z ledwością złapał się metalowej barierki, unikając spadnięcia z mostu. W ręce pozostał mu

kawałek zardzewiałej części, za którą przed chwilą się trzymał. Taniec na moście wzbudził wybuchy gromkiego śmiechu. Żołnierze na brzegu niecierpliwili się, a nawet niektórzy przyjmowali zakłady, czy Linz się skąpie, czy uda mu się przejść na drugi brzeg. W ruch poszły dolary i wietnamskie piastry. Rekrut uczepony barierki oddychał ciężko, nie miał siły na kontynuowanie swojej podróży. Po pięciominutowym przestoju przemógł się w sobie i ruszył dalej. Był już prawie na końcu, gdy spróchniałe drewno załamało się pod jego ciężarem. Resztką sił uczeponił się końcówki złamanej deski. Wierzgał nogami w powietrzu, próbując znaleźć jakieś podparcie. Z każdą mijającą sekundą siły go opuszczały. Nikt ze stojących na brzegu nie kwapił się, aby mu pomóc.

- Pieprzony łąęga! - wysyczał sierżant sztabowy Blake.

Nie zdążyły jeszcze przebrzmieć słowa podoficera, a rekrut był już w wodzie. Spadł z mostu po krótkiej walce, wyrzucając w górę fontannę wody. Jedni się śmiali, inni mieli zawiedzione miny. Pieniądze krążyły z rąk do rąk. Gdy jeszcze Linz uczepony był zardzewiałej barierki, do wody wszedł Dickson. Płynął wolno, nie spodziewał się, że nurt leniwie płynącej rzeki będzie taki silny. Co kawałek podrywał głowę do góry, aby sprawdzić czy konstrukcja nie jest zaminowana.

- Uważaj, czarnuchu, na rekiny albo krokodyle, aby nie odgryzły ci kutasa! - szydził Wright, muskularny Teksańczyk.

Płynący nic sobie nie robił z obraźliwych okrzyków skierowanych w jego kierunku. Sprawdził już ostatni możliwy element nośny mostu, gdzie wietnamski saper mógł zamontować materiały wybuchowe. Był w trakcie zawracania, gdy w dół poleciały spróchniałe kawałki drewnianych bali. Z głośnym „plusk” uderzyły o tafelę wody. Dickson spojrział do góry na wierzgające nogi, które wyglądały, jakby pedałowały. Odpłynął trochę na bok, aby spadający Linz w niego nie trafił. Walka na moście nie potrwała długo. Wkrótce rekrut podzielił los belek, które już nurt poniósł w dół rzeki. Wpadł jak kamień w wodę. Przez dłuższą chwilę się nie wynurzał, by wyskoczyć na powierzchnię niczym okręt podwodny podczas awaryjnego wynurzenia. Spadochroniarz łąpczywie łąpał powietrze, z trudem utrzymując się na powierzchni w mokrym mundurze i oporządzeniu, którego nie zdjął z siebie. Dickson dopłynął do niego i podał pomocną dłoń. Wspólnymi siłami udało im się dopłynąć do brzegu. Oboje, ciężko dysząc, leżeli

plackiem na brzegu i odreagowywali niedawne wydarzenia. Nad czarnoskórym mężczyzną nachylił się Simmonds i dmuchnął mu w twarz dymem z papierosa.

- Nie ruszaj się, ty czarna cioto - słowa wypowiedziane przez innego czarnoskórego mężczyznę zabrzmiały co najmniej dziwnie.

Stary wyga zaciągnął się mocno papierosem i skierował go w kierunku leżącego. Na szyi Dicksona była duża czarna pijawka sącząca z niego krew. Odpadła, gdy Simmonds przypalił ją rozżarzoną końcówką papierosa. Sprawdzanie mostu mieli już za sobą. Teraz musieli powrócić do zalanych wodą umocnień.

Podziału kompanii dokonał kapitan Gavin, nie siląc się na jakiś misterny plan. Rozlokował na jednym brzegu 1 pluton na lewej flance, 2 pluton na prawej flance, a pododdział broni ciężkiej z tyłu za ich pozycjami. 3 pluton miał na drugim brzegu dokonać rozpoznania terenu i później tam pozostać w odwodzie. Hackman stał i z kwaśną miną spoglądał na zalaną wodą rubież. Swanson stał obok, jego mina niewiele się różniła od miny towarzysza. Przy okopie przechodzili żołnierze z 3 plutonu, zwracając pod nosem. Podporucznik Dir czekał na maruderów, którzy ciągnęli się z tyłu. Wkrótce cały pododdział zabrał się za przeprowianie na drugi brzeg rzeki.

Król Jaszczur zaczął wydobywać wodę z stanowiska strzeleckiego za pomocą hełmu. Bostończyk uczynił to samo. Poziom wody znacznie spadł, ale aby wydobyć resztę, musieli coś wymyśleć. Pomysł podsunął wszystkim Gibbs, który swój hełm przywiązał do liny spadochronowej i tak wydobywał zalegającą na dnie wykopu wodę. Inni spadochroniarze poszli za jego przykładem i w niedługim czasie większość stanowisk ogniowych była częściowo osuszona. Żołnierze na dno dołu wrzucali połamane bambusowe gałęzie, aby nie zapaść się w błotnistej breji zalegającej na spodzie.

Tom oddalił się trochę od głównych stanowisk, tutaj poszycie stanowiły paprocie. Miał chęć chwilę pobyć sam. Przebrnął przez gęstwinę pnączy i znalazł małe oczko wodne obrosnięte ściśle trzciniami. Usiadł przy nim, roztarł bolący kark. Wiatr zaszumiał pośród drzew. Było cicho i przyjemnie. Głosy pracujących przy schronach mężczyzn zdawały dolatywać z bardzo daleka. Brakowało mu ciepła domowego ogniska. Świadomość, że strzela do takich jak on młodych, tęskniących za domem i rodziną ludzi, napawała go obrzydzeniem. Tom zupełnie stracił poczucie czasu. Od kwadransa cały

pluton przetrząsał zarośla w poszukiwaniu Swansona. Gdy tylko bostończyk wychynął z zielonej gęstwiny, od razu odezwał się Simmonds:

- Gdzie byłeś, walnięty białasie?! Szukamy cię od godziny! - zdyszany Murzyn rzucił w kierunku wolno idącego bostończyka.

- Spokojnie, Ron, nie denerwuj się, bo jeszcze zejdziesz na zawał - odpowiedział beznamiętnie siadający teraz przy Hackmanie spadochroniarz.

Rozmowę przerwały odgłosy uruchamianych silników pojazdów pancernych. Pierwszy na drodze pojawił się transporter opancerzony. Kierowca manewrował tak, aby ustawić swoją maszynę nieopodal ostatnich stanowisk strzelniczych. Kolejne trzy M113 ustawiły się tak, aby ze stojącym już pojazdem utworzyć wachlarz. Czołg średni M48 Patton stał całkowicie z tyłu pod ścianą lasu, jego kierowca rozgrzewał silnik. Ryki potężnej maszyny niosły się wzdłuż rzeki. Przegrupowanie pojazdów trwało zaledwie dziesięć minut. Zadowolone z siebie załogi transporterów i przewożeni piechurzy ochoczo wylegli z pojazdów, aby przypatrywać się pracującym spadochroniarzom. Uszczypliwe komentarze nie uszły uwadze utaplanych w błocie mężczyzn. Wyłaniając się z dołu z umorusaną twarzą, pierwszy odezwał się Clark.

- Który *grunt* chce mi obciągnąć laskę!? - rzucił obcesowo frontowiec.

Pytanie wywołało natychmiastowa reakcję. Kilku piechurów ruszyło w kierunku stojących teraz w zwartej grupce spadochroniarzy. Nie było niczego bardziej obraźliwego dla żołnierza piechoty niż slangowe określenie *grunt* (dosłownie: stękanie - od odgłosów, jakie piechur wydaje w momencie zakładania ciężkiego wyposażenia).

- Dość tego!!! - zabrzmiały ostre słowa.

Porucznik Pickok przepchnął się przez grupkę szykujących się do bijatyki spadochroniarzy. Stanowił teraz bufor pomiędzy dwoma pałającymi wrogością skupiskami młodych ludzi. Sprawę załagodził dowódca plutonu piechurów. Zrugął swoich podwładnych i kazał im zająć się sprawdzaniem ekwipunku. Spadochroniarze oddalających się mężczyzn żegnali chóralnymi gwizdami.

Swanson nie brał udziału w słownych przepychankach. Od dobrych dziesięciu minut przyglądał się stojącemu częściowo w krzakach czołgowi. Jego załoga składająca się z czterech osób przyrządzała sobie posiłek nieopodal. Nie zwracali uwagi na ciekawskiego spadochroniarza. Tom

powoli obchodził jego zdaniem monstrualną maszynę, przyglądając się jej poszczególnym komponentom. Do tej pory nie miał możliwości obejrzenia czołgu z tak bliska. Dowódca i działonowy skończyli spożywanie posiłku i dopiero teraz ich wzrok spoczął na krążącym żołnierzu. Kierowca z ładowniczym delektowali się kupionym gdzieś po drodze miejscowym napojem. Głos dowódcy M48 był dźwięczny.

- Podoba ci się to stare pudło? - zadał pytanie siwiejący już na skroniach mężczyzna.

Tom przez chwilę stał, nic nie mówiąc, jakby przestraszył się, że ktoś pyta go o zdanie.

- Podziwiam siłę ognia, dobrze mieć podczas walki takie wsparcie - odpowiedział bostończyk, spoglądając na główne uzbrojenie czołgu, gwintowaną armatę kalibru 90 mm wyposażoną w przedmuchiawcz lufy.

- Jasne, podziwiam, ile chcesz, nie przeszkadzaj sobie - dowódca czołgu, wypowiedziawszy to, ruszył w kierunku oddalonego o kilkadziesiąt metrów punktu dowodzenia.

Swanson jeszcze przez chwilę spoglądał na pojazd pancerny, po czym ruszył w powrotną drogę. Idąc w kierunku swojego stanowiska, przechodził obok dziury zajmowanej przez Stoctona i O'Donella, którzy o coś się kłócili. Dopiero gdy znalazł się w bezpośredniej bliskości, zauważył, co było powodem tej karczemnej awantury. Nowojorczyk czytał gazetę „Stars and Stripes”, natomiast rudowłosy Irlandczyk przeglądał zdjęcia rozneglizowanych panienek w magazynie „Playboy”. Jeden drugiemu wyrzucał, że jest głupi, ponieważ przegląda akurat tę prasę. Bostończyk nie zamierzał się wtrącać i pozostawił spadochroniarzy w spokoju. Każdy krok jego wysłużonych wojskowych butów powodował podnoszenie się z ziemi niewielkich obłoków pyłu. To było niesłychane, pomyślał o tym, jak szybko gorące słoneczne promienie osuszały mocno zlaną poprzedniego dnia ziemię. Gdy doszedł do swojej rubieży dzielonej z Hackmanem, zauważył, że stary wyga wygrzewał się w słońcu, a praca przy schronie była skończona.

Podporucznik Will Graceland Jr przyglądał się, jak jego podwładni z pododdziału broni ciężkiej kończyli wykopywać okopy pod moździerz. Kompania C miała etatowo trzy lekkie moździerze kalibru 60 mm. Oficer nie musiał w nic się angażować, miał dobrego podoficera, który był prawdziwym fachowcem. Sierżant Dewey chodził od stanowiska do

stanowiska ogniowego i wskazywał, co jeszcze musi zostać zrobione.

- Przecież mówiłem, że to ma tak wyglądać, a to leżeć tu!!! - grzmiał podoficer na głupkowato patrzącego się na niego Harpera.

Graceland, syn kongresmena z Iowa, nie palił się do tego, aby wypełnić swój obowiązek wobec ojczyzny i znaleźć się w Wietnamie. Decyzję za niego podjął ojciec, który stwierdził sucho, że nie życzy sobie, aby jego jedyny syn okazał się tchórzem. Był tu dopiero od niespełna dwóch miesięcy i doskonale zdawał sobie sprawę, że to miejsce nie jest dla niego. Jego życie było na wytwornych bankietach wśród polityków i biznesmenów. Z utęsknieniem czekał na dzień, kiedy jego zesłanie dobiegnie końca. Wzrok Gracelanda spoczął na niebie, które zasnuły gęste deszczowe chmury. Zaczęło kropić.

Hackman wraz ze Swansonem w pośpiechu rozpościerali poncha przeciwdeszczowe nad swoim stanowiskiem. Szybko czerniejące niebo zwiastowało nadciągającą burzę. Pojedyncze krople przeszły w ulewny deszcz mocno zacinający od południa. Woda powoli zalewała dziurę, w której stłoczeni mężczyźni próbowali coś na to zadziałać. Ku ich zadowoleniu naciekająca woda uzyskała pewien poziom i po jego osiągnięciu zalewanie dołu ustało. Zanurzeni do kostek w brudnej błotnistej mazi spadochroniarze przeklinali w duchu miejsce, w którym się znaleźli. Mogli się poczuć jak żołnierze walczący w Europie podczas Wielkiej Wojny. Żołnierze ci w ramach prowadzonych działań pozycyjnych długie miesiące spędzali w błotnistych, zalanych wodą okopach. Opady trwały od wieczora do samego rana, przemaczając żołnierzy do suchej nitki.

Rano zziębniętego bostończyka obudziło przybierające na sile kumkanie żab. Poczł bolący ucisk w skroniach, gdy spróbował zdjąć z głowy spadochroniarski hełm. Hackman zmęczonymi oczami spoglądał wokoło dołu strzeleckiego. Niewiele mógł jednak zobaczyć pomimo podejmowanych starań. Nad ziemią zalegała gęsta jak mleko mgła. Widoczność spadła niemal do zera.

Starszy szeregowy Louis Pimlott był wściekły częściowo na siebie samego, ale znacznie bardziej na kapitana Gavina. Dowódca kompanii wysłał go za karę na wysuniętą pozycję. Wszystko przez to, że nie przesłał do dowództwa meldunku na czas. On, pisarz kompanii, siedział teraz wraz z Douglasem w dwuosobowym punkcie nasłuchowym. Wyposażeni

w radiostację PRC-25 mieli stanowić oczy i uszy kompanii. Płytki dół oddalony był od głównych stanowisk ogniowych około dwustu metrów. Po drodze w razie konieczności wycofania się musieli pokonać most lub przepłynąć rzekę wpraw. Jeszcze zanim zaczęło padać, kapral Dorsey rozstawił na przedpolu miny przeciwpiechotne M18A1 Claymore. Po ich rozmieszczeniu podoficer wręczył Douglasowi urządzenie zapłonowe połączone z nimi przewodami. Saper, nie wyjaśniając zasady działania urządzenia inicjującego, oddalił się na swoje stanowisko. Poranna gęsta mgła miała w sobie coś złowieszczego. Pimlott żałował teraz tego, że gdy namawiano go, aby poszedł na kurs oficerski, odmówił. W maszynie wojennej, w której każdy żołnierz jest zaledwie trybikiem, oficerowie mają znacznie lepiej. Z zadumy wyrwała go silna detonacja, a po niej dwie następne. Ktoś wlaź w zastawione przez Dorseya pole minowe. Douglas, gdy tylko usłyszał wietnamskie głosy, nacisnął przycisk na urządzeniu zapłonowym. Powietrze przeszyły dwa następująco krótko po sobie wybuchy. Szczupły Hawajczyk tępym wzrokiem patrzył w dal. Nastąpiła eksplozja granatu, a po niej na amerykańską pozycję posypały się strzały z broni automatycznej. Z prawej flanki odezwał się kaem, którego pociski kosiły niskie bambusowe krzaki. Douglas mówił coś szybko i beładnie przez radiostację, po czym rzucił słuchawkę na dno okopu.

- Spieprzamy stąd! Rusz dupę, gryzipiórku! - wrzasnął Hawajczyk i wyskoczył ze stanowiska.

Pimlott jeszcze przez chwilę patrzył w ślad za szybko oddalającym się żołnierzem. Zniknął mu z oczu pochłonięty przez zieleń i mgłę. Pisarz kompanii nie miał sam czego tutaj szukać. Wyskoczył z dołu i ruszył biegiem prosto przed siebie. Potknął się o zmurszały pień i zapadł w porośnięte paprocią poszycie lasu. Głosy dochodzące z tyłu stawały się coraz głośniejsze. Amerykanin poderwał się, ale pocisk wroga rozdarł mu ciało i potrząsał kość. Upadł z uczuciem, jakby ktoś przypalał go do żywego żelazem. Spojrzał na rozerwane udo, kość przebiła mu mundur i sterczała ku górze. Miał zamiar poderwać się ponownie i spróbować ucieczki, gdy usłyszał obok siebie kroki. Niski przycajony mężczyzna szedł w jego stronę. Spadochroniarz szukał wzrokiem swojej broni, nie mógł jej zlokalizować. Był pewny, że musiał ją zgubić podczas upadku. Piechur VC zbliżał się szybko, badawczo rozglądając się na boki. Serce żołnierza leżącego na wilgotnej

ziemi biło jak oszalałe. Wietnamczyk przeszedł zaledwie trzy kroki od Pimlotta i go nie zauważył, by po chwili wtopić się w gęstwinię. Spadochroniarz musiał być cicho, ranni Amerykanie nie mogli liczyć na litość. Wietnamczycy nie brali jeńców. Najczęściej dobijali ich strzałem w głowę.

Mgła zalegała wzdłuż całej rzeki i łączywie trzymała w swoich objęciach most. Nagle na drugiej stronie rzeki rozległy się strzały. Tom skupił swój wzrok na przyrządach celowniczych, szukając wroga. Z krzaków ktoś wybiegł i wpadł do wody. Bostończyk już miał nacisnąć spust, gdy rozległy się błagalne krzyki.

- Nie strzelajcie! Nie strzelać, to ja, Douglas!!! - wrzeszczał stojący na brzegu rzeki mężczyzna.

Hawajczyk zaczął szaleńczo płynąć w stronę głównych pozycji amerykańskich. Co rusz łączywie łapał powietrze i się podtapiał, ale resztką sił dobrnął do brzegu. Leżał tam przez dłuższą chwilę, wyglądając jak topielec. Po drugiej stronie zamajaczyły sylwetki nieprzyjaciół. Swanson jednym szybkim ruchem przeładował broń. Hackman sprawdził, czy komora nabojoya jego karabinu jest pełna. Celując w ścianę lasu na przeciwnym brzegu, otworzyli ogień.

Na pozycję Amerykanów posypały się pociski moździerzowe. Eksplodujący pocisk wyrzucił w górę fontannę błota i wody. Ostrzał był niecelny, ale Wietnamczycy szybko wprowadzili poprawki. Moździerze waliły coraz bliżej.

- Namierzyl nas, mają nas!!! - wrzeszczał Stocton, mając coraz większe oczy ze strachu.

Będący z nim na stanowisku ogniowym sierżant David Farrell nic sobie z tego nie robił. Nie raz widział już żołnierzy robiących pod siebie podczas ostrzału artyleryjskiego. Podoficer czujnie wbijał wzrok w ścianę lasu po drugiej stronie.

- Nie wychylaj się, David, bo oberwiesz! - wrzeszczał skulony na dnie dołu strzeleckiego rudowłosy przerażony mężczyzna.

- Przestań pieprzyć, ty irlandzka cioto! - usłyszał Stocton w odpowiedzi od wkurzonego podoficera, który opróżnił już drugi magazynek.

Farrell, widząc biegnącego żołnierza APW w stronę mostu, posłał w jego kierunku krótką serię, która zakończyła jego szaleńczy bieg. Martwe ciało

Wietnamczyka stoczyło się po stromym brzegu i wpadło do wody. Wartki nurt wpięrow obrócił martwym ciałem, po czym pociągnął je w dół rzeki. Pocisk moździerzowy padł tuż obok stanowiska ogniowego i zasypał stojącego spadochroniarza gradem drobnych odłamków. Porozrywane ciało Farrella upadło na dno dziury i tam zastygło. Widząc, w jakim stanie jest podoficer, Stoctonrzyżał się wprost na własne nogi. Po otarciu twarzy od wymiocin wyskoczył jak poparzony z dołu. Szybkim ruchem odrzucił na bok broń i czym prędzej ratował się ucieczką. Gnał, ile miał sił w nogach i powietrza w płucach.

Gdy powietrze przeszły odległe wybuchy, spadochroniarze grali w karty. Mężczyźni momentalnie poderwali się z miejsc, słysząc te niepokojące odgłosy, a karty bezwładnie się rozsypały. Gra momentalnie się zakończyła. Partyzanci VC otworzyli morderczy ogień z głębi dżungli.

Bruce Wright przeciągnął się, rozprostowując zastałe mięśnie. Zajął odpowiednią pozycję strzelecką i czekał na pojawienie się celów na przedpolu. Jego M60 stęknęła i wypluła z siebie pierwszą długą serię tego dnia. Atakujących piechurów wroga miał jak na strzelnicy. Broń, podskakując na dwójnogu, wysyłała w kierunku gromadzących się nieopodal mostu nieprzyjaciół kilogramy ołowiu. Weber podał celownicemu kolejną amunicyjną taśmę i schował się głębiej w dole, aby nie wystawać poza jego krawędzie. Muskularny Teksaszyk szybkim ruchem podniósł pokrywę donośnika i zaczepił kolejną porcję amunicji kalibru .30. Pocisk moździerzowy uderzył zaledwie kilka metrów od dołu spadochroniarzy. Obaj mężczyźni zdążyli na czas schronić się w swoim szańcu. Kuląc się na dnie dołu, zostali obficie obsypani czerwonorudym piaskiem. Wykazali przytomność umysłu i nie podrywali się od razu, aby kontynuować ostrzeliwanie przeciwnika. Kolejne dwa granaty moździerzowe kalibru 81 mm gruchnęły o ziemię, wyrzucając do góry fontanny ziemi. Młody farmer z Kentucky obawiał się, że kolejny pocisk może trafić w ich stanowisko ogniowe. Modlił się w duchu, mocno ściskając w dłoni mały srebrny krzyżyk zawieszony na łańcuszku. Jednocześnie jego myśli były daleko, on nie walczył, on jeździł na rowerze z Lucy Graff. Następnypocisk upadł zdecydowanie za daleko poza rubieżami zajmowanymi przez Amerykanów, trafiając niemal w ostrzeliwujący się transporter opancerzony M113. Brady Weber rozdygotanymi dłońmi zdjął z siebie ostatnią taśmę amunicyjną, którą

był przepasany, i położył ją sobie na uda.

- Pierdolone ryżojady! Ile ich jeszcze wypełźnie z tej dziczy?! - wył jak wściekły pies Wright, co rusz naciskając język spustowy.

Tekszańczyk usłyszał ryk nadlatującego pocisku z granatnika. Smuga gazu, którą zostawiał po sobie pocisk, wskazywała, że leciał w kierunku pozycji 1 plutonu. Eksplozja wstrząsnęła ziemią. Na chwilę przerywając ogień z karabinu maszynowego, celowniczy patrzył na pomarańczowo-czerwoną fontannę ognia wyzierającą z dołu strzeleckiego. W pierwszej chwili Wright nie rozpoznał w wychodzącej z wciąż palącego się stanowiska postaci szeregowego Linza. Żołnierz, a raczej to, co z niego zostało, włókł za sobą oberwane z munduru nogi, broczył krwią z wielu ran, a zamiast rąk miał osmolone kikuty. Przeszedł zaledwie kilka kroków, buchając krwią, po czym z głośnym okrzykiem padł na ziemię. Wielka przygoda życia pełnego entuzjazmu studenta zakończyła się. Wright zachodził w głowę, co, do cholery, rekrut robił na pozycjach zajmowanych przez 1 pluton. Ktoś rzucił granat dymny M8, biały gęsty obłok owładnął wycofujących się spadochroniarzy. Gdzie był porucznik Arian, że pozwalał na to, żeby jego podwładni uciekali z pola walki? - zastanawiał się Weber.

Kolejny pocisk wystrzelony przez obsługę RPG-2 zafurczał w powietrzu. Bez problemu przebił aluminiowy dwunastomilimetrový pancierz transportera. Eksplodujący pocisk poderwał do góry M113, które z łoskotem rozerwało się i opadło na ziemię. Jego załoga nie miała żadnych szans na przeżycie. Odłamki poraniły piechurów osłaniających się przed wietnamskim ostrzałem za pancierzem wozu bojowego. Dwóch stojących najbliżej zabiła fala uderzeniowa powstała w chwili wybuchu.

- Kurwa!!! - skwitował Vasquez, gdy posypały się na niego resztki po zniszczonym transporterze.

Z trwogą patrzył na wciąż palący się i podnoszący w górę cienkie smugi smolistego dymu hełm należący do któregoś z czołgistów. Ponuro wyglądający przedmiot leżał tuż obok stanowiska strzeleckiego Meksykanina. Pozostałe M113 cięży zarośla po drugiej stronie rzeki ze swoich karabinów maszynowych Browning M2. Wozy, co chwila zmieniając stanowiska, z których prowadziły morderczy ogień, starały się uniknąć trafienia. Kolejna maszyna trafiona w gąsienicę zrobiła nagły zwrot w lewo, tracąc momentalnie sterowność. Na nieruchomiony transporter spadła

lawina ognia. Dowódca M113 próbował ratować się ucieczką, ale został skoszony serią z kałasznikowa. Nim pocisk przeciwpancerne roztrzaskał dogorywającego „Zielonego Smoka”, minęła zaledwie chwila od trafienia w jego układ jezdny. Transporter palił się teraz jasnym płomieniem.

Dowódca kompanii próbował ogarnąć wszechobecny bałagan. Walka trwała w wielu miejscach na raz. Wraz ze swoim łącznościowcem przebiegł wzdłuż rubieży zajmowanych przez 1 pluton. Na chwilę przystanęli, unikając serii z kaemu skierowanej na nich. Czołgając się dalej, natrafili na pusty dół strzelecki. Siedząc na jego dnie, dyszeli mocno, szaleńczy bieg, jaki wykonali koło pozycji plutonu podporucznika Bruce'a Ariana, zrobił swoje.

- Gdzie, do cholery, jest trzeci pluton?! - wrzeszczał wkurzony do granic Gavin.

Oficer kazał radiotelegraficznie nawiązać łączność z 3 plutonem. Orwig usilnie starał się wywołać drogą radiową dowódcę plutonu. W końcu w słuchawce zabrzmiał głos podporucznika Thomasa Dira. Dowódca kompanii wyrwał łącznościowcowi z dłoni słuchawkę.

- Gdzie, do chuja, jesteś? - warknął Gavin.

Nastąpiła chwila ciszy w eterze.

- Jesteśmy...

Ledwo panujący nad sobą oficer przerwał wypowiedź swojego podwładnego.

- Zaatakuj z lewej flanki i to już, do kurwy nędzy! - wrzeszczał głównodowodzący do oddalonej zaledwie o kilka centymetrów od jego ust słuchawki H189.

Radiooperator patrzył na swojego dowódcę ze zdumieniem. Nie widział go jeszcze w takim stanie, a znał go już od ponad pół roku.

Obaj spadochroniarze jak na komendę otrzepali się z piasku, który przed chwilą ich obsypał. Kolejny pocisk moździerzowy wybuchł, tym razem z ich prawej strony. Od dobrych dwudziestu minut ostrzeliwali się, prowadząc ciągły ogień do pojawiających się żołnierzy APW tuż obok ich stanowiska. Wietnamczycy musieli przeprowić się przez rzekę i obejść stanowiska zajmowane przez siostrzany pluton.

- Jak tak dalej pójdzie, to nas otoczą - oznajmił Vincent, ciskając w stronę nadbiegających wietnamskich piechurów granatem odłamkowym M26.

Pociski cięży powietrze. Instykt mówił mu, żeby jak najszybciej opuścić to miejsce, ale nie mieli się gdzie wycofać, skoro wróg był wszędzie. Widział strach w oczach Murzyna z Cleveland. Musiał jakoś go uspokoić.

- Spokojnie, zaraz ruszą nam na odsiecz - odrzekł sucho Wolf, choć wypowiedział to mało przekonującym tonem.

Żołnierz z Wirginii nie spodziewał się, że jego słowa tak szybko wejdą w życie. Czołg M48A3 Patton, duży i ciężki stalowy potwór, rycząc, powoli posuwał się naprzód osłaniany przez spadochroniarzy i piechurów. Pocisk wystrzelony z RPG-2 otarł zaokrągloną wieżę pojazdu pancernego i eksplodował gdzieś na tyłach. Snop światła z zamontowanego ponad działem silnego reflektora ksenonowego omiatał szaleńczo pędzących Wietnamczyków. Czołg się zatrząsł, gdy pocisk odłamkowy kalibru 90 mm opuścił przewód jego lufy. Z przedmuchiawca lufy unosił się szaroczarny dym. Eksplozja zmiotła grupkę atakujących, zasypując ich setką rozżarzonych odłamków. Kolejne wystrzały dziesiątkowały kompanię żołnierzy północnowietnamskich, która ruszyła do ataku. Rycząc dwunastocylindrowym silnikiem, czołg metr po metrze posuwał się naprzód. Wolf patrzył, jak wietnamski dowódca żywo gestykułuje, nakazując swoim podwładnym rozpoczęcie kolejnego natarcia. W kierunku amerykańskich pozycji biegła grupa szturmowa z zadaniem wysadzenia mostu. Każdy z nacierających żołnierzy miał w płóciennych workach przytroczonych do ich pleców cztery funty materiału wybuchowego CB. Vincent nacisnął spust M16 i skosił serią pierwszego biegnącego mężczyznę, który pojawił się w jego polu widzenia. Obrońcy nie byli jednak dość szybcy. Następujące krótko po sobie trzy mocne detonacje oznaczały koniec zardzewiałego mostu. Konstrukcja rozsypała się jak domek z kart. Jej elementy spadły do rzeki, częściowo w niej tonąc. Poskręcane metalowe elementy leżały teraz wszędzie, a tłące się spróchniałe bale spływały w dół rzeki. John Wolf widział już kiedyś, jak zawalał się most. Był wtedy mały, ale doskonale to pamiętał. Nie wyglądało to wtedy tak przerażająco, dzisiejsze wydarzenia były bardziej dramatyczne. Wróg, wykonawszy swoje główne zadanie, jak duch rozplął się w dżungli. Skończyła się ponad dwugodzinna wymiana ognia. Nieopodal dymiącego się transportera M113 wylądował śmigłowiec sanitarny z namalowanym na boku czerwonym krzyżem i napisem „Why” widniejącym na jego dziobie.

XIII

WIOSKA

Oczy sierżanta sztabowego Blake'a śledziły każdy ruch bostończyka. Byli w drodze od prawie godziny, a Swanson nie miał odwagi spytać, dlaczego właśnie to on został wyznaczony do tego zadania. Huey, lecąc na niskim pułapie, łopotał miarowo profilowanymi łopatami. Podmuchy ciepłego wieczornego powietrza co rusz owiewały kabinę transportową. Tom przeciągnął się i położył stopy na płozach, częściowo wychylając się ze śmigłowca. Maszyna powoli wytracała prędkość swojego lotu. Na dole pojawiły się pierwsze budynki, świadczące o tym, że zbliżali się do celu podróży. Drugi pilot, przekrzykując panujący hałas, mówił coś do sierżanta plutonu. UH-1 powoli podchodził do lądowania. Pilot posadził maszynę na lądowisku zaopatrzeniowym bardzo łagodnie, niczym wytrawny żeglarz dobijający swoją ukochaną łodzią do nabrzeża. W bazie lotniczej w Pleiku, w której teraz się znajdowali, panował wzmożony ruch. Piloci śmigłowca transportowego machnęli im na pożegnanie i odlecieli.

Było przeraźliwie parno, wilgotność powietrza wynosiła około 79%. Swanson, choć ubrany w zmodyfikowany przez wprawne ręce szwaczki z Bien Hoa mundur tropikalny, pocił się obficie. Mężczyzna ledwo mógł nadążyć za szybko idącym podoficerem. Bostończyk zdawał sobie sprawę, że ostre tempo spowodowane jest faktem, że byli spóźnieni. Dotarcie do celu ich podróży zajęło im niecałe dziesięć minut. Grupa nerwowo kręcących się w miejscu rekrutów w nowych tropikalnych mundurach wyprostowała się na widok wchodzących do pomieszczenia mężczyzn. Tylko jeden siedzący pod ścianą żołnierz z całej grupki oczekujących, chociaż także ubrany w pachnący nowością mundur, zbyt nie przejął się przyjściem podoficera w towarzystwie nieregularnie ubranego szeregowego.

- Jesteście spóźnieni - rzekł spadochroniarz siedzący pod ścianą,

poprawiając czapkę na głowie.

Dopiero teraz Swanson w siedzącym mężczyźnie rozpoznał niedawno ranionego w boju Eda Foxa, piegoatego dziewiętnastolatka z Iowa. Rekruci wystraszonym wzrokiem łypali raz na nowo przybyłych, raz na spadochroniarza, który teraz leniwie podnosił się z podłogi.

- Fox, załatwiłeś sobie tydzień prac poza kolejnością! - powiedział bez ogródek sierżant sztabowy, wyciągając z kieszeni zmięty kawałek papieru.

Podchodząc do Bostończyka, wcisnął mu dokument podstemplowany urzędową pieczętą.

- Czytaj, Swanson - rzekł sucho podoficer.

Tom przez chwilę spoglądał na kartkę i kątem oka obserwował krążącego po pomieszczeniu Blake'a. Jednak gdy sierżant plutonu stanął i spojrzął na spadochroniarza rozgniewanym wzrokiem, zaczął momentalnie czytać.

- Wyczytani niech ustawią się przy drzwiach. Szeregowy Ed Luckier, Joe Buster, James Morton, Barry Lux oraz Itako Akuma.

Po chwilowym zamieszaniu piątka wyczytanych rekrutów stała przy wyjściu, trzymając w dłoniach wojskowe worki oraz broń etatową. Czekali na dalsze komendy.

- Idziemy, ruszać dupy!!! - zawarczał Hank Blake.

Grupkę, która stanowiła uzupełnienie 2 plutonu, prowadził, idąc szybkim krokiem, wkurzony podoficer. Kolumnę zamykał, powłócząc nogami, szeregowy Fox. Pozostali żołnierze stanowiący uzupełnienie innych plutonów kompanii Charlie czekali już na lądowisku. Bez żadnego słowa wyjaśnienia grupka weszła do brzucha śmigłowca transportowego i zajęła tam miejsca. Potężny CH-47A Chinook leniwie unosił się do góry, podnosząc na ziemi tumany kurzu. Na chwilę zawisł w powietrzu, skręcił na lewo, by skierować się do bazy lotniczej w Bien Hoa. Tom był na tyle zmęczony, że pomimo hałasu panującego w ładowni udało mu się usnąć.

Dwa dni po otrzymaniu uzupełnienia kompanii C przydzielono nowe zadanie. Tym razem wraz z kompanią A mieli sprawdzić podejrzaną wioskę. Z tego, co im przekazano, meldunki wywiadowcze donosiły, że w wiosce mogą znajdować się znaczne siły VC. Nikt jednak dokładnie nie wiedział, czego amerykańscy żołnierze mogą spodziewać się w tamtym rejonie. Głównym problemem planistów była niewystarczająca wiedza, dane

wywiadowcze na temat lokalizacji i siły wroga w rzeczywistości niewiele mówiły. Informacje zdobyte z przechwyconych dokumentów, rozkazów, a także z zeznań pojmanych wrogów, były niejednoznaczne. Żołnierze Sky mieli zająć i przeszukać wioskę, licząc na efekt zaskoczenia. Planowano dokonać desantu wieczorem w strefie oddalonej od osady o około siedem kilometrów. Akcja miała rozpocząć się z pierwszymi przebłyskami słońca dnia następnego.

Każdy z osobna do nadchodzącej misji przygotowywał się w sobie tylko znany sposób. Większość spała, inni czytali prasę lub listy, a nieliczni w ogóle tym się nie przejmowali. Brady Weber wstał z łóżka widocznie czymś zdenerwowany, aż cały gotował się w środku. Usiadł ponownie na swoim posłaniu i z niedowierzaniem kręcił głową. Nie minęło pięć minut, a poderwał się i stanął wyprężony jak struna. Gniewnie rozglądał się po żołnierzach znajdujących się w baraku. Jego wzburzony wzrok spoczął na O'Donellu. Podszedł do niego i wręczył mu list, który przed chwilą sam skończył czytać.

- Larry, nic z tego nie rozumiem?! Jak ona może być ze mną w ciąży, skoro ja gniję tutaj w Wietnamie! - z głupim wyrazem twarzy młody farmer z Kentucky zwracał się do nowojorczyka.

Mężczyzna siedzący na brzegu łóżka przecesał dłonią blond włosy i odebrał od zdenerwowanego żołnierza pognieciony kawałek papieru. Wielokrotnie Weber pokazywał mu zdjęcie swojej dziewczyny Lucy Graff. Nowojorczyk zazdrościł mu, patrząc na oblicze rudowłosej piękności. O'Donell szybko przeczytał list, istotnie kobieta pisała w nim, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Na ojca swojego nienarodzonego dziecka wskazywała szeregowego Webera. To wszystko nie trzymało się kupy - pomyślał nowojorczyk, oddając list jego adresatowi.

- Od ponad trzech miesięcy siedzisz w dżungli, więc ewidentnie tutaj jest coś nie tak! No, chyba, że twoja dusza pofrunęła do Stanów i sobie pofolgowała...

- Pierdol się, O'Donell! Ta suka znalazła sobie nowego faceta, który ją rżnie. Zmajstrował bachora i się ulotnił, a ja mam robić za kozła ofiarnego. Taki chuj!!!

Wzburzony żołnierz wyrwał list z reki siedzącego mężczyzny i klnąc na czym świat stoi, wyszedł z baraku.

Żołnierze obładowani jak juczne muły od dobrych kilkunastu minut wchodzili na pokłady rozgrzewających silniki śmigłowców transportowych. Wolf co do misji miał złe przeczucia. Po śmierci Palmera był osowiały, zaczął się zastanawiać, czy na niego też przyjdzie kolej. Jeszcze tyle dni go oddzielało od powrotu do Suffolk w Wirginii, że wszystko mogło się zdarzyć. Gdy UH-1 poderwał się z ziemi, mężczyzna omiółł wzrokiem posępne twarze żołnierzy lecących wraz z nim do dżungli. Wyciągnął z kieszeni monetę, którą dostał od ojca jako talizman. Miała mu przynosić szczęście. Począł obracać w dłoni srebrnego dolara, izolując się od otoczenia.

Ciepłe strugi powietrza wdzierały się do wnętrza śmigłowca i omiały siedzących tam żołnierzy. Lot nie trwał długo. Desant szesnastoma śmigłowcami na wyznaczone lądowisko rozpoczął się o godzinie szesnastej. Pierwszy z hueya wyskoczył kapitan Gavin, a za nim reszta żołnierzy kompanii C. Śmigłowce lądowały w zwartym szyku. Dostarczenie wojska na LZ odbyło się bez najmniejszych problemów. Hucząc swoimi silnikami, maszyny transportowe oddaliły się, kierując się w drogę powrotną.

Spadochroniarze mieli jeszcze do pokonania około siedmiu kilometrów. Marsz podczas szybko zapadającego zmroku nie był łatwym zadaniem. Kompania musiała przegrupować się do miejsca wyznaczonego jej i oznaczonego jako strefa wyjściowa. Gdzieś z daleka dochodziły niepokojące pomruki burzy. Zanosiło się na deszcz, zbliżał się czas monsunu letniego, podczas którego występowały największe opady. Wolf wyciągnął zza gumowej opaski na hełmie płyn przeciwko owadom. Skropił nim kark i wysmarował twarz. Na chwilę hordy komarów dały mu spokój.

- Żółtki są jak insekty, trzeba ich wytepić! - skwitował sierżant Preiss, patrząc jak spadochroniarz próbuje ochronić się przed natarczywymi owadami.

Mężczyzna pozostawił wypowiedź podoficera bez odpowiedzi. Poprawił oporządzenie i ruszył w ślad za podążającym przed nim Vincentem.

Byli już na nogach od godziny. Żołnierze kompanii Charlie skrycie zajęli pozycję wyjściową. Po swojej prawej stronie mieli rozłokowane plutony z kompanii A. Howden męczył się, próbując otworzyć przydzieloną konserwę. Inni z zaciekawieniem obserwowali zmagania rekruta. W końcu nie wytrzymał tego Long i wyrwawszy z rozdygotanych rąk nowicjusza puszkę, otworzył ją bagnetem.

- Indyk, pieprzony indyk! - oznajmił chrapliwym głosem żyłasty mężczyzna z Kansas i odrzucił otwartą puszkę Howdenowi.

Spadochroniarze czekali w napięciu na rozkazy, które miały nadejść drogą radiową. Swanson otrzepał mundur z kilku czarnych mrówek, które go oblażyły. Zaklął pod nosem i począł dokładnie się oglądać, aby jakiegś nie przeoczyć. Ukąszenia tych insektów były naprawdę bolesne. Usłyszał głos nad sobą i zobaczył Hackmana, który stał trzy kroki od niego.

- Gdzie jest blask, który w twoich oczach błyszczał?

Bostończyk zwalczył w sobie przemożną chęć powiedzenia staremu wydze, aby się odpieprzył. Dokończył sprawdzanie munduru, nie było na nim insektów. Zauważył natomiast wszędobylski szarozielony nalot, który był w mundurze, broni i ekwipunku. Nie miał pojęcia, o jakim blasku mówił Król Jaszczur. W tej chwili nie miał chęci na pogawędki, więc nie zamierzał drążyć tematu. Błękitnooki wysoki mężczyzna nie dawał za wygraną. Usiadł przy Tomie i oparł się plecami o niewielkie drzewo. Chudymi palcami pukał w udo, wystukując sobie znany tylko rytm. Z premedytacją próbował zrobić spustoszenie w umyśle bostończyka.

- Wiem, że masz na głowie tyle ważnych spraw. Nie pamiętasz już, co znaczy dobry sen i nie masz czasu na niepewność ani lęk - z nieukrywaną troską spokojnie wypowiedział Hackman, na chwile przerywając stukanie palcami.

Jego wywód zaniepokoił spadochroniarza. Przerwał dotychczas wykonywane czynności i ze zdziwieniem spojrział na swojego towarzysza. W wilgotnej, parnej dżungli szybko wyrastało się ze złudzeń, ewidentnie mężczyzna coś od niego chciał.

- Matt, mów po ludzku, a nie pieprzysz mi jakiegś farmazona! Czego chcesz?

- No, w sumie to towar mi się skończył, a wiem, że ty masz trochę nadwyżki - stłumiony głos żołnierza miał taki ton, jakby nie należał do niego.

- Wiedziałem, że czegoś potrzebujesz. I tu cię mam...

- Tom, przestań, jestem wycieńczony, masz czy nie?! - Hackman przerwał w pół zdania swojemu rozmówcy.

- Masz. - Bostończyk wręczył Królowi Jaszczurowi małe zawiniątko.

Spadochroniarz szybko go schował i oddalił się, znikając w pobliskich

zaroślach.

Gdy świt zajaśniał na błękitno, Gavin już od paru dobrych chwil układał w głowie plan działania. Patrzył przez lornetkę M17 na niewielkie skupisko chat na skraju ryżowiska, odległe mniej więcej o pół kilometra. Widok wioski bladym światem robił wrażenie. W jaskrawej zieleni białe czaple i stożkowe kapelusze pracujących rolników miały w sobie coś mistycznego. Na zalanym wodą polu ryżowym pracowało dwóch wieśniaków. Jeden trzymał pług ciągnięty przez bawoła, drugi, podążający trochę z tyłu, sadił sadzonki ryżu. Zawarczała polowa radiostacja, wrywając go z zadumy. Radiooperator Orwig podał słuchawkę oficerowi dowodzącemu. Kapitan Gavin usłyszał głos podpułkownika Siholtza.

- Russel, jak zorientujesz się w sytuacji, przystąp do przeszukania tej cholerniej wioski - dowódca batalionu beznamiętny głosem wydał prosty rozkaz swojemu podwładnemu.

Gavin wyciągnął standardową mapę taktyczną w skali 1:50000. Przez chwilę bacznie jej się przyglądał, po czym zwrócił się do trzech dowódców plutonu z kompanii C, których wezwał na odprawę.

- Ruszamy powoli w tyralierze, nisko nad ziemią, na mój sygnał - oznajmił oficer, nie podnosząc wzroku znad mapy.

Zmęczonym spojrzeniem omiótł oddalających się młodych oficerów. Wrócił do przeglądania przedpola za pomocą lornetki. Z tego, co zauważył, mógł wywnioskować, że we wsi znajdowali się jedynie starcy oraz kobiety z dziećmi. Oficer zdawał sobie jednak sprawę, że karmieni dogmatami wieśniacy stanowili zagrożenie.

- Ruszajcie... music... natychmiast... rozpocząć ata...! - rozległ się krótki rozkaz przez trzeszczącą radiostację. - ... dbiór, Gavin, słysz... mnie? - niewyraźny głos Siholtza był ciągle przerywany i połowę jego słów pochłonał szum i silne trzaski.

Dowódca kompanii C powoli wyszedł ze swojego ukrycia i dał znak do rozpoczęcia marszu w kierunku majaczącej w oddali osady. Chciał mieć to już za sobą. Nie zniósłby kolejnych meldunków spływających z góry, nakazujących mu rozpoczęcie przeczesywania wioski.

Mieli do przejścia niecałe pięćset metrów pustej przestrzeni. Gdy na ryżowisku pojawili się żołnierze, wieśniacy przerwali pracę, ale nie rzucili się do ucieczki. Stali i przyglądali się idącym w ich kierunku Amerykanom.

Tylko bawół był jakiś niespokojny i rzucał nerwowo ogonem na boki. Pochód żołnierzy wyglądał niczym sianie ziarna przez rolników na polu. Nie zdołali nawet przejść połowy odległości dzielącej ich od wioski, gdy otworzono do nich ogień. Wróg ulokowany był na linii drzew, okopany wzdłuż rowu melioracyjnego. Ów rów biegł od wsi do sąsiedniego przysiółka. Gavin dał ręką znak do ataku. Amerykanie parli naprzód. Na nacierających szybko posypały się moździerzowe pociski i serie z broni automatycznej. Początkowe pojedyncze strzały przeszły w istną kanonadę. Spadochroniarze kompanii C szukali schronienia w rowach odwadniających. Pod ciężkim ostrzałem była ich siostrzana kompania, która dostawała niezłego łupnia.

Szeregowy Itako Akuma już od pierwszych chwil starcia leżał mocno przyciśnięty do błotnistej ziemi. Starał się zapanować nad trwogą, która go opanowała. Usilnie wmawiał sobie, że wszystko to zaraz się skończy. Obserwował jak inni żołnierze podrywali się z ziemi i parli naprzód, pokonując teren krótkimi skokami. Postanowił pójść w ich ślady. Przeczłogał się do przodu kilka metrów, po czym bandolier M3 na 7 magazynków do M16 zaplatał mu się o częściowo zgniły korzeń. To uratowało mu życie, bo w miejscu, w którym powinien się znajdować wybuchł granat moździerzowy, obsypując go teraz tylko wodą zmieszaną z błotem. Stalowe odłamki przefrunęły nad jego głową. Zastygł w bezruchu. Dziś za żadne skarby świata nie wyjdzie ze swojego schronienia.

Gorące powietrze tłumiło oddech. Walter Todds kilkakrotnie podrywał się z błotnistej mazi i lawirując pośród rzędów rowów odwadniających, biegł w stronę osady. Ledwo dyszał, walczył z wycieńczeniem. Umieścił kolbę karabinu w dołku strzeleckim, M16 splunął ogniem. Obserwował, jak jeden z jego pocisków dosięga celu. Młody Wietnamczyk ugodzony w bark mocno przyciskał dłonie do rany postrzałowej. Jego mękę skróciła druga kula, która zgruchotała mu kręgosłup.

- To są cywile, zupełnie bezbronni... - sztychł Todds, patrząc w wystraszone oczy kaprała Gordona.

Seria z kałasznikowa rozorała wierzchołek nasypu nieopodal zajmowanego przez nich stanowiska, przygniatając ich do ziemi. Podoficer odczołgał się w lewo, brnąc przez wodę zalewającą ryżowisko. Jego bawełniany mundur tropikalny TCU III wzoru był cały przesiąknięty. Wystająca ponad taflę wody głowa w hełmie wyglądała jak pływający żółw.

W błotnistą breję wbił się pocisk moździerzowy kalibru 81 mm. Siła eksplozji cisnęła nim dwa metry do tyłu. Gordon kątem oka zauważył, jak karabinek szturmowy M16 zniknął w brudnej zmętniałej wodzie. Pełznąąc na czworakach z przeraźliwym piszczeniem w uszach, ruszył w kierunku, gdzie ostatnio widział swoją broń. Panicznie macał dłońmi pod wodą, szukając zguby, od której zależało jego życie. Jego żmudna praca, prośby i błagania wznoszone do nieba zostały nagrodzone. Dłoń spoczęła na czymś twardym o nieregularnych kształtach. Szybkim ruchem wydobył z mułu ubłocony karabin. Nie miał pewności, czy zadziała, ale mając go w rękach, czuł się o wiele pewniej. Obrócił się w stronę, skąd dochodziły rżące odgłosy, które słyszał pomimo okrutnego pisku w uszach. To darł się na całe gardło Todds, któremu szrapnel oderwał nogę. Z kikuta krew tryskała jak z fontanny woda.

- Sanitariusz! Sanitariusz! - Gordon wzywał pomocy, sam czołgając się w stronę wykrwawiającego się towarzysza broni.

Starszy szeregowy Crooks pojawił się przy ciężko rannym, jakby wyszedł z podziemi. Od razu zaaplikował zawodzącemu mężczyźnie podwójną dawkę morfiny. Lek zadziałał szybko i skowity bólu Toddsa ustały.

Wolf przyłożył karabin do ramienia, wycelował i oddał dwa strzały. Jeden z pocisków minął cel o kilka centymetrów, natomiast drugi zatopił się w ciele grenadiera obsługującego ręczny granatnik przeciwpancerny. Kolejna seria zwała z nóg jego pomocnika próbującego pomóc rannemu koledze. Spadochroniarz osunął się po brzegu rowu odwadniającego i prawie całkowicie zanurzył się w brudnej wodzie. Nie dbał o to teraz, liczyło się tylko to, aby przeżyć za wszelką cenę. Leżąc przyklejony do niewielkiego wybrzuszenia, kątem oka obserwował, jak nacierali po jego prawej stronie żołnierze z kompanii Alpha. Wietnamczycy nasilili ostrzał artyleryjski. Wolf przez chwilę widział, że żołnierz będący niecałe dziesięć metrów od niego patrzył w górę, bo usłyszał gwizd nadlatujących pocisków. Ów spadochroniarz momentalnie skulił się w kłębek. Pocisk wybuchł bezpośrednio przed nieszczęśliwcem. Eksplozja granatu zmieniła go w krwawiące strzępy porzucane w promieniu kilkunastu metrów.

Orwig usilnie próbował nadążyć za biegnącym przed nim dowódcą kompanii. Nie spostrzegł małego uskoku, potknął się i runął na ziemię jak kłoda, przygwożdżony ciężarem radiostacji. Hełm spadł mu z głowy

i poturlał się kilka metrów do przodu. Przez chwilę głośno dysząc, próbował uspokoić skołataną nerwy. Kule świstały w powietrzu, bezlitośnie je tnąc. Wystarczył jeden rzut oka, aby zrozumieć, że znaleźli się w niezłej kabale. Radiooperator poderwał się z miejsca i nie zatrzymując się, w biegu pochwycił utracony stalowy hełm. Ledwo żywy dopadł miejsca, gdzie Gavin chronił się przed wietnamskim ostrzałem. Opadł na ziemię akurat w momencie, gdy zatrzeszczała radiostacja, ktoś próbował się z nimi połączyć. Żołnierz bez trudu rozpoznał rozmówcę i od razu podał słuchawkę oficerowi.

- Synu, pomoc jest już w drodze. Wytrzymajcie jeszcze chwilę - głos dowódcy batalionu nie zdradzał żadnych emocji.

Gavin, oddając słuchawkę specjalście 4 stopnia, otarł strużki potu ciekące mu po skroniach. Usłyszał głośny świst nadlatujących pocisków artyleryjskich. Oznaczało to, że podpułkownik mówił prawdę. W miejscu, gdzie okopani byli Wietnamczycy, wyrosły słupy piasku i dymu powstałe w chwili eksplozji. Na chwilę zajały ostrzał obrońców uciuchł.

Rekrut leżący obok Swansona próbował otworzyć ogień, ale broń odmówiła mu posłuszeństwa. Szamotał się, usiłując coś z tym zrobić.

- Spróbuj jeszcze raz podłączyć magazynek i szybkim ruchem przeładować. To nieraz pomaga - zasugerował zdyszany bostończyk, z trudem łapiąc powietrze.

Szeregowy Barry Lux wykonał błyskawicznie czynności, które przekazał mu Swanson. Broń zadziałała, wypluwając z siebie śmiercionośne dawki ołowiu.

Tom usłyszał dwa głuche „pac”, gdy kule z AK-47 trafiły w klatkę piersiową klęczącego obok niego żołnierza. Krew jasną strugą wypływała mu z ust.

- Boże, ja nie chcę umierać...

Bostończyk nic nie mógł zrobić. Nowicjusz umarł z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w nieboskłon. Te ostatnie słowa Luxa ciągle dźwięczały Swansonowi w uszach. Martwe ciało rekruta powoli osunęło się do wody, zabarwiając ją na czerwono.

Do akcji wkroczyły transportery opancerzone M113, które nadjechały od strony lasu. Zawarczały dieslowskie silniki i wypluły kłęby smolistego dymu. Obsady transporterów otworzyły ogień z kaemów kalibru 50 mm.

Szarża transporterów została jednak zatrzymana huraganowym ogniem z pozycji obrońców. VC prowadził miazdzący ogień krzyżowy. Kierowcy, manewrując po polu ryżowym, starali się znaleźć optymalną pozycję do prowadzenia skutecznego ostrzału i ewentualnego ponownego ruszenia do natarcia. Przerażliwy huk rozniósł się po okolicy, gdy jeden z M113 wyleciał w powietrze ugodzony celnie dwoma pociskami z RPG. Zniszczona maszyna stała zwrócona dziobem w stronę przyległego przysiółka, paląc się jasnym ogniem. Chmura czarnego dymu na chwilę przysłoniła zalane wodą ryżowisko, dając spadochroniarzom zasłonę dymną. Pozwoliło to na przegrupowanie sił i uderzenie na najslabiej broniony sektor. W chwilę potem w sukurs nacierającym przyszło lotnictwo. Samolot szturmowy A-1 Skyraider zrzucił na wietnamskie pozycje dwa zbiorniki z napalmem. Kula ognia połknęła broniących się żołnierzy i uciszyła na zawsze groźnie ostrzeliwujący Amerykanów od samego początku wielkokalibrowy karabin maszynowy DSzK. Napalm spalał się w temperaturze ponad 1000 °C, trawiąc wszystko, co napotkał na swojej drodze. Podczas tej reakcji wydzielał się toksyczny dym, podrażniający oczy i układ oddechowy.

Wiatr zawiął w stronę pozycji spadochroniarzy, Tom poczuł ostrą woń napalmu zmieszaną z odorem kordytu. Walki ucichły na dobre. Żołnierze patrzyli na dopalające się drzewa i chaty, które znalazły się w polu rażenia napalmu. Powoli podnosili się ze swoich stanowisk i przy osłonie transporterów opancerzonych piechoty ruszyli w kierunku ogarniętej wojenną pożogą osady.

Buty całkowicie miał nasiąknięte wodą, przy każdym kolejnym kroku wyciekała z nich na zewnątrz wilgotna maź. Zachowując ostrożność, spadochroniarze krok po kroku zbliżali się do wioski, którą jeszcze przed chwilą ostrzeliwali. Swanson poczuł przeraźliwy smród spalenizny. Dopiero teraz zauważył trzy zwęglone ciała. Tylko zęby szerniałych zwłok były białe. Nieopodal leżały poodrywane części ciała. Na poszarpanej nodze wciąż dopalał się sandał wykonany z opony samochodowej. Amerykanie często taki rodzaj obuwia nazywali sandałami Michelin lub Firestone. Ta mroząca krew w żyłach scena w jakiś w dziwny sposób zaczęła oddziaływać na psychikę Toma. Współczuł tym ludziom, chociaż zaledwie przed chwilą walczył z nimi na śmierć i życie. Nagle padło kilka pojedynczych strzałów. Idący na czele podporucznik Thomas Dir trafiony zdradziecką kulą, osunął

się na spaloną ziemię. O'Donnell od razu zauważył sprawcę. Przyłożył karabin do ramienia, wycelował w uciekającą postać i oddał trzy strzały. Trafiony mężczyzna przeszedł jeszcze kilka kroków poczym padł na kolana i tak zastygł. Wietnamczyk dopiął jednak swego. Młody oficer zaczerpnął ostatni łyk powietrza i zakończył swój ziemski żywot. Kompania Charlie straciła dowódcę 3 plutonu.

Gavin skończył krótką, acz treściwą rozmowę ze swoim bezpośrednim przełożonym. Rozkazy były proste, gorzej było z ich realizacją. W myśl tego, co przed sekundą usłyszał, spadochroniarze mieli przeszukać wioskę, a następnie puścić ją z dymem, a ludność miała zostać przesiedlona. Oficer był przekonany, że nie pójdzie im łatwo. Jak wielokrotnie działo się w historii, wieśniacy byli bardzo przywiązani do swojej ziemi i zawsze ją opuszczali ostatni, bo nie chcieli zostawić swoich pól i zwierząt. Gdy żołnierze znaleźli się w centralnym punkcie osady, którym była duża kamienna studnia, lamentujący Wietnamczycy powoli zaczęli wychodzić ze swoich chat.

- Przeszukać wszystkie chaty, a wieśniaków zgromadzić w centrum osady! - zabrzmiał rozkaz dowódcy kompanii, który rozniósł się głuchym echem po okolicy.

Rozkaz to rozkaz - pomyślał Russel Gavin przyglądający się, jak jego podwładni przystąpili do wykonywania zleconego im zadania.

Gdy Matt Hackman znalazł się w pobliżu niewielkiego chlewiku, uderzył go w nozdrza przeraźliwy fetor. Dwie świnie z przejęciem jadły coś z ziemi. Nie mógł dostrzec, co takiego zwierzęta próbowały wyciągnąć z błotnistej mazi zalegającej na terenie całej zagrody. Z zaciekawieniem przypatrywał się, jak zapalczywie świnie próbowały wydobyć coś, co nadawało się do spożycia. Tuż obok chudego mężczyzny przystanął Douglas i także zaczął przyglądać się zwierzętom w zagrodzie.

- Patrz, Alan, jakie te bydlaki są nienazarte! - z przymrużeniem oka oznajmił Król Jaszczur, rzucając świniom nadgryziony kawałek wojskowego ciasta.

Podarunek Hackmana był dla zwierząt nie lada kąskiem. Przeważnie karmiono je skoszoną trawą i chwastami, resztkami pożywienia swoich gospodarzy, czyli tzw. zlewkami czy czerstwym pieczywem.

- Stary, one zeżrą wszystko, co nadaje się do jedzenia! - stwierdził

Hawajczyk, przyglądając się świniom o pofałdowanej skórze i jednolitym czarnym ubarwieniu.

Zwierzęta jak na komendę podniosły do góry swoje niewielkie głowy i zaczęły nasłuchiwać krótkimi stojącymi uszami. Stały chwilę wpatrzone gdzieś w dal, poczym poczłapały na swoich krótkich nogach, niemal ciągnąc brzuchy po ziemi w kierunku kałuży stojącej w lewym rogu chlewika. Bez zbędnych ceregieli dwie wietnamskie świnie zwisłobrzuche przystąpiły do kąpieli błotnej. Amerykańscy żołnierze pozostawili je z tyłu, idąc w kierunku pierwszego lepszego gospodarstwa.

Gibbs z O'Donellem weszli do trzeciej z brzegu chaty. Tuż przed wejściem do domostwa blondwłosa nowojorczyk szybkim ruchem wyciągnął bagnet z pochwy i nałożył go na M16. Z bronią gotową do użycia powoli zagłębili się w niewielkiej trzcinowej chacie. Od razu rzucił im się w oczy stos wiklinowych koszy do przenoszenia ryżu ustawiony w kącie izby. Muskularny Murzyn spojrział do środka kilku ustawionych najbliżej wejścia. Były puste. Larry O'Donell z przejęciem dźgał pozostałe plecione kosze do przenoszenia ryżu bagnetem zamocowanym na lufie karabinu. Okazało się, że wszystkie znajdujące się w pomieszczeniu kosze były puste. Nowojorczyk, nie panując nad swoimi nerwami, kopniakiem rozrzucił wiklinowe kosze. Gibbs próbował naprawić szkody wyrządzone przez towarzysza i w tym momencie jego stopa nastąpiła na deskę w podłodze, która wydała z siebie dziwny dźwięk. Murzyn odstawił kosz, który trzymał, i zaczął badawczo oglądać podłogę. Jego oczy wychwyciły kształt kłapy, który bez wątpienia skrywał wejście do piwnicy. Spadochroniarz wyciągnął saperkę i przykląkł na jedną nogę.

- Paul, zostaw to saperom! Kurwa, wysadzisz nas w powietrze!!! - gorączkował się O'Donell, przecierając spoconą twarz.

- Spokojnie, Larry, tylko tam zajrzę - chłodnym głosem oznajmił Gibbs, próbując jakoś uspokoić nowojorczyka.

- Ja pierdołę, daj spokój!!! - stojący mężczyzna nie dawał za wygraną.

Kłęczący spadochroniarz napiął swoje mięśnie i ostrożnie podniósł wieko składaną łopatką M1951. Drewniana pokrywa ustąpiła, podnosząc się ze zgrzytem i uwidaczniając żołnierzom pomieszczenie znajdujące się pod całą chatą. Znalezisko przeszło wszelkie oczekiwania Podniebnych Żołnierzy. Znajdujący się pod podłogą schron pełnił teraz funkcję magazynu. Cały był

zapełniony bronią oraz amunicją. Było tu wszystko: od granatników przeciwpancernych po miny i granaty. Część uzbrojenia była produkcji rosyjskiej, ale znajdowały się tu także pojedyncze egzemplarze rodem ze Stanów.

- To prawdziwy arsenał!!! Idź po kapitana - zwrócił się Gibbs do mężczyzny nadal niewierzącego w to, co udało im się odnaleźć.

- Jasne, już idę...

O'Donnell w mgnieniu oka zniknął czarnoskóremu żołnierzowi z widoku. Powrócił w towarzystwie dowódcy kompanii i sapersa zaledwie parę chwil po tym, jak opuścił domostwo z cenną piwnicą. Gavin nie dowierzał temu, co widział. Skontaktował się już z dowództwem i nakazano mu wysadzić w powietrze cenne znalezisko. Paul Dorsey powoli zszedł na dół. Do swojej roboty wziął się z dużym zaangażowaniem. Używając ładunków wybuchowych, zaminował cały znajdujący się w schowku skład broni. Ocierając pot z czoła, saper czekał na dalsze rozkazy, gotowy wszystko wysadzić i zniszczyć znaleziony dobytek.

Swanson z Simmondsem weszli do kolejnej chaty, aby i ją przeszukać. Gdy znaleźli się w środku, ujrzeni, jak szeregowcy Clark, Stocton i Vasquez przeszukują znajdujące się tam kobiety. Dwie stare sprawdzał rudowłosy Irlandczyk, młodą mającą około szesnastu lat lubieżnie obmacywał Meksykanin. Młoda Wietnamka w czerwonym lekko podniszczonym ubraniu próbowała oswobodzić się z niecierpliwych łap napastnika. Tom od razu stwierdził, że była ponętna, miała migdałowe oczy, małe piersi i jędrną pupę.

- Simmonds, odprowadź te dwie stare kurwy na miejsce zbiórki! - władczym głosem przemówił Clark, wysoki żołnierz o wydatnych kościach policzkowych.

Murzyn beknął przeciągle i przystąpił do wykonywania narzuconego mu zadania. Pchając karabinem kobiety przed sobą, wyprowadził je z chaty i prowadził w kierunku studni. Trzecia Wietnamka próbowała także wyjść, ale Stocton zastąpił jej drogę. Clark zdjął hełm i poprawił swoje długie blond włosy. Rozbieganymi zielonymi oczami przyglądał się kobiecie. Postanowił namówić ją na szybki numer.

- 50 pi - skierował swoje słowa w stronę złęknionej dziewczyny.

Zapadła grobowa cisza. Mężczyźni czekali na dalszy ciąg zdarzeń.

Dobrze wiedzieli, że większość wieśniaczek sprzedaje się za pieniądze amerykańskim żołnierzom.

- 60 pi - zielonooki mężczyzna nie dawał za wygraną.

- Không! - wykrzyknęła w twarz spadochroniarzowi.

- No dobra, cenisz się. Niech będzie moja strata, 80 pi - powiedziawszy to, Amerykanin obcesowo podrapał się w krocze.

- Đứ,ng làm phiê`n tôi! - powiedziała Wietnamka podniesionym głosem i jeszcze raz spróbowała opuścić chatę.

Tak jak poprzednio, drogę zastąpił jej szeregowy Edward Stocton. Żołnierz złapał ją za talię i mocno przycisnął do siebie. Jego dłonie szybko powędrowały w górę i zaczęły obmacywać małe piersi. Wietnamce udało się wyszarpnąć z uścisku, ale upadła na podłogę, raniąc się w dłoń. Zaczęła płakać i kulić się, była spanikowana.

- Ta-i sao? Đứ,ng đứ,ng tôi! - kierowała swe słowa do czwórki swoich oprawców.

Rodrigo Vasquez zapalił papierosa i mocno się nim zaciągnął. Bawiła go ta cała sytuacja, ale powoli zaczynał być nią znużony. Patrzył jak kobieta podźwignęła się z drewnianej podłogi i oparła o mały mebel przypominający kredens.

- Ni cholery nic nie rozumiem z tego, co ona mówi. Ale jak się tak rzuca, to jeszcze bardziej mam chęć ją zerznąć - stwierdził żołnierz o wydatnych kościach policzkowych.

Dziewczyna jeszcze raz próbowała umknąć. Cała się trzęsła, była przerażona.

- Brać ją! - huknął Clark, nie mogąc zapanować nad swoimi żądzami.

Kobieta została przyparta do mebla. Amerykanin obrócił ją tak, aby dostać się do niej od tyłu. Szybkim ruchem wsunął swoją dłoń pod jej czerwone ubranie i zerwał z niej majtki. Wietnamka próbowała walczyć, lecz była mocno trzymana. Jej próby spełzyły na niczym.

- Xin mò,i không - wypowiedziała błagalnie, lecz bez rezultatu.

- Im Lang! - zawarczał Clark.

- Cú,u tôi vó,i! Tôi bi· cu,ó,p! - wyrzeszczała resztką sił.

Dłoń spadochroniarza sięgnęła w dół, do rozporoka. Naparł na Wietnamkę bez zbędnych ceregieli. Jęczała z bólu, ale mężczyzna nie zwolnił tempa. Dźgał ją z całej siły.

- Ależ jest ciasna! Trochę ją dla was, chłopaki, poszerzę - drwił stary wyga.

Swanson stał i przyglądał się gwałtowi na młodej Wietnamce. Współczuł jej, ale nie zamierzał jej pomagać. Także nie miał zamiaru do gwałtu się przyłączać. Być może była sanitariuszką Vietcongu i zabijała w dżungli takich jak on. Załawione, przekrwawione oczy kobiety błagały Toma o pomoc. Mężczyzna nie zrobił nic. Wyszedł z chaty w chwili, gdy Clark skończył, a za kobietę zabrał się Vasquez. Bostończyk był tu dostatecznie długo i wiele rzeczy przestało go obchodzić. Uczestniczył w okrutnym procesie dehumanizacji człowieka, który sprawia, że żołnierze zmieniają się w monstra gotowe gwałcić, kraść i zabijać. Musiał dokonać wyboru pomiędzy lojalnością wobec kolegów a własnym poczuciem moralności. Nie miał wyrzutów sumienia, wspomnienia o gwałconej młodej kobiecie wrzucił do najczarniejszych zakątków swojego umysłu. Stamtąd nigdy nie miały wyjść na światło dzienne.

Na centralnym placu wsi panował totalny rozgardiasz, żołnierze z trudem panowali nad lamentującymi mieszkańcami. Gavin zdawał sobie sprawę z tego, że musi szybko coś zrobić i uciąć głowę hydrze, bo sytuacja wymykała się spod kontroli. Trajektowanie Wietnamczyków doprowadzało go do szału. Podniósł karabin do góry i wystrzelił trzykrotnie. Białolenia ucichły momentalnie. Stojący spadochroniarze mieli posępne miny, już dawno utracili swe dusze podczas tej wojny, ale rozkaz spalenia wsi wydawał się im niezrozumiały i krzywdzący tych prostych ludzi. Jednak każdy ze stojących wiedział, że ludność ta mogła być zaangażowana w produkcję oraz zakładanie pułapek, mając w ten sposób poczucie, że walczy z wrogiem. Znaleziona broń wskazywała jednoznacznie na ich winę.

- Spalić wszystkie domostwa. Puścić z dymem całą tę cholerną wiochę!!!
- sam Gavin był zdziwiony, skąd w jego głosie było tyle nienawiści i jadu.

Cały czas zadawał sobie pytanie, czy powinni tak postępować, ale nie on tu był orędownikiem moralności. Wieśniacy kłamali w żywe oczy, chociaż przysięgali, że nic nie wiedzą.

Howard, celowniczy ukm M60, splunął na ziemię. Spojrzał smętnie na dopalanego papierosa. Opuścił go na ziemię, poczym roztarł butem wciąż tłący się niedopałek.

- Wypieprzać z chaty, żółte skurwiele!!! La dai! La dai! - wrzeszczał

spadochroniarz, kierując swe słowa do ewentualnych Wietnamczyków, jacy mogli znajdować się w chacie, którą zamierzał za chwilę podpalić.

Odczekał moment, zanim otworzył ogień z kaemu. Strzelając z biodra, wpakował w ledwo trzymającą się kupy chatę długą serię. Postawił broń na dwójnogu i zdjął hełm, wokół którego miał obwiązaną małą taśmę z nabojami kalibru .30.

- Earl, sprawdź, czy ktoś nie pozostał w tej lepiance - poprosił swojego amunicyjnego.

Cook powoli wszedł do budynku, zastał w nim totalny rozgardiasz zrobiony przez ostrzał z karabinu maszynowego. Nie było w nim natomiast żadnego człowieka. Mężczyzna zobaczył duży gliniany dzban stojący nieopodal wejścia, który bez szwanku przetrwał nawałnicę ognia. Szybkim i mocnym ciosem uderzył w niego kolbą karabinu. Naczynie pękło i rozsypało się na kilka kawałków. Z wnętrza wysypywał się ryż, pokrywając podłogę, na której stał. Nic tu po nim, pomyślał Cook i wyszedł do czekającego na zewnątrz przyjaciela.

- Nikogo nie ma w środku, Steve - oznajmił sucho, zarzucając sobie broń na ramię.

Na to czekał operator karabinu maszynowego. Odpalił benzynową zapalniczkę Zippo i podpalił w kilku miejscach dach. Dom szybko zajął się ogniem. Chata spłonęła niczym sucha wiązka siana.

Gdy nastąpiła potężna eksplozja, większość mieszkańców wsi wciskana była już do brzuchów opancerzonych pojazdów. Byli w nich stłoczeni niczym sardynki w puszcze. Wysoki słup smolistego dymu wznosił się w miejscu, gdzie Dorsey przed chwilą wysadził chatę z arsenałem broni.

Eugene Howden od dobrych paru chwil próbował się opędzić od jazgoczącej niezrozumiale Wietnamki. Na początku wszystkie jej utyskiwania puszczał płazem. Teraz stawała się coraz bardziej natarczywa i denerwująca.

- Czego chcesz, ty stara kurwo?! - wyrzeszczał mężczyzna w twarz napastliwej kobiecie.

Gdy stanął przed chatą, którą wyznaczył mu sierżant do podpalenia, Wietnamka na chwilę przycichła. Wyciągnął zapalający granat fosforowy M34 i odbezpieczył go. Na ten widok oszalała kobieta zaczęła szarpać go za mundur. Płynnym ruchem żołnierz wrzucił granat przez okno do domu. Gdy nastąpiła detonacja, a chata zajęła się ogniem, kobieta naparła na niego

z zdwojoną siłą. Młody chłopak o bujnej czuprynie miał tego dość. Podniósł broń do góry i szybkim ciosem kolby powalił napastliwą kobietę na ziemię. Było słycać trzask łamanej szczeki. Nie zajmował się nią już więcej, odszedł w kierunku większej grupy żołnierzy szykujących się już do wymarszu.

- Podpal tę chatę, Hackman! - wydał krótki rozkaz podporucznik Warren Fisher.

Król Jaszczur sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał słów do niego skierowanych. Stał z opuszczoną bronią ze wzrokiem wbitym w coś odległego, ledwo dostrzegalnego na horyzoncie.

- Szeregowy, zrób to, co ci nakazałem! - młody oficer wypowiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Matt! - wtrącając się, Wolf rzucił nieco natarczywiej.

- Czego, czego chcesz?! - wybuchł Hackman przywrócony do rzeczywistości.

Dym i ogień szybko spowiły wieśniacze chaty. Spadochroniarze z wolna oddalali się od miejsca swojej zbrodni, pozostawiając za sobą zgliszcza, krew i rozpacz.

XIV

DAK TO

Kilkakrotnie śniło mu się, że spada w przepaść, przebudzał się wtedy i stwierdzał, że nadal leży na łóżku w wojskowym baraku. Świtało już, gdy powoli otworzył zmęczone oczy. Nie pamiętał, do której godziny uczestniczył w mocno zakrapianym spotkaniu żołnierzy 2 plutonu. Nie pamiętał nawet, jak znalazł się w swoim koszarowcu. Obrzucił spojrzeniem wnętrze pogrążonego w ciszy pomieszczenia. Pozostali spadochroniarze jeszcze spali, śniąc o rzeczach znacznie lepszych niż wojaczka. Pulsowało mu w skroniach, a głowa zdawała mu się nie mieścić w barkach. Miał totalnego kaca. Łapczywie złapał puszkę piwa walającą się na podłodze. Szybkim ruchem ją otworzył i głośno przełykając, pochłaniał letni bursztynowy napój. Był w połowie puszki, gdy w drzwiach pojawił się sierżant Preiss w towarzystwie dwóch żołnierzy, których bostończyk nie znał. Z politowaniem spojrzął na Swansona swoimi piwnymi oczami.

- Tych dwóch przysłało nam dowództwo - stwierdził podoficer, wskazując ruchem głowy stojących w wejściu nieswojo rozglądających się mężczyzn.

Tom miał to w dupie, jedyne, o czym myślał, to ugaszenie pragnienia gorejącego w jego gardle.

- Spartaczyli coś w sztabie i za karę zostali skierowani do jednostki liniowej - ciągnął dalej Preiss.

Bostończyk obrzucił ich chłodnym spojrzeniem. Kurwa, jeszcze Jonaszów im w plutonie brakowało - pomyślał Swanson, odrywając od ust pustą już puszkę po piwie.

- Sierżancie, a nie da się ich upchnąć gdzie indziej? - głos spadochroniarza był chrapliwy, jakby mężczyzna wypowiadał się z dużym trudem.

- Już parokrotnie ich odsyłano. Nie mamy wyboru... - podoficer nawet

nie dokończył swojej wypowiedzi i zniknął z oczu próbującemu dojsć do ładu mężczyźnie.

W pomieszczeniu zapanowała nieznośna cisza, którą przerywało tylko stąpanie z nogi na nogę dwójki nowo przybyłych. Bostończyk nie przejmował się nimi, był tylko zwykłym szeregowym, który miał przed sobą jeszcze sporo dni do odsłużenia. Musiał zatroszczyć się o siebie samego, aby w całości wrócić do Stanów. Zagrzebał się w postaniu i ponownie zapadł w sen. Do rzeczywistości przywrócił go kapral Herrick, który szarpał go za ramię.

- Harvard, list do ciebie - rzekł oschle podoficer, rzucając kopertę wprost na podnoszącego się ociężałe spadochroniarza.

- Dzięki, Barry.

Kapral nie usłyszał już słów podziękowania, bo od paru chwil był poza budynkiem. Tom obrócił w dłoniach pożółkłą kopertę. Zdziwił się, gdy spostrzegł, że nadawcą jest Winnie. Przecież nie odpisał na jej poprzedni list. Rozerwał kopertę i wyciągnął zapisaną kartkę papieru. Obawiał się tego, co miał za chwilę przeczytać.

Drogi Tomie,

na początku Cię pozdrawiam i przepraszam z całego serca za mój ostatni list. Nie mogłam czekać, aż mi na niego odpiszesz, więc napisałam kolejny.

Przepraszam, że Cię zraniłam, naprawdę nie lubię nikomu robić krzywdy, a na pewno nie człowiekowi, którego kocham. Pogubiłam się, spróbuj to zrozumieć, proszę Cię. Wiem, że nie jest Ci łatwo tam, gdzie jesteś, i mój poprzedni list tylko pogorszył sprawę. Przykro mi z powodu tego, co ostatnio napisałam, nic mnie nie tłumaczy.

Myszę, że pochopnie oceniłam to, co nas łączy. Tim Mutz okazał się łajdakiem chcącym wykorzystać okazję, jaka mu się nadarzyła. Chociaż nie popieram tej wojny, to zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy Amerykanie to mordercy. Wy po prostu wykonujecie rozkazy i próbujecie przetrwać w tym piekle. Nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Ja nadal będę na Ciebie czekać, z utęsknieniem obserwować ścieżkę prowadzącą do mojego domu. Jesteś jedyną i prawdziwą miłością mojego życia.

Proszę Cię jeszcze raz, wybac mi moje głupie zachowanie. Teraz wiem, jaki jesteś dla mnie ważny i ile uczyniłeś w moim życiu dobrego. Kocham Cię, Tom. Tęsknię i odliczam każdy stracony dzień bez Ciebie. Proszę, wróć.

Mocno całuję, Winnie

Takiego listu Swanson się nie spodziewał, aż oniemiał ze zdziwienia. Wyrzeźwiał w ciągu jednej chwili. Przetarł oczy, miał wrażenie, że to wszystko mu się śniło. Boże, wypowiedział w myślach, gdy zrozumiał, że wszystko to dzieje się naprawdę.

- Cześć, jestem Cooper Higgitt. Byłem szoferem dowódcy batalionu, ale... - zaczął nieśmiało jeden z nowych żołnierzy.

Bostończyk wyrwany z zadumy nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, że mężczyzna kieruje swoje słowa do niego. Spojrzał na szczupłego, piegowatego mężczyznę, który wlepił w niego gały. Uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie tego, co przed chwilą przeczytał. Świat zaczął mu się wydawać bardziej przyjazny.

- Skąd jesteś, Higgitt?

- Mieszkam nieopodal Tulsy w Oklahomie. Wspólnie z ojcem i bratem uprawiamy kukurydzę i sorgo - pełen wewnętrznej dumy ciągnął mężczyzna, przeczesując dłonią blond włosy.

- Kiedyś byłem z rodzicami w Norman w hrabstwie Cleveland. Ojciec na Uniwersytecie Oklahoma miał serię wykładów - Swanson wrócił na chwilę do swoich lat beztróskiego dzieciństwa.

- Mój kuzyn uczy się na tej uczelni na wydziale...

- Kurwa, zamknijcie mordy!!! Człowiek chce się wyspać - ostra reakcja Clarka zdziwiła nawet Toma.

- Wyluzuj, Roger, nie musisz być zawsze takim kutasem! - zripostował Swanson.

Stary wyga nic nie odpowiedział, tylko zakrył się cały wojskowym wełnianym kocem. Jego jedyną reakcją był głośny przeciągły pierd.

- Ja jestem Ethan Matkowsky - przerwał ciszę pucułowaty chłopak o świńskich oczkach.

Tom miał dość na dzisiaj poznawania nowych ludzi. Poszedł w ślady Clarka, kładąc się na łóżku i okrywając kocem. Miał zamiar pomarzyć o Gwendolyn Paxton. Poczuc zapach jej długich blond włosów i spojrzeć w jej zjawiskowe błękitne oczy. Teraz wszystko się zmieniło. Miał po co wracać do Stanów i dla kogo żyć.

Od dobrych kilkadziesiąt minut trwał załadunek żołnierzy i sprzętu do śmigłowców transportowych ustawionych na pasie startowym. W pierwszej

fazie operacji Greeley dwa bataliony ze składu 173 Brygady miały zostać przeniesione do Dak Aby, aby wspomóc piechociarzy z 4 Dywizji. Traf chciał, że wyznaczono do tego zadania 2 i 4 Batalion. W następnej fazie miały dołączyć kolejne dwa. Zadaniem spadochroniarzy było przeczesywanie górzystych terenów w prowincji Kontum na Płaskowyżu Centralnym w celu wykrycia wroga.

Tom szedł wolno, objuczony dodatkowym sprzętem i podnosząc z ziemi tumany kurzu. Przystanął i walcząc z osłepiającymi go promieniami słońca, spojrzał w stronę, skąd dochodziły dzikie okrzyki. To, co zobaczył, totalnie go zaskoczyło, zdębiał. Grupa starych frontowców robiła sobie zdjęcia. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby nie fakt, że spadochroniarze robili sobie stylizowane fotografie z wietnamskim żołnierzem. Za północnowietnamskiego piechura robił szeregowy Itako Akuma z uzupełnień. Amerykanin o japońskich korzeniach idealnie nadawał się do odgrywania roli wrogiego żołnierza. Mundur Japończyka został poplamiony jakimś czerwonym płynem, który miał imitować krew. Swanson podszedł bliżej, aby z bliska przyjrzeć się tej osobliwej sesji fotograficznej.

- Harvard, chcesz zdjęcie? Tylko pięć dolców, a będziesz mógł wysłać niezłą pamiątkę do Stanów, której wielu będzie ci zazdrościło - Clark zwracał się do bostończyka, zerkając swoimi rozbieganymi zielonymi oczyma.

- Nie, dzięki, ten cyrk mnie nie interesuje - odpowiedział sucho Swanson, poprawiając sobie karabin na ramieniu.

Simmonds był następny w kolejce. Flesz aparatu strzelił w chwili, gdy Murzyn wsadził lufę karabinu M16 w usta leżącego na ziemi Akumy. Kapral Shaw, który robił za fotografa, miał niezły ubaw z udawanych makabrycznych scen nad domniemanymi zwłokami wietnamskiego żołnierza.

- Ruszaj swoją tłustą dupę, Matkowsky! Pieprzony tłusty wieprz - wrzeszczał Vincent w kierunku spoconego żołnierza obładowanego nadprzydziałowym wyposażeniem.

Chłopak ledwo utrzymywał się na nogach. Tom odwrócił wzrok od grupki spadochroniarzy robiących zdjęcia i z zaciekawieniem przyglądał się, jak niedawno przybyły żołnierz ślania się na nogach, niosąc ciężar, który przytłaczał go do ziemi. Otyły mężczyzna ledwo szedł, wlokąc nogę za nogą.

Ten widok był ponad siły Clarka, który na chwilę oderwał się od wydarzeń związanych z sesją zdjęciową. Wysoki żołnierz o wydatnych kościach policzkowych stylem poruszania się i wyglądem przypominający modliszkę zaatakował w okamgnieniu. Podbiegł do ciągnącego się marudera i z całej siły kopnął go w falujące pośladki. Matkowski tego nie wytrzymał, runął na ziemię przygnieciony ciężarem, który dźwigał. Wokoło rozległ się chóralny śmiech.

- Pieprzona ciota! - spadochroniarz wysyczał przez zaciśnięte zęby, spluwając na ziemię.

Swanson śmiał się także. W duchu cieszył się, że to nie on był obiektem drwin. Zostawiając za plecami mozolnie podnoszącego się z ziemi wyśmianego żołnierza z uzupełnień, ruszył w kierunku najbliższego śmigłowca transportowego, w którym ku swojemu zadowoleniu spostrzegł Hackmana.

Zmęczony spadochroniarz otarł rękawem pot z czoła. Usiadł tam, gdzie się zatrzymał, nie szukał specjalnego miejsca. Miał dość, upał dawał mu się we znaki. Z głuchym „pac” jego stalowy hełm wylądował na podmokłej glebie. Stojący tuż obok niego Hackman spojrzął mu prosto w oczy.

- Tom, co z tobą? - chudy mężczyzna zadając pytanie, usiadł przy głośno i łapczywie łapiącym powietrze Swansonie.

- Chyba dostałem udaru słonecznego - wypowiedział łamiącym się głosem bostończyk.

Król Jaszczur wyciągnął z pokrowca manierkę uczeponą u pasa i powoli zaczął oblewać wodą spaloną słońcem kark przyjaciela.

- Masz - Hackman podał dwie słoje tabletki cierpiącemu spadochroniarzowi.

Swanson połknął je, popijając solidnym łykiem wody z manierki. Jak to zwykle bywało, nie wiadomo skąd pojawił się sanitariusz, starszy szeregowy Bruce Crooks, i od razu zajął się swoim nowym pacjentem. Zaaplikował mu kolejne białe tabletki i wstając, klepnął w ramię.

- Nic ci nie będzie, Harvard. Chwila odpoczynku i staniesz na nogi - rzucił przez plecy powoli oddalający się sanitariusz.

Bostończyka ucieszyły te słowa rzucone na odchodne. Hackman też wydawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Stoeton zaciągnął się mocno dymem. Rudowłosemu mężczyźnie trzęsła

się dłoń, w której trzymał kopiącego się papierosa. Z trudem panował nad skołatanymi nerwami.

- Śmierć towarzyszy broni to straszna sprawa, Larry. Najgorsze są oczy, one patrzą do końca. Potem odpływają w nicłość, śnią się po nocach. Nie dają zapomnieć, nie dają ci zasnąć - Irlandczyk wypowiadał gorzkie słowa z wielkim przejęciem.

O'Donnell patrzył z niepokojem na roztrzęsionego spadochroniarza, który jeszcze tak niedawno był ostoją spokoju. Nowojorczyk zdawał sobie sprawę, że to brutalna codzienność frontowego żołnierza i horror wojny uczyniły kłębek nerwów z tego mężczyzny.

- Sto sześćdziesiąt trzy dni, jeszcze pieprzone pół roku w tym piekle!!! Nikt nie wyjdzie stąd żywy - rozdygotany spadochroniarz skomlał jak zбитy pies.

- Weź się w garść, Ed - wypowiedział przechodzący tuż obok Bruce Wright dźwigający na barkach karabin maszynowy M60.

Muskularny Teksańczyk nie zatrzymał się jednak, a powędrował w kierunku zwałonego drzewa zalegającego na skraju ścieżki, którą podążali. Każdy korzystał z jakiegokolwiek nadarzającej się chwili wytchnienia podczas jednego z kolejnych niekończących się rutynowych patroli. Jak na razie wędrowali po płaskim dnie doliny, które porastały rzadkie drzewa, niskie krzaki oraz wysoka prawie na metr brunatno-czerwona słoniowa trawa. Teren stawał się bardziej niedostępny, w miarę jak zmierzali w kierunku okalających dolinę stromych wzniesień, niektórych o wysokości prawie 4000 stóp. Stoki porastała gęsta dżungla, a wysokie drzewa tworzyły zielone baldachy, przez które do ziemi docierały nieliczne wąskie wiązki światła. Temperatura, która za dnia osiągnęła 95°F, spadała z każdą minutą, od kiedy zapadł nad Wietnamem zmrok. Spadochroniarze po przedarciu się przez niegościnnie bambusowy gaj szykowali się do nocnego postoju kompanii. Żołnierze poczuli przemożny chłód, gdy podczas godzin wieczornych owładnęło ich łapczywie ochłodzone powietrze mające zaledwie 55°F. Przeklinając w duchu swój podły żołnierski los, wsłuchiwali się w odległe odgłosy wystrzałów baterii 105 mm haubic, która rozpoczęła ostrzał pozycji wroga.

Dzień przywitał ich oberwaniem chmury. Ściana wody zalewała dno doliny, spowalniając marsz w stronę wyższych partii masywu górskiego Dak

To. Brodzili w sięgającej kostek błotnistej mazi. Pora monsunowa zaczynała dawać o sobie znać. Klnąc pod nosem, korowód przemoczonych do suchej nitki żołnierzy powoli zmierzał w kierunku majających gdzieś na górze, a teraz przysłoniętych deszczowymi chmurami szczytów. Szeregowy Joe Buster z niedowierzaniem przyglądał się, jak dowódca 2 plutonu podporucznik Fisher usilnie próbuje coś odnaleźć na mapie.

- Stary, zapamiętaj to sobie. Największym zagrożeniem na polu walki jest oficer z mapą - kiwając wyprostowanym wskazującym palcem, wypowiedział mijający rekruta kapral Dorsey.

Buster, młody chłopak, który jeszcze niedawno sprzedawał narzędzia w jednym z wielu sklepów w Hagerstown w stanie Maryland, wziął sobie do serca wypowiedź podoficera. Młody oficer przerwał swoją pracę na mapie, gdy radiooperator podał mu słuchawkę radiostacji.

- Stary do pana, poruczniku - Morton, który teraz dźwigał radiostację polową, zwrócił się do zakłopotanego Fishera.

- Warren, co się u was dzieje, do cholery? Dlaczego tak się guzdrzecie? Pogoń swoich ludzi! - rzekł surowo dowódca kompanii.

- Tak jest, panie kapitanie.

Co on mógł zrobić, pytał sam siebie Fisher, patrząc na spadochroniarzy z 2 plutonu, którzy tonęli w morzu błota. Parli naprzód resztką sił. Wspinaczka po śliskich stokach przysparzała wielu problemów. Co rusz jakiś żołnierz tracił równowagę i ześlizgiwał się w dół, jak po ślizgawce na placu zabaw dla dzieci.

- Zawsze wyślą nas w największe gówno! - zawarczał Stockton, strzepując sobie z twarzy i munduru błoto, które go obryzgało podczas upadku idącego przed nim Foxa.

Nikt nie odpowiedział Irlandczykowi na daremne żale. Pnąc się w górę, żołnierze Sky dokonali makabrycznego odkrycia. Idący na lewej flance spadochroniarze natrafili na ciała żołnierzy wojsk specjalnych CIDG, którzy zaginęli cztery dni wcześniej. Kontakt z nimi urwał się, gdy przebywali oni na wzgórzu 1338, dominującym wzniesieniu południowego masywu Dak To, i meldowali o wzmożonych ruchach sił wroga. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że znaleźli się w czarnej dupie i tylko cud mógł ich uratować z tego padołu łez. Dzień 20 czerwca chylił się ku końcowi, a oni pokonali zaledwie jedną trzecią drogi na szczyt. Dowództwo było wściekłe i zarzucało

spadochroniarzom opieszałość i celowe opóźnienie.

Tom usłyszał dwa pojedyncze wystrzały z karabinu po swojej lewej stronie. Od razu rzucił się na ziemię, częściowo zanurzając się w błotnistej mazi. Przyłożył broń do ramienia i zgrał przyrządy celownicze. Czekał, aż na przedpolu pojawi się wróg. Echo wystrzałów przebrzmiało, a kolejne nie nastąpiły. Spadochroniarze powoli zaczęli podnosić się cali oblepieni błotem. Wysłany patrol powrócił, nie napotykając najmniejszych nawet śladów partyzantów VC. Osoba, która oddała dwa pojedyncze strzały, rozplynęła się w dżungli. Oznaczało to jednak, że Amerykanie zostali zauważeni i wróg znał teraz ich pozycję.

- No i mamy przesrane - spuentował całą zaistniałą sytuację Hackman.

Bostończyk obrzucił go złowrogim spojrzeniem. Wiedział jednak, że Król Jaszczur miał rację. Zostali wykryci przez wietnamską czujkę i nie wróżyło to nic przyjemnego.

Swanson próbował zasnąć, ale nie udawało mu się to. Było mu zimno, trząśił się i szcząkał zębami. Przemoczone ubranie jak na złość nie zdążyło wyschnąć, zanim temperatura spadła do blisko 50°F. Jedyne pocieszenie dawał fakt, że ulewny deszcz przestał padać i była szansa na poprawę pogody. Mężczyzna zgniótł między palcami mrówkę, którą ściągnął sobie z karku. Poprawił ręcznik, który miał narzucony na głowę, i pomyślał o biwaku, na którym był, kiedy miał 12 lat. Wtedy także był cały przemoczony i zziębnięty. Różnica polegała na tym, że wtedy przebrał się w suche ubranie i położył wygodnie spać, pijąc przed snem gorącą herbatę. Teraz leżał na wilgotnej ziemi, licząc na to, że promienie słoneczne wysuszą jego mundur. Przypomniawszy sobie, co podczas szkolenia w Stanach stary sierżant kiedyś powiedział, gdy wracali z zajęć z forsowania przeszkody wodnej. „Na żołnierzu zmokło, na żołnierzu wyschnie”, nic dodać, nic ująć.

Nie miał pojęcia, kto pełnił wartę, ale osoba ta musiała się zdrzemnąć. Na uspiomych spadochroniarzy spadł huragan ognia. Noc ożyła jaskrawymi kolorami. Intensywny ostrzał dobiegał z kierunku, gdzie swoje pozycje miała 3 drużyna.

Sierżant Wayne Kemp zrzucił z siebie poncho, którym był przykryty. Szybkim ruchem przeładował broń i nałożył na głowę leżący tuż obok hełm. Musiał przyzwyczaić oczy do panujących ciemności, co rusz rozświetlanych pociskami smugowymi i eksplozjami granatów. Przeszedł, trzymając się

nisko ziemi, kilka kroków, zanim spostrzegł skradających się Wietnamczyków. Oparł broń o pień drzewa i nacisnął język spustowy. M16 splunęła ogniem. Idący na czele zgiął się wpół ugodzony pociskiem w podbrzusze. Poruszający się po jego lewej stronie otrzymał trafienie w bark i szyję. Żołnierz runął na ziemię jak robot, któremu wyłączono zasilanie. Inni nacierający odskoczyli, kryjąc się w zaroślach. W stronę podoficera poleciała seria z karabinu maszynowego, która poszarpała pobliskie krzaki. Kemp ruszył biegiem, oddalając się od śmiertelnej strefy. Wbiegł wprost na celującego w jego kierunku Longa, który z szeroko otwartymi oczami ze strachu wypalił w niego ze swojego karabinku szturmowego. Stalowe pociski tylko o centymetry minęły cel, przesywając powietrze i niszcząc liście na swojej trasie, po czym poleciały dalej w dżunglę. Dopiero gdy noc rozświetliła eksplozja granatu, skulony szeregowy Glenn Long zrozumiał, do kogo strzelał. Podoficer dopadł go po paru susach i z całej siły uderzył w szczękę.

- Kurwa, uważaj do kogo strzelasz!!! - zaryczał jak lew Kemp.

Nie było jednak czasu na kłótnie, kolejni Wietnamczycy nacierali z kilku kierunków. Powoli 3 Drużyna stawała się odcięta od pozostałych sił 2 plutonu.

George Dickson na początku udawał, że właściwie go tu nie ma. Był sparaliżowany strachem. Gdy zobaczył, w jakiej sile naciera wróg, rzucił się do ucieczki. Przebiegł kilkanaście metrów, sam nie zdając sobie sprawy, że właściwie to biegł w kierunku, z którego nadchodzili Wietnamczycy. Za późno jednak zrozumiał swój błąd. Zauważony przez trzech napastników liczył jednak, że jako czarnoskóry być może zostanie niezauważony i zniknie gdzieś pośród nocy. Pech chciał, że tak się nie stało. Jedna z kilkunastu kul wystrzelona w jego kierunku ugodziła go w nerkę. Jego ciało przeszły okropny ból. Upadł na wilgotną ściółkę, upuszczając po drodze karabin. Pomyślał, że jeżeli uda mu się wstrzymać powietrze, wróg uzna go za martwego. Musiał nabrać dużo powietrza, ale wiedział, że w ciszy, która zapanowała, ten dźwięk zabrzmiałby wręcz ogłuszająco. Zdążył jednak tylko obrócić się na plecy, zanim napastnicy go dopadli.

- Proszę nie, ja ni...

Zdanie zostało przerwane wpół słowa, gdy wietnamski bagnet zatopił się w ciele spadochroniarza. Partyzant jeszcze raz pchnął ostrzem swoją

ofiarę dla pewności, że na pewno pozbawił ją życia. Dickson jeszcze przez chwilę widział mężczyzn, którzy zadali mu śmiertelną ranę, po czym zastygł z szeroko otwartymi oczami z pytaniem, dlaczego właśnie jego spotkał taki los.

Starszy szeregowy Ron Simmonds zdążył zabić trzech oprawców, zanim zacięła mu się broń. Wszędzie latały śmiertelne pociski, ale nigdzie nie mógł dojrzeć pomocy. Otaczała go czerń i nadbiegający z każdego kierunku wrody żołnierze. Musiał sobie jakoś poradzić, bywał już w większych tarapatach. Wydobył zaostrzoną saperkę i schował się za dużym zwalonym tekowym drzewem. Zaatakował w chwili, gdy Wietnamczyk przeskakiwał przez pień. Atak był bardzo precyzyjny, ostrze saperki rozszarpało żołnierzowi APW bok. Zwalisty Murzyn zobaczył, jak ze sporej rany, parując, wylatują na zewnątrz jelita. Zadał decydujące cięcie, aby skrócić męczarnie konającemu mężczyźnie. Zatopił saperkę w czaszce Wietnamczyka, zabijając go w ciągu sekundy. Podniósł z ziemi broń swojej ofiary i wpakował trzy pociski w pierś kolejnemu nadbiegającemu żołnierzowi.

Wybuch granatu rzucił go kilka metrów w tył oraz oslepił na chwilę. Mężczyzna opadł boleśnie na kopiec termitów. Przyjmując najwygodniejszą pozycję strzelecką, oddał jeszcze kilka strzałów, zanim iglica natrafiła na pustą komorę naboju. Zrozumiał, że to jego koniec, gdy spostrzegł wroga nacierającego na jego pozycję w sile około dziesięciu mężczyzn.

Próbował jeszcze ratować się ucieczką, ale pocisk zgruchotał mu kręgosłup, pozbawiając czucia w nogach. Włókł się po ziemi, ciągnąc za sobą bezwładne dolne kończyny. Nie miał pojęcia, jaki dystans pokonał, gdy usłyszał nad sobą kłujący go w uszy wietnamski dialekt. Ewidentnie wróg robił sobie z niego żarty. Słyszał jak pozostali śmiali się, gdy jeden z jego oprawców coś powiedział. Simmonds próbował obrócić się wokół osi, aby spojrzeć w oczy przeklętym ryżojadom. Został jednak przygnieciony do ziemi ubłoconym butem jednego z nich. Wietnamczyk oddał jeszcze na niego mocz, zanim ściągnął z pleców Amerykanina swoją stopę. Spadochroniarzowi nie dane jednak było spojrzeć na prześladowców. Wietnamczyk, który przed chwilą oddał na Murzyna mocz, wpakował mu kulę w tył głowy. Kula z AK-47 roztrzaskała czaszkę, a mózg Amerykanina obryzgał pobliskie krzaki oraz kopiec termitów.

Tej przeklętej nocy kapitan Gavin wraz z żołnierzami kompanii Charlie

przeżyli już dwa natarcia sił północnowietnamskich. Rozkazy generała Williama R. Peersa, dowódcy 4 Dywizji Piechoty i zarazem dowódcy wszystkich sił amerykańskich w Dak To, nie sprawdzały się w rzeczywistości. Zgodnie z nimi bataliony miały działać jako pojedyncze jednostki, a nie w podziale na poszczególne kompanie w celu poszukiwania wroga. Tak duży ruch wojska musiał zostać dostrzeżony i spowodować reakcję wroga. I tak też się stało. Oficer krwawił z rany na przedramieniu, gdzie ugodził go odłamek granatu. Zanim stracił łączność radiową z 2 plutonem, nakazał podporucznikowi Fisherowi wycofanie swoich ludzi w kierunku punktu dowodzenia kompanii.

Noc pobrzmiwała licznymi odgłosami walki dobiegającej zdawałoby się z każdego kierunku. Żołnierze walczyli w małych grupkach lub w całkowitym osamotnieniu. Wróg zaskoczył ich całkowicie. Oficer nie miał pojęcia, że walczy z regularnym oddziałem 24 Pułku APW. Odgłosy strzałów i wybuchów przerywały krzyki oraz nawoływania rannych. Spadochroniarze z 1 plutonu próbowali obejść pozycję wroga i udzielić pomocy okrążonemu ich siostrzanemu plutonowi, ale zostali przygwożdżeni do ziemi silnym ogniem broni maszynowej. Gavin wydał kilka krótkich rzeczowych rozkazów i czekał teraz na ich efekty. Odmówił sanitariuszowi propozycji opatrzenia swojej ręki. Skierował go do ludzi, którzy znacznie bardziej potrzebowali pomocy lekarskiej.

Wymiana ognia trwała prawie przez całą noc. Robiło się szaro, gdy wróg odstąpił, pozostawiając na polu walki wielu zabitych oraz rannych spadochroniarzy. Stali się oni tej nocy ofiarami nadmiernej pewności siebie. Było to pierwsze starcie, a w nadchodzących dniach miało dojść jeszcze do kilku. Walki te, które toczyły się w czerwcu, przeszły do annałów historii jako „bitwy na stokach”.

Poranek przyniósł gorzki smak porażki. Wielu odnalezionych żołnierzy Sky miało śmiertelne rany z tyłu głowy. Rozkazy spływały z samej góry bardzo szybko. Dowódca 173 Brygady generał John R. Deane nakazał ściganie wroga, który poprzedniej nocy spowodował liczne straty wśród Amerykanów. Tak bolesna porażka musiała zostać pomszczona. Jako pierwsza w dół zbrocza w ślad za uchodzącym wrogiem ruszyła kompania Alpha. Za godzinę ich śladem miała ruszyć kompania C, aby wspomóc ich w walce i zniszczyć wietnamski oddział.

- Rzeczą gorszą od śmierci jest oczekiwanie na nią - oznajmił sierżant Preiss, patrząc na przerażone twarze młodych mężczyzn szycujących się do wymarszu.

Wyruszyli wprost w objęcia śmierci i każdy zdawał sobie z tego sprawę. Będąc głęboko w pradawnym lesie, mogli liczyć tylko i wyłącznie na siebie. Doświadczyli poprzedniej nocy wszystkich okropieństw wojny: chaosu, strachu czy bezmyślnej żądzy zabijania. Zanim pierwszy spadochroniarz ruszył w drogę, minęły jednak ponad dwie godziny od wymarszu kompanii A. Na domiar złego cały teren spowiła gęsta mgła nisko unosząca się nad ziemią. Gęsto porośnięty teren pełen płataniny bambusów i innej roślinności był wyjątkowo trudny do pokonania. Na czele poruszali się zwiadowcy, a za nimi objuczeni sprzętem spadochroniarze. Niemy korowód niczym leniwy wąż schodził ze wzgórza. Już po zaledwie kilku kilometrach zeszli ze z góry ustalonej trasy i zmierzali w całkiem innym kierunku niż ich siostrzana kompania. Ten niefortunny błąd miał kosztować bardzo dużo obie kompanie, o czym żołnierze mieli się przekonać jeszcze przed zachodem słońca.

Swanson, omijając przeszkodę w postaci powalonego drzewa gęsto obrosniętego mchem i płataniną roślinności, zaklął pod nosem i splunął na porastające obrzeża ścieżki paprocie. Ciężki ekwipunek, który targał na swoim grzbiecie, irytował go. Niewygodne szelki wrzynały mu się w ramiona, powodując tępy ból. Chwilowy postój, który zarządzono, spożytkował na uzupełnienie płynów i rozmasowanie obolałych mięśni.

- Wiesz, Tom, co mi kiedyś powiedział jeden mądry weteran Wielkiej Wojny? Rzekł on, że ci, którzy naprawdę chcą wojen, nie umierają w okopach - głos Hackmana był cichy i posępny.

- Święte słowa, stary. Politycy wywołali tę wojnę, ale to my w niej ginimy.

- Tutaj przestaje istnieć kategoria przyjaciół i wrogów, zanika całkowicie granica między zdradą a heroizmem. Tutaj liczy się tylko, aby przetrwać...

- Wiem, wiem, Matt - odrzekł sucho bostończyk.

- Ja jedynie liczę dni i pilnuję własnego tyłka, i nic więcej. Koniec pieśni, finito - zakończył rozmowę Król Jaszczur, pozostawiając Toma samego, aby przemyślał sobie to, co przed chwilą usłyszał.

W eterze przeplatały się nieskładne meldunki, nakładając się na siebie. Gavin z zatroskaną miną patrzył w dal z przyściśniętą do ucha słuchawką

radiostacji. Kompania Alpha wpadła w dobrze zorganizowaną zasadzkę wroga. Wietnamski dowódca doborowego 6 Batalionu 24 Pułku, widząc, że ma do czynienia z niewielkimi siłami, skierował do ataku wszystkich żołnierzy, którymi dowodził. W niedługim czasie trzy plutony z kompanii Alpha przestały istnieć jako zwarte pododdziały bojowe. Spadochroniarze toczyli zażartą walkę w niewielkich grupkach, licząc na szybką pomoc żołnierzy kompanii Charlie. Rozpaczliwe głosy dobiegające ze słuchawki wzywały pomocy. Tam musiało być piekło - pomyślał Gavin, gdy podczas jednego połączenia usłyszał niekończącą się kanonadę wystrzałów. Dopiero teraz do niego dotarło, że prowadzący kompanię 1 pluton znacznie zboczył z drogi i od pozycji, którą podawali żołnierze będący pod ostrzałem, dzieliła ich spora odległość. Był wściekły przede wszystkim na siebie, że nie sprawdził położenia kompanii w stosunku do mapy i otrzymanych współrzędnych. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to spróbować dotrzeć jak najkrótszą drogą do oblężonych spadochroniarzy w celu udzielenia im pomocy. Walczący nie mogli liczyć na wsparcie artyleryjskie ze względu na bliskość wroga. O pomocy z powietrza też mogli zapomnieć. Zła pogoda uziemiła w okolicy wszystkie maszyny latające.

- Ruszać się, Alpha jest pod ostrzałem! - dostyszał Gavin pokrzykiwania dowódcy 2 plutonu próbującego pośpieszyć swoich ludzi.

Mgła, siąpiąca mżawka oraz gęsta roślinność skutecznie niweczyły ich plany szybkiego dotarcia do walczących. Pod wieczór nastąpiło nieuniknione, zostali przykryci gęstym ogniem z AK-47 oraz granatników. Zamiast udzielić niezbędnej pomocy kompanii A, sami wpadli w zastawioną zasadzkę. Żołnierze 24 Pułku Armii Wietnamu Północnego byli dobrze zamaskowani i ukryci wśród bezkresnej zieleni. Gdy padły pierwsze strzały, żołnierze rzucili się na ziemię, szukając tam schronienia.

- Wstawać, ruszać dupy, zanim użyję artykułu 15!!! - wył sierżant sztabowy Blake poczerwieniały z wściekłości na twarzy.

Seria zryła ziemię nieopodal klęczącego podoficera i roztrzaskała suchą gałąź. Mężczyzna został obrzucony piaskiem oraz drzazgami. Tylko na chwilę odstawił broń od barku i przestał strzelać w kierunku ściany lasu. Gdy kolejny wietnamski pocisk przeleciał zaledwie o cal od niego, Blake stwierdził, że to najwyższy czas, aby zmienić stanowisko ogniowe. Ruszył biegiem w prawą stronę, kierując się do płytkiego wyżłobienia, które jego

oczy wychwyciły zaledwie przed paroma chwilami. Nie ubiegł nawet pięciu metrów, gdy w miejscu, które przed chwilą zajmował, nastąpiła eksplozja. Podoficer rzucił się szczupakiem do przodu i boleśnie upadł na twarde podłoże. Usłyszał głuchy trzask w chwili upadku. Podnosząc broń do góry zrozumiał, co zaszło. Kolba od M16 została ułamana i dyndała teraz swobodnie na pasku. Kolejny wybuch nakrył go ścianą piachu, przygniatając na chwilę do ziemi i pozbawiając tchu.

- Wszystko w porządku, sierżancie? - usłyszał jakby przez mgłę Blake.

Próbując skupić wzrok na jednym punkcie, dostrzegł, że to pisarz kompanii - starszy szeregowy Louis Pimlott, klęcząc nad nim, wypowiedział to zdanie.

- Nic mi nie jest, nie może...

Kolejna seria przerwała jego wypowiedź w pół słowa. Wróg nacierał ze zdwojoną siłą. Sierżant plutonu musiał poszukać lepszego miejsca, aby skutecznie się bronić. Rzucił się w tył, szarpiąc za sobą zdziwionego pisarczyka.

Zajmując stanowisko pomiędzy dwoma niskimi drzewami, obaj spadochroniarze bacznie przyglądali się, skąd tak właściwie wróg prowadzi do nich ostrzał. Howard ustawił kaem M60 na dwójnogu i wycelował w rozbłyski, które spostrzegł na prawej flance. Gdy świnia zaczęła swoje kwiczenie, strzały dobiegające z ich prawej strony momentalnie ucichły. Było to złudne poczucie bezpieczeństwa. Powietrze przeszyły pociski, które ścięły wierzchołki drzew i obsypały leżących Amerykanów drobnymi gałęziami i liśćmi. Howard przyjął od amunicyjnego kolejną taśmę naboju i po przeładowaniu broni ponownie otworzył ogień.

- Nakryli nas, musimy zmienić stanowisko! - przekrzykując odgłosy wystrzałów karabinu maszynowego, Cook zwracał się do celowniczego.

- Jeszcze dwie, trzy serie i się stąd zabieramy, Earl - obracając głowę, odpowiedział skupiony na prowadzeniu ognia starszy szeregowy Steve Howard.

Po silnym ostrzale z M60 oddział wietnamski został zdziesiątkowany, ale kolejne dwie drużyny wroga zmierzały w kierunku stanowiska karabinu maszynowego z chęcią jak najszybszego uciszenia go. Tak jak to zapowiedział Howard, po serii trwającej kilka sekund poderwał się i niosąc M60, skierował się na lewo, gdzie trzy kopce termitów zapewniały bardzo dobrą

pozycję obronną. Na przemieszczających się spadochroniarzy spadł grad pocisków. Ugodzony jednym z nich w udo Cook, powłócząc zranioną nogą, próbował nadążyć za swoim towarzyszem broni. Zdążył usłyszeć przeraźliwy wizg i kątem oka zaobserwować płynny lot pocisku raketowego. Odruchowo runął na ziemię, boleśnie opadając na wystające z podłoża częściowo zbutwiałe korzenie. Pocisk uderzył wprost w skupisko kopców, zasypując biegnącego w tym kierunku Howarda stalowymi odłamkami zmieszanyymi z kawałkami twardych jak skała wytworów termitów. Celowniczy ugodzony kilkukrotnie broczył krwią z wielu ran. Opuścił na ziemię karabin maszynowy, który ugrzązł do połowy w błotnistym gruncie.

- Neeeeee!!! - wrzeszczał Cook, próbując podźwignąć się i udzielić przyjacielowi pomocy.

Operator M60 pomimo latających wokół niego kul stał wyprostowany, patrząc w jasne rozbłyski powstające w chwili, gdy pocisk opuścił przewód lufy. Zachwiał się i poczuł ostry ból w piersi, gdy jedna z kul z AK-47 przeszła jego ciało. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, opadł bezwładnie na podmokły teren. Nie tak to wszystko miało wyglądać - pomyślał Steve Howard, zanim jego serce przestało bić i skończył swój żywot.

Cook dopadł do przyjaciela w chwili, gdy ten oddał swój ostatni oddech. Nie mógł już mu pomóc, teraz musiał zadbać o siebie. Nachylony nad ciałem nie zauważył, że został okrążony, jego los był przypieczętowany. Powalił dwóch napastników jedną celną serią z M16, ale kolejna porcja wietnamskich kul poszarpała jego ciało. Nie był w stanie stwierdzić, czy otrzymał jeden postrzał, czy trafiło go kilka pocisków. Ból był zatrważający, oddychał z trudem, co rusz dławiąc się krwią, która cienką strużką wypływała mu z ust. Poczuł zimną stal, gdy wietnamski bagnet zamontowany na karabinku szturmowym kałasznikowa przeszył jego ciało. Został dźgnięty jeszcze dwukrotnie, ale tego już nie czuł. Jego pozbawione życia ciało spoczęło tuż obok zwłok Howarda. Obsługa karabinu maszynowego M60 pozostała do końca razem. Zawsze wierni.

Wymiana ognia trwała już od ponad godziny. Swanson dotarł bez przeszkód do kolejnego zwalonego drzewa, które zapewniało mu osłonę. Pocisk zerwał korę z pnia i koziołkując, uderzył w kopiec termitów. *Rhus vernicifera*, która była dostarczycielem żywicy lakowej, teraz służyła Amerykaninowi za rubież obrony. Dopiero, gdy się nachylił i mocniej

przycisnął hełm do głowy, spostrzegł, że przy pniu siedzi szeregowy Joe Buster z uzupełnień. Żołnierz, siedząc skulony, cały się trząsł i patrzył w górę, w stronę nieboskłonu. Twarz wykrzywił mu grymas strachu.

- Nie szukaj tam nadziei, ten przeklęty kraj jest zapomniany przez Boga!
- wyrzesał mu prosto w twarz Swanson.

W ich stronę poleciał deszcz pocisków. Bostończyk wychylił się i nie celując, oddał dwie kilkunabojowe serie. Wróg doskonale wiedział, gdzie się znajdowali. Pozostawanie dłużej w tym miejscu było szaleństwem i balansowaniem na cienkiej linii.

- Wynosimy się stąd, Buster! - głos mężczyzny był na tyle stanowczy, że rekrut powrócił do rzeczywistości.

Odskoczyli kilka metrów w lewo, opadając wśród gęstych pnączy, które skrętnie ich zasłoniły. Leżąc w gęstej roślinności, słyszeli głosy wrogich żołnierzy, którzy skrycie podchodzili do stanowiska, które oni przed chwilą opuścili. Bostończyk nie musiał tłumaczyć, co w tej sytuacji muszą uczynić. Jak na komendę otworzyli ogień, masakrując niespodziewających się takiego obrotu sprawy piechurów APW.

Podporucznik Will Graceland wiedział, że kompania C dostawała niezłe cięgi. Syn kongresmena z Iowa musiał szybko coś zrobić, aby przeważać szalę zwycięstwa na stronę spadochroniarzy. Klęcząc, ubłoconym palcem przesuwając po mapie, próbując odnaleźć ich pozycję. W głowie mu huczało, nie mógł się skupić. Ruchem ręki zawołał radiooperatora. Szeregowy James Morton, potykając się o wystające z ziemi konary, przezwyciężywszy strach, podbiegł do oficera. Graceland spojrział na czarną słuchawkę radiostacji szczelnie owiniętą folią. Zawahał się, miał nadzieję, że koordynaty, które przekaże, okażą się właściwe.

- Artyleria! Pozycja 649202, kierunek 620...

Potężna eksplozja przerwała łączność radiową. Ktoś znajdujący się po ich prawej stronie rozdierająco krzyczał. Morton zamarł sparaliżowany strachem. Wróg otworzył do nich ogień z moździerzy kalibru 81 mm. Wybuchy granatów moździerzowych rozświetlały mrok, który zapadł nad terenem walk bardzo szybko. Nie sposób było rozpoznać, kto był wrogiem, a kto zagubionym w dżungli amerykańskim żołnierzem. Mrużąc oczy, Will Graceland Jr próbował określić, kim byli żołnierze z wolna idący w jego kierunku. To był błąd, którego nie dano mu naprawić. Dwie kule ugodziły go

w pierś, a jedna przeszła szyję. Umierał w męczarniach kilka minut. Tępym wzrokiem patrzył w dal. Oddychał urywanie z przeraźliwym świstem. Miał zostać politykiem, spędzać życie na wytwornych bankietach wśród kongresmenów, senatorów oraz biznesmenów, mając u boku piękną żonę. Teraz umierał, a jedyne, o czym myślał, to czy jego ojciec będzie z niego dumny. Zamknął powieki i pogrążył się w ciemnościach.

Amerykańska artyleria ryła dżunglę metr po metrze. Jednak niektóre pociski padały zbyt blisko pozycji, które zajmowali spadochroniarze. Ziemia drżała, a wokoło latały szrapnele oraz drzazgi z rozszarpanych drzew. Kawałki drewna były teraz śmiertelnie niebezpieczne. Bez większych przeszkód przecinały mundury i wbijały się w ludzkie ciało, rozszarpując ścięgna, mięśnie oraz żyły.

- Podaję poprawki! - głos porucznika Roberta Pickoka był chrapliwy, oficer z trudem przełknął ślinę.

Zastępca dowódcy kompanii C podał nowe koordynaty dla artylerii, odsuwając ogień od własnych pozycji. Otuleni ciemnościami żołnierze odetchnęli z ulgą, gdy kolejna salwa przeleciała nad ich stanowiskami i uderzyła w dżunglę dwieście metrów dalej. Z zarośli wyłoniły się ludzkie kształty, w ciemnościach zupełnie nie do poznania. Pickok przyłożył broń do ramienia i oddał kilka krótko następujących po sobie strzałów. Jedna z kul przeszła na wylot, rozwalając żołnierzowi APW tył czaszki. Nieszczęśnik szukał ucieczki, a wpadł wprost w paszczę lwa.

Gdy artyleria umilkła, zaprzestano także walki, dzięki czemu można było zorganizować zaopatrzenie i zabrać rannych z pola bitwy. Po przegrupowaniu pozostałe siły ruszyły na pomoc nadal walczącym żołnierzom kompanii Alpha. Gdy zmordowani katorżniczym marszem i niedawną wymianą ognia spadochroniarze kapitana Gavina znaleźli się na pozycjach swojej siostrzanej kompanii, zastali przerażający widok. Walki przeprowadzone przez kompanię A podczas dnia i nocy okazały się dla niej bardzo kosztowne. Spośród 137 mężczyzn stanowiących siłę bojową pododdziału 76 zostało zabitych, a kolejnych 23 odniosło rany. Straty były zatrważające.

Dowództwo nie mogło pozwolić sobie na tak poważne uszczuplenie walczących na pierwszej linii pododdziałów. W rejon walk zostały wysłane siły z 1 i 3 Brygady 1 Dywizji Kawalerii Powietrznej oraz

południowowietnamscy spadochroniarze. Decyzją głównodowodzącego w rejonie Dak To żołnierze Sky zostali przesunięci 12 mil na zachód i południowy zachód od miejsca stoczenia walk w celu przeczesania tamtego obszaru oraz odnalezienia żołnierzy 24 Pułku APW

XV

RR

Tom bacznie przyglądał się chmarze insektów krążących nad jego głową. Usilnie próbowały dostać się do nieosłoniętych części ciała, aby dostać się do życiodajnej krwi. Mężczyzna szybkim ruchem zmiażdżył jednego komara, który usiadł mu na policzku. Miał od rana zły humor, cały otaczający go świat działał mu na nerwy. W oddali widział zastępcę dowódcy kompanii C, który gestykulując żarliwie, rozmawiał z pilotem śmigłowca. Porucznik Pickok ustalał z pilotem godzinę, o której miał się stawić na lądowisku.

Oficer, gdy tylko otrzymał dokumenty z dowództwa, stał się podenerwowany, nie mógł usiedzieć dłużej na jednym miejscu. Na początku nie wierzył w to, co przeczytał. Rozkazy przeznaczone dla niego były jednak jasne. Nie dość, że jego pobyt w Wietnamie kończył się, to jeszcze awansowano go do stopnia kapitana. Dalszą swoją zawodową służbę wojskową miał pełnić w Europie, a dokładniej w Ramstein w zachodnich Niemczech. Nie miał pewności, jak na te nowiny zareaguje Kim. Ostatnio żona pisała mu, że z niecierpliwością czeka na jego powrót do Stanów. Rudowłosy mężczyzna odetchnął głęboko, pozostały mu zaledwie dwie

godziny w strefie wojennej. Musiał zdać broń i pozalać resztę papierkowych spraw. A potem kapitan Robert T. Pickok na zawsze opuści te niegościnne strony. Przyniósł sobie w duchu, że przenigdy nie wróci do tego przeklętego kraju, niezależnie od tego, kto będzie nim rządził.

Rzucił ostatnie spojrzenie na żołnierzy kompanii Charlie. Współczuł im, ale wiedział, że zostawiał ich pod opieką jednego z najlepszych dowódców kompanii i znakomitych podoficerów. Nie miał odwagi spojrzeć w dół, gdy śmigłowiec powoli się wznosił, by skierować się do Bien Hoa. Oficer pozostawiał wojnę, chociaż zapewne nigdy o niej nie zapomni. Będzie budzić się w nocy zlanym potem, mając przed oczami martwych towarzyszy, których pozostawił w tym tropikalnym piekle. Teraz jednak dziękował Bogu, że udało mu się przeżyć i cało wrócić do domu.

Tom splunął na ziemię żółto-brązową plwociną. Dotarło do niego, że kompanię opuszczał jeden z najlepszych dowódców, na którego zawsze można było liczyć w boju. Odlatywał oficer, który jako jeden z nielicznych potrafił trzeźwo myśleć, będąc pod ciężkim ostrzałem, i wydawać trafne rozkazy, które niejednokrotnie ratowały życie wielu ludzi.

- Mamy przesrane - wypowiedział na głos sam do siebie, dając upust swoim frustracjom.

To był jednak początek zmian, które miały nastąpić w przeciągu kilku najbliższych dni. Jego życie nigdy już nie miało być takie jak przedtem. Zmiany były bolesne, ale nieodzwonne.

Decyzji, którą podjęło dowództwo, Swanson zupełnie nie rozumiał. Próbował sobie to wszystko w racjonalny sposób poukładać, ale nie udawało mu się to. Po prostu tego nie rozumiał i zachodził w głowę, jaki sens miały te zmiany. Morale i tak było podłe, a od chwili przeczytania rozkazu sięgnęło dna.

Jak twierdzili przełożeni wyższego szczebla, takie straty wśród żołnierzy amerykańskich nie mogły pozostać bez reakcji. Podjęto więc drastyczne środki, dowódca i młodszy oficerowie z kompanii Charlie zostali przeniesieni do innych jednostek. Obarczono ich winą i zarzucono zbyt dużą opieszałość oraz celowe działania spowalniające, a także prowadzenie czynności ze zbyt dużą ostrożnością. Odsunięto ich na boczny tor. W czasie, gdy pododdziały kawalerii powietrznej prowadziły walkę na północ i północny wschód od Kontum, oni włóczyli się po dżungli zupełnie bez sensu. Szukali wroga,

którego w tych rejonach, na zachód i południowy zachód od Dak Aby, nigdy nie było.

Kolejny cios dla bostończyka przyszedł z jak najmniej oczekiwanej strony. Popołudnie 28 czerwca niczym się nie wyróżniało, dopóki Hackman nie obwieścił wszem i wobec, że jego pobyt na tym padole właśnie dobiegł końca. Z niekłamaną dumą wymiatał wszystkim przed oczami świstkiem papieru, którym było jego zwolnienie ze służby.

- Zamknij ryj, Hackman, a tym papierem podetrzyj sobie dupę!!! - wrzasnął Stocton, który nie wytrzymał szopki, jaką urządził weteran.

- Zamilknij się, rudzielcu, jak Król Jaszczur mówi! - zrugął go Hackman, przyjmując władcą pozę.

Tom w pewnym sensie cieszył się, że jego przyjaciel opuszcza to piekło. Jednak w głębi serca mu zazdrościł i czuł się oszukany i opuszczony. Wiedział, że nie miał racji, ale trudno mu było w sobie te złe myśli przewyciężyć. Popijając wodę z manierki, myślał o tym, że z każdym dniem ubywa ludzi, z którymi zaczynał służbę i których poznał już tutaj na miejscu. Z Hackmanem do Stanów odlatywał także Clark, który również odsłużył już swoje.

- Dobra. Pora iść. Chodź, Tom, odprowadzisz mnie do ptaka wolności - zasugerował siedzącemu bostończykowi Hackman.

Mężczyzna leniwie podniósł się z ziemi i nałożył na głowę stalowy hełm. Szli wolno wąską ścieżką prowadzącą do lądowiska dla śmigłowców. Przez pierwsze kilkadziesiąt metrów wędrowali w zupełnej ciszy. Gdy ich oczom ukazał się rozgrzewający silnik śmigłowca transportowy UH-1, weteran przerwał milczenie.

- Zobaczysz, niedługo i ty wrócisz do domu. Musisz tylko o siebie dbać i nie robić głupich rzeczy. Czas szybko ci minie, zobaczysz...

- Matt, ale ty pieprzysz. Cieszę się, stary, że ci się udało. Tutaj szykuje się coś złego, czuję to i to mnie przeraża - Swanson mówił wolno, nie podnosząc wzroku z ziemi.

- Pamiętaj, Tom, odwaga to utrzymanie strachu na wodzy o jedną chwilę dłużej. Tutaj nikt nie oczekuje od ciebie bohaterskich czynów. Ta wojna jest inna niż poprzednie. Trzymaj się nisko, uchylaj od kul i niepotrzebnie nie ryzykuj, a niedługo zostawisz to wszystko za sobą...

- Tak, tak. Wskakuj do śmigłowca, bo odleci bez ciebie! - ponaglił

Hackmana Swanson, patrząc mu teraz prosto w błękitne oczy.

Król Jaszczur obrócił się na pięcie i popatrzył na hueya, na pokładzie którego siedział już Clark i machaniem ręki nakazywał, aby przyjaciel się pospieszył. Swanson uściśnął mocno dłoń swojego towarzysza broni na pożegnanie. Obrócił się plecami, aby uniknąć podmuchu od startującej maszyny. Nie miał odwagi się odwrócić i patrzeć, jak Hackman odlatuje. Zrobił to dopiero po paru minutach, gdy śmigłowiec stanowił zaledwie czarną kropkę na błękitnym niebie.

Mężczyzna zdawał sobie sprawę, że ta wojna była inna. Nie była to wojna okopowa na wycieńczenie czy błyskawiczna wojna, którą prowadziły pułki pancerne. Tu chodziło o wykrycie wroga, zmuszenie go do podjęcia walki i zadanie mu jak największych strat. Nieśpiesznie spadochroniarz powrócił do reszty 2 plutonu, która zażywała popołudniowej drzemki.

To był pierwszy dzień podczas jego całego pobytu w Wietnamie, kiedy czuł się całkowicie osamotniony. Niekończące się patrole powodowały spustoszenie w jego psychice. Był zmęczony, przestał dbać o cokolwiek. Jadł, szedł oraz spał i tak w kółko. Unikał rozmowy z innymi żołnierzami z kompanii. Zamknął się w swojej skorupie.

Zarządzono nocny postój. Tom opadł na ziemię i skrzętnie okrył się ponchem. Zamknął oczy i chwilę później usnął.

Obudził się gwałtownie, był cały spocony. Było ciemno i zimno. Wzdrygnął się i spojrzał na zegarek. Fosforyzujące wskazówki wskazywały 23:48. Gdzieś daleko było słychać pomruki burzy. Tylko niech nie zacznie padać - pomyślał bostończyk, układając się ponownie do snu. Były to jednak czcze prośby. Nie minęła godzina, a z nieba spadła ściana wody. Spanie na szybko nasiąkającym gruncie było niemożliwe. Swanson poczłapał w kierunku niewielkiego drzewa. Oparł się plecami o jego pień i w takiej pozycji doczekał do rana. Obudził się cały zdrętwiały. Z trudem rozprostowywał obolałe ciało. Jego uwagę przykuł rekrut, który niezdarne próbował nałożyć sobie na plecy oporządzenie. Robił przy tym mnóstwo hałasu.

- Matkowski! Co ty, kurwa, robisz!?! - spytał z silnym hiszpańskim akcentem Rodrigo Vasquez.

Muskularny Teksaszczyk Wright nie wytrzymał widoku szamoczącego się z osprzętem mężczyzny i wymierzył rekrutowi kuksańca w tył głowy.

Meksykanin zaśmiał się drwiąco, gdy nowicjuszowi spadł z głowy hełm i z głuchym „pac” wylądował w mulistej kałuży.

- Zostawcie go! Mam nowe wieści - oznajmił sierżant Preiss, lustrując swoimi piwnymi oczami wszystkich zgromadzonych.

Dowiedzieli się od podoficera, że 4 Batalion 503 Pułku Piechoty Spadochronowej (4/503) po zorganizowaniu bazy wsparcia ogniowego nr 4 na wzgórzu 664, około 11 km na południowy zachód od Dak To wdał się 10 lipca w potyczkę z wrogiem. Gdy spadochroniarze ruszyli na wzgórze 830, znaleźli się pod krzyżowym, intensywnym ogniem nieprzyjaciela. Po dwóch dniach walk na zdobytym wzniesieniu kompania Delta odkryła sieć umocnień składającą się z 60 bunkrów. To były dobre wieści, wróg ponosił straty i przegrywał.

Tom strugał patyk i na tym skupiał swoją uwagę. Nie chciał patrzeć na kolejną grupkę amerykańskich żołnierzy powracających do domu. Niedawno odlecieli Hackman z Clarkiem, a tu znowu przyszedł czas pożegnań. Odlatywali piegowaty dziewiętnastolatek z Iowa Ed Fox oraz sanitariusz - starszy szeregowy Bruce Crooks. Z tym drugim bostończyk zdążył się zaprzyjaźnić i cieszył się, że porządnym ludziom udawało się w jednym kawałku wrócić do kraju.

- Wracam na studia, Tom. Ta wojna wiele mnie nauczyła - wypowiedział półgłosem Crooks, stając kilka kroków przed Swansonem.

Tom uśmiechnął się rozbrajająco. Cisnął w bok strugany do tej pory patyk i podniósł się, stając twarzą w twarz z sanitariuszem.

- To dobry pomysł, Bruce. Ba, nawet bardzo dobry.

- Mam taką nadzieję. Uważaj na siebie, Harvard. Nie daj się zabić. Spróbuj załatwić sobie robotę w sztabie batalionu, przecież jesteś wykształcony.

- To nie dla mnie - odpowiedział bezceremonialnie Swanson, zakładając tropikalny kapelusze na głowę.

- Bywaj, Tom.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Tym razem bostończyk patrzył, jak mężczyźni wchodzili na pokład transportowy UH-1. Obserwował, jak maszyna poderwała się do góry i powoli ruszyła w kierunku punktu zbornego.

Prowadząc liczne patrole, pododdziały amerykańskie nie natknęły się na

znaczne siły przeciwnika. Do połowy sierpnia dochodziło tylko do sporadycznej wymiany ognia. Wywiad amerykański wywnioskował z tego, że większość północnowietnamskich sił wycofała się za granicę. 23 sierpnia generała Johna R. Deane'a zamienił na stanowisku dowódcy 173 Brygady generał Leo H. Schweiter. W dniu 17 września dwa bataliony 503 PPS powróciły do baz wokół Sajgonu. 2 Batalion natomiast pozostał w Dak To. Był to jednak okres ciągłych zmian i szybkich decyzji. Część 2 Batalionu Piechoty Spadochronowej (2/503) wraz z baterią A 319 Spadochronowego Pułku Artylerii Polowej (A/3/319) zostały odesłane do strefy przybrzeżnej do Tuy Hoa.

Dowództwo wysłało też część żołnierzy na obowiązkowy urlop. Wśród wyznaczonych znaleźli się: Tom Swanson, Larry O'Donnell oraz John Wolf. W czasie jednorocznego pobytu w Wietnamie żołnierzowi przysługiwał tygodniowy urlop wypoczynkowy na wypoczynek i rekreację (ang. RR - *Rest and Recreation*). Żołnierze mogli się udać do Bangkoku czy Sydney. Większość żonatych mężczyzn wybierała Hawaje, gdzie bez problemów mogli spotkać się z rodziną. Głównym celem urlopu było oderwanie się chociaż na chwilę od pierwszej linii i przekłętej dżungli. Było to zgoła co innego niż przepustki, które zwykle trwały dwa, trzy dni, a żołnierze spędzali je najczęściej w Sajgonie. Do dyspozycji urlopowiczów były także kurorty nadmorskie. Plaże Vung Tau, Cam Ranh czy Da Nang były kuszącym wyborem. Właśnie Vung Tau wybrali spadochroniarze na spędzenie tygodniowego urlopu. W tym kurorcie zamierzali spróbować uspokoić skołatane nerwy, odpocząć psychicznie i naładować akumulatory na dalszą służbę frontową.

Ich pierwszy pobyt w Vung Tau był zgoła inny. Tutaj stawiali swoje pierwsze kroki w Wietnamie. Było ich wtedy zdecydowanie więcej. Wielu wróciło już do Stanów w czarnych plastikowych workach bądź jako kalecy. Nieliczni dwukrotnie ranni w walce zostali odesłani do baz, gdzie do końca swojej służby pracowali jako zaopatrzeniowcy z dala od pierwszej linii frontu.

Leżąc na plaży i wygrzewając się w porannych promieniach słońca, Swanson pomyślał, jaka wojna była okropna. Nawet z najbardziej prawych obywateli mogła zmusić do wykonywania niegodziwych rzeczy, o których nawet by nie pomyśleli w czasach pokoju. Potrafiła uczynić z nich

przestępców oraz przemienić w niemoralne społeczeństwo. Były pracownik kolei z Suffolku w Wirginii John Wolf przerzucał strony i z dużym podnieceniem przeglądał zdjęcia roznegliżowanych pań w magazynie Playboy. Takich jak oni było tu wielu, spędzających na plażach przepustki bądź urlopy.

- Wyluzuj się, młodym jest się tylko raz - zwrócił się do Toma zanurzony w wodzie do pasa O'Donell.

- Jeszcze kilka piwek i idziemy do miasta, a tam... - dodał ochoczo Wolf, podnosząc wzrok znad gazety.

- Jak powiedział generał Patton: „Jak żołnierz nie pieprzy - nie walczy”.

- Grunt to nie dostać syfa. Wszystkie Wietnamki go mają - chłodno stwierdził Larry O'Donell.

Zrobiło się szaro, gdy mocno już podchmieleni spadochroniarze opuszczali piaszczystą plażę. Idąc chwiejnym krokiem, zmierzały w kierunku ulicy, na której znajdowały się liczne bary i burdele. Wraz z inną hordą spoconych, spragnionych mocnych wrażeń mężczyzn powoli zbliżali się do celu swojej podróży. Wolf szedł, zataczając się, z rękoma włożonymi w kieszenie. Gdy potknął się i stracił równowagę, po kilku piruetach zatrzymał się, choć nie wyjął ani na chwilę rąk z głębokich kieszeni.

- Widzieliście to? - spytał spadochroniarz i czekał na słowa pochwały od towarzyszy.

Niestety nie doczekał się ich. Wzrok jego współtowarzyszy był zwrócony na liczne prostytutki przechadzające się wzdłuż ulicy. Harmider i hałas tutaj panujący był prawie nie do zniesienia. Jedni próbowali przekrzywić innych. Istny dom wariatów - pomyślał nowojorczyk, patrząc z zaciekawieniem na ten cyrk. Wolf skręcił na pięcie i powędrował w lewo w kierunku baru, który wydał mu się interesujący w całej masie pozostałych. Gdy znaleźli się w środku, uderzył ich w nozdrza słodkawy zapach narkotyków pomieszany z dymem tytoniowym, alkoholem i odorem spoconych ludzi. Tu i ówdzie leżeli spłoni do nieprzytomności żołnierze różnych formacji pochodzący z najróżniejszych jednostek. Na podłodze walały się butelki po piwie oraz whisky, a część z nich była potłuczona. Tom usłyszał chrzęst rozgniatanego szkła pod podeszwami swoich butów. Spojrzał w dół: jego but roztrzaskał szyjkę od butelki po budweiserze.

- Nalej, kobieto! - zażądał ponuro arogancki blondwłosy nowojorczyk.

Barmanka skupiła na nim wzrok, z jej ust popłynęły niezrozumiałe słowa.

- Trzy piwa i butelkę szkockiej - wolno podjął po chwili O'Donell, próbując ustać równo przy kontuarze.

Tym razem barmanka przyjęła zamówienie. Nie potrwało długo, a przed mężczyznanami pojawił się zamówiony alkohol.

- Płacimy każdy za jedną kolejkę - wybełkotał Wolf, krzywiąc usta.

Pozostali przytaknęli głowami, zgadzając się. W drodze do najbliższego wolnego stolika nowojorczyk wpadł na samotnie siedzącego mężczyznę.

- Przepra..., a w sumie to co, kurwa, tak się rozsiadłeś, złamasie?! - słowa O'Donella miały w sobie wiele jadu.

- A ty skąd, że tak zapytam? Dawno nie obił ci nikt tego niewyparzonego ryja?! - zapytał chłodnym głosem, nie unosząc głowy, atakowany słownie mężczyzna.

- Daj spokój, Larry! Siadaj! - łapiąc nowojorczyka za rękaw, wypowiedział rozkazującym tonem Swanson.

- Frajer myśli, że cała knajpa do niego należy... - nie odpuszczał O'Donell.

Siedzący samotnie mężczyzna nic nie odpowiedział na słowne zaczepki. Zostawił na stole niedopite piwo i skierował się do baru. Tom obserwował, jak mężczyzna przez chwilę rozmawia z barmanką, a ta zaraz podała mu telefon. Bostończyk szybko zrozumiał, co się kroi. Niestety na jakiegokolwiek działania było już za późno. Minęło zaledwie kilka minut, gdy w drzwiach pojawił się patrol żandarmerii.

- To ten! - mężczyzna przy barze oskarżycielsko wskazał palcem na O'Donella.

Nowojorczyk został szybko powalony na podłogę i przyściśnięty do niej przez dwóch żandarmów. Sytuację próbował wyjaśnić Swanson, ale przerwał mu niedawno atakowany słownie mężczyzna.

- Bacność! Bacność, mówię! - ryknął jeden z żandarmów.

- Stać! Bacność! Co to ma znaczyć? Nie szanujecie oficera?! - dodał drugi żandarm w stopniu kaprała będący dowódcą patrolu.

Dopiero teraz spadochroniarze zwrócili uwagę na dystynkcje na mundurze mężczyzny, którego atakował nowojorczyk. Stał przed nimi oficer w stopniu majora. To mamy przesrane - pomyślał Swanson w chwili, gdy

dwaj żandarmi podnosili skutego kajdankami O'Donella z podłogi.

- Tych zostawcie, oni... - oficer wskazał na pozostałą dwójkę żołnierzy Sky.

Major w towarzystwie patrolu MP i aresztowanego szeregowego Larry'ego O'Donella opuścili bar głównym wejściem.

- Co my teraz zrobimy? - z trwogą z głosem zapytał Wolf.

- Nic, Larry sam sobie jest winny - skwitował Swanson. - Jak będziemy się mieszać, to i nas posadzą! - dodał, wycierając brodę od ściekającego po niej piwa.

Chcieli zamówić jeszcze jedną kolejkę, ale barmanka nie chciała przyjąć od nich zamówienia. Nic tu było po nich. Chwiejnym krokiem opuścili bar i wyszli na zatłoczoną ulicę. Swanson głośno odetchnął, gdy uderzyło go parne powietrze przesycone spalinami i odorem nieświeżych ryb.

- Amerykanin chce się zabawić? - Tom usłyszał za plecami piskliwy kobiecy głos.

Spadochroniarz obrócił się na pięcie w kierunku pytającej osoby. Skupił wzrok na młodej Wietnamce o oczach czarnych jak spalona kawa. Miała w sobie coś, co wyróżniało ją spośród innych kobiet nagabujących żołnierzy na przygodny seks.

- Idziemy do ciebie? - niepewnie zapytał bostończyk.

Kobieta kiwnęła głową, zgadzając się.

- Tylko uważaj, Tom. Wiesz, co mam na myśli?! - zawołał Wolf, szczerząc w uśmiechu zęby.

Kobieta prowadziła go wąskimi uliczkami. Zgiełk głównej ulicy został gdzieś z tyłu, za nimi. Swanson był zmęczony i śpiący, ledwo trzymał się na nogach. Nie miał pojęcia jak i kiedy znalazł się w domu Wietnamki.

Światło poranka uderzyło w niego jak grom z jasnego nieba. Nie pamiętał wiele z poprzedniego dnia. Miał wielką czarną dziurę w pamięci. Był pewny, że wczoraj musiał spożyć dużą dawkę alkoholu, aby doprowadzić się do takiego stanu. Chwilkę to trwało zanim zrozumiał gdzie się znajduje. W pomieszczeniu panowała martwa cisza. Mężczyzna boleśnie zwlókł się z łóżka, na którym spał. Nadal był w mundurze, zasnął w ubraniu. Było mu wstyd. Miał wrażenie, że głowa nie mieści mu się w barkach. Dopadł go kac gigant. Dopiero teraz zauważył, że kobieta, z którą wczoraj poszedł, stoi kilka kroków od niego. Wietnamka przesunęła dłońią po kruczoczarnych

długich, prostych włosach i lekko się uśmiechnęła.

- Może coś do picia? - zadzwieczał miły dla ucha głos kobiety.

Tom przytaknął głową, musiał ugasić żar panujący w jego gardle. Gdy wróciła ze szklanką zimnego napoju, spadochroniarz spuścił głowę i zwrócił się do niej.

- Ja nic nie pamiętam z wczoraj i ... - wypowiedział ściszym głosem, nie podnosząc wzroku znad pościeli.

- Zdamę sobie z tego sprawę. Jak tylko przyszedłszy, od razu zasnąłeś i tyle... - odpowiedziała bez ogródek Wietnamka.

Usiadła przy nim na łóżku. Pachniała słońcem i morskim wiatrem. I czymś jeszcze. Tom nie potrafił określić tego miłego dla powonienia zapachu. Założyła prowokacyjnie nogę na nogę i delikatnie oparła dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Jestem Phan Thu An - przedstawiła się, skinąwszy delikatnie głową.

Zaczęła opowiadać. Swanson dowiedział się, że kobieta straciła pracę w szwalni i życie zmusiło ją do szukania zarobku na ulicy. Tom miał być jej pierwszym mężczyzną, z którym miała uprawiać seks za pieniądze, ale do niczego nie doszło.

Siedzieli tak ponad godzinę. Tom wsłuchiwał się w barwne opowieści i czuł się coraz lepiej. Okrucieństwo wojny gdzieś uleciało i to bardzo daleko. Poczł wzbierający w sobie żar, narastało w nim podniecenie. Wietnamka ubrana w śnieżnobiałą bluzkę Ao Yem oraz niebieską zwiewną spódnicę wyglądała zjawiskowo. Tom położył dłoń na jej kolanie i wolno zaczął przesuwać ją wyżej. An złapała go za rękę, gdy próbował sięgnąć jej pod spódniczkę.

- Nie, proszę. Nie tak i nie teraz - zaoponowała Phan i zatrzepotała powiekami.

Wstała i pociągnęła mężczyznę za sobą. Tom nie wiedział, co zamierzała, ale postanowił zdać się na nią. An prowadziła go wąskimi bocznymi uliczkami z dala od głównych arterii pełnych straganów, kramów i podejrzaných barów. Nie musieli się przeciskać przez ludzi jadących w rykszach i na rowerach. Za chwilę zostawili z tyłu tętniące hałasem nadmorskie miasto.

Dotarli do dzikiej plaży leżącej nieopodal ruin jakiejś świątyni. Cieszyli się swoją obecnością. Czar tego miejsca działał na nich oboje. Czas się nie

liczył. Leżeli na plaży w ciepłych promieniach wieczornego słońca. Usiadła na nim. Co ja robię – pomyślał, pociągając za wąską tasiemkę oplatającą szyję An. Gdy węzeł, która podtrzymywała Ao Yem, został rozwiązany, bluzka gładko spłynęła z ramion kobiety. Oczom Swansona ukazały się pełne zgrabne piersi. Poruszała się powoli, rytmicznie w górę i w dół. Jej długie ciemne włosy lekko powiewały na wietrze, a czarne oczy śmiały się. Za plecami miała zachodzące na krwawo słońce leniwie tonące w błękitcie oceanu. Tom zadawał sobie pytanie, czy kobieta robi to na pokaz, czy faktycznie chwile spędzone z młodym Amerykaninem sprawiają jej przyjemność. Nie miał pojęcia, ale dla niego liczyło się tylko tu i teraz.

Gdy skończyli, po policzkach spłynęły jej łzy, Swanson nie spytał, z jakiego powodu kobieta płacze. Odprowadził ją do domu w zupełnej ciszy, przez całą drogę nic do siebie nie mówili. Dopiero w mieszkaniu An poprosiła, aby Tom został. Tej nocy kochali się jeszcze parę razy, by zasnąć wtuleni w siebie, gdy ranek wschodził już nad Vung Tau.

Ulica pełna była powoli sunących ryksz i rowerów. Od godziny krążyli po sklepikach, kramach i straganach. Rynek w Vung Tau był typowym azjatyckim targiem pełnym barw, najrozmaitszych zapachów i gwaru sprzedawców i kupujących. Teraz Tom miał wolne od oglądania tysiąca rzeczy, które An chciała mu pokazać. Chwile wytchnienia zapewniła mu koleżanka Phan, Nguyen Tien. Przypadkowe spotkanie na bazarze przerodziło się w dłuższą pogawędkę. Swanson przyglądał się z zaciekawieniem i niekłamaną fascynacją obu kobietom. Ubrane w tradycyjny wietnamski strój kobiety Ao dai, długie jedwabne tuniki noszone na spodniach, wyglądały niezwykle kobieco. Nie miał pojęcia, ile czasu tak stał i wpatrywał się w kobiety.

- Tom, idziemy! - zasyczała An, patrząc jak mężczyzna odprowadzał wzrokiem jej koleżankę.

Szli nową drogą, dotychczas Tomowi nieznaną. Tylko po to, aby mógł zobaczyć kamienny posąg buddy.

Spadochroniarz pchnięciem otworzył drzwi do wewnątrz. W pomieszczeniu panował zaduch, mężczyzna miał wrażenie, że powietrze znajdujące się w środku po prostu stoi, nie było żadnej cyrkulacji.

- Ruszamy na dalsze zwiedzanie i zakupy? - głos kobiety dochodził z sąsiedniego pokoju.

- Wydaje mi się, że miasto i zakupy mogą poczekać? - powiedział miłym, troskliwym głosem.

Phan wyszła, gryząc soczystą pomarańczę. Jeszcze raz uderzyła Toma uroda kobiety ubranej w Ao dai. Bogato zdobiona tunika z wysokim rozcięciem zapięta pod szyję pięknie podkreślała nieskazitelną figurę An. Choć ubiór zasłaniał niemal całe ciało kobiety, przyprawiał go o zawrót głowy. Wietnamka zobaczyła błysk w oku Swansona. Na chwilę zniknęła w pomieszczeniu, z którego przed chwilą wyszła. Gdy powróciła, była półnaga, od pasa w górę obnażona całkowicie. Szła wolno w kierunku siedzącego mężczyzny. Jego wzrok przykuły jędrne piersi, potem jego wzrok powędrował niżej. Przymknął na moment oczy, zdawało mu się, że jest w raju. Phan stanęła kilka kroków od Toma i obróciła się do niego plecami. Delikatnym ruchem zsunęła z siebie jedwabne spodnie, które miękko ułożyły się wokół jej kostek. Swanson nie wytrzymał, poderwał się i schwycił ją za ramiona i odwrócił szybkim ruchem ku sobie. Gdy ich usta się spotkały, poczuł zimno jej warg i smak pomarańczy.

- Chodź... - oderwała usta od jego ust i wyszeptwała mężczyźnie do ucha.

An, teraz całkiem już naga, kierowała się do sypialni. Tom nie potrzebował żadnych słów zachęty, podążył za kobietą jak ćma do światła. Wietnamka z rozrzuconymi obscenicznie nogami czekała na niego w łóżku. Tego dnia bardzo długo z niego nie wychodzili i wykorzystali je wielokrotnie.

Kolejny dzień zaczął się od wykładu An na temat tradycyjnego wietnamskiego kapelusza non la. Amerykanin dowiedział się, że pleciony stożkowy kapelusz jest czymś więcej niż tylko nakryciem głowy. Phan rozwiązała jedwabny pasek pod brodą, który podtrzymywał na głowie kapelusz. Podała go Tomowi i zachęciła, aby założył go sobie na głowę.

- Non la jest wyplatany z liści palmowych na bambusowych ramkach...

- An, proszę, możemy już iść? - Swanson przerwał kobiecie w pół zdania.

Wietnamka dała się przekonać. Długi spacer zakończyli na dobrze już znanej dzikiej plaży. Kobieta opowiadała Swansonowi o tym, jak mieszkała z rodziną w Phú Xuân, wiosce leżącej nad rzeką Hu_o_ng. Ze łzami w oczach wspominała, jak jej ojciec wydobywał piasek z dna Rzeki Perfumowej i potem sprzedawał go za żałosne wynagrodzenie w cementowni. Pamiętała,

że pewnego dnia ojciec nie powrócił do domu. Potem okazało się, że utonął w zielonkawo-mlecznych wodach nieopodal miejsca, gdzie pracował. Powracała do swoich lat dzieciństwa, kiedy zwiedzała Huế', cesarską stolicę Wietnamu za panowania dynastii Nguyê~n. Tom natomiast opowiadał jej o Stanach, a w szczególności o Bostonie, nauce na Harvard University i o Gwendolyn Paxton, przez którą znalazł się tutaj na wojnie.

Tego dnia wracali w milczeniu. Milczeli także, kiedy kładli się spać.

Nadszedł w końcu dzień, w którym Swanson musiał powrócić do swojej jednostki. Zbudził się z samego rana. Po cichu wyśliznął się z łóżka i usiadł na małym wiklinowym koszu. Patrzył na śpiącą An. Uwielbiał patrzeć na nią. Zapalił papierosa i pomyślał, że gdyby nie wojna, nigdy by jej nie spotkał. Kobieta obróciła się w kierunku bostończyka i szeroko się uśmiechnęła.

- No, chodź - oświadczyła ujmującym głosem i podniosła kołdrę nieco do góry, robiąc miejsce dla mężczyzny.

- An, daj spokój. Proszę... - odpowiedział Tom, zaciągając się dymem z papierosa.

- Nie chcesz, Tom? - była szczerze zdziwiona. - Dlaczego? - spytała po chwili, siadając na brzegu łóżka i zakładając prowokacyjnie nogę na nogę.

Swanson zerkając jakby od niechcenia na długie zgrabne nogi, ciężko odetchnął. Trudno było oprzeć się takiej pokusie. Jednak on myślami był już w złowrogiej dżungli. Phan wywróciła oczami i głośno westchnęła. Podeszła, bez słów pocałowała Toma w czoło, potem w jeden i drugi policzek. Wyszła z pokoju nadąsana i zupełnie naga. Zanim wyszli, Amerykanin zostawił pod poduszką prawie wszystkie pieniądze, jakie posiadał. Nie chciał, aby An po jego wyjeździe zajmowała się dalej prostytutką. Ta suma, którą skrzętnie ukrył, powinna w zupełności pozwolić jej na skromne życie prawie przez rok. Kobieta powróciła ubrana w śnieżnobiałe Ao dai. Po policzkach spływały jej łzy.

- Jak mam osuszyć twoje łzy? - zapytał troskliwym głosem Swanson.

Phan postąpiła krok naprzód i wtuliła się w mężczyznę. Nic nie odpowiedziała. Dopiero gdy znaleźli się przed domem, zdołała wydusić z siebie kilka wyrazów.

- Żegnaj - rzekła. I chwilę później, po namyśle dodała: - Powodzenia, moja miłości.

Spadochroniarz ruszył wolno przed siebie. Gdy obrócił się, aby jeszcze raz spojrzeć na Phan Thu An, lekki wietrzyk podniósł połę jej Ao dai, kiedy machała mu na pożegnanie. Wtedy widział ją po raz ostatni. Wkrótce brutalna rzeczywistość stłamsiła w nim te miłe wspomnienia i wszystko to, co dobre.

An ze smutkiem w oczach patrzyła na mężczyznę, który powoli oddalał się od niej. Stała jeszcze jakiś czas po tym, jak Tom zniknął jej z oczu za zakrętem, ocierając łzy spływające po policzkach. Często wspominała żołnierza o pięknych niebieskich oczach i rozdartym sercu. Gdyby nie śliczna niebieskooka dziewczyna mieszkająca w Stanach, której zdjęcie Tom jej pokazywał, zrobiłaby wszystko, aby mężczyznę zatrzymać przy sobie. Nie starała się jednak go odszukać. Wystarczało jej, że miała jego cząstkę. Ich wspólnego syna, który miał się urodzić w tych burzliwych czasach.

XVI

WZGÓRZE 875

Swanson patrzył smętnie na dolinę i górujące nad nią górskie szczyty. Wracał do Dak To. Wracał jak zbrodniarz na miejsce, gdzie dopuścił się mordu. Po urlopie został skierowany do pracy na tyłach, do bazy lotniczej w Pleiku. Gdy otrzymał nowe rozkazy dotyczące jego osoby, pomyślał, że ktoś musiał się pomylić. Jednak nie zamierzał wyjaśniać tej pomyłki. Urlop plus cztery tygodnie spędzone z dala od walki i mrocznej dżungli dały mężczyźnie odetchnąć i poczuć, że może uda mu się wrócić do domu w jednym kawałku.

Teraz jednak, gdy patrzył na zielony bezmiar dżungli wolno przesuwały się na dole, po raz pierwszy od początku swojej służby miał złe przeczucia. Myśl, że stanie się coś strasznego, nie dawała mu spokoju, ogarnęła całe jego ciało. Tom podświadomie czuł na sobie spojrzenie mężczyzny, który siedział koło niego. Czarnoskóry żołnierz razem z nim wsiadał do śmigłowca w Pleiku. Byli jedynymi przewożonymi ludźmi, poza nimi transportowane było zaopatrzenie. W przedziale transportowym UH-1 znajdowały się liczne skrzynki z amunicją, prowiantem oraz baniaki z wodą.

- Jak tu jest? - głos próbujący przekrzyczeć hałas panujący w śmigłowcu przerwał tok rozumowania bostończyka.

- Przypomnij sobie bolesne chwile ze swojego życia i pomnóż je razy dziesięć. Tak tu jest - odparł bez ogródek, przyglądając się głupiemu wyrazowi twarzy mężczyzny, który z nim leciał.

Spadochroniarz nie chciał wdawać się w dalszą dyskusję. Uważał ją za bezowocną.

- Jestem Cecil Watts, ale wszyscy mówią na mnie Drwal, to przez fakt, że mam duże dłonie - nie dawał za wygraną towarzysz niedoli Swansona, pokazując mu potężne, zniszczone od ciężkiej fizycznej pracy dłonie.

Śmigłowiec widocznie stracił na prędkości i obniżył lot. Ich podróż na pierwszą linię frontu dobiegała końca. Huey, podnosząc tumany brązowo-czerwonego kurzu, powoli osiadł na lądowisku. Tom i czarnoskóry towarzysz podróży wyskoczyli ze śmigłowca, trzymając się nisko ziemi. Z chmury pyłu wyłoniło się czterech żołnierzy o nagich torsach i bez zbędnych słów zaczęli wyładowywać zaopatrzenie.

- Swanson, witaj wśród swoich - Tom usłyszał dobrze znany mu głos należący do radiooperatora Billa Orwiga.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni na powitanie.

Bostończyk ściągnął z głowy czapkę i przeczesał dłonią włosy. Rozładunek zakończył się, do Ben Het powoli zaczynało wkradać się błogie lenistwo.

- Kolego, gdzie znajdę kompanię Charlie? - dobiegło pytanie Murzyna, który zwracając się do dwójki spadochroniarzy, wywracał gałkami oczu.

- A ten to kto? - zapytał specjalista 4 stopnia i wskazał dłonią przybyłego ze Swansonem żołnierza.

- Drwal - padła krótka, acz treściwa odpowiedź bostończyka.

- Że, kurwa, co?! - wybuchł Orwig. - Jaja sobie ze mnie robisz, Harvard? - zakończył.

Pokrótko Tom powiedział, o co chodzi z tym Drwalem. Resztę ze wszystkimi szczegółami dopowiedział podążający za frontowcami szeregowy Cecil Watts.

Z lądowiska musieli się dostać do FSB 12, którego budowę od 29 października ochraniał 4 Batalion 503 Pułku Spadochronowego i gdzie przebywały także wydzielone środki z 2 Batalionu, w tym kompania C. Na całe ich szczęście droga została utwardzona i przystosowana do ruchu samochodów, wozów zaprzężonych w woły czy rowerów. Skarpy zostały wzmocnione drewnianymi balami. Drzewa nad drogą tworzyły swojego rodzaju naturalny baldachim, przez który przenikały wąskie wiązki światła. Dotarcie do bazy wsparcia ogniowego nie zajęło im dużo czasu.

Tom od razu zorientował się, że coś było nie tak i coś się szykowało. Ledwo panujący nad sobą masywny Teksaszyk Wright dreptał nerwowo w miejscu. Wycierał zakrwawioną dłoń w podkoszulek z napisem „Teksas jest moim życiem”. Na ziemi leżał Vincent z rozkwaszonym nosem.

- Chcesz jeszcze raz w ryj!? Znudzilo ci się oddychanie prostym nosem,

czarnuchu?! - ryknął z frustracją w głosie Bruce Wright.

- Tak, śmiało. No, chodź! - rzucił Murzyn z Cleveland, szyderczo uśmiechając się od ucha do ucha.

- Co tu, kurwa, się dzieje?! - warknął sierżant sztabowy Hank Blake, słysząc słowne przepychanki wśród żołnierzy 2 plutonu.

- W sumie to nic - wykrztusił Tekszańczyk, robiąc potulnie krok w tył, aby zejść podoficerowi z oczu.

- Pytam jeszcze raz, co tu się dzieje, do jasnej cholery?! - sierżant plutonu był wściekły, że jako jedyny nie miał pojęcia, co zaszło.

Nikt nie udzielił podoficerowi odpowiedzi, a on kolejny raz nie zapytał. Dał sobie spokój, bo doskonale zdawał sobie sprawę z frustracji i podłego morale w kompanii. Drobne szarpaniny i wyzwiska chociaż na chwilę rozładowały emocję i oczyszczały atmosferę.

Amerykański wywiad zdecydowanie się mylił. Donosił, że siły północnowietnamskie wycofały się za granicę z Kambodżą i Laosem. Prawda była zgoła inna. Wietnamczycy faktycznie przegrupowali swoje wojska, ale nie przekroczyły one granicy. Pułki dotychczas stacjonujące na obszarze Pleiku dołączyły do wojsk zgromadzonych w prowincji Kontum. Spadochroniarze 173 Brygady mieli się przekonać już niebawem na własnej skórze, jak bardzo błędne były dane wywiadowcze.

Po krótkich bojach spotkaniowych, do których doszło w dniach 4 i 5 listopada, general Schweiter zdecydował się na wysłanie do FSB 12 reszty 2 batalionu w celu ochrony bazy wsparcia ogniowego oraz Ben Het. Ustanowiono nowe zasady wsparcia ogniowego na Dak To. 4 batalion skierowany do założenia nowej bazy - FSB 15 na południe od Ben Het wdał się w wymianę ognia z wrogiem. Spadochroniarze starli się w Ngok Kom Leat i wzgórzu 823 z 8 i 9 Batalionem 66 Pułku Armii Wietnamu Północnego. Natomiast 1 Batalion rozśrodkowano na wzgórzu 882. Gdy wywiad dostarczył dane o skoncentrowaniu na wzgórzu 875 znacznych sił wietnamskich, dowództwo do zdobycia wzniesienia wyznaczyło żołnierzy z 2 Batalionu.

Tom nie spuszczał wzroku z powoli oddalających się śmigłowców transportowych, które dostarczyły ich na LZ leżące nieopodal bazy wsparcia ogniowego nr 16. Spadochroniarze otrzymali trudne zadanie. Musieli zająć wzgórze w samym sercu wietnamskiej dżungli, oddalone zaledwie sześć

kilometrów od granicy z Kambodżą. Było potwornie wilgotno, temperatura zapierała dech w piersiach. Obciążeni sprzętem żołnierze posuwali się wolno w kierunku mającego w oddali szczytu. To właśnie na tej górze według danych wywiadowczych miały znajdować się poważne siły wroga, w tym na pewno 174 Pułk Piechoty.

Tom nie myślał o nadchodzącej bitwie, błądził myślami daleko stąd. Całą jego uwagę absorbowwała jedna osoba - Winnie. Co ona robi, co uczyni, jak to przyjmie, jeżeli on dzisiaj zginie. Mężczyzna pokręcił głową, a potem ciężko przełknął ślinę. Bał się, i to bardzo. Miał nieodparte wrażenie, że zostali rzućni na pożarcie wilkom. Słońce z wolna kierowało się ku zenitowi, był słoneczny niedzielny poranek 19 listopada.

- Nie powinno mnie tu być! - skarżył się Vincent z dużym rozgoryczeniem w głosie. - Zostało mi dziewięć dni, dziewięć pierdolonych dni! - dodał, niemal zanosząc się płaczem.

- Daj spokój, i tak nic na to nie poradzisz - powiedział Gordon, słowa te były jednak marnym pocieszeniem dla czarnoskórego żołnierza.

- Mi zostały osiemdziesiąt trzy dni i też uważam, że mnie tu nie powinno być - wtrącił się Swanson.

Sunęli powoli, szlakiem wiodącym na północny zachód od lądowiska. Przesuwali się w kierunku wzgórza i granicy z Kambodżą. Zanim wyruszyli, kapelan mjr Charles J. Watters odprawił mszę polową. Tom przyglądał się wtedy, jak klęczącym żołnierzom duchowny rozdawał hostie i dodawał otuchy.

Intensywny ostrzał artyleryjski i lotniczy miał zmiękczyć obronę wroga. Plan zakładał użycie trzech kompanii. Kompania C miała nacierać prawym skrzydłem, kompania D lewym, a kompania A miała chronić tyły. Spadochroniarze posuwali się wąskim grzbietem. Teren był nieprzystępny, porośnięty bardzo gęstą dżunglą. Strome zbocza góry porastały trawy słoniowe oraz wysokie pędy bambusa. Widoczność spadła zaledwie do niespełna 20 metrów. Większość z 330 spadochroniarzy, patrząc na wzgórze, zastanawiała się, czy wróci z niego z życiem.

W niedługim czasie od rozpoczęcia marszu u podnóża wzgórza znaleziono opuszczone wietnamskie obozowisko. Część ognisk jeszcze się dymiała, gdy spadochroniarze wkroczyli na teren bazy. Wietnamczycy musieli odejść krótko przed żołnierzami amerykańskimi. Odnaleziono wiele punktów

opatrunkowych z licznymi krwawymi śladami oraz porzucone oporządzenie i śladowe ilości jedzenia. Po gruntownym przeczesaniu odnaleziono doskonale zamaskowany kabel telefoniczny. Znaleździło w przekonaniu dowództwo, że wróg jest liczny, a Amerykanie depczą mu po piętach. Postanowiono wysłać zwiadowców z psem, który był jak system wczesnego ostrzegania. Kiedy wyczuwał obecność Wietnamczyków, zaczynał warczeć i szczekać.

- Odsuń się, Glenn - powiedział sierżant Wayne Kemp, odciągając na bok Longa, aby zrobić przejście dla zwiadowców.

Zgromadzeni na wąskiej ścieżce mężczyźni odprowadzali wzrokiem psa z jego przewodnikiem, zmierzających w kierunku szczytu. Znaczna większość żołnierzy miała niewielką nadzieję, że zwierzę niczego nie znajdzie. Nie potrwalo jednak długo, gdy zwiadowca powrócił ze swoim pupilem, który ledwo panował nad podnieceniem.

- Uważajcie, pies warczał jak szalony. Tam na górze siedzi chyba regiment żółtków - oznajmił zwiadowca, szarpiąc się z psem uwiązany do krótkiej smyczy.

- Dzięki, ale i tak każą nam wleźć na to przekłete wzgórze - odparł sucho Kemp, drapiąc się po przepoconej czuprynie.

Wezbrane emocje w psie wzięły jednak górę. Zwierzę skoczyło do przodu, zatapiając swoje kły w tłustym pośladku żołnierza stojącego najbliżej.

- Aaaaaaaaaa!!! - zaryczał na całe gardło Matkowsky, próbując oswobodzić się od uczonego do niego psa.

Silne szczęki i żuchwa były jednak mocno zakleszczone. Pies nie dawał za wygraną.

- Prince, zostaw! - stanowcza komenda przewodnika rozbrzmiała jak grzmot.

Czarno podpalany owczarek niemiecki zwolnił uścisk i puścił swoją ofiarę. Z podkulonym ogonem odszedł kilka kroków w bok, nadal jeżąc się na karku. Spojrzał na swojego pana ciemnymi oczami w kształcie migdałów, oczekując kary za swoje poczynania.

- Idziemy! - zwiadowca zwrócił się do psa, zupełnie nie zwracając uwagi na pogryzionego spadochroniarza.

Użalający się nad sobą Matkowsky stał nieopodal z opuszczonymi do kolan spodniami. Na pośladku można było zauważyć krwisty ślad, który

szybko nabierał granatowo-czerwonej barwy. Wytrawne oko mogło zaobserwować ślady zębów psa, które wgrzyzły się w ciało żołnierza.

Swanson klęcząc, spoglądał zmęczonymi oczami na wystąpnym na czoło zwiadowców z kompanii Delta. Najwyraźniej coś zauważyli na skraju linii drzew, bo podoficer wskazywał w tamtym kierunku ręką. Bostończyk próbował skupić wzrok na zielonej gęstwinie rosnącej po drugiej stronie małej leśnej polany. Faktycznie, niektóre kłębowiska roślinności przypominały zamaskowane bunkry.

- Charlie Sześć, Charlie Sześć, proszę o zgodę na rozpoznanie ogniem - doleciało do uszu Toma wezwanie nadawane drogą radiową przez wysunięty patrol.

Nastąpiła chwila ciszy. Podoficer pokręcił głową i jeszcze raz przyłożył sobie do ust słuchawkę radiostacji PRC-25.

- Charlie Sześć, ponawiam prośbę o zgodę na rozpoznanie ogniem - w głosie podoficera pojawiła się nutka zdenerwowania i niedowierzania w to, co słyszy.

Gdy spadochroniarz usłyszał kolejny raz, że oficer nie wyraża zgody i nakazuje im kontynuowanie marszu, nie wytrzymał.

- To jest, kurwa, głupie, to jest po prostu popieprzone! - podoficer nie zapanował na nerwami i wyrzucił z siebie stek przekleństw.

Amerykanie zostali sprytnie podprowadzeni pod zamaskowane bunkry, które nawet nie zostały drażnione podczas przygotowania ogniowego. Wróg przygotował się do walki bardzo dobrze. Wzgórze 875 zamieniono w twierdzę. Wzdłuż stoków góry i w licznych płytkich jaskiniach urządzono potężne magazyny amunicji, uzbrojenia, medykamentów i żywności. Bunkry połączone ze sobą tunelami i transzejami miały aż dwumetrową napowietrzną pokrywę zapewniającą im ochronę przed bombardowaniem i ostrzałem artyleryjskim. Taki system umocnień zdawał się być nie do zdobycia. Gdy tylko pierwsi amerykańscy żołnierze weszli na polanę, rozległy się strzały. Silny ogień od czoła, pochodzący z licznych ufortyfikowanych stanowisk, przyczołdował spadochroniarzy do ziemi. Idący na czele zginęli na miejscu. Teraz inni musieli walczyć o przetrwanie.

Gdy szczęk broni automatycznej przerwał martwą ciszę, kapral Dennis Gordon próbował ugasić pragnienie wodą z manierki. Stojący koło niego żołnierz został ugodzony dwoma pociskami w klatkę piersiową. Miał

przestrzelone płuco, oddychał ciężko z bólem malującym się na twarzy. Sanitariusz, który próbował mu udzielić pomocy, został ścięty kolejną serią z kaemu. Zaklekotały erkaemy z kolejnych położonych nieco wyżej stanowisk wietnamskich. Amerykanie znaleźli się pod morderczym ostrzałem.

Gordon odczołgał się kilka metrów w bok, cały czas będąc pod intensywnym ostrzałem wroga. Kolejny raz tego dnia zaschło mu w gardle. Zdążył wypić kilka łyków, zanim na polu walki pojawił się kapitan Harold Kaufman.

- Nacierać, ruszcie dupy, do ataku! - zaryczał dowódca kompanii.

- Słucham? - mruknął podoficer, nie unosząc wzroku.

- Ruszajcie na wzgórze!

- To samobójstwo, panie kapitanie - odpowiedział Gordon. - Wystrzelają nas jak kaczki - dodał po chwili, odstawiając manierkę od ust.

- Macie zdobyć to cholerne wzgórze! - oficer rzucił lodowatym tonem.

- Tak jest! To pana rozliczą za tę masakrę! - wtrącił sierżant sztabowy Hank Blake, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Żołnierze amerykańscy strzelali na ślepo, ukryci w bunkrach. Wietnamczycy byli doskonale chronieni i niewidoczni. Kilku spadochroniarzy skoczyło naprzód, pnąc się ku górze i pokonując liczne przeszkody terenowe, gęste podszycie i powalone drzewa. Zostali jednak nakryci śmiertelnościami gradem kul. Natarcie utknęło, heroiczny zryw nie przyniósł spodziewanych efektów.

Szeregowy Alan Douglas opróżnił już dwa magazynki, chociaż tak naprawdę nie miał pojęcia, skąd strzela wróg. Rozbieganymi oczami starał się odnaleźć schronienie. Spadochroniarze próbowali wydostać się spod morderczego ognia. Schodzili ze wzgórza, mając nadzieję, że u podnóża znajdą ochronę, unikną kul przeciwników, a następnie po przegrupowaniu się uderzą ze zdwojoną siłą. Douglas usłyszał świszczący syk, kątem oka zauważył zbliżający się z dużą prędkością pocisk z granatnika. Eksplozja zerwała mu hełm z głowy i cisnęła nim kilka metrów dalej. Oczy zaszyły mu mgłą. Przerażający ból paraliżował jego ciało. Krwawił z wielu ran, nie był w stanie podźwignąć się z ziemi. Ktoś próbował mu pomóc, ale celna seria zgruchotała mu kręgosłup.

- Ugrzęźliśmy na tym cholernym wzgórze! - usłyszał młody szczupły

Hawajczyk o szczurzej twarzy i były to ostatnie słowa, jakie usłyszał w życiu.

Radiooperator, specjalista 4 stopnia Bill Orwig wsłuchiwał się w rozpaczliwe komunikaty radiowe. Współczuł tym ludziom, chociaż sam nie znajdował się w lepszej sytuacji. W słuchawce zatrzeszczał głos dowódcy batalionu, który polecił, aby spadochroniarze z kompanii Alpha przygotowali w pobliżu miejsca walk za pomocą maczet, siekier i pił łańcuchowych tymczasowe lądowisko dla śmigłowców, aby jak najszybciej odtransportować rannych do szpitala. Orwig uśmiechnął się w duchu. Był zadowolony, że ktoś z dowództwa myśli o nich i stara się udzielić im niezbędnego wsparcia.

Trzecie już natarcie tego dnia na wzgórze nie przyniosło efektów. Wróg zdawał się być niewzruszony. Spadochroniarzom zaczynało brakować amunicji oraz wody, a morale sięgnęło dna.

- Musimy się wycofać - rzekł Long, wodząc wzrokiem po twarzach mężczyzn klęczących wraz z nim w małej niecce. - I to jak najszybciej - dokończył.

- Gdzie, do cholery, chcesz się wycofać? Żółtki są wszędzie - oznajmił piskliwym głosem kapral Donald Shaw.

Shaw i Kemp wymienili spojrzenia, Long wzruszył ramionami.

- Nie widzę nadziei - stwierdził Glenn Long głosem starego mężczyzny.

- Kurwa mać, przestań narzekać! - zaklął sierżant Wayne Kemp, słysząc słowa przyjaciela.

Nagle usłyszeli mrozący krew w żyłach dźwięk. Głos trąbki sygnalizacyjnej dochodził z tyłu, z pozycji, którą zajmowała kompania Alpha. Zostali otoczeni.

Wróg nacierał zewsząd. W tym samym momencie, kiedy rozbrzmiał głos trąbki, na niebie pojawiły się dwa F-100. Lecąc na niskim pułapie, zrzuciły posiadany zapas bomb. Ziemia zdrząła pod potężnymi wybuchami. Nie ostudziło to jednak zapędów wietnamskich piechurów, z okrzykiem na ustach „Xung phong” zażarcie nacierali na spadochroniarzy.

- Dennis! Co się tam dzieje? - zapytał łamiącym się głosem Stocton i wskazał ręką kierunek, skąd dobiegały odgłosy trąbki sygnalizacyjnej.

- Okrążają nas - Gordon odparł stłumionym głosem, w którym pojawiła się nuta paniki.

- Lepiej tu zostaliśmy i przygotujmy się na walkę na śmierć i życie - szeregowy Paul Gibbs skwitował nową sytuację i spojrzał spode łba na dwóch

swoich towarzyszy broni.

Pierwszy piechur, który pojawił się przed zalegającymi w wysokiej trawie spadochroniarzami, został skoszony serią M16, która prawie przecięła go w pół. Kolejni jednak nadbiegali, nie zwracając uwagi na zadawane ich pododdziałowi straty. Dwóch pozbawił życia Gibbs, zanim sam oberwał dwoma pociskami w udo. Zwalił się na ziemię jak kłoda i ryczał z bólu i wściekłości. Kapral Gordon walił ogniem ciągłym, zanim sam nie dostał w ramię, a chwilę potem w nogę. Gibbs, muskularny Murzyn z Nowego Orleanu, patrzył na pokrytą bliznami twarz podoficera, dopóki ten nie otrzymał śmiertelnie trafienia w krtań. Stocton, gdy zauważył, że na polu walki pozostał sam, rzucił się do ucieczki, pozostawiając towarzyszy tam, gdzie upadli. Czarnoskóry żołnierz wysmarował swój mundur i twarz krwią pochodzącą z ran na nodze i postanowił udawać martwego. Gibbs w ten sposób zamierzał przeżyć i wrócić do domu, aby tam prowadzić wspólnie z rodziną biznes związany z poławianiem krewetek.

Natężenie ognia znacząco wzrosło. Do ostrzału z broni strzeleckiej i granatników doszedł ostrzał z moździerzy. Późnym popołudniem wróg uderzył na obronne pozycje amerykańskie z czterech stron. Dowódca drużyny wsparcia przetarł oczy ze zdziwienia. Wiele głosów wietnamskich dochodziło od strony, gdzie jeszcze przed chwilą byli chłopcy z kompanii A.

- Niech to szlag! - wysyczał przez zaciśnięte zęby Dewey. - Te skurwiele idą prosto na nas!

- Dawaj amunicję, do cholery!!! - grzmiący głos Herricka przebił się przez gwieźdki kanonady.

- No, dalej, chodźcie! - sierżant zasyczał z frustracją w głosie. - Chcę wam dziś, kurwa, dopieprzyć, chcę...

Żołnierze skupieni wokół moździerza M19 kalibru 60 mm nie mieli pojęcia, że o 14:30 ukryty w dolnej części wzgórza 2 Batalion 174 Pułku APW rozpoczął zmasowany atak od tyłu. Teraz nie było wiadomo, gdzie są własne wojska, a gdzie wróg. Obsługa moździerza otworzyła ogień kierunku, skąd było słycać chóralne okrzyki Wietnamczyków. Wystrzelenie całego posiadanego zapasu amunicji zajęło im niewiele czasu. Chcieli rozmontować na podzespoły swoją broń wsparcia, gdy na małą polanę, na której się znajdowali, wpadła cała drużyna wroga. Rozpętała się istna jatka.

Pierwszy oberwał kapral Barry Herrick, któremu pocisk z RPD oderwał

część czaszki. Pozostali, przyjmując pozycje obronne, ostrzeliwali nadbiegających piechurów. Trzech padło od razu naszpikowanych ołowiem z M16. Dwaj następni zostali rozerwani po wybuchu granatu odłamkowego M26. To jednak była kropla w morzu. Kolejni Wietnamczycy pojawiali się przed spadochroniarzami, starając się jak najszybciej ich zlikwidować. Szeregowy Harper został śmiertelnie ugodzony w chwili, gdy przeładowywał swój karabinek szturmowy. Z wielką dziurą tam, gdzie powinno znajdować się jego oko, patrzył teraz w nieboskłon. Sierżant Jim Dewey, chociaż dwukrotnie już ranny, nie odczuwał bólu, likwidował kolejnych napastników, którzy zbliżyli się do niego na odległość celnego strzału. Patrzył na ładowniczego, starszego szeregowego Matta Colemana, który z furią walczył w rękę z przeważającym wrogiem. Wyglądał jak wcielenie zła. Co rusz ociekającą krwią saperką rozrywał kolejne ciało Wietnamczyka lub rozlupywał mu czaszkę. Walkę dzielnego Amerykanina zakończyła seria z AK-47, która wycisnęła ostatnie powietrze z jego płuc. Gdy martwe ciało Colemana uderzyło o zbroczoną krwią ziemię, sierżant Dewey wiedział, że to koniec. Resztką tłących się w nim sił podczołgał się do moździerza. Nie oddam go tym skurwielom – pomyślał spadochroniarz, by po chwili wrzucić do przewodu lufy granat. Ostatnie, co widział podoficer, to zbliżających się do niego dwóch północnowietnamskich żołnierzy. Potem nastąpiła eksplozja granatu, dwaj napastnicy i Dewey zostali pozbawieni życia.

Seria przecięła powietrze niecałe kilka centymetrów z lewej strony głowy celowniczego kaemu. Rozgrzana do białości lufa wypływała z siebie kolejne pociski zmierzające w kierunku nadbiegających piechurów północnowietnamskich. Wright musiał przestać strzelać, bo dalsze prowadzenie ognia było niebezpieczne. Spadochroniarz przyłożył do ramienia M16 i oddał spokojnie krótką serię, celując w niskie krzaki, które rosły w wprost niego. Musiał osłonić ogniem ich odwrót do chwili, kiedy lufa M60 ostygnie na tyle, że będzie można z niej prowadzić ogień. Szeregowy Weber zobaczył w oddali kilkunastu szybko zbliżających się Wietnamczyków.

- Spadamy stąd, Bruce!!! - wrzasnął Brady Weber i rzucił się do tyłu.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że Tekszańczyka nie ma, gdzieś zniknął. Cofnął się więc do miejsca, które przed chwilą opuścił. Po krótkich poszukiwaniach odnalazł swojego towarzysza. Celowniczy kaemu zginął

natychmiast, seria z AK-47 trafiła go w głowę oraz klatkę piersiową w chwili, gdy ruszał na tyły. Szeregowy Bruce Wright zastygł, trzymając w swoich objęciach karabin maszynowy. Wyglądał, jakby spał. Beztrzęsą pozę psuł jednak makabryczny widok, bo spadochroniarzowi brakowało połowy twarzy. Weber, młody farmer z Kentucky, podniósł się znad zwłok Tekszańczyka, ale wciąż był mocno zszokowany. Skulił się, nie chciał, aby ktoś go zauważył. Opadł na ziemię, przeczołgał się kilka metrów, po czym pobiegł w głąb gęstej roślinności, szukając tam schronienia. Okazał się jednak zbyt wolny. Gdy już prawie dotarł do ściany roślinności, rozległ się pojedynczy wystrzał, a kula ugodziła Webera w plecy, roztrzaskując łopatkę i wybijając mu ze stawu obojczyk. Leżąc na ziemi, która łąpczywie wchłaniała jego krew, myślał o swojej dziewczynie, Lucy Graff.

Pocisk moździerzowy upadł nieopodal skrytego w małej niecce spadochroniarza. Ziemia wokół Wolfa eksplodowała. Na całe szczęście odłamki poleciały w innym kierunku i zasypały niskie młode drzewa. Żołnierz ruszył przed siebie, unikając serii wymierzonej w jego kierunku. Wolf padł na ziemię, gdzie mógł odetchnąć i przeładować broń. Znieruchomiał całkiem, gdy przed nim pojawił się broczący z wielu ran, wrzeszczący przeraźliwie sierżant plutonu. Usłyszał stłumiony krzyk, gdy mężczyzna otrzymał postrzał w pierś, a potem brzęk oporządzenia, kiedy runął na ziemię. Blake dostał postrzał w pierś, brzuch oraz w udo. Wolf czym prędzej doskoczył do ciężko oddychającego podoficera. Z ran na jego ciele sączyła się krew. Spadochroniarz wpatrywał się rozlewającą się ciemną plamę w miejscu, gdzie ugodziła Blake'a ostatnia kula. Mężczyzna, z trudem chwytając oddech i krzywiąc się z bólu, próbował podnieść się, aby nadal prowadzić walkę. Jego tropikalny mundur był przesiąknięty i niemal czarny od krwi. Chciał coś powiedzieć, ale wydał z siebie tylko bulgot. Na jego obliczu malował się grymas cierpienia. Pod wpływem bólu mrużył powieki.

- Sierżancie, kraj panu dziękuje za wspianą służbę... Zostanie pan odznaczony Medalem Honoru... Jestem dumny, że z panem służyłem - Wolf mówił szybko, gwałtownie, raz po raz przerywając.

Gdy Wolf skończył mówić i spojrział na sierżanta, ten już nie żył. Jednak na jego twarzy zagościł lekki uśmiech.

Żołnierze, pocąc się i ociekając wodą w wilgotnym powietrzu, w duchu prosili Boga o pomoc. Spadochroniarze kopali pozycje obronne tym, co mieli

pod ręką. Większość robiła doły strzeleckie saperkami, ale byli i tacy, co kopali bagnietami, hełmami, a nawet rękoma, raniąc sobie dłonie do żywego mięsa. Żołnierzom z kompanii Alpha udało się wycofać na zbocze, unikając okrążenia i dołączając do reszty 2 Batalionu. Walczącym kończyła się amunicja, żywność i woda. Najbliższa przyszłość przedstawiała się nieciekawie. Żołnierze Sky utworzyli prowizoryczną linię obrony i czekali.

Larry O'Donell patrzył przez konary drzew na UH-1. Po widniejącym na dziobie śmigłowca znaku sokoła nowojorczyk rozpoznał, że maszyna należy do 3 plutonu „Falcons” 335 kompanii śmigłowców szturmowych „Cowboys”. Strzelec boczny pruł seriami z karabinu maszynowego M60, zasypując wroga śmiertelnością stalą. Piloci śmigłowców balansowali na krawędzi życia i śmierci tylko po to, aby dostarczyć walczącym na ziemi spadochroniarzom niezbędnego zaopatrzenia. Maszyna transportowa otrzymała już kilka bezpośrednich trafień, ale nadal krążyła nad pozycjami zajmowanymi przez Amerykanów. Zainstalowane na szczycie góry liczne stanowiska broni przeciwlotniczej - karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm - zasypywały krążące śmigłowce lawinowym ogniem. Pilot obserwowanego przez Larry'ego hueya walczył z coraz bardziej chwiejną maszyną. Drugi pilot był martwy od dobrych kilkunastu minut, kiedy to kokpit został ostrzelany z RPD. Obsługa znajdująca się w przedziale transportowym zrzuciła na ziemię liczne skrzynki z amunicją oraz galony z wodą. Poważnie uszkodzony śmigłowiec, który ciągnął za sobą długą kitę czarnego dymu, zawracał już, aby udać się w drogę powrotną, gdy został trafiony pociskiem z granatnika i runął na ziemię. To była już czwarta maszyna zestrzelona dzisiejszego dnia, a do końca 19 listopada miały spaść jeszcze dwa śmigłowce.

- Co o tym myślisz, Tom?

Bostończyk nie odpowiedział na pytanie O'Donella. Stał wyprostowany jak struna i wpatrywał się szeroko otwartymi, przekrwionymi oczyma w czarny słup dymu unoszący się w miejscu katastrofy hueya.

Amerykanie odparli kolejny już atak tego dnia. Wyczerpani, głodni i spragnieni oczekiwali pomocy, oczekiwali wsparcia. Kompanie C i D poniosły ciężkie straty, kompania A praktycznie przestała istnieć. Dowódca kompanii Alpha kapitan Mike Kiley zginął jak większość jego żołnierzy, do końca heroicznie walcząc o zapasowe lądowisko oraz o niedopuszczenie do okrążenia 2 Batalionu. Ostrzał artyleryjski, który był

prowadzony, nie wyrządzał większych szkód. Grube belki i ziemia sprawiały, że skuteczne było tylko bezpośrednie trafienie. Szeregowy Long, bandażując ranę na nodze żołnierza z 1 plutonu, obserwował, jak kapelan Charles Watters, nie zważając na własne bezpieczeństwo i za nic mający własne życie, udzielał konającym ostatniego namaszczenia, a rannym i strwożonym rzucał krótkie słowa zachęty do wytrwania.

Od dłuższego czasu panowała głucha cisza. Większość spadochroniarzy zastanawiała się, dlaczego Wietnamczycy nie atakują. Przecież mają ich jak na talerzu. Wystarczy tylko dobić konającego. Wróg najwyraźniej na coś czekał – pomyślał sierżant Preiss, gdy po zmroku wietnamski ogień zelżał. Z wyraźnym podziwem przyglądał się, jak kapelan Charles Watters poruszał się wśród rannych zebranych w prowizorycznym punkcie opatrunkowym. Wielu z leżących duchowny udzielał ostatniego namaszczenia.

Podoficer odwrócił wzrok od kapelana, a skupił się na głośnym huku nadlatującego samolotu. Maszyna myśliwsko-bombowa Marine Corps leciała złym kursem. Samolot nie podążał ze wschodu na zachód w poprzek grzbietu, lecz leciał wzdłuż, z północy na południe. Pilot nadlatywał od pozycji, którą utrzymywała jeszcze niedawno kompania A. Samolot wszedł w lot nurkowy z prędkością ponad 300 mil na godzinę i zrzucił dwie pięćsetfuntowe bomby.

- Boże! - wyrwało się z przerażonego gardła sierżanta Preissa, gdy zauważył, że bomba zmierza wprost na nich.

Czym prędzej rzucił się do swojego dołu strzeleckiego i z całych sił przywarł do jego dna.

Była dokładnie 18:58, gdy jedna ze zrzuconych bomb eksplodowała na stanowiskach obronnych 2 Batalionu. Pocisk trafił dokładnie w środek pozycji żołnierzy Sky. Wybuch zabił 42 ludzi i zranił kolejnych 45. Wśród zabitych znaleźli się ranni oraz opiekujący się nimi kapelan major Watters. Ciężko ranny został dowódca kompanii Charlie, kapitan Harold James Kaufman, oraz dowódca kompanii Delta, porucznik Bartholomew O'Leary. Preiss, kiedy się ocknął, nie wiedział, gdzie jest i na jak długo stracił przytomność. Krwawił z wielu drobnych ran, ale żył. Jemu udało się przetrwać „przyjacielski ogień”. Jak zza mgły usłyszał nawoływania.

- Zawrócić, kurwa, te cholerne samoloty! Zrzucają bomby prosto na nas! Musiał skupić wzrok, aby zobaczyć, że to radiooperator Bill Orwig

wydziera się do słuchawki radiostacji polowej. Z wielkim trudem wyczołgał się ze swojego stanowiska. Od razu ostry zapach zaatakował jego nozdrza, poczuł odór śmierci. Spadochroniarze leżeli martwi jeden na drugim. Wielu z nich było rozerwanych na pół, wszędzie wokół na gałęziach wisiały wnętrzności i fragmenty ciał. Zewsząd rozległy się nawoływania rannych i umierających.

Eksplzja była potężna. Cały świat zawirował, a przed oczami przeleciało bostończykowi całe jego dotychczasowe życie. Wyrzuciło go w górę, gdzie omiotło go gorące powietrze palące skórę do żywego mięsa. Mężczyzna wylądował na plecach kilkanaście metrów od pozycji, którą zajmował w chwili wybuchu. Nie mógł się ruszyć, uderzenie o ziemię wydusiło mu powietrze z płuc. Próbował zaczerpnąć życiodajnej mieszanki, ale nie udawało mu się. Z kąciaków oczu łzy wolno spływały mu po osmalonej twarzy. Gdy już miał stracić wszelką nadzieję, odkaszlnął boleśnie i łapczywie zaczerpnął potężny haust tlenu. Odwrócił się na bok, a rękoma objął straszliwie kłującą go klatkę piersiową. Wokół niego panował chaos. Poczul się jak na przedmieściach piekła. Z ledwością podźwignął się i usiadł na skraju małej rozpadliny.

Swanson siedział wśród zgliszczy, był oszołomiony. Jednostajny pisk w jego uszach za nic nie chciał ustąpić. Krew wąskimi stróżkami ciekła mu z nosa oraz uszu. To, co zobaczył, przeraziło go. Widział swoich towarzyszy broni porozrywanych i rozrzuconych niczym szmaciane lalki, które przestały być już atrakcyjne. Leżący najbliżej niego szeregowy Mack Vincent wyglądał, jakby potraktowano go piłą łańcuchową. Biedny Murzyn z Cleveland, który skończył ledwie podstawówkę, teraz nie posiadał większości ciała, był zaledwie zakrwawionym strzępem mięśni i kości. Kawałek dalej leżeli dwaj żołnierze z uzupełnień: Eugene Howden i Ed Luckier, naszpikowani odłamkami stali i roztrzaskanych drzew. Swanson opadł na ziemię zupełnie bez życia. Przerażonymi oczyma wpatrywał się jak bujna czupryna Howdena powiewa na wietrze. Jakiś żołnierz przeszedł obok siedzącego Toma, jego lewe ramie wisiało na pasku skóry i ścięgnach.

Bostończyk miał dość, oparł plecy o pień częściowo rozerwanego drzewa, podciągnął nogi i usiadł po turecku. Chwilę potem położył sobie karabin na zbolątych udach. Był wyczerpany, poraniony i rozżalony. Za dużo dzisiejszego dnia widział. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli przeżyje, te

okropieństwa nie dadzą mu spokoju. To, co zarejestrowały jego oczy, głęboko wryło się w jego pamięć.

Gibbs jak na razie żył, jego fortel zadziałał. Został przez Wietnamczyków uznany za martwego. Teraz po zmierzchu mógł spróbować dostać się do pozycji własnych wojsk. Ból nogi nie dawał mu spokoju. Rana obwiązana szczelnie bandażem wydawała się zabezpieczona najlepiej, jak to było możliwe w warunkach polowych. Czarnoskóry żołnierz zebrał się na odwagę i powoli uniósł się, dokładnie lustrując otoczenie. Kuśtykając, zdołał przejść zaledwie parę metrów, gdy ziemię wstrząsnęła potężna eksplozja. Nie miał pojęcia, co to było takiego. Postanowił chwilę poczekać w miejscu, w którym się znajdował. Nie widział i nie słyszał nigdzie w promieniu kilkunastu metrów wroga. Chwilowe poczucie bezpieczeństwa dodawało mu sił. Jego jedyną bronią był bagnet, który teraz mocno ścisnął w dłoni. Idąc jak najbliżej ziemi, dotarł do miejsca, z którego doskonale słyszał rozmowy amerykańskich żołnierzy. Wkrótce zrozumiał, że to nie były rozmowy, lecz nawoływania konających i ciężko rannych spadochroniarzy.

- Nie strzelać! Nie strzelać!!! - wrzasnął Gibbs najgłośniejszym głosem, jak potrafił, aż dech zaparło mu w piersiach.

To, co ujrzał, było przerażające. Masakra, tylko jedno słowo cisnęło mu się na usta. Część drzew nadal się paliła, inne, tłąc się, dymiły obficie. Dym tłumił oddech i gryzł w oczy. Murzyn szedł dalej pośród ludzkich wnętrzności, które zaścielały wąską ścieżkę. Podniósł z ziemi pierwszą M16, jaką udało mu się znaleźć. Jej właścicielowi nie była zapewne już potrzebna. Panował totalny chaos. Jedni próbowali pomóc rannym i umierającym, inni będący na granicy paniki pogłębiali swoje stanowiska ogniowe. Gibbs nigdzie nie mógł zauważyć oficerów, nikt nad tym, co tu się działo, nie panował. Mężczyzna opadł bezsilnie na skraj dołu strzeleckiego i schował twarz w dłoniach.

Martwą ciszę przerwały liczne gwizdki i głos trąbki. Wróg ruszał zadać decydujący cios. Mroki nocy rozświetliły wybuchy i serie z broni automatycznej. Zadziało to na spadochroniarzy jak wiadro zimnej wody. Zajęcie stanowisk obronnych zajęło im zaledwie kilka chwil. Nadbiegających zewsząd piechurów północnowietnamskich przywitali ścianą ołowiu. Komuniści zostali przykryci gęstym ogniem z karabinków szturmowych i M60 oraz obrzuceni granatami. Na niebie zabłysła flara, w jej blasku

nacierający byli dobrze widoczni i stanowili idealne cele. Nie trwało to jednak długo, bo Wietnamczycy szybko kryli się w gęstej słoniowej trawie.

Tom nie ściągał palca z języka spustowego. Zdawał sobie sprawę, że większość jego strzałów chybiała. Widział jednak, jak dwóch piechurów padło, gdy jego kule dosięgły celu. Mężczyzna patrzył w dół zbocza. Widział czerwone smugi, które znaczyły ślady po pociskach smugowych. Bostończyk usłyszał głuchy odgłos i stęknienie żołnierza walczącego z jego lewej strony w momencie, w którym ten otrzymał postrzał w brzuch. Gdy się odwrócił, mężczyzna już nie żył. Swanson nie miał pojęcia, kim był ów żołnierz, ale wiedział, że dzisiejszego dnia oddał swoje życie za ojczyznę. Gdy tylko żarząca się jaskrawym światłem flara zgąstała, wróg wznowił natarcie. Eksplozja poraziła go jak nagły rozbłysk światła. Zsunął się półprzytomny na dno swojego dołu.

Szeregowy Itako Akuma i kapral Donald Shaw walczyli ramię w ramię. Wielokrotnie dzisiejszego dnia byli ostrzeliwani z dwóch, a nawet z trzech stron. Od chwili, kiedy pocisk z RPG-7 rozerwał część umocnienia, które skrętnie budowali przez całe popołudnie, ich szanse na przeżycie malały z minuty na minutę. Podoficer cisnął granatem w kierunku rozwrzeszczanej chordy, która nacierała na nich od prawej flanki. Za moment poprawił jeszcze jednym M26, aby być pewnym, że ostudzi to zapędy żołtków. Akuma wpakował jeszcze w tamto miejsce prawie cały magazynek z M16. Migocące błyski wybuchów i rozżarzone ślady po pociskach smugowych, które zdawały się wirować, zapierały dech w piersiach. Widok był imponujący.

Nagle wszystko ucichło.

- Czy to koniec? - zdyszany głosem Amerykanin japońskiego pochodzenia zadał pytanie podoficerowi, z którym od samego rana toczył ciężki bój.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Shaw zduszonym głosem. - Ale mam nadzieję, że to faktycznie koniec - dodał, ocierając dłonią spoconą i oprószoną pyłem twarz.

Żołnierze APW wycofali się, nie osiągnąwszy zamierzonego celu. Bilans dnia był zatrważający dla obu stron konfliktu. Śmierć zebrała dzisiaj sute żniwo. W wyniku krwawych walk 2 Batalion stracił ponad połowę ludzi i przestał istnieć jako zwarta jednostka bojowa.

Terkot broni maszynowej odbił się echem od nasiąkniętych krwią zboczy.

Od wczesnych godzin porannych trwały walki u podnóża góry, gdzie przysłany na pomoc 4 Batalion 503 PPS zaciekle walczył z 2 Batalionem 174 Pułku APW, podobnie na południowym stoku, gdzie wietnamskie pozycje zaatakował 1 Batalion 12 Pułku Piechoty 4 DP. Spadochroniarze z 2 Batalionu, choć niemiłosiernie zmęczeni i spragnieni, odpierali atak za atakiem.

- Wstrzymać ogień! - zawołał dowódca plutonu z kompanii Delta.

Odgłosy wystrzałów powoli ucichły. Oficer wyszedł na pustą przestrzeń, bacznie rozglądając się to w jedną, to w drugą stronę. Wróg obszedł ich pozycje i skierował się na zachód w stronę swoich nienaruszonych umocnień. Szeregowy Cooper Higgitt smętnie patrzył na lej po bombie i stos ciał. Czuł, że żołądek podchodzi mu pod gardło. Chwilowa przerwa w walce zamiast złapania oddechu przyniosła natarczywe myśli o tym, dlaczego i w imię czego tak wielu młodych ludzi zginęło na tej cholernej górze. Zdawał sobie sprawę, że musiał wstać, musiał żyć dalej, a przede wszystkim musiał walczyć dalej. Wiedział, że nie był osamotniony, nie był sam. Byli tu inni, którzy tak samo jak on zadawali sobie pytanie „dlaczego, za co?”.

- Jak się trzymasz, Coop? - z troską w głosie odezwał się sierżant Kemp.

- Bywało lepiej, sierżancie - odparł Higgitt bez namysłu. - Wygrywamy?

- kontynuował, patrząc zmęczonymi oczami na swojego dowódcę drużyny.

- Wojna to zło, nie ma tu zwyciężonych ani przegranych. Po wojnie pozostają tylko cmentarze i ludzie bardziej lub mniej straceni - wypowiedział półgłosem podoficer i ruszył w dalszą drogę, kontynuując obchód.

Dwie potężne eksplozje wstrząsnęły ziemią i obsypały piachem obrońców. Po opróżnieniu magazynka Morton odwrócił się do Bustera i lekko się przygarbił, czekał. Wiedział, że śmierć deptała im po piętach. Został mu ostatni magazynek i dwa granaty. Przerwa w walce się skończyła i piechurzy północnowietnamscy ponowili wspinanie się po śliskim zboczu. Buster wystrzelił w ich kierunku jeden z ostatnich pocisków kalibru 40 mm, jakie posiadał do M79. Pocisk wybuchł wśród małej grupki podążającej na prawej flance. Eksplozja pozbawiła ich życia.

- Czy gorsza jest śmierć na polu walki, czy ciągła walka o przetrwanie?

- Co ty pieprzysz, Joe?! - zawarczał Morton, słysząc pytanie młodego chłopaka z Maryland.

Radiooperator zaczął się zastanawiać, dlaczego jego kompan akurat o to

pytał. Nie było jednak ono pozbawione sensu. Dwa pociski z AK-47 zaryły się w ziemię zaledwie kilkanaście centymetrów od głowy grenadiera. Joe Buster nie przejął się tym zbyt. Załadował kolejny pocisk do bloopera, z głupekowatym uśmiechem malującym się na obłoczonej twarzy. Morton odbezpieczył granat i rzucił go w kierunku, skąd nadbiegali kolejni żołnierze APW. Przez chwile obserwował płynny lot granatu, dopóki nie został obsypany ziemią zmieszaną z kawałkami drzewa. Poczł ostry ból w lewym uchu. Eksplozja mózdzierzowego pocisku rozerwała mu bębenek. Cienka strużka krwi ściekała mu po twarzy i skapywała na kołnierz bluzy mundurowej. Powoli wychylił się ze swojej kryjówki. Obrzucił wzrokiem przedpole. Wróg po prostu przebiegł koło ich pozycji i pognął dalej, pozostawiając ich w spokoju.

Stocton rozbieganymi oczami rozglądał się w dookoła. Z każdego kierunku mógł nadejść wróg. Zwalony pień tekowego drzewa dawał mu chwilową osłonę. Musiał zebrać się w sobie. Musiał się podnieść, wyskoczyć z ukrycia i pobiec w kierunku punktu dowodzenia batalionu. Było to jednak trudne do wykonania, bo w powietrzu świstały kule. Raz po raz trafiały w pień, zrywały z niego korę i obsypywały chroniącego się tam żołnierza drzazgami. Zdobył się jednak na odwagę. Z krzykiem na ustach wyskoczył z ukrycia i pognął w prawo. Wybuch granatu przerwał jego szaleńczy bieg. Boleśnie upadł na zbutwiałe korzenie powalonego drzewa. Poczł palący ból w udzie. Zrozumiał, że trafił go jeden z odłamków, gdy spostrzegł rozszarpany mundur obryzganym krwią. Zabrał się za bandażowanie rany, gdy usłyszał świszczący przerywany oddech. Zauważył Vasqueza, który leżał kilka metrów od niego. Mężczyzna przykładał obie dłonie do klatki piersiowej. Spomiędzy palców sączyła mu się krew. Meksykanin spojrzł na Stoctona szklistymi oczami. Odezwał się, ale po hiszpańsku. Nic z tego, co ciężko ranny powiedział, czołgający się w jego kierunku rudy spadochroniarz nie zrozumiał. Irlandczyk pojął natomiast w mig, że te słowa nie były przeznaczone dla niego, była to modlitwa. Żołnierz Sky przykucnął przy leżącym i rozpiął mundur Vasqueza. Szybkiem ruchem rozdarł zakrwawiony i poszarpany podkoszulek. W słabym świetle poranka niewiele był w stanie zobaczyć. Wyciągnął opatrunek, aby pomóc towarzyszowi w cierpieniach i wtedy usłyszał, jak Meksykanin wydał ostatni oddech.

- Kurwa, Rodrigo, przecież zaraz bym cię zaniósł do punktu

medycznego! - wyrzeszczał w twarz martwemu Vasquezowi.

Nic tu było po nim. Zerwał z szyi martwego spadochroniarza nieśmiertelnik zawieszony na kulkowym łańcuszku i podnosząc z ziemi M16, ruszył w kierunku punktu dowodzenia.

Matkowski cały się trząsł, nie mógł zapanować nad nerwami. Poczul lodowate ciarki, które przebiegły wzdłuż całego jego ciała. Organizm męczyzny nie dał rady i odpuścił, pęcherz nie wytrzymał. Męczyzna zbryzgał spodnie moczem. Wolf popatrzył na rekruta z politowaniem. Głuchy terkot kaemu w oddali ucichł, podobnie jak wystrzały kilku AK-47.

- Jesteście tam!? Nie strzelajcie!

Po porytym od wybuchów zboczu poniosło się głośnie zawołanie. Wolf zastygł w bezruchu. Te słowa, które usłyszał, zmroziły mu krew w żyłach. Czy faktycznie nadchodziła pomoc, czy to był tylko kolejny fortel Wietnamczyków?

- Nie strzelajcie, jesteśmy z kompanii Bravo czwartego batalionu!

Wolf powoli wychylił się z dołu strzeleckiego. Przetarł twarz, aby lepiej widzieć. Żołnierze, którzy do nich nawoływali, szli wzdłuż grzbietu. Spadochroniarz przyłożył sobie broń do ramienia. Wycelował w męczyznę idącego na czele. Palec zacisnął mu się na języku spustowym. Był gotowy otworzyć ogień, gdyby wszystko okazało się pułapką. Męczyzna zwalczył w sobie przemożną chęć naciśnięcia za spust. Poczul mocny ucisk w skroniach. Instykt mówił mu, że wszystko będzie dobrze, ale Wolf, przecząc sam sobie, jakoś w to nie wierzył. Odłożył jednak broń, gdy na grzbiecie pojawiło się więcej męczyzn ubranych w standardowe tropikalne umundurowanie.

Udało mi się - pomyślał niedawny pracownik kolei z Suffolk. John Wolf obrzucił wzrokiem spadochroniarzy, którzy wraz z nim bronili się na wzgórzu. Każdy wyglądał tragicznie, wszyscy byli brudni, wymazani krwią własną i swoich towarzyszy broni. Przychodzący żołnierze z podziwem w oczach przyglądali się grupce męczyzn, która teraz łapczywie pochłaniała wodę z manierek, aby ugasić żar gorejący w ich gardłach.

- Jak się trzymasz, kolego? - młody rekrut z 4 Batalionu zwrócił się do Wolfa.

Wymęczony spadochroniarz spojrział mu prosto w oczy. Patrzył tak przez chwilę, dopóki młody żołnierz nie spuścił wzroku. Nie odpowiedział mu,

a młodzian kolejny raz nie zapytał.

Rozpoczęło się mozolne znoszenie ze wzgórza rannych i zabitych. Większość potrzebowała noszy, niewielu mogło się poruszać o własnych siłach. Kompania Charlie 4 Batalionu, która pojawiła się chwilę przed zmrokiem wraz z kompanią B i pozostałościami 2 Batalionu, umocniły pozycje obronne. Rano zgromadzone siły miały uderzyć na szczyt wzgórza 875 z północy, a z południa na szczyt miał nacierać 1 Batalion 12 Pułku Piechoty.

Po ugaszeniu pragnienia Tom obmył sobie twarz z krwi oraz bitewnego pyłu. Ledwo trzymał się na nogach. Jego organizm był na skraju wyczerpania. Powłókł się do pierwszego lepszego dołu strzeleckiego i zagrzebawszy się na jego dnie, szczelnie okrył się ponchem. Sen przyszedł nagle, nawet nie zdążył się wygodnie ułożyć. Widział Gwendolyn Paxton, jak siedziała w domu i wpatrywała się w jego zdjęcie stojące na kominku. Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Swanson wiedział, że nie wróży to nic dobrego. W drzwiach stało dwóch umundurowanych mężczyzn. Przekazali Winnie straszną wiadomość, nieśmiertelniki i złożoną w trójkąt flagę państwową. To było przerażające. Tom obudził się cały zlany potem. Było mu zimno, cały był zeszywniały i obolały. Cieszył się jednak, że to, co przed chwilą widział, było tylko złym snem.

Operacja zdobycia wzgórza rozpoczęła się od intensywnego, ponad godzinnego ostrzału artylerii połączonego ze zmasowanym atakiem powietrznym. Spadochroniarze przygotowani do natarcia smętnie patrzyli w kierunku bunkrów, które ciągnęły się zygzakiem wzdłuż wzgórza. Były dobrze zamaskowane gałęziami i chronione solidnymi zadaszeniami z belek. Amerykanie zdawali sobie sprawę, że intensywny ostrzał góry nie wyrządził wielkiej szkody umocnieniom, natomiast demoralizował obrońców. Od kiedy dowódca kompanii Charlie kapitan Harold James Kaufman zmarł, ze względu na zbyt rozległe rany dowodził nimi młody oficer, którego bostończyk nie znał.

- Wietnamcy łatwo nie oddadzą skóry - stwierdził niemal płaczącym głosem Matkowski.

- Masz rację - odparł Higgitt, kiwając głową. - Coś złego czyha na nas tam na szczycie.

Żołnierze mocno ściskali w swoich dłoniach karabiny, na które nakazano

im założyć bagnety. Dowództwo zakładało bowiem, że mogło dojść do walki wręcz. 4 Batalion rozpoczął szturm w chwilę po tym, jak umilkły działa. Nacierał w standardowej formacji: kompania B po lewej, kompania C po prawej, a za nimi podążała kompania A. Niedobitki 2 Batalionu znajdowały się na prawej flance i wspomagały kompanię Charlie.

- Jazda za mną! - warknął Kemp.

- Ruszać się, dalej! Weźcie dupy w troki. Nie słyszeliście co powiedział sierżant?! - dodał od siebie ledwo panujący nad nerwami młody oficer z kompanii C 4 Batalionu.

Bunkry wietnamskie milczały, ta cisza była nie do zniesienia. Zdyszany podoficer podczołgał się bliżej skarpy, która zapewniała mu chwilową ochronę. Dokładnie przyglądał się schronom, widział przez szczeliny strzelnicze, że panował w nich ruch. Zachodził w głowę, dlaczego żołnierze APW nie otwierają do nich ognia. Wkrótce jednak Kemp zapragnął ciszy, gdy na pozycje nacierających wojsk posypały się pociski moździerzowe. Podoficer wcisnął się z całych sił w małe zagłębienie. Musiał przetrwać ostrzał artyleryjski, aby móc dalej poprowadzić swoich ludzi w kierunku wzgórza. Granat moździerzowy wybuchł po lewej jego stronie, zasypując zgromadzonych tam mężczyzn odłamkami. Żaden z nich nie wyszedł z tego żywy. Ile jeszcze ofiar pochłonie ta przeklęta góra? - zastanawiał się Kemp przy dźwiękach kolejnych eksplozji. Amerykańska artyleria odpowiedziała prawie natychmiast. Ogień prowadziły haubice 105 mm zgromadzone na FSB 12.

RPD wypluł z siebie śmiertcionośną dawkę ołowiu. Seria przeszła gorące powietrze niczym brzytwa. Szeregowy z 4 Batalionu dostał trzema pociskami w pierś. Był martwy, zanim jeszcze opadł na ziemię. Ze szczeliny strzeleckiej wystawała teraz tylko dymiąca się lufa karabinu maszynowego produkcji radzieckiej. Poruszała się to w jedną, to w drugą stronę, przeszukując przedpole w celu odnalezienia nacierających Amerykanów. Szeregowy Glenn Long ruszył nisko schylony nad ziemią. Zawarczał kaem. Spadochroniarz rzucił się szczupakiem na ziemię, aby skryć się za pniem zwalonego drzewa. Kapral Shaw i grenadier Joe Buster ruszyli w jego ślady, pokonując te parę metrów biegiem niczym sprinterzy. Zdyszani żołnierze Sky kryli się za naturalną przeszkodą, dając sobie czas na odpoczynek i przemyślenie dalszych kroków.

- Zrobicie mi zasłonę ogniową, a ja, ja... w tym czasie podbiegnę do bunkra i wrzucę do niego granat - wypowiedział na raty Long, szybko oddychając.

Obaj jego towarzysze broni skinęli głowami na znak, że się zgadzają.

- Wskakuję na trzy, wy wtedy walicie ze wszystkiego, co macie - dodał zylasty mężczyzna z Kansas, gdy uzyskał aprobatę swojego planu.

Nastąpiła chwila, która zdawała się trwać całą wieczność.

- Raz, dwa, trzy...

Ostrzał bunkra był morderczy, zniechęcił wietnamską obronę do odpowiedzenia ogniem. Long gnał niczym kot goniony przez rozwścieczoną sforę psów. Gdy ucichły amerykańskie M16, znalazł się zaledwie o metr od swojego celu. Karabin maszynowy oddał dwie krótkie serie, rozłupując drzewo, za którym kryli się nacierający. Okrążający pozycję Wietnamczyków spadochroniarz pozostał niezauważony. Wyciągnął zawleczkę i puścił tyżkę. W myślach odliczył do trzech, po czym płynnym ruchem cisnął granat wprost w szczelinę strzelecką. Usłyszał głosy żołnierzy znajdujących się w środku, gdy M26 wylądował na błotnistym podłożu wewnątrz umocnienia. Eksplozja nastąpiła zaledwie sekundy później, zabijając obsadę gniazda karabinu maszynowego prawie natychmiast. RPD ucichł. Long przebiegł kilka metrów i rzucił się na ziemię, unikając serii, która przeleciała kilka centymetrów nad jego głową. Doczołgał się do brzegu transzei dochodzącej do bunkra i zsunął się na jej dno, gdy nie zauważył w niej wrogów. Nie miał pewności, że wszyscy znajdujący się w umocnieniu żołnierze zostali zabici. Amerykanin miał teraz czas, aby odetchnąć i uspokoić szarpany oddech. Wietnamczyk uderzył na niego z szybkością kobry. Spadochroniarz sparował cios bagnietem, mierząc w jego pierś. Napastnik nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, był pewny, że zada Amerykaninowi śmiertelny cios. Piechur APW mylił się, chybił celu i stracił równowagę, opadł ciężko na porytą odłamkami ziemię. To wystarczyło Longowi, aby wymierzyć w niego z M16 i oddać w jego kierunku krótką serię. Karabin spadochroniarza podskoczył, gdy pociski opuściły przewód jego lufy. Trafiony mężczyzna coś wypowiedział, ale te słowa dla spadochroniarza były zupełnie niezrozumiałe. Wietnamczyk zastygł w bezruchu, patrząc szklistymi oczami wprost na swojego zabójcę. Pierwszy punkt oporu tego dnia został zdobyty.

Szeregowy Larry O'Donnell patrzył na rekruta, który będąc w stresie,

przygryzał dolną wargę. Siedzieli od dobrych kilkunastu minut w bunkrze, który dzień wcześniej otrzymał bezpośrednie trafienie pociskiem kalibru 105 mm. Ponury uśmiech zagościł na twarzy szeregowego Itako Akumy, gdy spoglądał na zwęglone ciała obsady umocnienia. Kolejny raz tego dnia chronili się przed morderczym ostrzałem wietnamskich moździerzy. Niespełna kilka chwil wcześniej jeden z takich pocisków rozerwał podoficera z 4 Batalionu, a saperowi kapralowi Paulowi Dorseyowi urwał nogę tuż poniżej kolana. Amerykanie zamykali swoje żelazne szczypce wokół zaciekle broniących się północnowietnamskich żołnierzy. Zmierzch zapadł szybko, dla dowodzących zdecydowanie za szybko, a dla walczących na stokach przyniósł długo oczekiwane wytchnienie.

- Kto ma zapalić? - przerwał kłopotliwą ciszę Pimlott i z głupią miną malującą się na jego twarzy czekał na odpowiedź.

Nikt nie kwapił się na jej udzielenie pisarzowi kompanii C. O'Donnell nie pałał szczególną sympatią do tego piegowatego gryziopórka, ale teraz wraz ze wszystkimi tkwił w gównie po uszy. Nowojorczyk wyciągnął w jego kierunku paczkę przydziałowych marlboro.

- Trzymaj, Louis, i zamknij się, bo żółtki nas dopadną - sucho oznajmił spadochroniarz, przystępując do sprawdzania czystości swojej M16.

Pimlott zastanawiał się, czy ich szarża na bunkier nie była zbyt pochopna. Oddalili się zbyttnio od pozostałych amerykańskich żołnierzy. Zajmowali umocnienie na północno-wschodnim zboczu, a reszta z ich batalionu była na północnym bądź północno-zachodnim zboczu. Trochę go to martwiło, ale nie chciał wyjść na tchórza i otwarcie o tym nie mówił. Postanowił pozostawić to własnemu tokowi. Był wyczerpany psychicznie i fizycznie. Krótka drzemka nigdy nie zaszkodzi - pomyślał kompanijny pisarz, układając się na wilgotnej ziemi wewnątrz zniszczonego bunkra.

Po wcześniejszym intensywnym przygotowaniu artyleryjskim musieli wdrapywać się na niemalże pionowy stok. Odgłosy morderczego ognia niosły się głuchym echem po całej okolicy. Spadochroniarze oczekiwali w napięciu, wpatrując się w usiane bunkrami stoki.

- Nie powinniśmy już atakować? - rzekł zdziwiony Wolf, zerkając na zegarek. - Jest już prawie ósma.

Odpowiedzią na jego pytanie były odległe komendy wydawane w krótkim wojskowym żargonie. Wolf przedzierał się przez płataninę

bambusowych chaszczy jako pierwszy. Sam zastanawiał się, dlaczego tak uczynił i co go skłoniło, aby podążać na czele ugrupowania. Mężczyzna chciał zdobyć jeszcze kilka metrów, niestety okazało się to niemożliwe. Został przygwożdżony do ziemi huraganowym ogniem z kaemu. Krzyżowy ogień przykrył cały sektor, w którym nacierały niedobitki z kompanii C i D 2 Batalionu. Jednak dzień po dniu spadochroniarze zbliżali się do szczytu, likwidując kolejne punkty oporu i zdobywając kolejny teren. Każde nowe napotkane umocnienie zwalczali wszystkim, co mieli pod ręką - od pocziwey M16 po granaty i miotacze ognia. Wolf przeczłogał się jeszcze kilka metrów, unikając serii wymierzonej w jego kierunku. Szeregowy Glenn Long, który oberwał w bok, przykładał obie dłonie do ciała na wysokości miednicy, próbując w ten sposób zatamować krwawienie.

- Shaw, dostałem, chodź tu, ale już! - zawołał Long łamiącym się głosem

- Sanitariusz!!! - rozległo się głośnie nawoływanie kaprala Donalda Shawa, które na chwilę zagłuszyło odgłosy walki.

Medyk, o dziwo, pojawił się w okamgnieniu. Bez zbędnych ceregieli zabrał się za udzielenie pomocy rannemu spadochroniarzowi.

Sierzant Preiss pośliznął się na gliniastym podłożu, uderzając o nie z całej siły. Był wściekły. Rozładował emocje na rekrucie podążającym jego śladem.

- Rusz dupę, złamasie! - zaryczał podoficer, widząc, jak rekrut mozolnie pnie się ku górze.

Matkowsky posłał dowódcy drużyny gniewne spojrzenie, ale nie odezwał się. Wybuch granatu przygniótł teraz wszystkich do ziemi. Zaciekły ogień obrońców nie tracił na intensywności. Higgitt podczołogał się w pobliże stanowiska ogniowego, z którego prowadzono morderczy krzyżowy ogień. Szybkim ruchem ściągnął z obolałych pleców granatnik przeciwpancerny. Przed oddaniem strzału postanowił uspokoić oddech. Wypuścił głośnie powietrze i wycelował z LAW M72 w bunkier majaczący w oddali. Rakieta ze świstem wystartowała w kierunku celu. Strzał był precyzyjny. Z rozerwanego schronu wyskoczył jeden Wietnamczyk, lamentując głośnie, próbował ugasić mundur, który się na nim palił. Jego męczarnie zakończyła celna seria z M60, która prawie przecięła go na pół.

Ethan Matkowsky ruszył biegiem do przodu w kierunku zniszczonego umocnienia. W połowie drogi jego noga zaczęła o płątaninę korzeni. Runął

na ziemię jak długi. Upadek ten jednak ocilił mu życie. Biegący obok niego żołnierz został trafiony pociskiem karabinowym w bark, potem kolejnym w brzuch i padł na ziemię. Leżał na plecach kilka metrów od Matkowsky'ego i wpatrywał się w niego. Jego oczy wołały o pomoc. Łzy płynęły mu po twarzy, a z ust wraz z bąbelkami śliny wyciekała krew. Postrzał w brzuch przerażał spadochroniarza jak nic innego. Nie mógł opanować drżenia rąk. Puciołowaty chłopak z Chicago zamknął oczy, nie chciał patrzeć na śmierć kolejnego Amerykanina.

Specjalista 4 stopnia Bill Orwig, taszcząc na plecach radiostację polową, przeklinał ją w duchu. Te dodatkowe kilka kilogramów obciążenia potęgowało jego masę, przez co był wolniejszy, a co za tym idzie, stanowił łatwiejszy cel dla wietnamskich piechurów. Klnąc na czym cały świat stoi, nie wiedział, że to właśnie radiostacja uratuje mu życie. Radiooperator nie mógł nadążyć za biegnącymi przed nim spadochroniarzami z kompanii C 4 Batalionu. Musiał przystanąć, chwilę odsapnąć. Oddychał z wyraźnym trudem. Temperatura, która osiągnęła 95°F, i duża wilgotność dawały mu nieźle w kość. Dysząc ciężko, odprowadzał wzrokiem trzech spadochroniarzy, którzy wdarli się do kolejnego bunkra. Potężna eksplozja, do jakiej doszło wewnątrz bunkra, mówiła sama za siebie. Któryś z żołnierzy uruchomił pułapkę. Orwig zdawał sobie sprawę, że gdyby za nimi nadążył, także byłby martwy, rozerwany na strzępy. Zatrzeszczała radiostacja. Krótka zwięzła komenda nakazywała wycofanie wszystkich jednostek do odległości 100 metrów od szczytu. Rozkaz wskazywał jednoznacznie na to, że Amerykanie ponosili za duże straty i nie wszystko poszło tak, jak planowano. Decyzje zapadły na wysokim szczeblu dowodzenia. Skomasowany atak miał ruszyć w dniu następnym. Zdobycie wzgórza 875 zaplanowano na Dzień Dziękczynienia. Do tego czasu obrońcy mieli zostać zasypani pociskami artyleryjskimi i bombami lotniczymi.

Wezwana na pomoc artyleria zaczęła zmasowany ostrzał. Jednak niezbyt dobre rozeznanie w terenie i źle podane koordynaty spowodowały, że omyłkowo pociski zaczęły spadać na pozycje, których nie zdążyli jeszcze opuścić spadochroniarze. Wolf przycisnął ręce do piersi, usiłując tym sposobem uspokoić walące jak oszalałe serce. Oddychał głośno i szybko. Był prawie na granicy hiperwentylacji. Od chwili rozpoczęcia ostrzału siedzieli w jednym z licznych drewniano-ziemnych bunkrów w zbudowanym

koncentrycznie pasie umocnień wokół wzgórza. Pociski padały coraz bliżej, lecz wietnamskie bunkry były bardzo odporne na ostrzał, tylko bezpośrednie trafienie mogło je zniszczyć.

W pewnym momencie wszędzie zrobiło się czarno. Rozżarzony odłamek trafił prosto w głowę Jamesa Mortona, zrzucając mu hełm. Krew natychmiast spłynęła mu po twarzy, zalewając oczy, usta i podbródek. Umarł, zanim opadł na błotniste podłoże wewnątrz umocnienia. Mózg radiooperatora zmieszał się z krwią i błotnistą breją, obryzgując innych zgromadzonych w bunkrze żołnierzy.

- Niech to szlag!!! - zaryczał Matkowsky, podnosząc się z kolan.

Krew zalewała całą jego szyję i spływając w dół, plamiła tropikalny mundur. Szrapnel rozorał rekrutowi policzek, po czym obciął jak brzytwa małżowinę uszną. Mężczyzna, będąc w szoku, opadł powrotnie na ziemię i począł szukać utraconego ucha. Wolf założył mu opatrunek na głowie, szczelnie bandażując ranę. Krwawienie jednak było obfite i wkrótce opatrunek przesiąkł. Kolejny założony bandaż uczynił Matkowsky'ego podobnym do mumii.

Po prawie godzinie ostrzał zelżał na tyle, że spadochroniarze mogli zaryzykować wycofanie się w dół wzgórza, zbiegając czym prędzej z boczem.

Swanson nie widział jeszcze takiego natężenia ognia, od kiedy był w Wietnamie. Pod wpływem wybuchów cała góra trzęsła się jak galareta. Ostrzał trwał już całe popołudnie i nic nie wskazywało na to, że miał się zakończyć. Przerwę w walce wykorzystano na ewakuację rannych i dostarczenie na pierwszą linię amunicji i żywności.

- Nie uda nam się zdobyć tego pieprzonego wzgórza - naciskając mocniej na głowę hełm, narzekał Cecil Watts.

- Nie szerz, kurwa, defetyzmu, i tak dzisiaj nieźle oberwaliśmy - ostro zrugął go młody oficer siedzący kilka metrów od niego.

Żołnierze odpoczywali, delektując się każdą nawet krótką chwilą, kiedy nie musieli walczyć.

Gdy zapadł zmrok, wojska amerykańskie zajęły nocne pozycje obronne. Noc była czarna i bezgwiezdna. Ostrzał ucichł i przebrzmiał. Tuż po zachodzie słońca na szczycie rozbłysły złowrogie małe ogniska. Wróg przystąpił do spożywania posiłku. Tom patrzył na to ze zdziwieniem, zdawał sobie sprawę, że dla wielu młodych ludzi może być to ostatnia wieczerza.

Dzień Dziękczynienia rozpoczął się od ostrzału, który trwał już od wczesnych godzin porannych. Do artyleryjskiej kanonady dołączyły odgłosy wzmożonego nalotu. Wzgórze obrzucono zbiornikami z napalmem, który skrzętnie niszczył wszystko, co żywe. Gdy przygotowanie ogniowe natarcia ustało, zapanowała kłująca w uszy martwa cisza. Nie trwała ona jednak zbyt długo. Liczne głosy wietnamskich żołnierzy dochodzące ze szczytu nie wróżyły nic dobrego. Tom wiedział, że spadochroniarze będą musieli zapłacić jeszcze sporą daninę krwi, by zdobyć wzgórze 875.

Frontalny ostateczny szturm pozostałości 2 Batalionu i spadochroniarze 4 Batalionu 503 Pułku rozpoczęli jednocześnie. 1 Batalion z 12 Pułku Piechoty rozpoczął atak na południowym stoku z małym opóźnieniem. Amerykanie, zdobywając umocnienie po umocnieniu, stopniowo zbliżali się do szczytu. Cały czas walczone o każdy bunkier, o każde umocnienie i każdy odcinek okopu. Żołnierze idący na czele weszli wprost na zamaskowany bunkier. Szeregowiec zginął natychmiast. Oficer z kompanii Bravo oberwał w brzuch, konał nieco dłużej.

- Mamo! - ktoś krzyknął łamiącym się głosem.

Krzyk młodego rekruta odbił się głuchym echem od stromych wzniesień po obu stronach niewielkiego wąwozu.

- Umieram - odparł łamiącym się, ledwo słyszalnym głosem, gdy Swanson do niego doskoczył. - Odchodzę - dokończył po chwili.

Młody chłopak o niebieskich oczach jak lazurowe morze odszedł, wpatrując się w tumany czarnego dymu, które wzbierały nad polem bitwy. Seria z AK-47 przecięła powietrze i przywróciła bostończyka do rzeczywistości. Parł naprzód, co rusz rzucając się na ziemię, aby tam szukać schronienia przed kulami wrogów.

Trafiony dwoma pociskami w klatkę piersiową sierżant James Preiss zdołał się jeszcze kawałek podczołgać, zanim jego agonia dobiegła końca. Pozostawił za sobą na ziemi poszarpaną smugę krzepnącej już krwi. Lada dzień, lada godzina, lada chwila być może moje życie zakończy się - pomyślał Wolf, przeskakując nad zwłokami podoficera. Gnał jak oszalały, nie czuł bólu, chociaż niespełna kilka chwil wcześniej otrzymał postrzał w ramię. Sprawcę nafaszerował ołowiem, gdy ten przeładowywał broń. Spadochroniarz oddychał ciężko, łapczywie nabierając powietrze. Przekrwionymi od wysiłku oczami spojrzał na swoją zranioną rękę. Z prawie

idealnego okrągłego otworu powoli sączyła się krew. Kurwa - zaklął w duchu. Nie zamierzał tracić czasu na bandażowanie rany, nie była śmiertelna. Oparty o leżący na boku konar drzewa obserwował, jak kolejni spadochroniarze nadbiegali, kierując się na szczyt.

- Uważajcie, bunkier po lewej! - mieszkaniec Suffolk próbował ostrzec swoich towarzyszy przed zagrażającym im niebezpieczeństwem.

Było jednak za późno. Ulokowani w stanowisku ogniowym Wietnamczycy otworzyli ogień z karabinu maszynowego. Szeregowy Cecil Watts wyprostował się jak struna, gdy pocisk z RPD przeszył jego serce. Opadł na ziemię jak szmaciana lalka rzucona w kąt. Kolejnych dwóch żołnierzy biegnących koło Drwala także poniosło śmierć. Morderczy krzyżowy ogień przygwoździł nacierających do ziemi. Nie pozostawiał im pola manewru. Dopiero celny strzał z bloopera uciszył złowrogi karabin maszynowy i dał nadzieję, że wzgórze zostanie zdobyte.

Idący na szczyt żołnierz dostał pociskiem w głowę. Padł martwy, a jego spadochroniarski hełm M1C z przestrzeliną po kuli poturlał się w dół zbocza. Na stokach góry co chwila dochodziło do gwałtownych wymian ognia. Często także następowały bezpośrednie starcia i wymieszania się atakujących z obrońcami.

Było stromo, szło się z trudem. Porosłe mchem, wystające z ziemi skały były śliskie. O'Donell miał złe przeczucie, coś tu nie grało. Czuł na sobie wzrok wietnamskich żołnierzy, ale sam ich nie widział. Przystanął na chwilę, aby napić się wody i uspokoić rwący się oddech. Suchość w ustach za nic nie chciała ustąpić. Nie zorientował się, skąd i kto zadał mu śmiertelny cios. Dwie kule przeszły jego klatkę piersiową w chwili, gdy wychylił się zza ukrycia. Ból był zatrważający, nie do zniesienia. Z każdą minutą oddychało mu się coraz ciężiej. Znikąd nie mógł oczekiwać pomocy. Był sam. Zawsze umiera się samotnie - pomyślał, gdy obraz zaczynał mu się rozmazywać. Próbował zawołać o pomoc, ale krzyk ugrzązł mu w gardle. Szeregowy Larry O'Donell z każdym następnym oddechem czuł, że zbliża się jego koniec.

- Trzymaj się! Zaraz cię stąd zabierzemy - usłyszał jakby przez mgłę, zanim całkowicie stracił przytomność.

Swanson poczuł lekki podmuch powietrza na policzku, kiedy pocisk minął jego twarz zaledwie o kilka centymetrów. Rzucił się na ziemię, aby

uniknąć kolejnej serii wymierzonej w jego kierunku. Bostończyk czołgał się przed siebie, brnąc w błotnistej śliskiej breji. Niespodziewanie grunt się skończył i mężczyzna opadł na dno niewielkiej tranzei, uderzając o nie plecami. Z trudem oddychał, po policzkach spłynęły mu łzy. Wokoło panował chaos. Wszędzie trwały walki, zarówno na dystans, jak i wręcz. Tom głośno odkaslnął, gdy udało mu się w końcu zaczerpnąć duży haust powietrza. Wietnamski piechur wskoczył do okopu kilka metrów od leżącego spadochroniarza. Jego oczy miały wielkość spodków pod filiżanki do kawy, gdy spostrzegł skulonego w rogu Amerykanina. Żołnierz APW wycelował w Swansona z karabinku SKS, ale bostończyk był szybszy. Wpakował Wietnamczykowi dwie kule w pierś. Spadochroniarz spojrział umierającemu prosto w oczy, jak głodne zwierze patrzy na swoją zdobycz. Następnie przebił go jeszcze bagnetem, aby być pewnym, że ten mężczyzna nigdy już na nikogo nie podniesie dłoni. Będący na granicy wytrzymałości spadochroniarz opadł tuż obok zwłok człowieka, którego przed chwilą pozbawił życia. Do okopu jak worek ziemniaków wskoczył Higgitt, dysząc jak lokomotywa. Przyłożył broń do ramienia, gdy zobaczył mężczyzn na dnie tranzei. Opuścił jednak broń, rozpoznawszy w jednym z nich Swansona. Chwiejnym krokiem podszedł do siedzącego Toma.

- Na pewno dotarliśmy do miejsca, które mamy zdobyć? - spytał niepewnie, wpatrując się w swojego rozmówcę.

- Tak - odparł Swanson, z trudem chwytając powietrze. - To szczyt wzgórza 875 - dodał, wysilając się na niewielki uśmiech.

Bostończyk zebrał się w sobie i zagryzając wargi, podźwignął się do góry. Wyrzał niepewnie poza krawędź okopu. Wolał zachować ostrożność, instynkt podpowiadał mu, że to nie koniec walk o to przeklęte wzgórze. Okolica wyglądała zatrważająco, spalone porozrywane drzewa sterczały ku niebu niczym rząd nawtykanych w ziemię wykałaczek. Widok był przerażający, głęboko oddziałujący na psychikę. Wojna to piekło - pomyślał w duchu Tom, głośno przelitykając ślinę. Obraz dopełniał widok żołnierza opartego o wciąż tłący się konar drzewa. Swanson do końca życia miał nie zapomnieć jego wyrazu twarzy. Rozpoznał w nim Jerry'ego „Rocky” Stone'a z 4 Batalionu. Tom miał dość, za dużo dzisiaj widział. Opadł zupełnie bez sił na dno okopu i mocno zacisnął powieki. Błagał Boga, aby ten koszmar się skończył.

Starszy szeregowy Louis Pimlott nie miał pojęcia, od jakiego czasu leży na ziemi i jak długo był nieprzytomny, od kiedy został uderzony przez duży kawałek drzewa. Musiało minąć trochę czasu, bo krew na ranie na głowie już skrzepła. Coś się zmieniło. Nie zauważył tego od razu. Dopiero po chwili jego mózg wychwycił informację, że walki były prawie zakończone. Słyszał zaledwie kilka pojedynczych wystrzałów, które dobiegały gdzieś z drugiej strony szczytu. Ból głowy był duży, pulsując przenosił się na całe jego ciało. Był sam, nie licząc ciał wroga wymieszanych ze zwłokami żołnierzy Sky.

W oddali zadudnił odgłos nadlatującego hueya. Pisarz kompanii patrzył na lot śmigłowca, jak się domyślał, z zaopatrzeniem dla piechurów, którzy walczyli w tym rejonie wzgórze. Pilot maszyny leciał stanowczo za szybko i za nisko. Stało się to, co było nieuniknione. Śmigła zaczęły ścinać wierzchołki drzew okalających doraźne lądowisko. Z każdą następną minutą UH-1 obniżał się coraz niżej i ścinał coraz grubsze gałęzie. Pilot hueya, gdy zorientował się w sytuacji, próbował jeszcze zapanować nad coraz to bardziej chwiejnym pojazdem i poderwać go do góry. Pimlott zauważył, że UH-1D w pewnym momencie przechylił się na prawą stronę i runął na ziemię jak kamień. Załoga zdołała wydostać się samodzielnie z wyjątkiem pilota, który pozostał przypięty do fotela. Był nieprzytomny i poważnie ranny w brzuch, zakleszczony w mocno pokiereszowanym aluminiowym kadłubie. Bell UH-1 Iroquois po chwili stanął w płomieniach. Zaledwie po paru minutach do palącego się śmigłowca doskoczyło dwóch żołnierzy z 1 Batalionu piechoty. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, przystąpili do akcji ratunkowej mającej na celu wyciągnięcie nieprzytomnego pilota z palącej się maszyny. Piechociarze rozłukli przednią szybę z pleksiglasu, a następnie wyrwali z zawiasów jedno z drzwiczek kabiny. Udało im się oswobodzić pilota i wspólnymi siłami przenieść go w bezpieczne miejsce. W chwili, gdy dzielni żołnierze zniknęli z rannym w zaroślach, nastąpiła potężna eksplozja paliwa oraz amunicji przewożonej przez śmigłowca. W miejscu, gdzie maszyna runęła na ziemię, powstał ognisty gejzer, a jęzory smolistego dymu wzbity się ku niebu.

Kapral Donald Shaw wsłuchiwał się w milknące z każdą następną minutą odgłosy walki. Podoficer patrzył z podziwem w oczach na zmordowanych ludzi w ciemnych od potu mundurach i twarzach ubrudzonych krwią i pyłem. Udało im się, zdobyli tak zaciekle bronione wzgórze. Szczyt wzgórze 875

zdobyli 23 listopada 1967 roku. Jedna myśl nie dawała mu jednak spokoju: po co? Nie miał pojęcia, ile czasu trwał finalny atak na wzgórze. Wydawało mu się, że całą wieczność, ale tak w rzeczywistości nie trwał zapewne dłużej niż pół godziny. Shaw poprawił poplamiony błotem i krwią bandaż na nodze, gdzie ugodził go odłamek wietnamskiego granatu. Chociaż czuł ból, nie okazywał go, to było zaledwie zadrapanie w porównaniu do tego, jakie rany odnieśli jego towarzysze broni. Usiadł na pierwszym wolnym miejscu, które udało mu się znaleźć. Skrył twarz w dłoniach i zapłakał głośno i przeciągle.

- Donald, nie łam się, bracie, już po wszystkim - kojącym głosem wypowiedział radiooperator Orwig, poklepując zrozpaczonego Shawa po plecach.

- Wygraliśmy, udało nam się - wtrącił się Pimlott nadchodzący wzdłuż okopu.

- Tak, tak... - wypowiedział Shaw zduszonym głosem i zmęczonym wzrokiem obrzucił kolejnych żołnierzy, którzy wchodzili na zdobyty przed chwilą szczyt 875.

Evakuacja rannych i transport zaopatrzenia rozpoczął się kilka godzin po zdobyciu wzgórza. Jedne maszyny lądowały, przywożąc amunicję, żywność i wodę, inne startowały z rannymi na pokładzie. Dowództwo nie знаło zamiarów wroga i przyjmując pesymistyczne wersje, spodziewało się kontrataku na świeżo utracone pozycje. Najmniej poturbowany w walce 1 Batalion 12 Pułku Piechoty miał obsadzić strategiczne punkty i w razie czego odeprzeć północnowietnamski atak. Żołnierze Sky mieli odpocząć, a wkrótce potem zostać zluwowani i odtransportowani na tyły.

Szeregowy Higgitt zaczął nerwowo pukać palcami po skrzynce amunicyjnej. Był zmęczony, ale, o dziwo, potrafił wykrzesać z siebie jeszcze tyle siły, aby przynieść towarzyszom jedzenie. Orwig wyciągnął zza gumy okalającej hełm otwieracz do konserw i przystąpił do przygotowywania posiłku. W ramach uzupełnień otrzymali racje żywnościowe typu C.

- Kurwa, niech to szlag! - radiooperator wrzasnął, gdy w kolejnej konserwie nie udało mu się odnaleźć indyka.

- Spokojnie, Bill - półgłosem wypowiedział Kemp. - W następnej na pewno będzie - dodał, odpalając papierosa.

Specjalista 4 stopnia powoli otworzył wieczko kolejnej puszki. Na jego twarzy zagościł słaby uśmiech, gdy jego oczom ukazał się skromny kawałek

indyka w polewie.

- No to świętujemy! - oznajmił Orwig, nabijając kawałek mięsa na widelec. - Szczęśliwego Dnia Dziękczynienia - kontynuował, zagryzając indykiem.

Konserwa krążyła z rąk do rąk i każdy ze zgromadzonych żołnierzy 2 plutonu uszczknął coś dla siebie.

Zmierzch spowił całą okolicę bardzo szybko i czerń złapała w swoje szpony szczyt wzgórza. Po kolacji Swanson pogrążył się w marzeniach. Choć zmordowany do granic, podreptał kawałek dalej i znalazł dla siebie ustronne miejsce, gdzie spokojnie mógł wpatrywać się w niebo, na którym z każdą chwilą pojawiało się więcej gwiazd. Księżyc był wąski niczym sierp. Myślał o domu, o rodzicach, ale przede wszystkim o Winnie. Zastanawiał się, co mogła teraz robić. Mężczyzna starał się swoimi myślami dać jej znać, że tęskni i wciąż bardzo ją kocha. Zdawał sobie sprawę, że było to naiwne, ale nie obchodziło go to. Musiał przeżyć, musiał wrócić do Bostonu i musiał zacząć żyć pełnią życia z Gwendolyn Paxton.

Od rana trwała wymiana ognia na zachodnim zboczu. Spadochroniarze z 4 Batalionu zostali tam przygwożdżeni do ziemi niespodziewanym ostrzałem moździerzowym. Ostrzał jednak ucichł tak gwałtownie, jak się pojawił. Północnowietnamski moździerz został uciszony przez nisko przelatujący nad wzgórzem śmigłowiec szturmowy. Po śniadaniu miało się rozpocząć oczyszczanie góry z żołnierzy wroga.

Na początku małej grupki pozostałej z 2 plutonu podązał sierżant Wayne Kemp. W pewnym momencie zatrzymał się i zastygł w tej pozie na dłuższą chwilę. Powoli zbliżył się do podoficera Pimlott, skradając się jak pantera. Pisarz spojrział na Kempa i oniemiał. Twarz dowódcy drużyny była szara jak popiół, natomiast oczy nie zdradzały żadnych emocji. Na wpół wypalony papieros nieznacznie tlił się w kąciku jego ust. Dopiero teraz Pimlott zorientował się, na co patrzy podoficer. W leju po bombie leżały zwłoki wietnamskich żołnierzy, w tym kilku kobiet. Jedna z Wietnamek, rozerwana prawie na pół, trzymała w dłoniach niedawno urodzone dziecko połączone jeszcze z nią pępowiną.

- Idziemy! - rzucił komendę Pimlott, widząc, co się dzieje.

Za kolejnym wzniesieniem przywitał ich ostrzał z kałasznikowa. Leżący wśród zgliszczy żołnierz APW za nic nie chciał się poddać. Ołowiane pociski

w stalowych płaszczach cięży powietrze raz za razem. Amerykanie pokonując teren skokami, zbliżali się do ostatniego obrońcy na północnym stoku. Higgitt odbezpieczył granat i rzucił go wprost na pozycję zajmowaną przez niezłomnego obrońcę. Głucha eksplozja granatu zapalającego M34 rozniosła się echem po okolicy. Uwolniony fosfor zgromadzony do tej pory w metalowej skorupie łączywie palił to, co napotkał na swojej drodze. Terkot broni automatycznej uciął. Powoli spadochroniarze wyszli ze swoich ukryć. Idąc powoli naprzód, bacznie rozglądali się w każdym kierunku. Swanson wlepił tępy wzrok w tłący się jeszcze kawałek belki i leżące obok niej zwłoki wietnamskiego piechura. To był ten niedawny bohater, który tak żarliwie ich ostrzeliwał. Jak życie bywa kruche, przekonał się bostończyk zaledwie kilkanaście minut później. Grenadier Joe Buster nachylił się nad czymś, po czym podnosząc to do góry, ryknął na całe gardło:

- Zobaczcie, co znalazł...

Podniesiony przez rekruta do góry pocisk do granatnika przeciwpancernego RPG-7 eksplodował w chwili, gdy mężczyzna uchwycił go w dwie ręce i uderzył zapalnikiem w kolbę zawieszzonego na ramieniu bloopera. Wybuch był potężny. Bezmyślny operator M79 został rozerwany na strzępy, a stojący najbliżej niego szeregowy Itako Akuma został ugodzony trzema odłamkami.

- Sanitariusz!!! - rozniósł się przerażający krzyk Kempa.

Akcja ratunkowa rozpoczęła się bardzo szybko i spadochroniarz japońskiego pochodzenia w niedługi czas po detonacji został dostarczony do śmigłowca, który zabrał go do szpitala polowego.

Idący dalej żołnierze natrafili na kolejne skupiska wietnamskich ciał. Jeden z ciężko rannych piechurów północnowietnamskich błagał o to, aby zakończyć jego męki. Podoficer wyciągnął pistolet, którego używał tylko w naprawdę skrajnych przypadkach. Przekazał go umierającemu. Wietnamczyk podziękował, po czym pociągnął za spust, pozbawiając się życia. Kemp wyjął swoją broń służbową z kostniejących z wolna palców denata.

- I co z tego, że zdobyliśmy to przeklęte wzgórze! - głos dowódcy drużyny zabrzmiał nieprzyjemnie, aż zabolał zgromadzonych w uszy.

Wszyscy wiedzieli, o co chodziło Kempowi, ale nikt nie odważył się zabrać głosu. Stali tak i wpatrywali się w Wietnamczyka, który przed chwilą

strzelił sobie w głowę.

- Ach... - Swanson westchnął głośno, przerywając nieznośną ciszę i poprawił hełm, który uwierał go w głowę.

Późnym wieczorem dowiedzieli się, że rano mają opuścić szczyt góry, na którym mieli pozostać tylko żołnierze z 1 Batalionu 12 Pułku Piechoty. Wszyscy spadochroniarze walczący o wzgórze mieli opuścić pole walki, zostali skierowani na krótkoterminowe urlopy.

Od wczesnych godzin porannych 25 listopada 1967 roku na wzgórzu panował wzmożony ruch. Spadochroniarze zgrupowani w okolicy lądowiska czekali na transport do bezpiecznej strefy. Pierwszym śmigłowcem poleciał radiooperator, specjalista 4 stopnia Bill Orwig, który został hospitalizowany z powodu malarii. Swanson w duchu żałował poległych towarzyszy, jednak radość w jego sercu była wielka. On przeżył i lada moment miał zostać zabrany z pierwszej linii. Jak się domyślał, jego dni na polu walki dobiegały końca. Do końca jego służby pozostały mu zaledwie niewiele ponad dwa miesiące. Miał szczerą nadzieję, że spędzi je z dala od bitewnego zgiełku, gdzieś daleko na zapleczu.

- Jazda, wchodzić!!! - zaryczał podoficer kierujący załadunkiem żołnierzy.

Tom, gdy usłyszał te słowa, wstrzymał oddech. Jego ciało zlał zimny pot, a po karku przeleciały mu ciarki. Coś ścisnęło go za gardło, był bliski, aby zanieść się płaczem. Wiedział jednak, że nie może teraz się rozkleić. Podniósł się powoli, pomagając sobie przy tym bronią. Szedł powoli tak, jakby nie zależałoby mu na tym, aby jak najszybciej opuścić tę przeklętą górę. Był jednym z ostatnich żołnierzy 2 Batalionu 503 Pułku Piechoty Spadochronowej, który opuszczał wzgórze 875. UH-1 poderwał się do góry i zakołysał na boki przez ostry podmuch wiatru wiejący z boku. Bostończyk zdjął hełm z głowy i położył go na rozedrganej podłodze śmigłowca. Nie miał pojęcia, gdzie teraz rzuci go los. Miał jednak nadzieję, że jak najdalej od Dak To.

Bitwa o Wzgórze 875 była kosztowna, straty w ludziach i sprzęcie - zatrważające. 2 Batalion (2/503) stracił: 87 zabitych, 130 rannych i 3 zaginionych w akcji. Natomiast siostrzany 4 Batalion (4/503) stracił: 28 zabitych, 123 rannych oraz 4 zaginionych. Straty wroga nigdy nie zostały ujawnione. Pobici żołnierze APW opuścili rejon walk, znikając w pobliskiej

Kambodży lub Laosie. 173 Brygada Powietrznodesantowa za wybitną waleczność i hart ducha otrzymała Presidential Unit Citation. Trzech spadochroniarzy - mjr Charles J. Watters, szeregowy John A. Barnes III oraz szeregowy Carlos Lozada - wszyscy pośmiertnie otrzymali Medal Honoru za heroizm podczas walk o Dak To.

XVII

TUY HOA

Swanson siedł wolno brzegiem plaży. Ciepłe wody Morza Południowochińskiego obmywały jego nogi. Działo to na niego bardzo kojąco. Od kiedy 2 Batalion 503 Pułku Piechoty Spadochronowej podczas zmagania w Dak To stracił prawie 60% stanu wyjściowego i na długie miesiące został wyeliminowany z pierwszej linii, spadochroniarze cieszyli się błogim lenistwem. Zostali odesłani z dżungli do strefy przybrzeżnej do Tuy Hoa. Batalion miał tutaj dostać uzupełnienie i odzyskać zdolność bojową. Tom zakończył wędrówkę po piaszczystej białej plaży przy niskiej wydmie okalającej urokliwy zakątek. Nadal był rozżalony. Nie było warto. Tyle bezsensownego przelewania krwi o górę, którą i tak potem opuścili, pomyślał bostończyk i uderzył zaciśniętą w pięść dłońią o nagrzaną piasek.

Od chwili przybycia do Tuy Hoa mężczyzna szukał samotności. Jedyne, na czym mu zależało, to skreślenie liczby dni, jaka mu pozostała do odsłużenia, w małym podręcznym kalendarzu. Teraz na plaży był on i jego towarzysz - butelka whisky. Swanson nie był już tym samym człowiekiem, który z takim optymizmem wsiadał na statek wiozący go ku - w jego mniemaniu - wielkiej przygodzie. Był naznaczony przez życie, stał się podejrzliwy, cyniczny a przede wszystkim obchodziło go teraz tylko jedno - powrót do domu. Miał wrażenie, że wojna odebrała mu resztkę człowieczeństwa. Przestało mu zależeć na znajomych, większość i tak zginęła albo odniosła rany. Czuł się opuszczony, przerzuty i wypluty. W tej idyllicznej nadmorskiej miejscowości nie potrafił się odnaleźć.

- Wasze zdrowie, towarzysze broni! - spadochroniarz ryknął na całe gardło i podniósł do góry butelkę whisky w geście pozdrowienia.

Opróżnił w kilku głębszych haustach butelkę alkoholu i cisnął nią z całej siły przed siebie. Musiał wracać do bazy. Nie chciał swoich ostatnich dni

spędzić w areszcie. Powłócząc nogami, ruszył z wolna do obozu.

Ostre światło kłuło go w oczy. Powoli podniósł ociężałe powieki. Był już ranek. Mógł skreślić kolejny dzień. Szeregowy Cooper Higgitt usiadł na brzegu łóżka bostończyka i lustrował go wzrokiem.

- Lepiej coś zjedz - rzekł półgłosem były szofer dowódcy batalionu, podając zaspanemu Swansonowi puszkę z klopsikami.

- Ohyda. Chyba puszcze pawia - z obrzydzeniem rzucił spadochroniarz, gdy jego oczy zobaczyły mięso wyglądem przypominające wymiociny.

- Wstawaj - rzekł Higgitt, poklepując Toma po plecach - mamy dziś jeszcze sporo pracy.

- Hmm, trudny wybór. Niech ci będzie, Coop - rzekł Swanson, dźwigając się z posłania.

Opuszczenie baraku mieszkalnego zajęło spadochroniarzowi trochę czasu. Na zewnątrz panował skwar prawie nie do zniesienia. Słońce przygrzewało mocno. Tom podrapał się po głowie, zaczesując włosy dłonią w prawą stronę. Patrzył na dużą grupę młodych ludzi, którzy dotarli do bazy niespełna dwa dni wcześniej. To oni tworzyli uzupełnienia mocno przetrzebionych szeregów 2 i 4 Batalionu. Bostończyk spoglądał z politowaniem na rekrutów w króciutkich, koszarowych fryzurach, nowych mundurach, na których dumnie nosili kolorowe naszywki 173 BPD. Stojąc na placu apelowym, śmiali się, zapewne opowiadając sobie sprośne kawały, jak się domyślał Tom. Swanson zastanawiał się, ilu z tych młodych, pełnych życia ludzi wróci do Stanów w jednym kawałku.

- Cześć, Harvard.

Słowa skierowane w stronę spadochroniarza wytrąciły go z zamyślenia. Mężczyzna obrócił się na pięcie w kierunku swojego rozmówcy. Okazał się nim pisarz kompanii C, starszy szeregowy Louis Pimlott.

- Tom, chciałem się pożegnać. Właśnie otrzymałem dokumenty zwalniające mnie ze służby. W dowództwie coś pokręcili i skrócili mi okres o pięć dni. Niezły tam muszą mieć burdel. - Pimlott mówił szybko, z wyczuwalnym w jego tonie dużym podnieceniem. - Odlatuję za dwie godziny - dodał sztabowiec, zagryzając dolną wargę.

- Cieszę się. Stara gwardia odchodzi. Patrz, Louis, na to mięso armatnie. Niesłychane, jacy oni są z siebie zadowoleni, a jeszcze nie powąchali zapachu prochu - wypowiedział Swanson, wskazując głową na

rekrutów i siłąc się na niewielki uśmiech. - Kurwa! Niedługo i na mnie przyjdzie pora. Jeszcze tylko chwila, gdyby nie ten kurz, to by było już! - dodał bostończyk, otrzepując spodnie z brązowo-czerwonego pyłu.

Mężczyźni wymienili między sobą szereg uścisków i poklepywań, po czym Pimlott skierował się wolnym krokiem w stronę budynku dowództwa kompanii Charlie. Kilkakrotnie obracał się w stronę Swansona, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Nie wydusił z siebie jednak ani jednego słowa, tylko pomachał spadochroniarzowi na pożegnanie i zniknął mu z oczu za drzwiami budynku dowództwa.

Boże Narodzenie i Nowy Rok zbliżyły się szybkimi krokami. Krzątania w Tuy Hoa znacząco przybrała na sile. Prace porządkowe i przygotowawcze do świąt ruszyły całą parą. Humor bostończyka poprawił się, gdy ze szpitala powrócili John Wolf wraz z Itako Akumą. Życie stało się prostsze, kolejne dni nie były już takie nużące. Na Boże Narodzenie zrobili małą choinkę z łodyg bambusa, ustawiając ją na starej skrzynce amunicyjnej. Przystroili ją wszystkim, co mieli pod ręką. Znalazły się na niej pociski do M16 i M60, różne odznaczenia, a nawet granat sowieckiej produkcji.

- Wesołych świąt wszystkim - wypowiedział tubalnym głosem sierżant Kemp, w chwilę potem upadł do tyłu, przewracając ustawione tam kartony z racjami żywnościowymi typu C.

Podoficer był totalnie pijany, ale nie dawał sobie powiedzieć, że jest nawalony jak autobus i powinien się położyć.

- Zabić wszystkich żółtk... - próbujący się podnieść z podłogi Kemp nie dokończył swojej wypowiedzi. Zwymiotował zawartością żołądka wprost pod nogi Higgitta.

Blondwłosa mieszkaniec Tulsy w Oklahomie pokręcił przecząco głową i cofnął się kawałek z obrzydzeniem. Smród szybko się rozniósł i uderzył w nozdrza zgromadzonych żołnierzy.

- Kurwa, Wayne, niech cię szlag! - nie wytrzymał Wolf i wyrzucił złość na zewnątrz.

Jeden z nowoprzybyłych pomógł podoficerowi posprzątać bałagan. Wigilijna wieczerza nie składała się z wielu dań, były tylko puszki, ciasto i alkohol, ale i tak miała w sobie coś magicznego. Większość zastanawiała się, jak ich bliscy spędzają ten szczególny dzień. Tom myślami był w Bostonie wśród rodziny, miał wrażenie, że czuje żar, jaki bije z kominka

w salonie. Oczami wyobraźni widział okazałą choinkę sięgającą prawie pod sufit, całą ozdobioną najróżniejszymi błyszczącymi stroikami. Pod nią było pełno prezentów, domyślał się, że jeden z nich był dla niego. Atmosferę potęgowała kolęda cicho pobrzmiwająca z radia. Jakże to inaczej wyglądało w obecnej rzeczywistości. Gromadka podchmielonych młodych ludzi próbujących zaśpiewać kolędę przy prowizorycznej choince i skromnym zimnym posiłku.

Nowy rok 1968 nastał nad Wietnamem z wielkimi nadziejami na wygranie tej wojny. Większość rekrutów paliła się do walki. Starzy frontowcy, których było niewielu, dziękowali Bogu i dowództwu, że dane im było spędzić tyle dni poza pierwszą linią i przekłętą dżunglą. Swanson upił się w Sylwestra do nieprzytomności. Nowy Rok przywitał wielkim kacem i dołem moralnym.

W końcu nastąpiło to, co było nieuniknione. Nowe rozkazy dla 2 Batalionu przysły z początkiem stycznia. Zmieniano mu dyslokację. Spadochroniarze mieli zostać przewiezieni do bazy w An Khe.

- Patrz, John, nie przypomina ci to czegoś? - sarkastycznie spytał Swanson swojego towarzysza, który objuczony sprzętem szedł za bostończykiem zaledwie kilka kroków.

Wolf podniósł wzrok znad ziemi i spojrzał w kierunku, w którym zmierzali. W oddali majaczył równo ustawiony na placu manewrowym rząd wojskowych 2,5-tonowych ciężarówek.

- Faktycznie. Prawie jak w Vung Tau - stwierdził Wolf, poprawiając oporządzenie, które go niemiłosiernie uwierało.

- Mam nadzieję, że tym razem będzie lepsza podróż - wtrącił Swanson. - Zresztą mam coś na poprawienie nam komfortu jazdy - dodał bostończyk, wyciągając z kieszeni bluzy mundurowej dwa skręty.

- I za to cię lubię, Tom.

Spadochroniarze swój krótki marsz zakończyli na poboczu placu. Byli na nogach już od wczesnych godzin porannych 16 stycznia. Nie dane im było jednak zaznać dłuższego odpoczynku. Głos oficera zarządzającego załadunkiem nie pozostawiał złudzeń.

- Pakować się na ciężarówki. No, już! Ruszać dupy! - huknął oficer, nerwowo krążąc w miejscu.

Żałunek nie przebiegał tak, jak to zaplanował go oficer. Rekruci,

choć pomagali sobie nawzajem, mieli problemy, aby dostać się na skrzynię ładunkową M35. Wśród krzyków i przekleństw udało się załadować spadochroniarzy na samochody transportowe. Wpakowani do ciężarówek niczym bydło, byli ściśnięci niemiłosiernie. Gdy kierowca z trzaskiem zamykał tylni właz, obrzucił spadochroniarzy pogardliwym spojrzeniem, a na jego twarzy zagościł szyderczy uśmiezek.

- Pierdol się, dekowniku! - nie wytrzymał któryś z młodych żołnierzy.

Kierowca uznał, że nic nie zaszło i szybko oddalił się do szoferki. W niedługim czasie potem zawarczały silniki ciężarówek i kolumna marszowa z wolna ruszyła naprzód. Jedynym śladem ich bytności były obłoki smolistego dymu z rur wydechowych unoszące się ku górze. Kolumnę prowadził oficer odpowiedzialny za ładunek siedzący w jednym z dwóch jadących na czele uzbrojonych w karabiny maszynowe M60 samochodów terenowych M151 MUTT.

Po drodze mijali żyzne tereny Wyżyny Centralnej z mnóstwem pól ryżowych i plantacji kauczuku. Wyboista droga nie ułatwiała im podróży. Samochody niczym spławiki na wodzie podskakiwały na każdej nierówności. Na twarzy Swansona pojawił się nikły uśmiech, gdy kolumna przekraczała punkt kontrolny stanowiący pierwsze zabudowania bazy w An Khe.

- No to wysiadka - stwierdził bostończyk, gdy kolumna 2,5-tonowych ciężarówek zatrzymała się.

Baza w An Khe okazała się zapadłą dziurą, o której nawet dowództwo zapomniało. Warunki bytowe były spartańskie, każdy ze łzą w oku wspominał Tuy Hoa. Morale sięgnęło dna, pomimo że jeszcze niedawno rekruci nie mogli się doczekać, kiedy wyruszą na front. Frustrację żołnierzy pogłębiał fakt, że miejscowa ludność jakoś nie pałała do nich sympatią. Było diametralnie inaczej niż w strefie przybrzeżnej. Na domiar złego pogorszyła się pogoda. Momentalnie zrobiło się czarno i rozszalała się tropikalna ulewa. W ciągu zaledwie kilku minut widoczność spadła niemal do zera. Rozszalała się burza, jedna z najgwałtowniejszych, jakie nawiedzają ten region. Takiego przywitania w obozie An Khe nikt się nie spodziewał. Deszcz nie ustawał przez cztery kolejne dni. Dopiero rano 20 stycznia przyniósł poprawę pogody.

- Tom, dzisiaj mamy oczko. Zostały nam trzy tygodnie. Pieprzone dwadzieścia jeden dni i do domu...

Entuzjazm Wolfa udzielił się także bostończykowi. Poczul żar wzbierający w jego ciele. Gotował się od środka.

- Trzeba to jakoś uczcić - stwierdził Swanson stanowczym głosem.

- Chłopaki z pierwszego plutonu polecali bar Hô`ng ha`c ló,n - oznajmił Wolf, pukając palcami w blat prowizorycznego stołu. - Nazwę można przetłumaczyć jako „różowy flaming” - dodał, siląc się na wyjaśnienia.

Pretekst do wypicia był wyśmienity. Zaraz po uporaniu się ze swoimi obowiązkami, których było niewiele, Swanson i Wolf wraz z całą hordą innych spadochroniarzy wyruszyli do barów i burdeli mieszczących się zaraz za bramą obozu. Znalezienie polecanego lokalu nie nastęrczyło im większych problemów. Nad głównym wejściem dość niezdarnie namalowany był flaming trzymający w dziobie talię kart. Miejsce było podobne do setek innych lokali, które odwiedzali amerykańscy żołnierze, chcąc chociaż na chwilę oderwać się od okropieństw wojny.

- Dwie butelki whisky - rzucił do barmanki Wolf, zanim jeszcze znaleźli miejsce, gdzie będą mogli sięść.

Kobieta w zmiętej bluzce skinęła głową i zniknęła za kontuarem. Spadochroniarze mieli szczęście, mocno już zawiani dekownicy z logistki zbierali się do wyjścia. Żołnierze Sky szybko zajęli ich miejsce, aby nikt ich nie ubiegł. Zamówiony alkohol dość szybko znalazł się na poplamionym stole, który lata świetności dawno miał już za sobą.

- Na pohybel tym żółtym skurwysynom! - toast bostończyka przebił się przez gwar panujący w Różowym Flamingu.

Frontowcy nie bawili się w picie z kieliszków. Pochłaniali łąpczywie whisky prosto z butelek. Tom odstawił butelkę od ust i przetarł je ręką.

- To rozumiem...

Nie dokończył zdania, bo i tak jego towarzysz wiedział, co ma na myśli. Podrzędny bar pełny był takich jak oni i im podobnych. Markowy alkohol mieszano tu z tanim wietnamskim sikaczem, bo wiadano, że i tak Amerykanie wypiją wszystko.

Było już grubo po północy, gdy obaj spadochroniarze powiedzieli sobie dość. Pomagając sobie nawzajem, ruszyli w kierunku wyjścia. Musieli się przepychać, bo w barze panował nadal tłok. Szare od dymu tytoniowego powietrze gryzło w oczy. Swanson, ślepy prawie jak kret, niemal po omacku przedzierał się przez tłum, szukając wyjścia. Wolf uczepony do niego

niezrozumiale bełkotał coś pod nosem. Gdy znaleźli się na zewnątrz, uderzyło ich świeże powietrze, przywracając ich chwilowo do rzeczywistości. Objęci ruszyli w kierunku obozowiska.

Zdążyli ująć zaledwie kilkanaście metrów, gdy nastąpiła potężna eksplozja. Bar, który przed chwilą opuścili, stanął w płomieniach. W lokalu eksplodowała bomba podłożona przez partyzantów z Vietcongu. Mężczyźni cudem uniknęli śmierci. Wolf wpatrywał się przerażonymi oczami w płonących ludzi wybiegających z buchającego płomieniami budynku i wyglądających jak żywe pochodnie. Kilka porozrywanych ciał leżało na ulicy zaledwie kilka metrów od spadochroniarzy. W nozdrza uderzył ich smród spalenizny.

Tom otarł ręką usta z krwi. Wciąż w głowie dudnił mu odgłos potężnego wybuchu i brzęk tłuczonego szkła. Głupia myśl przeleciała mu po głowie, że nie o takich fajerwerkach myślał, gdy wychodził uczcić końcowe dni swojej służby w Wietnamie. Leżał w wąskiej uliczce i tęnym wzrokiem wpatrywał się w coraz większe grono gapiów. Tłum z każdą minutą stawał się coraz większy. Wkrótce pojawiła się żandarmeria i inne służby porządkowe. Spadochroniarze po krótkim przesłuchaniu zostali odesłani do swojej jednostki. Dotarli do niej w milczeniu, jakoś odeszła im chęć do świętowania.

Kolejne dni ciągnęły się Swansonowi w nieskończoność. Wykonywanie codziennie tych samych czynności było dla niego nie do zniesienia. Z każdym kolejnym mijającym dniem zbliżającym go do powrotu do Stanów bostończyk stawał się coraz bardziej nerwowy.

Tom i John zamienili się w kłębek nerwów, gdy do bazy zaczęły docierać niepokojące wieści. Wietnamczycy wyszli z cienia i porzucili walkę partyzancką. Zmasowanymi siłami zaatakowali bazę Marines w Khe Sanh. To był niestety dopiero początek złych informacji. Z dniem 30 stycznia ruszyła Ofensywa Tet, przez wielu uznawana za punkt zwrotny wojny w Wietnamie. Walki objęły wszystkie większe miasta, najcięższe boje toczyły się w Sajgonie i Hue. Spadochroniarze obawiali się, że i ich baza zostanie zaatakowana. Pomimo podniesionego alarmu i wykrycia patroli wroga nieopodal An Khe nic więcej się nie wydarzyło. W myśl nowych rozkazów kompania Charlie miała dokonać desantu śmigłowcowego nieopodal bazy, aby przeczesać teren w poszukiwaniu większych oddziałów wroga.

Zanim rozkazy wyższych przełożonych spłynęły w dół, nastał początek

pory monsunowej i dzień powrotu Swansona do ojczyzny. Bostończyk marzył o tym dniu po tysiącokroć, teraz się go bał. Tak wyczekiwany 10 lutego 1968 roku napawał go trwogą. Dzień powrotu do domu, do bliskich i przyjaciół był dla niego wielką niewiadomą. Weteran bał się, że coś pójdzie nie tak i zginie w ostatnim dniu swojej służby.

- Co będziesz robił w cywilu? - słowa Wolfa przerwały tok myślenia Swansona.

Mężczyzna nie zastanawiał się długo. Dobrze znał odpowiedź, bo sam zadawał ją sobie wielokrotnie.

- Wracam na studia i do Winnie. A ty, John?

- Jeszcze nie wiem. Być może wyruszę w wielką podróż po Stanach. Zobaczę, co zastanę w domu po powrocie i wtedy zdecyduję - Wolf wypowiedział półgłosem, obracając w dłoni blaszki nieśmiertelnika.

Kilka śmigłowców lądowało z łoskotem na pasie transportowym. Tylko jeden z nich przeznaczony był dla żołnierzy wracających do Stanów. Reszta maszyn miała zabrać spadochroniarzy do dżungli na patrol. Gdy opadł pył, Swanson spojrzął na grupę żołnierzy nerwowo drepających w miejscu. Podążali w jakże różnych kierunkach. On i Wolf wracali, tamci lecieli w bój. Szeregowi Higgitt i Akuma przyszli pożegnać swoich towarzyszy broni. Bostończyk patrzył na nich i widział u nich ten wzrok, który mówił wszystko. On sam tak niedawno patrzył w ślad za oddalającym się hueyem z Hackmanem na pokładzie.

Gdy weterani znaleźli się na pokładzie UH-1, Tom poczuł, że żyje i oddycha pełną piersią. Strach opuścił go w jednym momencie. Nie potrafił tego wyjaśnić, a nawet nie próbował. Śmigłowiec poderwał się do góry, pozostawiając na ziemi z każdą chwilą malejących spadochroniarzy. Cooper Higgitt machał im na pożegnanie.

- Żegnaj, Wietnamie!!! - wrzasnął na całe gardło Wolf. - Wracam do domu! - dodał po chwili, lecz wypowiedź tę zagłuszył już ryk wirnika.

Stojąc w Tuy Hoa przy pasie startowym z grupą innych weteranów czekających na samolot, który miał ich zabrać za ocean, Tom żył tą chwilą. Nie myślał o przyszłości. Wszyscy zgromadzeni wpatrywali się w zachmurzone niebo, gdzie powinien pojawić się ich ptak wolności. Do uszu oczekujących doleciał z północy narastający z każdą mijającą chwilą huk. Na moment znajoma wszystkim sylwetka potężnego transportowca C-130

wyłoniła się z chmur, by zaledwie po minucie ponownie w nich zginąć, szczelnie nimi owinięta. Ryk silników stał się głośniejszy. Maszyna zniżyła lot i wyłoniła się spod chmur, rozpoczęła procedurę lądowania. Pilot Herkulesa zmniejszył ciąg i transportowiec powoli osiadł na rozgrzanym pasie startowym.

Samolot zatrzymał się kilkanaście metrów od oczekującej grupki weteranów. Gdy z sykiem opadła tylna klapa, na pas wyszli świeżo upieczeni rekruci pełni wigoru, z szeroko otwartymi oczami. Z dużym zainteresowaniem przypatrywali się wszystkiemu dookoła. Tom nie zaprzętał sobie nimi głowy. Nic dla niego nie znaczyli. Udało mi się - pomyślał. Opuszczał to okrutne miejsce i nigdy, przenigdy nie zamierzał tu powrócić. Był pewien, że demony nie raz przypomną mu o tym bolesnym okresie spędzonym w tym niegościnnym kraju, o dniach, które przeżył gdzieś wśród pradawnej, gęstej i śmiercionośnej dżungli. Demony przeszłości nie odpuszczą, nie dadzą mu spokoju. Wiedział o tym. Czekala go walka z koszmarami, z widokiem martwych towarzyszy broni, którzy będą nawiedzać go w nocy i patrzeć na niego pustymi oczami, i błagać o pomoc. Teraz jednak wracał do Stanów, do kraju, ale przede wszystkim wracał do Bostonu, do Gwendolyn Paxton, do swojej miłości - Winnie.

POSŁOWIE

Bitwa o Dak To sprawiła, że 173 Brygada Powietrznodesantowa na długie miesiące została odesłana z pierwszej linii. Danina krwi, jaką zapłaciła jednostka, była bardzo wysoka. Uzupełnienia, które miały zapewnić powrót spadochroniarzy do boju jako zwartego pododdziału bojowego, były tylko opóźnieniem powolnej agonii żołnierzy Sky. Proces przywracania zdolności bojowej był żmudny i długotrwały. Brygada została przeniesiona do An Khe i Bong Son. Jej żołnierze powoli nabierali doświadczenia dzięki wzmocnionym treningom i wyczerpującym szkoleniom. Do boju powróciła dopiero w początkowych miesiącach 1969 roku, wykonując operacje: Darby Crest, Trail Darby oraz zakrojoną na szerszą skalę kampanię Darby Punch II. Od połowy 1969 roku do wycofania się z Wietnamu w 1971 roku spadochroniarze uczestniczyli jeszcze w czterech operacjach: Washington Green, Greene Lightning, Greene Storm oraz Greene Sure. Powolne wycofywanie jednostki z Indochin rozpoczęło się w kwietniu 1971 roku, a ostatni żołnierze opuścili Wietnam w sierpniu tegoż roku. 173 Brygada wycofana z Wietnamu została przeniesiona do Fort Campbell w Kentucky. Tam też jednostkę dezaktywowano w dniu 14 stycznia 1972 roku. Był to dla niej koniec zmagañ w wojnie wietnamskiej.

Podczas nieco ponad sześciu latach walki żołnierzom Sky przyznano 13 Medali Honoru (Medals Of Honor), 32 Krzyże za Wybitną Służbę (Distinguished Service Crosses), 1736 Srebrnych Gwiazd (Silver Stars) i ponad 6000 Purpurowych Serc (Purple Hearts). Na ścianie pamięci poległych w konflikcie wietnamskim w Waszyngtonie (Vietnam Veterans Memorial Wall) znajduje się 1790 nazwisk Podniebnych Żołnierzy. Chwała bohaterom, cześć ich pamięci.

REDAKCJA: Dagmara Silwanowicz
KOREKTA: Hubert Korczyk
OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska
MAPA: Marek Piorko
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

© Arthur Fowler i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-7942-777-2

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

